

**Steel Danielle**

**Sekrety**

## ROZDZIAŁ I

Blask słońca odbijał się od budynków, jak gdyby ktoś garściami rzucał brylanty na lodowiec. Białe migotanie wprost oślepiało Sabinę, naga, na leżaku, w upale Los Angeles. Nasmarowana olejkiem, cała roziskrzona, opalała się w tym bezlitosnym słońcu na miodowy brąz. Później miała wskoczyć do basenu, żeby się ochłodzić, ale dopiero po dopełnieniu niezliczonych porannych obrządków.

Każdy dzień zaczynała od takiego leżenia na wznak z twarzą powleczoneą kremem, ze swoją efektowną blond grzywą zasłoniętą przed słońcem, z namoczonymi w naparze ziołowym płatkami gazy na oczach, z wilgotną ściereczką wokół twarzy, chroniącą nieznaczne zeszloroczne blizny. Tak samo jedną i drugą pierś chroniły wilgotne tampony. Trzy operacje plastyczne, którym się poddała, rzeczywiście odniosły skutek nie pozostawiając śladów. Pierwsza — w wieku lat trzydziestu ośmiu, a więc później, niż należało o tym pomyśleć — polegała tylko na wygładzeniu małej bruzdy pomiędzy brwiami i podciągnięciu powiek, żeby były takie jak dziesięć lat wcześniej. Druga operacja — w wieku lat czterdziestu dwóch — sprawiła, że piersi stały się większe i pełniejsze, bardziej sterczące niż nawet wtedy, gdy wkroczyła w szesnastą wiosnę życia. I niedawno, przed rokiem, trzecia operacja — czy też raczej powtórzenie pierwszej na większą skalę — która z konieczności pozostawiła maleńkie fałdki za uszami. W dobre dni Sabina wyglądała na trzydzieści pięć lat, w dni wspaniale na trzydzieści jeden, a na ekranie jeszcze młodziej — chwilami, jeżeli operator kamery znalazł swój fach.

Sabina Quarles ukończyła czterdzieści pięć lat. Ciało miała dopracowane do perfekcji. Trzy razy na tydzień masaż, co dzień rano godzina gimnastyki, a po południu pływanie i przy chłodniejszej pogodzie dwumilowy spacer. Spacer, nie bieg. Przecież nie była głupia. Nie po to na swój biust wydała pięć tysięcy dolarów, żeby w biegu po betonie Beyerly Hilis opadł jej znowu o trzy cale.

Mogła sobie pozwalać na dekolty, odsłaniać rowek między piersiami, którym w skrytości ducha się chlubiła, i skórę koloru miodu, idealnie gładką, nie zdradzającą wieku. I mogła nosić spódnice rozcięte aż do połowy uda. Nie bez powodu. Takie nogi jak jej chciałaby za wszelką cenę mieć każda kobieta, ale chirurgia żadnej takich nóg nie da. Bo takie nogi daje Bóg. Otóż właśnie ją, Sabinę, Bóg dobrze pod tym względem wyposażył. Zresztą pod innymi względami też okazał się hojny wobec Mary Elizabeth Ralston, urodzonej w Huntington w stanie Pensylwania prawie pół stulecia wcześniej.

Jej ojciec był górnikiem, a matka kelnerką w przydrożnym barze dla kierowców ciężarówek, nad którym jaśniał przez całą noc mrugający neon „Kawiarnia”. Ojciec zmarł, gdy Mary Elizabeth miała dziewięć lat, matka w ciągu następnych siedmiu lat wyszła za mąż jeszcze trzy razy, dwukrotnie owdowiała i zamężna po raz trzeci, zmarła pozostawiając ją, siedemnastoletnią sierotę. Nie było po co

— zresztą tak jak i przedtem — mieszkać tam dalej, więc Mary Elizabeth wskoczyła swymi długimi, pięknie utoczonymi nogami do autobusu z tabliczką „Nowy Jork”. Tamtego dnia Mary Elizabeth Ralston po prostu zmarła. Do Nowego Jorku przyjechała Virginia Harlowe, takie bowiem imię i nazwisko wydawało jej się bardzo eleganckie.

Próbowała pracować jako modelka i ostatecznie wylądowała w szeregu chórzystek okraszającym rewię wystawianą bardzo daleko od Broadwayu. Uważała, że to już szczytowe osiągnięcie w życiu, ale ktoś niespodziewanie zaproponował jej rolę w filmie. Miała wtedy dwadzieścia jeden lat i kruczoczarne włosy. Farbowała je starannie, żeby efekt ich czerni bez odrostów podkreślał zieleń dużych, migdałowych oczu. Nie dostała żadnych strojów, by wystąpić w tym filmie, tylko skierowano ją do lodowato zimnej hali jakichś składów towarowych w Lower East Side z dwiema jeszcze dziewczynami i jednym mężczyzną. W rezultacie żywot Virginii Harlowe był krótszy niż żywot Mary Elizabeth Raiston. Po kilku następnych takich filmowych rolach i uprawianiu przez pewien czas striptizu w West Side zmądrzała na tyle, by się zorientować, że weszła w ślepy zaułek. Nazwisko Sabina Quarles wyskoczyło kiedyś wieczorem z tygodnika pozostawionego przez koleżankę we wspólnej garderobie, a pieniądze, które zaoszczędziła, akurat wystarczyły na bilet do Los Angeles. Miała dwadzieścia cztery lata i zdawała sobie sprawę, że to ostatni dzwonek. No, przedostatni. Czarną farbę zostawiła w Nowym Jorku i wjechała do Kalifornii jako blondynka. W ciągu trzech tygodni znalazła umeblowany pokój i agenta, przy czym o nowojorskim stażu filmowym nie było mowy. Tamto należało do puszczanej w niepamięć przeszłości. Sabina Quarles, jak się nazywała już zawsze, cudownie potrafiła puszczać w niepamięć wszystko, czego wolała nie pamiętać, a więc kopalnię węgla i lokal ze striptizem w Nowym Jorku, i tanie szpetne filmy pornograficzne kręcone w składzie towarowym w Lower East Side.

W Los Angeles została modelką, wystąpiła w kilku reklamówkach, zrobiono z nią próbne zdjęcia w MGM i w niespełna sześć miesięcy dostała rolę w bardzo przyzwoitym filmie. Po jeszcze trzech niedużych rolach trafiła się rola porządna, tak że zanim Sabina ukończyła dwadzieścia sześć lat, jej twarz już znało i brało pod uwagę kilku reżyserów. Jej aktorstwo nie wstrząsało światem, lecz grała niezłe i agent wyszukał korepetytora, by jej pomagał w trudnych scenach. Gdy miała dwadzieścia osiem lat, jej nazwisko i twarz raz po raz ukazywały się w gazetach.

Kojarzono ją kolejno z kilkoma gwiazdami. Mając lat trzydzieści zasłynęła romansem z rzeczywiście czołowym gwiazdorem. Po zagranju z nim w filmie stała się jeszcze bardziej wzięta. Ciężko pracowała, żeby zrobić karierę, mozolnie się pięła, rozbierając się bardziej ochoczo niż wiele innych aktorek w tamtych czasach, ale zawdzięczała ją także temu, że naprawdę nauczyła się grać. Po trzydziestce zniknęła, później znów się pojawiła ni stąd, ni zowąd w hucznie reklamowanym filmie, który jak wszyscy zapewniali, miał z niej uczynić gwiazdę. Gwiazdy z niej nie uczynił, sprawił jednak, że jej nazwisko trochę więcej ludziom mówiło i dostawała lepsze role niż przedtem.

Tak więc chociaż Sabina Quarles niełatwo osiągnęła obecną pozycję i w ciągu czterdziestu pięciu lat życia nie odniosła żadnego wielkiego sukcesu, przynajmniej znano ją dobrze w Hollywood, a po krótkim namyśle rozpoznawała ją publiczność kin w całych Stanach: „A, tak... czy to nie ona grała w...” Przez chwilę wzrok pusty, potem uśmiech, łypnięcie okiem, wyraz pożądania na twarzach mężczyzn. Była właśnie taką kobietą, z jaką mężczyźni bardzo chcą iść do łóżka, lecz z wiekiem zrobiła się zdumiewająco wybredna. Sabina Quarles wiedziała, czego chce, i swoje ciało uniezależniła od wieku. Dbała o siebie, podtrzymywała znajomości, dzwoniła do agenta codziennie i gdy dostała rolę, nie szczędziła wysiłków na planie, tak że nadzywczaj dobrze się z nią pracowało.

Nie była primadonną, lecz jedną z pomniejszych gwiazd kUmowych, powiedzmy, jednym ze światel dalszych, nieraz jaśniejących dłużej niż wielkie neonowe sławy, które dzień w dzień zapalają się i gasną w wytwórniach Hollywood, zastępowane twarzami młodszymi i świeższymi. Na twarz Sabiny Quarles wciąż jeszcze warto było patrzeć, jej nazwisko nie oznaczało pieniędzy w kasie, ale mężczyznom mówiło, że wyjdą z kina zadowoleni. Sabina Quarles bowiem zachowała urodę swojej młodości. Mężczyźni nadal chcieli sięgać po nią,

dotykać jej, a już samo to, że chcą, sprawiało jej przyjemność. J nieważne, czy im się poddawała, czy nie. Uważała swoje ciało za pojazd wiozący ją do sukcesu. Spojrzała na budzik, który specjalnie trzymała na tarasie. Ponieważ minął czas leżenia na wznak, przewróciła się zwinnie na brzuch. Szybkim wprawnym ruchem nabrała na palce kremu z dużego słoika i znów natłuściła nim twarz i przedramiona. Były młode i jędrne jak ona cała. Ani jeden milimetr Sabiny nie wiotczał, nie obwisał. Telefon zadzwonił akurat wtedy, gdy i tak miała wstać. Nadszedł czas wypicia dwóch szklanek wody mineralnej i zjechania windą na dół, do basenu. Odruchowo spojrzała na zegarek, zastanawiając się, kto to i w jakiej sprawie. Do agenta już dziś telefonowała.

— Halo?...

Wszystko w Sabinie było jak miód. Głos miała niski i miękki, zmysłowy, szalenie działający na mężczyzn zapatrzonych w nią w ciemnym kinie.

— Z panią Sabiną Quarles, proszę — zaćwierkał młody sekretarski głosik. Nie знаła go.

— Jestem przy telefonie.

Stała smukła, wysoka, piękna w swoim saloniku, trzymając słuchawkę jedną ręką, a drugą odgarniając z ramion blond grzywę. Nikt by się nie domyślił, że kolor włosów jest niezupełnie naturalny. Każdy szczegół jej aparycji był starannie przemyślany, pięknie wykonany i odpowiednio utrzymywany. Życie poświęciła kreowaniu takiej Sabiny, jaką pragnęła być, i kreowała ją dobrze. Szkoda tylko, że nie zrobiła większej kariery. Dumiała nad tym czasami, co nie znaczy, że rezygnowała. Ostatecznie cieszyła się popularnością, chociaż nie najznakomitszej z gwiazd, nigdy by jednak nie uznała, że jej czas przeminął. Nie dopuszczała do siebie zmęczenia, starzenia się, nawet smętków średniego wieku, żadnych nastrojów kłęski. Pozostawała kobietą w drodze pod górę, chociaż od roku szła po równinie. Brak dobrych ról nie martwił jej, dopóki nie przestawały napływać pieniądze. Przed miesiącem reklamowała norki. Chętnie angażowała się w przedsięwzięcia tego rodzaju, aby mieć gotówkę, za nic tylko nie chciała wystąpić w telewizji

— po prostu to by było dla niej poniżające.

— Tu sekretariat pana Mela Wechslera — oznajmił głosik w słuchawce.

Sabina się uśmiechnęła. Mel Wechsler, największy producent w Hollywood! Każdy, kto z nim pracuje, kąpie się w jego blasku — przynajmniej ta sekretarka chyba w to wierzy. Przed kilku laty Wechsler parę razy zaprosił Sabinę na kolację. Niezależnie od wszystkich innych walorów był interesującym mężczyzną. Zastanowiła się, o co mu chodzi. — Tak? — W jej złocistomiodowym głosie zabrzmiał śmiech, gdy rozejrzała się po swoim saloniku.

Mieszkanie miała nowoczesne, przestronne, przy Linden Drive, w trochę mniej baśniowej części Beyerly Hills. Ale adres był dobry, salonik umeblowany głównie na biało, co efektownie odbijało się w dwóch przeciwległych, lustrzanych od góry do dołu ścianach. Widziała teraz siebie nagą, piersi jędrne, osadzone wysoko, takie właśnie, za jakie zapłaciła, nogi długie i nadal piękne. Lubiła się przeglądać w lustrach, bo nie pokazywały jej niczego, co by ją zdenerwowało czy przeraziło, a gdyby nawet, to przecież wiedziała, jak temu zaradzić.

— Pan Wechsler pyta, czy może pani zjeść z nim dzisiaj lunch. W Bistro Gardens.

Zastanowiła się, dlaczego to takie pilne i dlaczego sam nie zadzwonił. Kto wie, czy nie ma dla niej jakiejś roli, chociaż ostatnio kręcił coraz mniej filmów. Wprawdzie nadal zajmował się produkcją dla kin, lecz od dziesięciu lat jego największym szlagierem były seriale dla telewizji. Oczywiście wiedział, że ona telewizji nie uznaje. Wszyscy o tym wiedzieli.

Występy w telewizji to chałtura, telewizja jest szmirowata — każdemu to mówiła. Sabina Quarles nie musiała pokazywać się w telewizji. Ilekroć jej agent poruszał ten temat,

powtarzała swoje, więc przestał nudzić ją tym zbyt często. Łatwiej mu przychodziło namówienie jej do reklamówek takich, jak to zachwalanie futra z norek. Bo reklama to jednak coś z pewną klasą, podczas gdy telewizja w żadnym wypadku. No, ale Mel Wechsler ma klasę. A ona dzisiaj na lunch jeszcze z nikim się nie umówiła.

— O godzinie pierwszej — zaćwierkała w słuchawce sekretarka.

Przez myśl dziewczynie nie przemknęło, że Sabina mogłaby odmówić. Melowi Wechslerowi nikt nigdy nie odmawiał, a przynajmniej mało kto — z pewnością nikt spośród aktorów.

— O pierwszej piętnaście — poprawiła Sabina rozbawiona.

— Dobrze. W Bistro Gardens. — Zostało to powtórzone tak, jakby Sabina mogła zapomnieć.

— Dziękuję. Proszę powiedzieć panu Wechslerowi, że będę.

Pewnie, kochana, że będziesz, żebyś tak zdrowa była, pomyślała sekretarka rozłączając się, po czym połączyła się z drugą sekretarką Wechslera, która przekazała szefowi wiadomość, że Sabina Quarles spotka się z nim o pierwszej piętnaście. Wechsler przyjął to z zadowoleniem. Sabina w swoim saloniku też była zadowolona. Mel Wechsler. Myśląc o nim uprzytomniła sobie, że nie widziała go od wieków. Przed

dziesięciu laty zabrał ją na uroczystość wręczenia Oscarów. Miała wtedy wrażenie, że podoba mu się bardziej, niż to okazywał, lecz nigdy nie nadarzyła się sposobność, by jakoś to wykorzystać.

Przeszła przez ubieralnię, kłitkę z lustrami, do maleńkiej łazienki i wzięła prysznic, wprawnie manipulując gaikami kranu. Igiełki gorącej wody kłuły ją rozkosznie w natłuszczoną skórę, gdy jednocześnie myła głowę i rozmyślała, jak się ubrać na obiad z Melem Wechslerem. O co mu chodzi? Czy to sprawa roli czy może bardziej osobista? Niepewnie zadała sobie pytanie, jaką siebie ma reprezentować na tym obiedzie: wielką gwiazdę wznoszącą się coraz wyżej czy namiętą światową kobietę. I zaraz parsknęła śmiechem. Te dwie to przecież jedna i ta sama Sabina Quarles, wysoka, smukła i piękna. Mel może dla niej mnóstwo zrobić, mnóstwo i na wielu frontach oczywiście.

Jeszcze wzięła prysznic lodowato zimny, zanim wyszła z wanny. W całym ciele czuła mrowienie, gdy wycierała się, a potem rozczesywała długie blond włosy. Patrząc niezbyt bacznie, można mi dać najwyżej dwadzieścia pięć lat, doszła do wniosku. No, dwadzieścia osiem... dziewięć... Uśmiechnęła się. Nieważne, ile mam lat: czterdzieści czy dziewięćdziesiąt osiem, i tak wybieram się na obiad z Melem Wechslerem.

## ROZDZIAŁ II

Sabina zjeżdżała windą swobodna i spokojna. Nacisnęła guzik garażu i metalowa klatka zatrzęsła się zsuwając się w podziemne mroki. Tylko od czasu do czasu Sabina rzeczywiście bała się zaczepki i obrabowania, a i wtedy grozą przejmowała ją tylko myśl, że ktoś ją skaleczy i oszpeci. Jeśli chodzi o rabunek, to niech sobie biorą wszystko. Rzadko nosiła dużo gotówki, nie miała cennej biżuterii. Cokolwiek zdobywała przez te lata pracy, szybko sprzedawała. Pieniądze były jej potrzebne na ważniejsze cele. Miała srebrzysty samochód, małego mercedesa 280 SL, model już nie produkowany, już nie poszukiwany na rynku. Był zrywny, ale doprawdy nienowyy, jak wiele z jej rzeczy. W garderobę zaopatrywała się odpowiednią, ale mającą jej dobrze i długo służyć. Nie interesowała się krzykami mody. Dzisiaj włożyła białą jedwabną spódnicę rozciętą do uda i szafirową koszulę, której kolor uwydatniał opaleniznę i złoto włosów. Czterech górnych guzików koszuli nie zapięła, toteż widok rowka między jej piersiami mógłby każdego mężczyznę oszołomić, doprowadzić do bełkotania bez związku. Włosy zdrowe, gęste, świetnie umyte i starannie wyszczotkowane, zaczesła do tyłu. Paznokcie idealnie

wypielęgowanych rąk lśniły jaskrawoczerwoną emalią, tak samo jak paznokcie gołych nóg w białych sandałkach na wysokich obcasach.

Wyjechała samochodem z garażu i skierowała się w stronę Bistro Gardens. Na Wilshire ostro skręciła w prawo, po czym prawie od razu wjechała przez wysoką, żelazną, dwuskrzydłową bramę na podjazd Beyerly Wilshire. Zatrzymała samochód pomiędzy dwoma budynkami jak brylant pomiędzy pierściami, rozmigotany w blasku słońca i zaczęła, aż portier podejdzie i pomoże jej wysiąść. Podszedł uśmiechając się serdecznie. Lubił zajmować się jej samochodem, bo dawała hojne napiwki i była piekielnie piękną kobietą. Wystarczyło, by na nią popatrzył, i zaraz czuł się lepiej. Z szerokim, żółtawym jak kość słoniowa uśmiechem otworzył drzwiczki i wtedy wyplątała nogi z tego małego samochodu. Buda jak zwykle była opuszczona.

— Dzień dobry, panno Quarles. Zje pani dziś u nas obiad?

Odpowiedział mu uśmiech sprawiający, że mężczyźni nie pamiętali ani słowa z tego, co Sabina mówiła.

— Nie tu, ale niedaleko stąd. Popilnuje mi pan samochodu?

Pytanie retoryczne, ten portier zawsze chętnie pomaga Sabinie Quarles, zawsze rad z okazji, że może chłonać ją wzrokiem.

— Pewnie, że popilnuję. To ja panią znowu zobaczę.

Wręczył jej żeton parkingowy i odeszła tak uśmiechnięta, że poczuł się męski, atrakcyjny i ważny. Patrzył na nią, dopóki nie skręciła z podjazdu i nie zniknęła mu z oczu. To było jak jakiś piękny balet, gdy tył jej falował w tej białej spódnicy. Ucieszyłaby się, gdyby widziała, jakie wrażenie wywiera na nim i jeszcze czterech mężczyznach, którzy po prostu stanęli niemo zagapieni, pełni podziwu. Tylko jeden ją rozpoznał, ale przecież nie to miało znaczenie. Mężczyźni gapili się na nią tylko dlatego, że tak wyglądała, tak się poruszała, tak uderzała wspaniałą prezencją. A ona teraz myślała: rzeczywiście szkoda, że moja kariera stoi w miejscu, odkąd zagrałam w ostatnim filmie. Potrzebna mi właściwa rola. I właściwy producent.

Zaczekała na zielone światło i przeszła na drugą stronę Wilshire Bouleyard. Idąc dalej, spojrzała na zegarek — pierwsza za dziesięć, czasu niewiele. Miała jeszcze coś do załatwienia. Jej strój należało czymś uzupełnić, dokładnie wiedziała czym. Prawie wszystko, co robiła, było wykalkulowane.

Przebyła parę kroków z rogu ulicy pod tę markizę w żółte i białe pasy, znaną każdemu na Rodeo Drive, pod markizę uświęconego magazynu dla najświetniejszych kobiet Hollywood, Giorgia. Weszła narożnymi drzwiami i ruszyła prosto do działu kapeluszy naprzeciw barku. Zza kontuaru barman przyjrzał się jej z uznaniem.

— Nie napije się pani, madame?

Mówił z akcentem francuskim i na pewno miał już dosyć tych piękności, które wciąż tu się kręciły. Ale Sabina była jedną z najbardziej ho, ho! Uśmiechnęła się i powiedziała, że nie. Przymierzyła dwa kapelusze, po czym znalazła na półce taki, o jaki jej chodziło, gdy podeszła do niej ekspedientka wiedząc, że powinna znać jej nazwisko, ale jakoś go nie znając.

Widywała ją przedtem, rzadko jednak, bo w zasadzie Sabina trzymała się od magazynu Giorgia z daleka. Był dla niej za drogi, suknie kupowała tylko na szczególne okazje, takie jak tanto wręczenie Oscarów z Melem, przychodziła więc tu nie częściej niż raz w roku, jeśli w ogóle. A przecież ekspedientka nagle doznała olśnienia. Wyczerpujące tak sobie przypominać nazwiska klientek. Nie każdą da się rozpoznać. Ale już wiedziała, że ta to jest Sabina.

— Czym pani mogę służyć, panno Quarles?

— Biorę ten kapelusz — powiedziała Sabina zadowolona.

Rondo kapelusza ocieniało twarz dostatecznie, żeby nadać jej jakąś nieznośną tajemniczość i spotęgować przyczajoną zmysłowość, ale nie aż tak, żeby zasłonić jej niezwykle szmaragdowe oczy. W istocie nawet pozwalał grać oczami. Był to duży kapelusz z naturalnej

słomy, doskonale swym kształtem uzupełniający jej sylwetkę i bardzo twarzowy. Akurat w sam raz do szafirowej jedwabnej bluzki i wysoko rozciętej białej spódnicy oraz zapachu perfum, których używała. Znów spojrzała na zegarek: pięć po pierwszej.

— Możemy pani pokazać coś jeszcze. Przyszły prześliczne jedwabie i cudowne suknie wieczorowe na jesień...

Jeden kapelusz za marne pięćdziesiąt dolarów to za mało w planach firmy Giorgia, ale dokładnie to, co zaplanowała. Mel wyda więcej niż pięćdziesiąt dolarów na ten obiad. I kto wie, jakie ma zamiary. Pół setki nie jest sumą zbyt wygórowaną do zainwestowania w karierę. Na to ją jeszcze stać.

— Nie teraz, dziękuję.

— Nasze Jacqueline de Ribes są w...

Sabina uśmiechnęła się, gotowa do odparcia tego ataku. Z nią ekspedientki niczego nie zdziałają.

— Właśnie kupiłam trzy u Saksa w zeszłym tygodniu. Trzy modele Jacqueline de Ribes kosztowały połowę zeszłorocznych dochodów Sabiny.

Ekspedientka jednak przyjęła cios nieustraszenie.

— My mamy kilka zastrzeżonych wyłącznie dla nas. Fred sam je wybrał z kolekcji w Paryżu. Znakomity Fred Haymann, impresario najelegantszego magazynu na Rodeo Drive. Ale nawet dźwięk tego uświęconego imienia nie odniósł skutku. Sabina spojrzała na zegarek: pierwsza dziesięć.

— Muszę już iść. Zajrzę tu znów po obiedzie. — Albo w przyszłym roku, pomyślała, albo może w przyszłym tygodniu, jeżeli Mel ma dla mnie jakąś rolę w swoim następnym filmie. W jej oczach pojawił się wyraz wykluczający wszelką argumentację. Mówił: „Sprzedaj mi wreszcie ten cholerny kapelusz, bo wyjdę nie kupując.” Chciała przyjść w kapeluszu na obiad z Mellem, to było potrzebne. A ekspedientka wiedziała, kiedy dać spokój.

— Proszę bardzo, panno Quarles. Mam coś odłożyć dla pani?

Rany boskie, one nigdy nie rezygnują, jęknęła Sabina w duchu, gdy dziewczyna odeszła z kapeluszem do kasy. Wróciła piętnaście po pierwszej. Sabina włożyła kapelusz pieczołowicie, przesunęła go na głowie pod właściwym kątem, zgarnęła włosy do tyłu. Efekt był piorunujący, oglądano się za nią, gdy wyszła z magazynu i pędziła z Rodeo na Beyerly i dalej na North Canon.

O pierwszej dwadzieścia jeden dotarła do Bistro Gardens i wkroczyła między wystawione na zewnątrz stoliki, wspaniała, piękna, podnosząc wzrok nieco powyżej urzeczonych spojrzeń ludzi, którzy się odwracali, żeby na nią popatrzeć. Taki już mieli zwyczaj, starali się nie przegapić nikogo. „Gregory Peck... Elizabeth Taylor... Meryl Streep... widzisz, tam Jane”, szeptali nieustannie. Ale tym razem pogapili się tylko na nią, po czym znów zajęli się sobą, gdy maitre d'hôtel szybko ruszył jej naprzeciw. Dekoracjom przydawało wytworności mnóstwo różnobarwnych kwiatów, parasole w jaskrawe pasy chroniły każdy stolik przed słońcem południa.

— Madame? — To było pytanie i jednocześnie stwierdzenie. Maitre d'hôtel uśmiechnął się do Sabiny.

— Mam tu się spotkać z panem Melynem Wechslerem wyjaśniła, sprawdzając na jego twarzy efekt swojego kapelusza. Wiedziała, że jest należyty. Kapelusz czynił z niej kobietę tajemniczą i zarazem zuchwałą. Wiedziała, że wkroczyła do Bistro Gardens sensacyjnie. I wiedziała, że Mei, sam przy stoliku, patrzy na nią.

Patrzył. Te długie nogi, ten wdzięczny chód, te jędrne piersi napinające szafirową bluzkę, te oczy pod rondem kapelusza. Do licha, to jest to. Wiedział. Pamiętał. Sabina Quarles jest właśnie taka, o jaką mu chodzi. Nic dodać, nic ująć. Więc uśmiechał się do siebie, gdy ona nagle stanęła przed nim, zmysłowa jak zawsze, chyba jeszcze efektowniejsza niż dawniej. Albo może jemu na starość mięknie serce? Czyżby w końcu mogły się do niego dobrać

podstarzałe gwiazdki? Tylko że Sabina Quarles nie jest byłą królową piękności. To kobieta, z którą trzeba się liczyć. Patrząc na nią poczuł w sobie szarpnięcie, które ocenił na 9,9 w skali Richtera, i był z tego zadowolony. Wstał, wyciągnął rękę. Miał długą i silną rękę, uścisk dłoni mocny, oczy lodowato niebieskie.

Mel Wechsler, chociaż ukończył pięćdziesiąt cztery lata, zachował młodość ciała jak wielu innych mężczyzn z Hollywood. Grał codziennie w tenisa, a jeśli nie codziennie, to przynajmniej możliwie często, i tak jak Sabina brał masaż kilka razy w tygodniu. Ale nie poddał się nigdy żadnej operacji plastycznej. Wyglądał kapitalnie jak na swój wiek i pomimo siwizny mógłby wiarygodnie ujmować sobie dziesięć lat, gdyby chciał. Nie chciał jednak.

— Cześć, Sabino, jak się masz?

— Przepraszam, że się spóźniłam — powiedziała uśmiechnięta i prawie się zdziwił, że jej głos jest aż tak niski, aż tak zmysłowy.

— Ruch w tym mieście staje się wprost absurdalny. — Zwłaszcza, pomyślała, kiedy się po drodze kupuje kapelusz. I dobrze, niech sobie przypomni, jaka jestem kocia, duża, szczupła. Piękna kocica przeciągająca się w słonecznym blasku. — Mam nadzieję, że nie czekałeś zbyt długo.

Niebieskimi oczami spojrzał głęboko w jej oczy. Zawsze patrzył z rozważą, jak gdyby miał jakieś bardzo doniosłe zamysły. Uśmiechnął się. Uśmiech Mela Wechslera kruszył serca kobiet, a jeśli nie serca, to w każdym razie opór. Właściwie był półuśmiechem błędzącym na ustach, gdy oczy pozostawały poważne — prawie zawsze, i teraz też.

— Są w życiu rzeczy, na które warto czekać.

Sabina się roześmiała. Zawsze lubiła z Melem rozmawiać i nieraz się zastanawiała, dlaczego od tak dawna do niej nie dzwoni. Ich ścieżki krzyżowały się od czasu do czasu, ale nie dość często.

— Dziękuję ci, Mei.

Zapytał, co jej zamówić do picia. Po chwili namysłu wybrała „krwawą Mary”, po czym zauważyła, że on pije perriera. Nie był szablonową postacią hollywoodzką. Był to człowiek majątny, zawdzięczający sukcesy własnej ciężkiej pracy, prawdziwy geniusz w branży. Miał czarodziejski dar dobierania właściwych ludzi do swoich widowisk telewizyjnych i filmów. Rzadko się mylił: Sabina wśród wielu innych zalet podziwiała w nim nieomyślność. Melyin Wechsler to fachowiec. Poza tym piekielnie interesujący mężczyzna. Jak wiedziała, Mel Wechsler przed kilku laty miał długotrwały romans z pewną wielką gwiazdą. Byli nierozłączni. Gwiazda grała w trzech jego filmach, ale coś między nimi się popsło i dawno już przestali się widywać. Sabina, podobnie jak wszyscy w mieście, też snuła domysły, dlaczego ze sobą zerwali, ale Mei nigdy o tej damie serca nikomu nie mówił i to również Sabinie się w nim podobało. Jest dumny. Silny. Ma styl. Nie należy do tych, którzy publicznie liżą swoje rany. Nawet o wielkiej tragedii swego życia nigdy nic nie mówił. Nic. Sabina знаła tę historię tylko z gazet i z tego, co słyszała od znajomych.

Mei Wechsler był kiedyś mężem Elizabeth Floyd, jednej z największych hollywoodzkich gwiazd swego czasu, jakieś trzydzieści lat temu. Poznał ją, gdy przyjechał do Hollywood i jeszcze czołgał się pod górę w MGM. Stał się wtedy, czy może w parę lat później, „złotowłosym chłopcem” tej wytwórni. Elizabeth Floyd, gwiazda pierwszej wielkości, po prostu się w nim zakochała. Po paru latach pobrali się i wkrótce potem zrezygnowała z aktorstwa rzekomo tylko na razie, przed urodzeniem ich pierwszego dziecka. Tylko że to pierwsze dziecko okazało się bliźniakami, jak dwie krople wody podobnymi do matki, która już na dobre została w domu, żeby się nimi opiekować.

W dwa lata później urodził się syn i od czasu do czasu widywano całą tę rodzinę. Mel nie dopuszczał prasy do żony i dzieci, chociaż nie było to łatwe. Za piękną Liz od lat uganił się fotoreporterzy. Sabina pamiętała ją z czasów, gdy stawiała w Hollywood pierwsze kroki. Liz

wtedy już nie występowała, ale na Boga! była prześliczna. Ruda z natury, o wielkich niebieskich oczach, śmietankowej cerze, miała olśniewający uśmiech i taką figurę, że mężczyźni płakali. Walczyła wówczas o prawa kobiet i zajmowała się wszelkiego rodzaju akcjami dobroczynnymi. Wechslerowie posiadali dom w Bel Air i ranczo niedaleko Sarna Barbara.

Mel był idealnym mężem i ojcem, w co nietrudno uwierzyć nawet teraz, chociaż pokazywał się z wieloma młodymi aktorkami. Bo Mei ma w sobie coś ojcowskiego i wszyscy mówią, że praca u niego to jak przynależność do rodziny. Dba o ludzi, których zatrudnia. Dba o wszystkich i zawsze dbał. Bajeczny mąż i ojciec, uwielbiał Liz i swoje dzieci. Jeździł z nimi co rok do Europy, a w roku 1969 zabrał ich do Izraela. Zachwyliła ich ta podróż, więc wściekał się, gdy wezwano go do Los Angeles na konferencję telewizyjną, nagle zwołaną i wymagającą jego obecności.

Zostawił Liz i dzieci w Tel Awiwie, obiecując wrócić za cztery dni. Cóż, kiedy wszystko bardziej się skomplikowało, niż przewidywał. Wyłoniły się poważne problemy w związku z jego największym serialem, a wtedy jeszcze nie miał tak ugruntowanej pozycji. W końcu musiał zostać w Los Angeles, więc wezwał Liz z dziećmi do domu, ale ona zdecydowała się zatrzymać na kilka dni w Paryżu, tak jak uprzednio zaplanowali. Dzieci bardzo liczyły na to, że zobaczą Paryż. Wsiadła z nimi do samolotu El Al i w tym czasie Mel, mając znów telewizyjną konferencję, nagle doznał dziwnego uczucia. Spojrzał na zegarek, zastanowił się, czy zdąży zatelefonować, żeby Liz poleciała samolotem Air France albo jakiejś innej linii. Ale ostatecznie uznał, że te jego obawy są głupie... Aż dostał wiadomość: zatelefonowano z ambasady, zanim usłyszał to w dzienniku radiowym. Siedmiu terrorystów arabskich wsiadło do tego samolotu i wysadziło go w powietrze, zabierając ze sobą na tamten świat załogę i wszystkich pasażerów. Dwieście dziewięć osób poniosło śmierć dla ich sprawy... i Liz, i Barbie, i Deborah, i Jason...

Przez długie tygodnie Mel Wechsler był jak żywy trup. Nie mógł uwierzyć, że to rzeczywiście się stało, nie mógł uwierzyć, że gdyby ich tam nie zostawił, gdyby nie wrócił do Stanów, gdyby tylko zadzwonił... Wszystkie „gdyby” z owego fatalnego dnia prześladowały go przez długie lata. Myślał, że nigdy nie obudzi się z koszmaru, i tylko pragnął także już nie żyć. W snach wciąż widział ten samolot i przez dziesięć lat bez mała nigdzie nie latał. Ale nie było sposobu przywrócenia przeszłości. Nie było powrotu. Barbie i Deborah miały dwanaście lat, Jason dziesięć. O takich tragediach się czyta w gazetach. Tylko że ta tragedia spadła na niego. Całą jego rodzinę zmiotła bomba terrorystów i jego życie pod wieloma względami już nigdy nie miało być takie samo.

Rzucił się w wir pracy, aktorzy, których zatrudniał, stali się dla niego jak dzieci. Ale swoje dzieci utracił. I utracił Liz. Bezwrotnie. Nie było drugiej takiej jak ona i nie chciał, żeby była. Żył wspomnieniami jeszcze teraz. Miewał kobiety, oczywiście, chociaż wiele czasu minęło, zanim do tego doszło. W końcu miał nawet poważny romans. Nie ożenił się jednak po raz drugi i wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Bo i po co? Wszystko już zostało mu dane. J odebrane.

Teraz filozoficznie podchodził do życia, znał kulisy trywialnego Hollywood. Ta trywialność do niego nie przemawiała, jednak traktował ją serio. Był człowiekiem interesu, czuwał nad swoimi sprawami i prowadził je dobrze. W sercu miał drzwiczki raz na zawsze zatrzasknięte — tamtego dnia, gdy odebrał telefon z Paryża. Ale oczu przecież nie miał zamkniętych na piękno, jakie go codziennie otaczało, i lubił towarzystwo kobiet, z którymi się spotykał. Zawsze jednak po powrocie do domu nocą albo po odejściu tej czy innej kobiety rankiem następowała chwila prawdy... chwila samotności ze wspomnieniami. Dlatego pracował tak niezmordowanie. Zagłuszał się pracą i to mu służyło. Tyle że częśćka jego serca już nie żyła, tak jak jego żona i dzieci.

— Co ostatnio porabiasz? — Opieszale uśmiechnął się nad trunkami do Sabiny.



Sabina przypominała sobie jego tragedię. Nie obnosił się z żalobą. Nie mówił o swojej żonie i dzieciach z nikim, chyba że z bardzo bliskimi przyjaciółmi. Całym Hollywood wstrząsnęła wiadomość o tej katastrofie. Na nabożeństwo żałobne ściągnęły dosłownie tysiące ludzi. Pogrzebu nie było, bo nie było zwłok, żeby sprowadzić je samolotem. Nie było nic. Samo powietrze. J ból. I poszarpane wspomnienia. J kondolencje.

— Słyszałem, że w zeszłym roku grałaś w bardzo ładnym filmie.

Słyszał więcej. Słyszał, że pomimo niezłych recenzji wpływy kasowe z tego filmu przedstawiały się opłakanie. Ale doceńał możliwości Sabiny. Widział ją w niejednym filmie. Wiadomo, kim jest i jaka jest. Poza tym pociągała go. O wiele bardziej niż przypuszczała. Nie musiała nawet kupować kapelusza, chociaż na ten kapelusz też popatrzył z iskierkami w oczach. Praca pobudziła w nim na nowo ducha, praca, którą kochał i dla której żył. Utratę rodziny przeżywał dostatecznie długo, by wreszcie się z nią pogodzić. Już nie rządziła jego życiem. Rządziła nim praca i o niej teraz myślał. O nowym serialu pod tytułem „Manhattan”. Sabina Quarles nadaje się idealnie.

Sabina parsknęła śmiechem, gdy tak dobrotliwie wypowiedział się o jej filmie. Tylko Mel to potrafi. Zawsze džentelmen. Stać go na to. Jest na szczycie. Na samym szczycie. Ma na własność świat, w którym się obraca, telewizja całuje go po nogach za gwarantowane sukcesy, jakie mu zawdzięcza. Mel zbija majątek dla wszystkich: dla siebie, dla stacji telewizyjnych, dla sponsorów, dla aktorów, których zatrudnia. I jest hojny dla każdego, z kim ma do czynienia. Nie potrzebuje nikogo oszukiwać. Mel godny pożądania pod każdym względem. Sabina myślała nie tylko o swojej karierze patrząc na niego znad szklanki, uśmiechając się pełnią swych przepysznych warg.

— Ten film to fiasko. Ładny, ale fiasko.

— Miałaś dobre recenzje. — Nie spieszyło mu się.

— I prawie nic więcej. Dobre recenzje nie pokryją komornego.

— I innych wydatków, dodała w duchu.

— Czasami pokrywają.

— Powiedz to chłopcom, którzy robią takie filmy. Chcą nabijać kasę i cel uświęca środki. Załatwiają recenzje.

Oboje wiedzieli, że w pewnej mierze tak jest.

— I tu mamy plus telewizji. — Nie zmienił wyrazu twarzy, chociaż wkroczył na pole minowe. Jedna z brwi Sabiny raptem się uniosła.

— O wiele bardziej niż recenzje w kinach liczy się oglądalność.

— W istocie, pomyślał, liczy się tylko oglądalność. Zirytowała się.

— Oglądalność właściwie o niczym nie świadczy i wiesz o tym, Mel, równie dobrze jak ja.

Mówi tylko, ile czarnych skrzynek jest podłączonych do telewizorów w domach bezmyślnych cymbałów.

A wy wszyscy ślinicie się albo drżycie ze strachu przed tymi wynikami. Daj mi rolę w filmie kinowym, biorę natychmiast.

— Nie zmieniłaś zdania o telewizji? — Mel, łagodny i spokojny, zamówił znów perriera.

— To morze tandety. — Pod rondem kapelusza oczy jej pały. Przecież zawsze, kiedy tylko się spotkali, mówiła mu, że nie cierpi telewizji.

Uśmiechnął się.

— Ale ta tandeta przynosi zyski.

— Możliwe. Ja jednak, Bogu dzięki, nigdy się nie prostytuowałam

— powiedziała, wyraźnie zadowolona z siebie, więc trochę się złąkł. No, ale ona jeszcze nie zna scenariusza. Byleby tylko ją namówić, żeby przeczytała „Manhattan”, a na pewno spojrzy na to inaczej.

— Bywa gorsza tandeta, Sabino. Oboje wiemy, że na mnóstwo filmów, które się kręci, szkoda nawet kliszy. I dają artystyczne zadowolenie akurat tak, jak sfabularyzowane reklamówki.

Oburzyła się.

— To śmieszne, Mel. Nie możesz porównywać filmu z telewizją.

— Mogę, chyba nawet bardziej niż ktokolwiek inny, bo zajmuję się jednym i drugim. To dwie różne sprawy, ale obie tak samo zadowolają ęce. Obie mają swoje plusy. Czy jest coś lepszego niż naprawdę świetny, długi serial telewizyjny? Dla aktorów satysfakcja, jakiej prawdopodobnie nie miał nawet Clark Gable, kiedy grał w „Przeminęło z wiatrem”.

— Oboje uśmiechnęli się, rozbawieni tym zestawieniem. — To jest właśnie kino dla ciebie, moja droga.

Roześmiała się teraz. Na ogół traktowała swoją osobę bardzo poważnie, ale Mel sprawił, że łatwo jej przyszedł śmiech z samej siebie. Mel potrafił rozkrochmalać ludzi, poprawiać im samopoczucie, rozśmieszać ich, czynić ważnymi, ustawiać na drodze do sukcesu. Przed tym obiadem zastanawiał się nad Sabiną. Ona obraca się w Hollywood od lat... od bodaj dwudziestu lat czy może od dwudziestu pięciu. Po tylu latach życia poświęconych aktorstwu przecież zasługuje na więcej uznania. To jest coś, co może dać jej Mel Wechsler, a raczej jego „Manhattan”.

— Zapytaj, Sabino, kogokolwiek z aktorów, kto grał w długim telewizyjnym serialu, co może o tym powiedzieć. Gdzie znajdzie się taka szansa, żeby tydzień po tygodniu obrabiać jakiś materiał, cyzelować swoją kreację, swoją grę? Do diabła, połowa aktorów grających w serialach później albo je pisze, albo reżyseruje, tak bardzo ich to wciąga.

— Zapewne kierują się instynktem samozachowawczym — popatrzyła spod runda kapelusza. Roześmiał się.

— Chyba nikt nigdy nie zarzucił ci tego, że jesteś uparta.

— Tylko mój agent.

— Żaden z eksmałżonków?

Zapomniał o tym, ale gdy potrząsnęła głową, od razu sobie przypomniał. Sabina to kobieta samotna jak wiele innych jej pokroju i pokolenia w tej branży. One zawsze są zanadto pochłonięte sobą, swoim wyglądem i pracą, żeby marnować czas na męża. A jeśli już, to rzadko wytrzymują w małżeństwie dłużej niż jeden sezon. To właśnie w Sabinie mu przeszkadzało, gdy się poznali: nigdy nie była mężatką. On wolał kobiety mające za sobą długotrwały związek, zwykle będące matkami. Wypełniało mu to pustkę, której sam nie mógł sobie wypełnić. Nie chciał założyć nowej rodziny, nie przeżyłby jeszcze jednej utraty, lecz bardzo lubił przebywać z cudzymi dziećmi.

— Nie natrafiłam na mężczyznę, który skusiłby mnie do tego, żebym z nim została.

A więc jest wobec mnie szczerą, pomyślał. Ale Sabina taką szczerą okazywała każdemu, głosząc, kim jest, do czego zmierza i czego chce. Bo była ze swego stylu życia zadowolona.

— To nie świadczy zbyt dobrze o mężczyznach, których znasz.

Spojrzenia ich się spotkały i zatrzymały.

Kelner wrócił i zamówili obiad, po czym potoczyła się rozmowa już na lżejsze tematy. Mel nie planował letnich wakacji. Ranczo pod Santa Barbara już dawno sprzedał. Gdy potrzebował kilku dni wytchnienia, wynajmował dom przy plaży w Malibu i tam czytał scenariusze i wypoczywał. Ale ostatnio brakowało mu czasu. Od tygodnia prowadził rozmowy z telewizją i teraz czekała go poważna praca. Dobierał obsadę do serialu „Manhattan”, który miał być przebojem w swoim gatunku, serialem jak żaden przedtem.

— A co z tobą, Sabino, nie wyjeżdżasz na lato?

Potrząsnęła głową, z niewyraźną miną pogrzebała widelcem w sałatce i znów spod runda kapelusza spojrzała na niego. Przez chwilę wydawała się bezbronna, nieopancerzona. Jeszcze

nigdy jej takiej nie widział. Aż chciałby zawołać: „Zatrzymać klatkę!”, żeby akcja ustała i żeby Sabina już zawsze wyglądała tak jak teraz. Ale to zniknęło. Uśmiechnęła się i wzruszyła swymi znakomitymi ramionami.

— Muszę pojechać na parę dni do San Francisco. Poza tym przez całe lato będę tutaj.

Wiedział też, że ona nie pracuje od czasu fatalnego filmu przed rokiem. Zastanowił się, czy kiedykolwiek rozpaczła, że ma za małe osiągnięcia, czy może uznała, że osiągnęła dosyć. W przypadku takiej kobiety jak Sabina trudno w to uwierzyć. Ufał, że ambicja przynajmniej trochę wpłynie na jej decyzję.

Zaczekał, żeby podano kawę, po czym delikatnie zagaił:

— Miałem nadzieję, że zrobisz to dla mnie i przeczytasz pewien scenariusz.

Oczy jej się rozjaśniły powoli i ciepło. Spodziewała się czegoś takiego. Czegoś takiego albo zaproszenia na wieczór. Tę drugą ewentualność również ochoczo by przyjęła. W istocie nie wiedziałyby, co wybrać, gdyby musiała wybierać: Mel czy rola w jego następnym filmie. Mel teraz rzadko produkował filmy, więc propozycja roli tym bardziej by jej pochlebiała. Ale praca pracą, chociaż tak w tej chwili potrzebna, zaproszenie na kolację też by ją ucieszyło, i on chyba wie o tym. Hollywood jest małym miasteczkiem i wszystko, co nie zostało niezbitcie stwierdzone, ludzie albo podejrzewają, albo sobie wyobrażają i oczywiście opowiadają szeptem. Pełno w tym miasteczku plotek, pogłosek i niedochowanych sekretów.

— Przeczytam bardzo chętnie — odpowiedziała. — Domyślam się, że to będzie jakiś nowy film.

— Niezupełnie. — Nie było sensu kłamać. Miał ten scenariusz w teczce pod swoim krzesłem, żeby jej dać po obiedzie, jeżeli się zgodzi. — To będzie mój nowy serial.

Zielone oczy zatrzasnęły się jak bliźniacze bramy Szmaragdowego Miasta.

— Więc ja odpadam.

— Miałem nadzieję, że przynajmniej przeczytasz, Sabino. Tym sobie nie zaszkodziś — powiedział z mocą, a przecież łagodnie, i nieomal uwodzicielsko.

Czuła jego przewagę, chociaż tylko siedziała przy nim nad filiżanką kawy.

— Jesteś bardzo przekonujący, ale tylko zmarnowałabym czas tobie i sobie. — Usiłowała mówić grzecznie, nie ulegało jednak wątpliwości, że serial wcale jej nie interesuje.

Chciał powiedzieć: „Mogę odżałować ten czas. I ty możesz także”, zamiast tego powiedział:

— Czy długo czyta się scenariusz? Jeśli jest taki dobry, jak myślę, chyba nie będzie ci żal tego czasu.

Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową, rozbawiona.

— Dla ciebie, Mel, zrobiłabym prawie wszystko, ale tego nie zrobię. Wiem, o co ci chodzi. O to, żebym się w tym scenariuszu zakochała, ale ja się nie zakocham.

— A gdyby jednak?

— Na pewno nie.

— Dlaczego?

— Może to ci się wyda wariactwem, ale mam zasady. Po prostu ja w telewizji się nie pokażę.

— Postępujesz wbrew swoim najlepszym interesom, Sabino. Nie bylibyśmy tu teraz, gdybym nie wiedział, że to rola akurat dla ciebie. Ta postać jest zupełnie taka jak ty. Patrzą na ciebie i widzę Eloise Martin. Serial pójdzie pod tytułem „Manhattan”. Nie byle jaki serial, wspaniały, niegłupi, kosztowny. Coś, co naprawdę zaznaczy się w amerykańskim przemyśle telewizyjnym jak żaden serial dotychczas. I wiem, że jesteś wprost stworzona do tej roli.

Mogłem zadzwonić do twojego agenta, zamiast zaprosić cię tu dzisiaj. Mogłem pomachać przed nim i kontraktami, i czekami, ale nie chciałem. Chcę, żebyś polubiła tę kobietę, żebyś zobaczyła ją tak, jak ja ją widzę, ile w niej jest z ciebie... Potem będziemy mogli omówić całą resztę. Rozumiem twoją wierność zasadom, możesz mi wierzyć, że rozumiem... ale też patrzę i wiem, co ta rola mogłaby oznaczać dla ciebie. Dla twojej kariery. Za rok od dzisiaj

mogłabyś stać się sławna w całych Stanach. Trudno to pojąć teraz, ale nie wątpię, że ten serial zrobi furorę. W ostatnich latach

zbyt często się nie myliłem, odstukać w nie malowane drewno.

— Stuknął w stolik i uśmiechnął się do niej. — Na pewno nie myślę się tym razem. Przeczytaj scenariusz. To byłoby ukoronowanie twojej kariery, Sabino, jak najbardziej zasłużone.

Mówił wyraźnie z pełnym przekonaniem, ale Sabina nie dała się przekonać.

— A jeśli będzie fiasko?

— Nie będzie, a choćby nawet, to nie żałobniejsze niż twój ostatni film. Więc co z tego?

Zawsze jesteś tą, która przetrwa i pójdzie dalej przed siebie. Jak my wszyscy. Ale fiaska nie będzie, Sabino. Będzie zawrotny sukces w całych Stanach. To serial dramatyczny, mocny i błyskotliwy. Nie przesłodzony ani nie błazeński. Co tydzień sześćdziesiąt milionów ludzi będzie patrzeć na ciebie, Sabino. Patrzeć, zjadać cię oczami. Twoje życie się zmieni. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jak tu siedzę.

Był tak niezłomnie pewny siebie i swojej racji, że przez chwilę korciło Sabinę, aby się zgodzić, przeczytać ten scenariusz nie zobowiązująco, sprawdzić, czy rzeczywiście jest taki nadzwyczajny.

Do diabła, przecież i tak nie mam co robić poza opalaniem się na tarasie, zjeżdżaniem na dół do basenu i czekaniem na dzwonek telefonu! Ostatecznie nie zaszkodzi przeczytać. Myśląc o tym nagle się uśmiechnęła. Spojrzała na Mela Wechslera i roześmiała się głośno.

— Nic dziwnego, Mel, że tyle zarabiasz. Jesteś szatańskim akwizytorem.

— W tej sprawie nawet nie muszę być. Zrozumiesz mnie, kiedy przeczytasz scenariusz. „Manhattan” to od początku do końca ty.

— Pracujesz nad projektem całości.

Teraz on się roześmiał.

— Nie bardzo mi pochlebiasz, moja droga. Nawet telewizja nie jest tak okrutna. Nie, nie pracuję nad projektem. — Był niezadowolony, nikt od niego żadnych projektów nie wymagał. — Zaczniemy trzygodzinnym odcinkiem specjalnym w pierwszy wieczór, a potem co tydzień będzie odcinek sześćdziesięciminutowy. Chcemy serial wprowadzić z wielkim szumem.

— Mogłabym to przeczytać. Ale nie chcę cię zwodzić, Mel. Na wiarę w telewizję na pewno nie dam się nawrócić.

— Dobrze — sięgnął pod krzesło i wyciągnął scenariusz trzygodzinnego odcinka specjalnego. — To wystarczy. Będę ci wdzięczny, jeżeli tylko przeczytasz. — Wdzięczny!... Cóż za wspaniałe dobór słów, tak bardzo w stylu Mela. Wdzięczny. On jest wdzięczny, a ona ma szalone szczęście. I oboje o tym wiedzą. — No i jestem ciekaw, co o tym powiesz. Bóg świadkiem, ty i ja czytaliśmy dość scenariuszy, by już znać się na nich.

Uznał ją za koleżankę po fachu, oczywiście nieprzypadkowo. Nagle zdała sobie sprawę, że jest bardzo zręczny. Doprawdy ten człowiek to geniusz zarówno w postępowaniu z ludźmi, jak i w swojej dziedzinie. I bardzo miły był ten obiad. Więc można się spodziewać, że on znów zadzwoni, myślała. W każdym razie jeżeli przeczytam scenariusz, będę miała pretekst, żeby zadzwonić do niego.

— Nie powinienem cię kusić i chyba ciebie takie rzeczy nie obchodzą, ale kostiumy zrobi nam François Brac. W Paryżu. Przyjęcie roli Eloise Martin łączy się z wyjazdem na miesiąc do Paryża, przymierzaniem kreacji w jego domu mody. I wszystkie potem przejdą na własność aktorki.

Wbrew sobie Sabina poczuła, że oczy jej się zaświeciły. Jakże diabelnie nęcąca propozycja, już pomijając pieniądze, wysokość gazy! To by rozwiązało jej problemy na długi czas. Może nawet na zawsze.

— Nie kuś zanadto, Mei. — Parsknęła swym zmysłowym śmiechem, a jego przebiegły dziwne lekkie dreszcze. Bo był blisko postawienia na swoim, namówienia jej, by przyjęła tę

rolę. A także po prostu był blisko niej. To kobieta wymarzona do tego serialu i ogromnie podniecająca. Dawniej wyczuwał w niej iskrę, teraz wyczuł znowu. Ale stop... musiał sobie przypomnieć, że przecież chce ją mieć w serialu, a nie dla siebie.

— Mogą być jeszcze pokusy o wiele większe, Sabino. Najpierw jednak przeczytaj scenariusz.

— Już się z nią przekomarzał. W tej grze ona celowała.

— A ja myślałam, że nagle odkryłeś, że jestem jedyną miłością twojego życia, i tylko dlatego zaprosiłeś mnie na obiad.

Żartowała, ale spojrzenie jej było pieszczotą. Aż dech mu zapało i dość długo nie mógł odpowiedzieć.

— Przyjemnie mi znów z tobą rozmawiać, Sabino — rzekł w końcu cicho i wiedziała, że to nie jest czczy frazes. Mnie też przyjemnie, pomyślała, i pal licho scenariusz i to, czy się złamię, czy nie złamię, jeśli chodzi o telewizję. To na razie nieważne. Naprawdę. — Zadzwoń do mnie, kiedy już przeczytasz.

— Zadzwonię.

Podał jej numer swego domowego telefonu, a potem poprosił kelnera o rachunek. Żałowała, że obiad się skończył. Tak miło być w towarzystwie Mela!

— Aha, kogo masz w obsadzie tego serialu?

— Nikogo. — Popatrzył jej prosto w oczy. — Zaczynam od najważniejszej roli. Ją przede wszystkim muszą obsadzić, zanim zabiorę się do innych. Ale kilka osób wytypowałem. Zack Taylor by się nadawał i myślę, że główna rola męska mu się spodoba. On także jest teraz wolny. Wyjechał do Grecji, pomówię z nim, kiedy wróci.

Na twarzy Sabiny nie malowała się dezaprobata. Zack Taylor był jednym z najprzystojniejszych aktorów amerykańskich i miał dobre referencje. Grał wszędzie — w filmach, w telewizji, w teatrze. Odnosił nawet spory sukces na Broadwayu przed kilku laty. Na pewno byłby mocnym partnerem dla aktorki, która zagra rolę Eloise Martin. To przemówiło do Sabiny.

Ty niczego nie robisz połowicznie, prawda, Mel?

— Niczego.

Uśmiechnął się, wstał i spośród stolików wyprowadził ją na chodnik North Canon Drive. Niedaleko wabiły wzrok wystawy sklepowe dla dzieci, ale on już na takie wystawy nie patrzył. Nie potrzebował. Teraz patrzył na Sabinę.

— Cieszę się z naszego spotkania... ale tylko dlatego, że... — Miała w ręce scenariusz, on niósł swoją teraz pustą teczkę. Jego samochód stał przy krawężniku. Mercedes 600 z kierowcą, który pracował u niego od lat. Model 600 to drogi samochód, nobliwy i dyskretny, tak jak sam Md. I ma styl, też tak jak Mel. — Zadzwoń do mnie, Sabino. Na długą chwilę jej zielone oczy zatrzymały jego spojrzenie.

Uśmiechnęła się, zapominając o scenariuszu, w ogóle zapominając o serialu „Manhattan”.

Widziała tylko Mela. Był taki atrakcyjny, był kimś, kogo chciałyby poznać bliżej.

— Zadzwonię... — I zacisnęła palce na scenariuszu.

Zaproponował, że ją odwiezie, a podziękowała z uśmiechem

wzbudzającym pożądanie. Coś w niej zaczęło go szalenie drażnić

— zmysłowość połączona z chłodną powściągliwością, diabli wiedzą

— coś co sprawiało, że zerwałby z niej tę bluzkę i spódnicę, by

zobaczyć, jak wygląda nago. Domyślał się, że wyglądałaby aż za

dobrze. Ale choćby nawet wyglądała źle, też by jej pożądał.

Sabina idąc z powrotem w stronę Rodeo Drive pomachała mu ręką. Patrzył na nią z samochodu odjeżdżającego od krawężnika i skręcającego zbyt prędko za róg ulicy, który mu ją zasłonił. Ale myśl o niej prześladowała go przez całe popołudnie i już nie był pewny,

dlaczego mu na niej zależy. Czy chce ją do swojego nowego serialu, czy dla siebie, czy jedno i drugie. Wiedział tylko, że nie może przestać o niej myśleć.

### ROZDZIAŁ III

Warwick odbył rozmowy w sprawie pracy w to popołudnie, gdy Sabina szła z powrotem na Beyerly Wilshire do swego samochodu, żeby pojechać do domu i popływać w basenie przed lekturą scenariusza „Manhattan”. W przeciwieństwie do Sabiny i Mela nie był ani przyjemnie podniecony, ani w dobrym nastroju i bynajmniej nie czuł się tak, jakby życie miało dla niego w prezencie może rolę, może romans. Żadne romanse nie były mu w głowie. A co do roli, to chciał tylko dostać pracę. Został na łodzi z ośmiuset dolarami w kopercie w szufladzie biurka, z psem, który jadł o wiele za dużo, i z żoną nie pracującą prawie od roku, chociaż rok temu, gdy się pobrali, miała dobrą rolę w serialu. Tylko że ją zwolniono w sześć tygodni po ich ślubie, a ona nawet nie starała się znowu gdzieś zacząć. W dzień i w nocy siedziała na tyłku i spała. Nie kochali się ze sobą już od dwóch miesięcy i tak schudła, że wyglądała jak zagłodzona. Zaczęła przed laty od tabletek odchudzających, potem przeszła na środki pobudzające i morfinę, potem na środki uspokajające i heroinę i w końcu na kokainę, a ostatnio połączenie heroiny z kokainą utrzymuje ją na wysokich obrotach i nadaje jej pozory istoty myślącej logicznie — ale tylko pozory. Narkomanka. Wątpił, czy kiedykolwiek z tego wyjdzie.

Rozluźnił krawat i już był gotów czekać na autobus. Jego samochód, poobijanego volkswagena, musieli sprzedać i jeśli wkrótce nie zapłacą czynszu, znajdą się na bruku, co poniekąd mogłoby przynieść ulgę. Bo może taki wstrząs sprawi, że Sandy się opamięta. Ma dwadzieścia pięć lat, a życie z niej ulatuje. Była cholernie śliczna wtedy, gdy się poznali. Te jej długie czarne włosy i wielkie piwne oczy, oczy szczeniaka! Była jak mała dziewczynka. Nawet teraz trochę się rozczulił na wspomnienie ich pierwszego spotkania w czasie jednej z hollywoodzkich zabaw. Wydała mu się zabłąkanym tam dzieckiem i serce mu od razu stopniało. Taka bezradna, taka bezbronna wobec wilków, których pełno w tej branży. Niestety, nadal bezbronna, wciąż szuka ucieczki od presji życia, coraz głębiej popada w nałóg i wymaga, żeby on rozwiązywał wszystkie ich problemy. I co gorsza, żeby zarabiał dosyć na jej narkotyki.

— Czego ty wymagasz ode mnie? Mam być klonem ulicznym, do cholery jasnej? Przypomniał sobie, że rano się pokłócili. Aż mu mdło od tych kłótni. Kłóć się i kłóć i może jednak jego rodzice mają rację i rzeczywiście aktorstwo to zawód dla dzieci, kretynów i ludzi całkowicie nie zrównoważonych. Saridy na pewno nie jest opoką, a jemu wyraźnie czegoś brak, jeśli chodzi o równowagę. Ale jego pokazowa szpula z fragmentami reklamówek i widowisk telewizyjnych, w których grał, obiegała już wszystkie wytwórnie, wszystkich producentów i reżyserów, wszystkie agencje reklamowe w Hollywood i nic. Dziś po południu nawet wrzasnęła na swojego agenta. Bo agent chciał go wpakować do „Zabawy w swatanie”. Wystarczyło, żeby wybuchnął.

— Niech cię diabli! Przecież jestem zonaty!

— Ale czy ktoś wie o tym? Oboje robicie z tego taki sekret. Nikt nie wie. Myślisz zresztą, że to kogokolwiek obchodzi?

— Mnie obchodzi.

Tylko pytanie, czy to obchodzi Sandy? Bodaj na tyle, żeby posprzątała? Coraz częściej Bill się zastanawiał. Najwyraźniej Sandy nie dba o nic z wyjątkiem swego źródła narkotyków. Szybko wydała wszystkie pieniądze, jakie dostała za serial, a teraz na kokainę idzie każda

dziesięciocentówka z jej zasilku. Wspaniałe życie. I Harry ma rację — o ich małżeństwie nie wie nikt, bo agent Sandy uznał, że to by kolidowało z jej renomą pierwszej naiwnej.

Kolidowałyby też ślady zastrzyków na jej ręce, gdyby ktoś je zobaczył.

Autobus dał na siebie czekać jak zwykle czterdzieści minut. Wreszcie jadąc Bill jednak stwierdził, że nie chce widzieć Sandy. Że

nie znieś widoku rozbebeszonego łóżka, pustej lodówki, resztek wczorajszej kolacji na kuchennym stole. Ostatnio nie cierpiał wracać do domu. Nawet jego pies sprawiał wrażenie nieszczęśliwego. A on czuł się tak zakichanie winny! To było najgorsze. Wciąż myślał, że gdyby mu się powiodło, mógłby umieścić Sandy w jakimś luksusowym szpitalu, gdzie by ją wyleczono. Ale na razie nie może. Ma trzydzieści dwa lata, żonę narkomankę i po dziurki w nosie bytowania w charakterze bezrobotnego aktora. Od miesięcy stawiał się na każdą rozmowę, gotów przyjąć jakąkolwiek rolę, i co? Jakoś nigdzie go nie chcieli. Na początku roku zagrał w dwóch reklamówkach, dużych, dzięki Bogu, ale te pieniądze przecież się wyczerpują. Jeszcze trochę i trzeba będzie znów pożyczać od agenta. Harry pod tym względem to równy chłop, chociaż taki wariat. Właśnie Harry raz po raz powtarza, że on zrobi kiedyś wielką karierę. Tylko kiedy? Boże, potrzebuję pracy. Desperacko. Słowo rzeczywiście trafne. Bill Warwick uważał się za desperata.

Siedział w autobusie, patrzył na ruch uliczny i nagle, mając jeszcze milę do domu w Beyerly Hills, zdecydował się wysiąść, wypić u Mike'a jedno szybkie piwo. W Barze Mike'a bywał od czternastu lat, to znaczy odkąd przyjechał z Nowego Jorku do Los Angeles, żeby studiować na Uniwersytecie Kalifornijskim, pełen promiennych nadziei. Wtedy był pewny, że zrobi karierę. Szkoda, że i tej pewności od dawna już nie ma. Tylko Harry, jeden jedyny pod słońcem, nie przestaje w niego wierzyć.

Mrużąc oczy Bill wszedł do Baru Mike'a. Tutaj zawsze było tak samo: ciemno, brudno, smrodliwie od piwa i mnóstwo bezrobotnych aktorów. Niejeden tu pracował jako kelner czy barman, tak jak obsługujący teraz gości przy kontuarze Adam, którego Bill znał. Studiowali razem i chcąc nie chcąc przyjaźnili się przez wiele lat. Adam znał Sandy, ale przelotnie.

Czterech przystojnych młodych mężczyzn w dżinsach i trumniakach bez czubków grało w bilard, inni siedzieli przy stolikach i wszyscy rozmawiali o rolach, o których słyszeli czy o które się ubiegają, czy też które szczęśliwie dostali. Gdzieniedzie widziało się kobiety, na ogół jednak ten lokal zapełniali mężczyźni.

Bill usiadł przy kontuarze, poprosił Adama o piwo i opowiedział mu, jakiego miał pecha w staraniach kolejno o trzy role w filmach

telewizyjnych. Prostował swe długie nogi, przeciągał się, barczysty w garniturze khaki. Czuł się tak, jakby daremnie przewędrował niezliczone mile.

— Pierwszy z nich uważał, że wyglądam za młodo, drugi, że za zmysłowo, trzeci pytał, czy nie jestem w bok. Straszne. Zaczynam wyglądać jak pedał z buźką chłopaczka i bzikem na punkcie seksu.

Adam śmiał się. Sam tylko raz dostał małą rolę w jednym odcinku serialu, a potem na próżno czekał, żeby w myśl obietnicy znów go wezwano. Nie był tak ambitny jak Bill Warwick, więc raczej wystarczała mu do szczęścia praca u Mike'a. Znał jednak doskonale problemy branży.

— A znów Harry chciał mnie zrobić w „Zabawę w swatanie”. Już mi się zdaje, że mój staruszek ma rację, powinienem był pójść do pracy w ubezpieczeniach. — Bill przewrócił oczami na tę myśl.

Adam postawił przed nim piwo.

— Trzymaj się, bracie. Największa rola twojego życia może jest tuż za rogiem.

— Wiesz — Bill pociągnął łyk piwa i zaczął snuć rozważania

— naprawdę się zastanawiam. To jest trochę tak jak z automatem do gry. Może niektórzy ludzie nigdy nie wygrywają? Może ja jestem jednym z nich? Po prostu czuję, że tutaj już nic mi się nie trafi.

— Pleciesz. — Barman był w dobrym humorze.

Bill siedział wyczerpany i przygnębiony zarówno upałem, jak odprawami. Pamiętał letnie miesiące w dzieciństwie na Cape Cod i nie mógł przyzwyczać się do kalifornijskiego lata. Sandy, urodzona w Los Angeles, kochała upał. Co nie znaczy, żeby jeszcze czuła, że jest gorąco. Ona nic nie czuje.

— Co z Sandy? — zapytał Adam, jak gdyby czytał w myślach Billa. Ale natychmiast ugryzł się w język. Wiedział, że to nie jest pokrzepiający temat.

Bill wzruszył ramionami, bardzo już przygnębiony.

— Dobrze... tak samo chyba... — Pośepnie napotkał wzrok Adama. — Myślę, że oboje się kończymy.

— Metadon?

Adam wiedział, że Sandy od pewnego czasu próbuje heroiny. Dosić się na to napatrzył, więc rozpoznawał objawy. A ostatnio

częstowała go kokainą, gdy przyszła do baru z Billem, który tak się tym zdenerwował, że od razu wyszli. Adam wiedział też, jak bardzo Bill martwi się jej nałogiem, i współczuł mu. Sam kiedyś był w podobnej sytuacji. Kilka lat temu pokochał pewną dziewczynę z Newport Beach. Po roku z niej zrezygnował. Rodzice wozili ją do szpitali i sanatoriów w całym stanie, a ona ostatecznie przedawkowała i umarła w jakimś nędznym hotelu w Wenecji.

— Nie wiem. Proponowałem już wszystko. Nie chciała słuchać. Zależy jej tylko na trwaniu w tym. Nawt nie chodzi na rozmowy czy próbne zdjęcia. Zresztą i tak to bezcelowe. Na ostatniej próbie zasnęła. Budujące dla reżysera.

— Popsuje sobie reputację, jeżeli nie będzie ostrożna. — Adam spoważniał, wiedział, że Sandy już sobie reputację popsowała.

Odszedł, by kogoś obsłużyć, a Bill siedział zamyślony. W końcu zamówił hamburgera. Dochodziła ósma, gdy wsiadł znowu do autobusu.

W dwadzieścia minut potem wszedł do domu. Spodziewał się, że Sandy albo śpi po zastrzyku z heroiny, albo jeśli dostała ze swego źródła kokainę, powita go ożywiona, napompowana jak balon. Ale Sandy nie było. Został tylko zwykły bałagan wszędzie: łóżko nie zasłane, naczynia nie pozmywane, garderoba jej i jego skłębiona na podłodze. Pies bernardyn rozszalał się z radości na widok pana.

— Cześć, stary... Gdzie Sandy?

Pies merdał ogonem, szturchał Billa w łydki swoim wielkim łbem, spragniony serdeczności. Sandy oczywiście nie zostawiła kartki z wyjaśnieniem, dokąd poszła, ale Bill domyślił się bez trudu, że albo z przyjaciółmi, albo sama wybrała się na poszukiwanie narkotyku czy też na spotkanie ze swoim dostawcą. Takie było ostatnio jej pełnoetatowe zajęcie, bardziej czasochłonne niż aktorstwo.

Bill popatrzył na fotografię ich obojga zrobioną przed ślubem i uderzyło go, jak bardzo Sandy się zmieniła. Ubyło jej co najmniej piętnaście funtów, jeżeli nie dwadzieścia, czy teraz ma prawie wciąż szkliste. I zawsze potargana, ubrana byle jak. Albo odurzona, albo spragniona narkotyku, zbyt chora, żeby dbać o swój wygląd. Żałosne. Poczł przyplływ dobrze znanego gniewu. Zaczł sprzątać, pies człapał za nim krok w krok, merdając ogonem, mając nadzieję, że dostanie jeść, ale nawet jedzenia dla psa nie było w tym domu. Bill tylko zajrzał do pustej szafki, gdzie zwykle trzymali psią żywność, a potem otworzył dwie puszkę wołowiny i napełnił ich zawartością miskę. Ogromny bernardyn spałaszował wołowinę z ukontentowaniem, a on tymczasem spiętrzył brudne talerze w zlewie, wyrzucił psujące się resztki, które Sandy po prostu zostawiała w kuchni.



— Szlag by to... — mruknął pod nosem, ale już z mniejszym gniewem i przeszedł do sypialni bardziej przygnębiony niż rozgniewany. Nieszczęsne takie życie. Nawet znienawidził ten dom tak kiedyś ukochany.

Był to domek ogrodnika w dużej — swego czasu — posiadłości, wynajmowany oddzielnie za sto dolarów miesięcznie. Niezgodnie z prawem właściciel wynajął Billowi ten domek, bo lubił go i wiedział, że jest głodującym aktorem. Bill mieszkał tu od trzech lat i po ślubie miała to być idealna siedziba dla nich dwojga. Ale nieskazitelny ład panujący w domku, zanim Sandy się wprowadziła, szybko się przeobraził w okropny nieład.

Jako tako posprzątał w sypialni i nawet zmienił prześcieradła, po czym usiadł przy biurku, otworzył szufladę i zaczął szukać koperty z pieniędzmi, bo przyszło mu na myśl, że lepiej się upewnić, czy te pieniądze jeszcze są. Osiemset dolarów, cała jego gotówka. I przecież nie mówił Sandy, gdzie je chowa, żeby nie miała pokusy, a jednak je znalazła. Koperta była, pieniędzy nie było.

Ze łzami w oczach wstał i powoli przeszedł do łazienki. I niech diabli... To co zobaczył w łazience, przyprawilo go o mdłości. Widywał to przedtem, ale teraz poczuł jeszcze większe obrzydzenie. Sandy zostawiła na parapecie przy sedesie strzykawkę i watę. Wcale się z tym nie kryje. Proszę, wszyscy mogą widzieć. Rekwizyty jej nałogu. Bliski płaczu, stał patrząc na tę igłę, wiedząc, na co poszły jego pieniądze. To już nie do zniesienia. Wydała wszystko, co miał, i kto mu teraz pomoże? Do ojca nie zwróciłby się w żadnym razie, nie prosiłby, jest dorosłym, trzydziestodwuletnim mężczyzną. Raczej odkręci gaz albo weźmie pracę u Mike'a. Wielu aktorów już tam pracowało, więc czemuż by nie? Jeszcze dzisiaj, pomyślał, zadzwonię do Adama, zapytam, czy nie potrzeba im barmana, kelnera...

W tej samej chwili rozdzwijał się telefon. Dzwoniła Sandy, wyraźnie odurzona. Bill nie chciał z nią rozmawiać.

— Cześć, kotku... — Bujała gdzieś w obłokach, a on aż za dobrze pamiętał tę igłę w łazience.

— Nie chcę z tobą rozmawiać teraz.

Dobrze przynajmniej, że nie wróciła do domu. Chybaby ją zabił w tej chwili. Nie zapytał, gdzie ona jest i z kim. To go już nie obchodziło. To już nie miało znaczenia. Obrzydliwość. Brzydził się nią i jej przyjaciółmi, i tym wszystkim, co sobą przedstawiali. Widywał narkotyki przedtem, mnóstwo narkotyków, i swego czasu w Los Angeles palił dosyć marihuany, żeby pobłażać cudzym eksperymentom dla rozrywki. Ale to, co robiła Sandy, nie było rozrywką. To było samobójstwem i nie chciał spaść na dno za nią. Widział tylko jedno wyjście. Bo chyba w żaden sposób nie da się jej ocalić.

— Czego chcesz? — zapytał szorstko. Czuł teraz nienawiść daremną, bo nie mającą dostępu do niej w tej nieprzeniknionej mgławicy. — Pieniądzy już nie ma, więc chyba nie po pieniądze dzwonisz. Ostatnie grosze wstrzyknęłaś sobie w rękę, o ile się orientuję. I jak sobie wyobrażasz, za co będziemy jedli? Chociaż pewnie nic sobie nie wyobrażasz, bo ostatnio jedzenia nie stawiasz na pierwszym miejscu, ale Bernie i ja jesteśmy tacy pomyleni, że jednak musimy jeść i...

— Bill... uch... potrzebuję..., żebyś mi pomógł.

Tak mamrotała naćpana, że od jej głosu robiło mu się niedobrze. Wzdrygał się przed wszystkim, co było nią. Teraz. I chyba tak będzie już na zawsze.

— Dzwon do kogoś innego. Ja odpadam.

— Bill... nie... zaczekaj... — W tym zabrzmiał strach i Bill po części się przejął, ale świadomie przejąć się nie chciał. — Złapali mnie.

Nagle usłyszał głos małej dziewczynki. Ciężko usiadł.

— Do diabła. Gdzie jesteś?

— W areszcie.

— Wspaniale. I co będzie? Czy nie pojmujesz, że dzięki tobie nie mam nawet na kaucję?

— Nie możesz wziąć... uhm... od kogoś? — Z wyraźnym trudem usiłowała się skoncentrować.

Westchnął. Zdarzyło jej się to już dwa razy, z czego raz przedawkowała. Musiał wtedy sam wezwać policję, przysłano policyjnych sanitariuszy, którzy utrzymywali ją przy życiu w drodze do szpitala. Cudem z tego wyszła.

— Pod jakim zarzutem? — Oczywiście to, co zwykle, pomyślał. Posiadanie.

— Posiadanie z zamiarem sprzedania i... uhm... nie wiem... jeszcze coś... Rozpląkała się. — Nie możesz mnie stąd wydostać? Ja się boję.

— O rany — mruknął i sięgnął po papierosa. Rzucił palenie przed pięciu laty, ale ostatnio przez nią znów zaczął palić. Napięcie życia z nią stało się tak nieznośne. Nieraz się zastanawiał, czy przetrwa. To i brak pracy, i brak pieniędzy. — Może więzienie dobrze by ci zrobiło. — Ale wiedział, że łąda chwila ktoś mógłby ją rozpoznać i zadzwonić do gazet. „Gwiazda filmu Niedzielna kolacja aresztowana za posiadanie kokajny” czy co tam miała. Zjadą się fotoreporterzy, zaczną ją fotografować. Nie chciał narażać jej na to, siebie też nie, bo przecież któryś mógłby zwęszyć, że Są małżeństwem. Ona go kompromituje, Harry słusznie się obawia...

Bill... muszę już iść...

Usłyszał jakieś głosy, gdy odkładała słuchawkę, szorstkie głosy policjantów, i nagle do niego dotarło, gdzie Sandy jest i co ją czeka. Tego nie mógł zdzierżyć. Zawsze taka cholernie bezradna, a ja wciąż tylko muszę ją ratować i naprawdę bokiem mi to już wyłazi... Ale nie mam wyboru. Zaciągnął się dymem papierosa i zadzwonił do swojego agenta.

— Jak się czujesz o tej późnej porze? — zapytał agent zdumiony

— ale nie za bardzo — dopadaniem go telefonicznie w domu. Wielu aktorów dzwoniło tak do niego i rzeczywiście nie miał nic przeciwko temu.

— Jak gnojek. Słuchaj, Harry, przepraszam za ten telefon, ale coś się stało... Czy możesz mi pożyczyć trochę pieniędzy?

Nastąpiła cisza zaskoczenia, krótka, jednak agent miał szybki refleks. Pokładał w Billu bezgraniczną ufność i zrobiliby dla niego wszystko. Nie wątpił, że kiedyś Bill mu się odwdzięczy.

— Jasne, że mogę, chłopcze. Ile?

Bill omal nie jęknął. Zapomniał zapytać Sandy o wysokość kaucji, ale nie mogła być to duża suma.

— Powiedzmy, pięćset dolarów na wszelki wypadek.

— Na wszelki wypadek? Chyba Sandy nie nabałaganiała znowu?

Agent wiedział sporo o Sandy i nie lubił jej. Uważał, że Billowi Warwickowi niepotrzebne takie obciążenie. Nikomu zresztą. Sandy to fatalny numer. Coraz fatalniejszy, sądząc z tego, co się słyszy. Jak klątwa w Hollywood. Bill od miesięcy jest wyraźnie nieszczęśliwy. Łatwo zrozumieć dlaczego.

Ale Bill nie był w nastroju do zwierzeń, a już najmniej chętnie zwierzyłby się swemu agentowi.

— Nie, z nią wszystko w porządku. To cholerne psisko, weterynarz musiał zrobić operację i po prostu zabrakło mi pieniędzy.

— Dobrze..., oczywiście..., bez kłopotu. Przyjdź jutro do biura.

— Nie mógłbym przyjść do ciebie dzisiaj?

Po tonie jego głosu Harry poznał, że chodzi o Sandy, ale dyskusja z Billem nic by nie dała. Nieraz o tym rozmawiali i Bill tylko wygłaszał głupie szlachetne maksymy o swoich obowiązkach wobec żony. Zresztą nadał jest w niej poniekąd zakochany, chociaż ta Sandy, w której się zakochał od pierwszego wejrzenia, już nie istnieje. Harry jednak od lat wiedział, że z klientami lepiej nie dyskutować o ich kobietach.

— Dobrze, dobrze, człowieku. Trochę pieniędzy mam w domu. Przyjdź, kiedy chcesz.

Bill odetchnął z ulgą i zdusił niedopałek papierosa. Spojrzał na zegarek.

— Będę u ciebie za godzinę!

Trudno grać rycerza w połyskliwej zbroi, gdy chcąc dokądkolwiek dojechać, zależy się od transportu publicznego, zwłaszcza w Los Angeles. Ale wyszedł z domu od razu i ulicą biegnącą w dół zboczem wzgórza pomaszzerował na przystanek autobusowy. W niecałą godzinę dotarł do domu Harry'ego na skraju Beyerly Hill i w pół godziny Później był już w hollywoodzkim komisariacie policji na North Wilcox, gdzie się dowiedział, że Sandy została aresztowana razem z dwoma czarnymi mężczyznami i jedną dziewczyną za posiadanie nielegalnego towaru i zamiar sprzedania go oraz — tak jak ta druga dziewczyna — za prostytutkę. Z ustami zbielełymi, oszołomiony, wyłożył pożyczone pieniądze na kaucję. Sandy przerażona i chora podeszła do niego tak chwiejnie, że musiał ją podtrzymać.

Nic do niej nie mówiąc wyszedł z nią na ulicę i przywołał taksówkę. W taksówce cała rozdygotana rozplakała się. Była w stanie ciężkiego odurzenia, wyglądała brudno i nędznie. Teraz widział ją rzeczywistą, chorą, załamana i zdegenerowaną, niechlujną, ale najbardziej bolało go to, że jego żonę aresztowano za prostytutkę. Jest gotowa zrobić dla narkotyków wszystko: okraść go, sprzedać się obcemu mężczyźnie.

Milczał, gdy weszli, ona za nim, do domu. Pies powitał ich w podskokach. Osunęła się na kanapę, a on poszedł do łazienki, żeby przygotować dla niej kąpiel. Wziął strzykawkę, to paskudztwo, i wyrzucił do kosza ze śmieciami. W koszyku rozdeptał nogą. Odkręcił kran i wyszedł z łazienki.

— Wykąp się — polecił, jakby chciał, żeby zmyła z siebie ten brud, ale oboje wiedzieli, że przecież by nie mogła. Zastanowił się, jak często to robiła przedtem, jak często sypiała z nim po przespaniu się z jakimś facetem dla dodatkowych pieniędzy na narkotyki. I nie po raz pierwszy w ten wieczór poczuł piekące w oczach łzy, gdy popatrzył na nią. Bo zdrzemnęła się na kanapie i wyglądała bardziej niż kiedykolwiek jak znękanе dziecko. Sam ten widok bolał. Dziwne, że nikt nie zadzwonił do prasy, zanim wyszli z komisariatu. Przynajmniej to zostało im oszczędzone, chociaż nazajutrz na czwartej stronie „Los Angeles Times” widniał nagłówek: SANDY WATERS ARESZTOWANA ZA NARKOMANIĘ. Poniżej wymieniono wszystkie zarzuty i Bill się skręcał czytając tę gazetę przy porannej kawie, ostatniej z resztek ich zapasów. Już zatelefonował do Adama i załatwił sobie pracę w Barze Mike'a. Piekielnie szczęśliwie dla niego właśnie szukano kelnera na miejsce kogoś, kto w ubiegłym tygodniu dostał rolę w filmie. A więc będzie miał co jeść i niech diabli porwą na razie filmowe przesłuchania. Tak czy owak, nie byłby w nastroju do przesłuchań.

Sandy, blada i wątła, stała w drzwiach kuchni, gdy czytał gazetę. Wyglądała na śmiertelnie chorą i byłoby mu jej żal, gdyby nie czuł do niej takiego obrzydzenia po wczorajszym wieczorze. Stanowczo miał dosyć tego wszystkiego. Skończone.

— Piszą coś? — Podeszła rozdygotana do kuchennego stołu i usiadła. Nieuleczalnie chora dwunastoletnia dziewczynka. Taka chuda i blada, i te piękne oczy, twarz jak kamea, długie czarne włosy takie splątane i skołtunione, opadające na ramiona jak wdowi welon. Smutek był w jej wzroku, gdy nie patrząc w oczy mężczyźnie, który ją poślubił, szepnęła: — Bill, przykro mi.

— Mnie także. I odpowiem na twoje pytanie: owszem, piszą. Podali w gazecie dokładnie, o co jesteś oskarżona.

Pominięty został tylko jeden szczegół — że Sandy jest żoną Billa. o tym nie wiedziano.

— Boże, Tony mnie zabije.

Tony, jej agent. Bill podniósł na nią wzrok z niedowierzaniem. Czy ona żartuje? Aresztowana między innymi za prostytutkę, więc To n y ją zabije! A co ja? Co z naszymi przysięgami małżeńskimi? Nic jednak nie powiedział. Zapalił papierosa i dalej czytał gazetę. Niecierpliwiał

się, żeby wyjść, już stąd wyjść, do diabła, ale chciał załatwić z nią pewne sprawy, a czas na to miał tylko teraz.

— Co zrobisz? — Zmusił się i spojrzał jej w oczy, chociaż to bolało.

— Wezmę adwokata.., chyba. — Wzruszyła ramionami, strząsając z nich splątane włosy.

— Rzeczywiście? Za co? Czy twój nowy zawód pozwoli ci na taki wydatek? — Wyrażnie się wzdrygnęła, gdy padły te raniące słowa, ale tym razem nie poczuł litości. — Myślę, że zanim cokolwiek zrobisz, powinnaś pójść do szpitala.

— Sama się wyleczę.

Słyszał to nieraz. I nie chciał słyszeć więcej.

— Bzdura. Nikt nie zdoła sam. Pomoc jest konieczna. Więc zgłoś się do jakiegoś szpitala, gdzie cię przyjmą. — Nie mógł jej po prostu do szpitala oddać. Powinna zgłosić się dobrowolnie, inaczej by jej nie przyjęto. Omawiał to z nią setki, tysiące razy bez skutku.

— Co z nami? — spojrzała na niego pytająco, a on odwrócił wzrok na krótką chwilę udreki.

— Odnoszę wrażenie, że masz mnie już troszeczkę dosyć.

TroszeczkęL.. Ta wieczna pierwsza naiwna, w wieku dwudziestu Pięciu lat nadal niewiniątko.

— Jak ty byś się czuła na moim miejscu po tym wszystkim?

— Myślisz o aresztowaniu? — Taka bezradna, wątła, aż musiał walczyć ze sobą, żeby mu znów nie było jej żal.

— Myślę o tym, o co jesteś oskarżona, Sandy. Czy może zapomniałaś?

Zobaczył, jak ona się skręca na krześle, ale też zrozumiał, że to nie tylko w poczuciu winy. Prawdopodobnie już potrzebny jej narkotyk. Ostatnio, jak wiedział, od narkotyku zaczynała dzień.

— Nieważne... wiesz o tym. Po prostu brakowało mi pieniędzy... po prostu.

— Pewnie trudno ci to pojąć, ale mnie też brakowało. Jednak nie skoczyłem na Sunset Strip, żeby sprzedać tyłek pierwszemu facetowi, który się nawinie. Niezupełnie tak wyobrażałem sobie nasze małżeństwo.

Nagle rozgniewał się na nią. Poczucie krzywdy, wściekłość znów zaczęły w nim krążyć.

Zawsze dotąd uważał ją za niewinne dziecko, dziecko ze strasznym nałogiem. Ale to jest coś znacznie gorszego, to jest życie oparte na manii prześladowczej.

— Przepraszam cię... — Te słowa były prawie tak słyszalne w cichej kuchni, jak oddech psa dyszącego na swoim posłaniu w kącie.

— Przepraszam za wszystko.

Wstała nerwowo, jak gdyby znalazła się raptem twarzą w twarz z nieznanym, jak gdyby całą sobą wyrывała się do wyjścia. To też był znak. Wyraz twarzy złagodniały, mówiący: muszę zaraz... Cokolwiek by twierdziła, to właśnie obróciło ich małżeństwo w ruinę.

— Dokąd idziesz?

— Muszę wyjść.

Ubrana tak jak w poprzedni wieczór, nawet się nie uczesała, nawet nie umyła zębów. Wzięła torebkę i rozejrzała się.

Bill doznał uczucia, że Sandy wychodzi po raz ostatni. Prerażony wstał i patrząc na nią odłożył gazetę.

— Na litość boską, Sandy, wczoraj cię aresztowali. Czy nie przestaniesz?

— Muszę tylko zobaczyć się z kimś na chwilę.

Dwoma szybkimi wielkimi krokami przeszedł przez kuchnię, chwycił ją za przedramię i zatrzymał.

— Nie racz mnie już tym plugastwem. Zabieram cię do szpitala natychmiast. Natychmiast! I do diabła, możesz mnie już nigdy nie widzieć, ale nie będziesz dalej w to brnęła, aż przedawkujesz na amen w jakiejś śmierdzącej melinie albo ktoś zakłuje cię nożem. Słyszysz?

Rozpląkała się. Z żalu i dlatego, że było jej mdło, i z miłości do niego, i z szarpiącego głodu narkotyków. Bill rozpląkał się także. Wziął ją w objęcia, zaczynając szlochać, nie wiedząc, dokąd odeszła ta dziewczyna, którą kochał.

— Tak mi przykro, Billy. Tak mi przykro.

Nikt jeszcze nie spieścił jego imienia, więc teraz to mu rozdarło serce. Rozpaczliwie chciał ją uratować.

— Proszę cię, malutka... Będę przy tobie przez cały dzień... W szpitalu przy tobie. Zrobimy wszystko, co trzeba zrobić.

Tylko potrząsnęła głową, gdy łzy spływały jej po policzkach.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie mam takiej siły — wyszeptała.

Przytulił ją jeszcze mocniej. Była jak szkielecik, ale nie poczuł odrazy. Wiedział w głębi duszy, że nadal ją kocha.

— Tak, nie masz. Ja będę miał siłę za nas oboje.

— Nie możesz. — Powoli się odsunęła. Z policzkami mokrymi od łez swoich i jego, odgarnęła mu włosy znad oczu bladą, drżącą ręką.

— Muszę się zgłosić sama..., kiedy będę gotowa.

— To znaczy kiedy?

— Nie wiem..., nie teraz...

Jak gdyby jakieś szpony ścisnęły mu serce. Jak gdyby patrzył na jej umieranie.

— Ja już nie mogę czekać, Sandy. — Nigdy dotąd w życiu niczego nie było mu tak bardzo żal, ale wiedział, że nie zdoła jej pomóc.

— Wiem..., wiem — przytaknęła.

Wspinając się na palce, pocałowała go w usta. Gdy odwracała się od niego, zauważył, że już nie nosi ślubnej obrączki. Więc obrączkę też sprzedała.

Jeszcze popatrzyła na niego przez chwilę, a pies za plecami Billa skomlał, jak gdyby był echem jego doznań. Po chwili bez słowa wyszła i tym razem jej nie zatrzymał. Zresztą i tak by nie mógł. Już nic nie mógł poradzić. Nic. Otarł łzy z policzków, ale popłynęły nowe, gdy poszedł umyć zęby, wspominając, jak było kiedyś... Jaka Sandy była ładna... jak wariacko byli zakochani... Poznali się zaledwie dwa lata temu, a teraz wydaje się, że całe życie przez ten czas minęło..., całe życie w otchłani piekieł z kobietą, którą kiedyś kochał i kocha nadal, chociaż od dawna jej nie ma. Ta dziewczyna aresztowana wczoraj za prostytutkę to już jakaś obca... po prostu nikt.

#### ROZDZIAŁ IV

Dom w Pasadena był białym długim budynkiem w kształcie litery L, z dachem z gontów i z kominami na obu końcach. Przed domem w równych rzędach rosły krzewy róż i zielono rozciągał się trawnik, za którym jaśniał wodą w słońcu ogromny prostokątny basen. Teraz w basenie hałasowały dzieci, troje nastolatków i ich goście, rzucając do siebie krykietową piłką, nawołując się, pokrzykując już to z zachwytu, już to z oburzenia i wrzaskliwie, chociaż przyjaźnie sobie wymyślając, ale kobiecie, która leżała przy stercie ręczników nad basenem, najwyraźniej to nie przeszkadzało. Zbudowana tak, że na jej widok w tym czarnym kostiumie bikini ruch uliczny zatrzymywałby się wszędzie, jasnoskóra, grubo nasmarowana olejkiem i lekko już spieczona porannym słońcem, leżała jak

martwa z twarzą w cieniu słomianego kapelusza. Piersi miała duże i pełne, wypływające ze skąpego czarnego stanika, talię jak osa nad krągłością zmysłowych bioder, nogi długie i szczupłe — czyli wciąż tę samą figurę królowej piękności, od którego to tytułu wszystko się zaczęło, gdy przed dwudziestu laty przyjechała do Buffalo. Jane Adams, teraz trzydziestodwuletnia, nadal miała takie ciało, jakby nie urodziła trojga dzieci.

Otworzyła jedno duże niebieskie oko i zerknęła spod kapelusza na rozdokazywane dzieciaki, po czym dalej drzemała w słonecznym blasku. Nie nosiła biżuterii poza cienką, złotą ślubną obrączką na palcu i zwyczajnymi złotymi kółkami w uszach, a przecież ten podmiejski dom wyglądał okazale, świadcząc o zamożności, i w garażu stały samochody: mercedes kombi, którym jeździła ona, volvo dla dzieci i służącej, a jej mąż pojechał do pracy swoim mercedesem limuzyną. I ten basen był duży nawet według kryteriów Pasadena.

— Hej!... Tutaj, wy gapy! Prędziej!

Zobaczyła, jak piłka leci znad basenu i spada w pobliżu jej leżaka. Zerwała się z wdziękiem nieomal dziecięcym. Obciągając stanik bikini jedną ręką, podbiegła, żeby podnieść piłkę, a młodzi chłopcy w basenie wlepili w nią wzrok, jak zwykle mężczyźni, podczas gdy jej syn patrzył na nich spode łba. Zawsze go irytowało, że gapią się na nią jak na koleżankę. Szczęściem dla niego przeważnie była ubrana bardzo przyzwoicie. Nie lubiła głębokich dekoltów ani rozciętych spódnic. Najczęściej chodziła w starych oksfordzkich koszulach, kopertowych spódnicach i w espadrylach. Wydawała się nieświadoma swojej uderzającej urody. Zresztą tak ubrana wcale nie sprawiała nadzwyczajnego wrażenia. Miła, niebrzydka kobieta, serdecznie uśmiechająca się do wszystkich. Rudowłosa, z piegami nawet poniżej szyi i na rękach i z jakoś dziwnie niewinnym wyrazem niebieskich oczu.

Odrzuciła piłkę dzieciom.

— Gotowi na drugie śniadanie? — zawołała, ale oni tam znów zajęli się piłką, więc usiadła z powrotem na leżaku.

Zawsze przygotowywała dla nich tace kanapek i trzymała w lodówce mnóstwo wody sodowej i lodów. Po osiemnastu latach macierzyństwa wiedziała, co najbardziej lubią. Jason miał jesienią wyjechać do Santa Barbara na studia, dziewczynki miały już obie uczyć się w liceum. Alyssa od dawna do tego wzdychała. Alexandra z racji tego, że przeszła do drugiej licealnej, jeszcze usilniej domagała się własnego samochodu. Volvo jest za duże, za stare — chciała mieć nowy, zrywny wóz, taki jak ten, który Jack Adams dał na osiemnaste urodziny synowi. Jason we wrześniu pojedzie do Santa Barbara nowym triumphem, więc Alexandra też chce mieć triumpha. Matka uśmiechnęła się. Typowe nastolatki i jakież to dalekie od jej młodości w Buffalo! Ona marzyła prawie na śmierć w drodze do szkoły, dopóki mając lat szesnaście nie uciekła. Dotarła do Nowego Jorku i przerażona pracowała tam, żeby mieć pieniądze na podróż do Los Angeles, do Hollywood... do krainy marzeń. Właśnie w Los Angeles zdobyła swoją pierwszą koronę jako królowa piękności. Miała siedemnaście lat, trochę pracowała jako modelka, ale głównie w niezliczonych jadłodaj

niach jako kelnerka podająca hamburgery do samochodów, aż wreszcie dostała rolę w dreszczowcu. Wyćwiczyła wrzaski strachu doskonale i uważała, że jest dobrą aktorką, gdy nagle poznała Jacka Adama. Wtedy miała dziewiętnaście lat.

Zakochała się w nim do szaleństwa. To był dla niej Mister Ameryki. Ukończył Uniwersytet Stanforda i pracował w maklerskiej firmie swego ojca. Miał dwadzieścia trzy lata.

Najpiękniejszy, najsympatyczniejszy, przynajmniej tak jej się wydawało. Na trzeciej randce powiedział jej, jak ma się ubrać i zachowywać, po czym gdy spotkali się po raz czwarty, zabrał ją do domu i przedstawił rodzicom. Uznała, że to lepsze niż granie w horrorach i o wiele zabawniejsze. Ci rodzice mieli piękny dom z cegły przy Orange Grove i budzili w niej zbożną cześć, tak samo jak Jack, taki dorosły, dojrzały i cudowny w łóżku. Najmilszy pod słońcem, dopóki nie zaczął nalegać, żeby wybiła sobie aktorstwo z głowy. A ona przecież zawsze pragnęła być aktorką i wiedziała, że z czasem coś osiągnie i naprawdę zrobi karierę.

Cóż, kiedy Jack tego dla niej nie chciał. Nie cierpiał dzielnic, w której mieszkała, jej przyjaciół, jej filmów, nie cierpiał wszystkiego, co robiła, poza kochaniem się z nim. Nigdy dotąd nie znał takiej dziewczyny i wtulając głowę w jej uda, w gniazdko złocistych kędziorków tak hojnie mu użyczane, wiedział, że z niej nie zrezygnuje i palicho, co rodzice powiedzą. Uważali ją za wietrznicę, matka nawet śmiała nazwać ją dziwką, ale tylko raz. Za nic by z niej nie zrezygnował, zmusił ją jednak, by w zamian ona zrezygnowała ze swoich marzeń. Uśpił jej czujność tak, że zapomniała o zwykłej ostrożności i w rezultacie zaszła w ciążę. To był koniec. Miała wtedy niecałe dwadzieścia jeden lat.

Nie pozwolił jej na zabieg, gdy już postarała się o pewien adres w Tjitanie i szlochając powiedziała mu o tym. Jeszcze tej nocy zaproponował jej małżeństwo i w dwa tygodnie później wzięli ślub w małym kościele niedaleko domu jego rodziców. Tak to skończyły się jej dreszczowce i jej kariera. Została panią Adams, żoną Jacka Waltona Adama III, i po sześciu miesiącach urodził się Jason, uśmiechnięty, dziarski bobas z rudą czuprynką sterczącą mu na jeża przez cały pierwszy rok. Był taki rozkoszny i Jack był dla niej taki dobry, że prawie jej nie brakowało świata, z którego odeszła.

Przez pięć lat nie miała czasu tęsknić. Alexandra urodziła się w dwa lata po Jasonie, a Alyssa w dwa lata po Alexandrze. Alexandra była podobna do Jacka, Alyssa nie była podobna do nikogo — tylko matka Jacka dopatrzyła się w tej wnuczce cech jakiejś swojej ciotki. Dzieci wprost idealne. Jane z radością opiekowała się nimi. Zajmowały jej czas przez cały dzień, a Jack przez całą noc. Bo Jack nigdy nie miał jej dosyć. Łaknął jej przez całą dobę, a nieraz nawet brał ją w łazience, żądny momentu spełnienia między jej piersiami, gdy dzieci wieczorem oglądały telewizję albo jadły kolację. Ledwie mógł się doczekać jej w łóżku i kochali się co noc, choćby była zbyt zmęczona, żeby mówić i jeść, po dniu krzątania przy dzieciach i dogadzaniu mężowi. Czasami doznawała wrażenia, że właściwie nie ma ani chwili dla siebie, ale się tym nie przejmowała. Chciała być doskonałą żoną, doskonałą matką, dbała, by wszyscy byli zadowoleni i szczęśliwi. Rzadko myślała o sobie. Dziękowała Bogu, że tak daleko zajechała z Buffalo, i ogromnie lubiła być panią Jackową Adams. Najlepsza rola w jej życiu.

Dopiero po latach, gdy dzieci zaczęły chodzić do szkoły, poczuła tęsknotę do tego wszystkiego, co porzuciła dla Jacka. Miała dwadzieścia siedem lat, ale wyglądała prawie zupełnie tak jak dziesięć lat przedtem, zwłaszcza pływając nago w basenie późnym wieczorem. Jack patrzył na nią wtedy, a potem gasił światła i wsuwał się do wody. Nie musiała się denerwować, że dzieci ich zobaczą. Niczym nie musiała się denerwować. Jack myślał za nią o wszystkim, o rachunkach i o jej życiu, mówił jej, z kim powinna się widywać, czym się zajmować, w co się ubierać. Urabiał ją na modłę swego ideału, urabiał ją całą z wyjątkiem jej marzeń o pracy w filmie. Czasami mówiła tęsknie o powrocie do pracy, ale nie chciał tego słyszeć.

— Tam już nie twoje miejsce. Zresztą nigdy nie było. — I głos miał wtedy zgrzytliwy. — To świat dziwek i pijawek.

Nie cierpiała takich jego wypowiedzi. Kochała świat Hollywood, brakowało jej niektórych przyjaciółek, ale on nie pozwalał się z nimi spotykać. Wszystkie jej dawne współlokatorki odpłynęły w przeszłość. Kiedyś zobaczył, jak pisała życzenia na Boże Narodzenie do swojego dawnego agenta, i wyrzucił tę kartkę.

— Zapomnij o tym, Jane. To już skończone.

Chciał, żeby to było skończone. Chciał straszliwie. Żeby ona zupełnie zapomniała o tym wszystkim, nawet o rolach, które kochała, o ludziach, których znała, o marzeniach... Alyssa, jej najmłodsze dziecko, miała trzy lata, gdy w supersamie nieznajomy mężczyzna dał jej bilet z numerem telefonu i adresem. Szukał talentów dla jakiejś agencji i to było zupełnie jak w tamtych czasach w Hollywood. Zaprosił ją do swego biura na próbne zdjęcia, a ona się śmiała. Słyszała mnóstwo takich propozycji w tamtych czasach, szczególnie zaraz po

przyjeździe do Los Angeles. Ten człowiek jednak zdumiewająco nalegał. Oczywiście nie zadzwoniła do niego, a bilet w końcu wyrzuciła. Ale poruszył w niej siły zbyt długo dławione.

Po latach któregoś dnia zadzwoniła do swego dawnego agenta tak tylko, by go pozdrowić, zapytać „co słychać”, a on zaczął ją namawiać, żeby wróciła. Powiedział, że mógłby jej znaleźć pracę. W sześć miesięcy potem załatwiając sprawunki w Los Angeles wstąpiła do niego, ot, tak sobie. Powitał ją z otwartymi ramionami i prosił, by dała się sfotografować. Nawet posłała mu po tej wizycie kilka zdjęć i w rezultacie w cztery miesiące później podjęła wielką decyzję. Agent miał dla niej rolę. W melodramacie telewizyjnym, powiedział. Rolę dla niej doskonałą. Usiłowała to wyśmiać, ale już ją złowił i nie puszczał z haczyka. Prosił, żeby przyjechała na przesłuchanie do tej roli ot, tak sobie, z ciekawości, ze względu na dawne czasy, na niego, na siebie samą. Nocą leżąc bezsennie rozmyślała o tym. Bardzo chciała spróbować, denerwowała się, co Jack powie. Usiłowała z nim porozmawiać, lecz nie było od czego zacząć, nie było sposobu wyjaśnienia mu, że czuje się samotna, że jej pusto, kiedy dzieci są w szkole. Jego obchodziło tylko to, co miała między nogami. Nie chciał jej słuchać. Nigdy z nią nie rozmawiał. Jak zresztą wszyscy. I po dziesięciu latach nadal niezmiennie jej pożądał i wiedziała, że należy to doceniać. Jej znajome się uskarżają, że ich mężowie zobojętnieli, nie chcą się kochać, nie interesują się nimi seksualnie, a ona oto jest z mężczyzną nienasyconym, szepczącym jej takie bzdury jak: „Dzisiaj do mózgu ci się doświdruję”, i to nad głowami dzieci, aż strach, że usłyszą. Ale rozmawiać z Jackiem nie mogła. Jack Pojęcia nie miał, co ona myśli, co czuje. Natomiast agent dobrze to Wiedział. Wszystko zobaczył w jej oczach wtedy, gdy odwiedziła go w Los Angeles, i postanowił, że tym razem nie da jej odejść. Widział w niej coś, co mógłby sprzedać, coś, co w niej było zawsze, coś więcej niż sex appeal. Jane ma w sobie człowieczeństwo, przyzwitość, ciepło, macierzyńskość, a przy tym, do licha! jakaż ona ponętna, druga Marilyn Monroe już z dziećmi, podoba się i mężczyznom, i kobietom — nie znał nikogo, komu Jane by nie przypadła do serca. Ma w sobie jakąś wewnętrzną serdeczność, która ludzi tak przyciąga, jak dzieci przyciąga widok misia... a cóż to za miś w dodatku! Określenie „cycki i zadek” staje się bezbarwne. Jane jest super.

Ostatecznie wybrała się na to przesłuchanie w upalny dzień czerwcowy, chociaż gdy tam dojechała, już przesłuchiowano aktorki do innych ról. I uparła się, że będzie w czarnej peruce, którą po drodze kupiła. Agent widząc ją po przesłuchaniu, gwizdnął z zachwytu i uśmiechnął się promiennie od ucha do ucha. Wyglądała bardziej sexy, wspanialej i młodziej niż Gina Lollobrigida. Dostała tę rolę. Nawet nie kwestionowali czarnej peruki. Chcieli ją. Natychmiast. Siedząc w biurze agenta, płakała.

— Lou, i co ja teraz zrobię?

— Wrócisz do pracy. Po prostu.

Patrzył na nią i serce mu waliło, ale nie z pożądania, tylko z radości, że załatwił jej tę rolę. Wiedział, jaki drzemie w niej talent. I jest urocza jak żadna inna w Hollywood. Gdybyż tylko ją uwolnić od tego świra, jej męża.

— Co ja powiem Jackowi?

— Powiesz mu, że chcesz wrócić do pracy.

Ale to nie było takie łatwe. Leżała w łóżku bezsennie przez kilka nocy i skończyło się na tym, że odrzuciła rolę. Bo daremnie usiłowała porozmawiać z Jackiem. Zupełnie jakby ogłuchi. Tylko gruchał i jęczał kochając się z nią, a gdy zaczynała mówić, odwracał ją i kochał się z nią znowu. To zakrawało na jakiś żart. Ta metoda niesłuchania jej. Chciał tylko, żeby z nim sypiała, opiekowała się jego dziećmi i podejmowała jego klientów kolacją.

Ale producent serialu myślał, że ona się kryguje i targuje. Podwojono gażę, Lou dzwonił do niej pięć razy dziennie. Bała się, że Jack odbierze telefon, i kiedyś tak się stało. Lou dość sprytnie



powiedział, że źle się połączył. No i ostatecznie skapitulowała. Drżąca, przerażona, z czarną peruką w torbie pojechała do studia w Burbank na rozmowę. Podpisała w tamto popołudnie kontrakt i wprost drętwiała ze strachu na myśl o tym, co zrobiła i co zrobi Jack. Jack przecież mówił nieraz, że gdyby kiedykolwiek wróciła do aktorstwa, wyrzuciłby ją z domu. I wiedziała, że to nie są czcze słowa. A zależało jej na dzieciach... ale też i na tym serialu... Co najgorsze, pokochała serial „Nasze tajemne smutki”. Grała Marię w czarnej peruce. Pracowała co dzień od dziesiątej rano do pół do piątej po południu i wracała do domu na czas, by z namiętnym zainteresowaniem wypytywać dzieci, jak było w szkole. Gotowała im wieczorem, piekła dla nich ciastka, odwoziła je do szkoły przed pracą. I wszyscy łącznie z Jackiem myśleli, że honorowo pracuje w szpitalu. Nawet opowiadała im różne szpitalne historyjki. „Szpital” stał się jej życiem, jej życiem stały się „Nasze tajemne smutki”. Kochała tych ludzi, to podniecenie, tę atmosferę... i wszyscy tam przepadali za nią. Pracowała jako Jane Gole, pod swoim prawdziwym panięmskim nazwiskiem z dawnych czasów w Buffalo, zanim przyjechała do Hollywood, i jakimś cudem nikt nigdy się nie dowiedział. Unikała wszelkiego rozgłosu i chociaż oglądalność serialu z każdym rokiem wzrastała, nikt nie zauważył czy też nie dbał o to, że jest bardzo podobna do Jane Gole grającej w „Tajemnych smutkach”. Nadawano serial na żywo co dzień w południe i to były najszczęśliwsze chwile. Proponowano jej inne role, niektóre bardzo dobre, ale wszystkie odrzucała. Nie mogła sobie pozwolić na utratę anonimowości, a zdawała sobie sprawę, że w innych serialach to by jej groziło. Nie wszędzie przecież by pobłażano takim idiosynkrazjom, uciekaniu przed prasą, wywiadami, reklamą. Przez dziesięć lat w „Tajemnych smutkach” udawało jej się zachowywać zarówno anonimowość, jak czarną perukę. Nawet płaciła podatki na nazwisko Jane Gole i miała dodatkowy numer ubezpieczeń społecznych, toteż Jack o niczym nie wiedział. Nikt nie wiedział. Ten sekret był znakomicie dochowywany. Aż zadzwonił telefon właśnie teraz, gdy leżała nad swoim basenem i patrzyła, jak dzieci grają w krykieta. Ledwie po odrzuceniu im piłki Znow się położyła, usłyszała dzwonek. Miała wakacje, przerwano

nadawanie serialu na dwa lemie miesiące, co bardzo jej odpowiadało.

Mogła przebywać z dziećmi wolnymi od szkoły i wybierała się z nimi i Jackiem, jak co rok, na dwa tygodnie do La Jolla. Telefon był w kuchni. Pobiegła odebrać.

— Cześć, piękna.

To dzwonił Lou. Często dzwonił, niekoniecznie w zawodowych sprawach. Troszczył się o nią. Ten sześćdziesięcioletni teraz pan zawsze okazywał jej wielką życzliwość. Czuliła do niego sporo szacunku, a on szanował determinację, z którą „po wariacku”, jak mówił, ukrywała swoją pracę przed mężem. Sam pilnował, żeby nic się nie wydało. Nie chciał jej popsuć tego, co miała. Ale itak już to zrobił nowy reżyser serialu.

— Cześć, Lou.

— Przyjemnie odpoczywasz?

Ma jakiś dziwny głos, pomyślała, ale to pewnie z przepracowania. Bo Lou prawie wciąż coś załatwiał będąc agentem kilku gwiazd i całej armii głodnych aktorów potrzebujących rozpaczliwie pracy, zadręczających go w dzień i w nocy.

— Zawsze lubię przerwy. Mogę wtedy być z dziećmi. — Ach, tajane i jej dzieci. Tylko o nich mówi. O nich, o swoim domu, o swojej kuchni. Boże, chyba to dobrze, że nie udziela wywiadów. Kobieta o takich kształtach, przecież nikt by nie uwierzył w jej szczerłość! — Co słychać?

Milczał szukając słów. Wiedział, że ją zmartwi. Ogromnie. Ale musiał jej powiedzieć, zanim jej powiedzą na planie.

— Niezbyt wesoła wiadomość. — Zdecydował się palnąć to od razu. Nie chciał, ale musiał.

— Mają was skreślić po przerwie.

— Co? — To chyba żart. Na pewno żart. Jane zbladła pod opalenizną, jej duże niebieskie oczy zalśniły łzami, — Mówisz poważnie?

— Niestety tak. Nowy reżyser chce wprowadzić duże zmiany. Skreśla was cztery, zginiecie w wypadku samochodowym pierwszego dnia. Dadzą ci wspaniałą odprawę, rzecz jasna, postarałem się o to, ale myślę, że...

Nie potrzebował mówić dalej, gdy milczała i łzy spływały jej po policzkach. Taki cios. „Smutki” są jej życiem, tak jak Jack i dzieci.

Pracuje w tym serialu od prawie jedenastu lat... od prawie jedenastu lat...

— Dziesięć lat mojego życia i on tak... — Wiedziała, że to normalne, zwłaszcza w serialach tego rodzaju. Ale była zdruzgotana. Ci wszyscy w wytwórni stali się już dla niej jak rodzina.

— Nie możesz mu wyperswadować?

— Wszystkiego próbowałem. — Nie powiedział, że wprowadzają młodą dziewczynę na jej miejsce, a także trzy radosne przyjaciółki reżysera. Bo i po co o tym mówić? Ważne jest tylko to, że jej już w tym serialu nie będzie. — Chce, żebyś wróciła po przerwie na pierwszy dzień i koniec.

— Boże!... — Płakała przy telefonie stojącym na kuchennym stole, gdy do kuchni weszła jej starsza córka.

— Mamo, stało się coś? — zapytała zdumiona.

Jane potrzęsnęła głową i tylko uśmiechnęła się dzielnie przez łzy. Alexandra wzruszyła ramionami i wzięła coś z lodówki. Poszła z powrotem do basenu już bez spojrzenia na matkę, która znów się rozplakała.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

— Ja też nie mogę — powiedział Lou. — Dla mnie osobiście on jest durniem, jakich mało, ale nic na to nie poradzimy. Ich prawo. Powinnaś się cieszyć, że grałaś w tym aż dziesięć lat. Owszem, tylko co teraz? Wiedziała, że już nigdy nie będzie miała tak dogodnych warunków pracy. W żadnym innym serialu nie pozwolą jej zachować takiej dyskrecji, a Jack przecież nie może się dowiedzieć.

— Zupełnie jakby ktoś mi umarł. — Roześmiała się żałośnie.

— Czy może ja sobie umarłam.

— Niech ich diabli wezmą, znajdziemy ci coś innego.

Zaszlochała i słysząc ten szloch Lou aż się zgarbił.

— Nie mogę grać w niczym innym..., wiesz... To było dla mnie doskonałe...

— Znajdziemy ci inny serial, który leci w dzień i w którym potrzebna jest seksbomba w czarnej peruce. — Po tych dziesięciu latach miała już dwanaście czarnych peruk, różnie uczesanych włosów, długich i krótkich. Ale była niepoczyszona, łzy płynęły, wycierała nos W papierowy ręcznik znaleziony przy zlewie. — Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć, dziecko. Przykro mi. Naprawdę mi przykro. — Nie kłamał. Nie chciał, żeby cierpiała. Nie zasługiwała na taki parszywy obrót sprawy.

— I co teraz? — Wytarła nos znowu, gdy łzy kapały jej z policzków na pierś i wsiąkały w stanik bikini.

— Poddaj się z wdziękiem. Tylko to ci pozostaje. Przyjedź do pracy na ten jeden dzień i pożegnaj się. — Wyobraził sobie, jaka to będzie upiorna scena, i mówiąc to, zrobił notatkę w kalendarzu. Trzeba tego dnia przysłać jej kwiaty, bezimiennie, rzecz jasna. — A ja się rozejrzę za czymś innym dla ciebie.

— Lou, nie mogę grać w niczym innym.

— Nie bądź tego taka pewna. Zdadz się na mnie, Zadzwoń jutro albo pojutrze.

Położyła słuchawkę na widelkach i jeszcze raz wytarła nos, czując się tak, jakby nastąpił koniec świata. I akurat w tym momencie wpadł do kuchni tabun nastolatków. Razem jedenaścioro: Jason, Alexandra, Alyssa i ich goście.

— Co na drugie śniadanie?

Jason uśmiechnął się do niej, nie widząc, że jest zapłakana. Wyglądał jak Jack wtedy, gdy się poznali. I Alexandra też taka jest jak ojciec, chociaż oboje mają moje rude włosy, pomyślała. Poza tym wcale nie są do mnie podobni.

Odwracając się, żeby ukryć ślady łez, wyciągnęła z lodówki tacę z kanapkami, które dla nich przygotowała. Z szynką, z kielbasą, z indykiem i kilka różnych kompozycji. Zabrali kanapki i osiemnaście butelek coca-coli i poszli sobie, a ona westchnęła i znów usiadła przy kuchennym stole. Skończyło się. Skończyło się dla niej. Jack w końcu wygrał, chociaż tego nie wie.

I nagle, jak gdyby samą myślą o nim go przywołała, zazgrzytał samochód na podjeździe. Zobaczyła przez okno swojską srebrzystość mercedesa i wysiadającego Jacka. Wydawał się młody, włosy miał jasne, więc nie było widać, że siwieje. Dobrze zbudowany, w dobrej formie, doprawdy nie wyglądał na czterdzieści trzy lata, ale coś niesympatycznego czaiło się w jego oczach, coś hardego w linii ust i tym różnił się od dawnego Jacka. Był przystojny, ale jakiś zimny i nawet teraz, gdy stanął w drzwiach kuchni, nie uśmiechnął się do niej, nie zauważył, że jest smutna, Rzeczywiście nigdy nawet nie patrzył na nią.

— Cześć, kochanie, co tak wcześnie? — zapytała z uśmiechem.

Podszedł do lodówki i wyjął puszkę piwa.

— Miałem konferencję tu niedaleko, więc wstąpiłem na drugie śniadanie. — Odwrócił się i przesunął po niej wzrokiem od szyi w dół, w oczy jej nie spojrzął. Rozluźnił krawat, pociągnął łyk piwa z puszki. Marynarkę już rzucił na krzesło, widziała, jak mięśnie mu się napinają pod koszulą. Prawie co dzień po powrocie do domu grał w tenisa. On i Jason byli wprost demonami na korcie. Ona pomimo starań grała w tenisa słabo, więc nie chcieli z nią grać. — Nie pracujesz dziś w szpitalu?

— Przerwa na lato, zapomniałeś? — Znów się uśmiechnęła i tym razem odpowiedział jej uśmiechem.

— Tak. Racja. Wciąż zapominam. — Patrzył na jej rozkoszną dojrzałość, jak gdyby nic poza tym go nie obchodziło. — Opalałaś się nad basenem?

Należycie zaopatrywał rodzinę. Dawał wszystko: basen, samochody, garderobę dla niej i dla dzieci, co rok wynajmował letni dom w La Jolla i zimą zabierał ich na Hawaje, a przecież zawsze jej się wydawało, że jeszcze dużo jest tego, czym się nie dzieli, czego nie potrafi dać. Nie potrafi, na przykład, dać samego siebie, zawsze taki daleki, nigdy z nią nie rozmawia.

— Miałam oko na dzieci. — Mówią sobie komunały i właściwie nic poza tym. Nigdy jej nie opowiada o swojej pracy, rzadko wspomina o ludziach, z którymi pracuje.

— Wszystko kupiłaś, co chciałem do La Jolla na przyszły tydzień?

— Podał jej dokładny spis sprzętu wędkarskiego.

— Nie miałam czasu. Kupię dziś po południu.

Znów ogarnęło ją uczucie, że świat się skończył. No bo nie skończył się?, pomyślała, gdy Jack podszedł do niej i wsunął dwa palce pod jej skąpe czarne majteczki bikini. Znalazł to, czego szukał, wepchnął palce, aż zabolęło, ale nie zareagowała.

— Masz czas na coś innego? — To było pytanie retoryczne. Nigdy mu nie odmawiała siebie. Odstawił piwo i teraz drugą ręką chwycił ją za pierś. Zgniół ustami jej usta, ugryzł ją w wargi. — Chcesz?

Przywykła do tego. Po dwudziestu latach jego brutalne podejście już jej nie dziwiło ani nie gorszyło. Po prostu taki jest. Jakże inny niż był dawno temu, na początku. Wtedy ujmował ją swoją delikatnością, ale po ślubie wszystko stopniowo się zmieniło i nieraz jego pożądanie wydawało się nieomal obłędem, brał ją tak, jakby wciąż jeszcze miał jej za mało. Nawet w czasie ciąży. Nieraz bała się, ale jakoś nigdy jej to nie zaszkodziło. Lekarzowi wstydziła się o

tym powiedzieć. Teraz przyciągnął ją do siebie i żując jej dolną wargę, mocno przycisnął, a potem raptownie odsunął i uśmiechnął się.

— Rad jestem, że wstąpiłem do domu. To lepsze niż obiad W mieście.

Parsknęła śmiechem, ale oczy wcale jej się nie śmiały. Chwycił ją za rękę i pociągnął na długi korytarz w kształcie litery L wzdłuż dwóch ścian saloniku. Małżeńska sypialnia znajdowała się przy drugim końcu korytarza, tak zaplanował może w trosce o to, przyszło jej na myśl nie po raz pierwszy, żeby dzieci nie słyszały, co wyprawia. Zatrzasnął drzwi sypialni, przekręcił w zamku klucz. Okien nigdy nie chciało mu się zasłonić, ale dzieci nad basenem i tak nie mogły ich widzieć, a ona przynajmniej miała przed oczami drzewa, gdy brutalnie powalił ją na podłogę i zerwał z niej bikini. Sam tylko rozpiął spodnie i wepchnął się w nią bez żadnych wstępów, bez czułości, ugniatając oburącz jej piersi po chamsku jak zawsze, i pochylił się, i zaczął gryźć ją w brodawki. Czasami gryzł tak, że krwawiły, ale tym razem nawet jęknęła cicho, cóż, kiedy raptem się wysunął i wytrącił ją z tego. Otworzył ją szeroko, szurnął po niej ustami, a potem nagle znów się w nią rzucił i skończył natychmiast z głośnym okrzykiem i przeciągłym, cichym stęknięciem.

Leżał na niej zaspokojony, zadowolony z siebie, uśmiechnięty i chociaż dotknął jeszcze jej piersi, nie widział łez wolno płynących z jej oczu, gdy patrzyła na niego.

## ROZDZIAŁ V

Wchodząc na dobrze znany plan, Jane czuła w żołądku wielki skamieniały supeł. Zobaczyła twarze personelu przyjazne od lat. Wszyscy byli jej bliscy. Piekła dla nich ciastka, przywoziła im torty, dziergała na drutach kaftaniki dla ich noworodków. Troszczyła się o nich, potrzebowała ich. Dzięki nim czuła się dobrze. Byli dla niej rodziną tak samo jak jej dzieci. Jedyni przyjaciele. A teraz miała ich utracić. Nastrój panował ponury, tego dnia nikt nie powiedział jej „Cześć!” Wszyscy wiedzieli, co będzie. Wiadomość się rozeszła. Ofiary zostały uprzedzone.

Całą siłą woli powstrzymując łzy, Jane słuchała wskazówek reżysera. Opisał jej scenę, późniejszą „masakrę” i ani słowem nie nawiązał do krzywdy, jaką jej wyrządza w prawdziwym życiu, do tego, że zabiera jej rolę, w którą wkładała tyle serca przez dziesięć lat. Rzeczywiście był to pierwszy dzień jej jedenastego sezonu w tym serialu. Pierwszy dzień i ostatni. Nie chciała nawet wspominać, jak się wszystko zaczęło. Wspomnienie było teraz zbyt bolesne.

Poszła do garderoby, spakowała swoje rzeczy w przywiezioną walizkę. Jeszcze cztery czarne peruki, sweter, dres i szorty, które czasem nosiła w przerwach. Miała tam też kaptcie, dziesiątki słoików z kosmetykami, tuzin buteleczek emalii do paznokci. Pakując to wszystko, modliła się o siłę, żeby zagrać ostatnią scenę bez histeryzowania. Wiedziała, jakim wstrząsem ta scena będzie dla widzów, i podobnie jak Lou uważała, że reżyser popełnia duży błąd. A już było wiadomo:

przed Bożym Narodzeniem wszystkie stare twarze znikną.

Kaskaderki czekały, gdy ona zeszła na dół, przygotowano światła. Zrobiono to sprawnie i szybko. Nagle pozazdrościła tym ludziom. Chętnie by tu została jako jedna z nich, jako ktokolwiek. Czuła się tak, jakby raz na zawsze wyjeżdżała z rodzinnego domu. Łatwiej przyszło jej przed laty pożegnać się z Buffalo niż teraz z tym serialem.

Ze trzydzieści osób krzątało się wokół. Ściany planu przysuwano na miejsca i wydawało się, że minęły wieki, zanim zabrzmiały ostatnie dzwonki, wyłączono klimatyzację, żeby nie szumiało, i błysnął sygnał, że już.

Ta scena okazała się jeszcze straszliwsza, niż Jane przypuszczała, toteż gdy nastąpiło zbliżenie jej twarzy w fatalnej katastrofie samochodowej, łzy naprawdę spływały jej po policzkach, tak samo jak nie udawane były jej szloch i ostami upiorny krzyk. Zaraz po tej scenie zemdląca.

Reżyser już się ulotnił, gdy koleżanki przyprowadziły Jane do jej garderoby. I nikt nie przygotował dla odprawionych aktorek pożegnalnego przyjęcia. Skończyło się na rzewnych „do widzenia”, końcowych uściskach i obiemicach, że „będziemy w kontakcie”, po czym Jane mercedesem kombi powoli wyjechała z terenu wytwórni po raz ostami.

Przez całą drogę do domu płakała i biedziła się, jakie wymyślić dla rodziny stosowne straszne wydarzenie „w szpitalu”, by usprawiedliwić swój wygląd. W domu zastała kwiaty od Lou. Dziewczynki, Bogu dzięki, miały wrócić ze szkoły dość późno. Jason już mieszkał w Santa Barbara. Nawet Jack dał jej chwilę wytchnienia. Zadzwoił z wiadomością, że ma niespodziewaną konferencję, więc wróci do domu najwcześniej o dziewiątej.

Rzuciła się na łóżko i płakała przez długie godziny, nawet nie odbierając telefonów. Nie było przecież nikogo, z kim chciałaby porozmawiać. Jej życie w „Naszych tajemnych smutkach” stało się przeszłością, jej kariera ostatecznie się skończyła, tak jak Jack chciał dawno temu, przyszłość rozciągała się bezbarwną pustką. Będzie gorzej niż kiedykolwiek przedtem.

Jeszcze ubrana, na szczęście spała, gdy wieczorem wrócił Jack. Ponieważ wypił za dużo, darował sobie conocny obrzęd seksualny z żoną, tylko do razu zasnął. Zostawił ją samą, nie rozebraną do snu, załamana i wyczerpana po tym ciężkim dniu. Nie miał pojęcia, co ona przeżywa, co robiła w ciągu ubiegłych dziesięciu lat ani nawet kim jest.

## ROZDZIAŁ VI

o czwartej po południu Bill Warwick był już zmęczony obsługiwaniem gości przy stolikach w Barze Mike’a od rana. Teraz ruch się zmniejszył, nieliczni goście siedzieli tylko przy kontuarze albo grali w bilard, a Bill gawędził z Adamem, gdy zadzwonił telefon.

— To do ciebie.

Zdumiony wziął od Adama słuchawkę, myśląc, że to może Sandy, chociaż sobie nie przypominał, czy jej powiedział, że będzie tu pracować. Martwił się o nią przez cały ten dzień, gdzie się podziewa i jak bardzo jest nieprzytomna. Ale to nie Sandy telefonowała. Usłyszał głos Harry’ego, swego agenta.

— Cześć, chłopcze.

— Jak mnie tu znalazłeś?

— Podali mi ten numer. U kogo jesteś?

Zapomniał, że ostatecznie zostawił ten numer włączając automatyczną sekretarkę.

— Pracuję dla odmiany. Kelneruję w moim ulubionym barze.

— Więc powiedz im tam, że odchodzisz.

— A niby dlaczego? Główna rola w filmie? — zażartował siadając przy kontuarze.

— Zgodziłeś się na nowy serial Mela Wechslera? — W słuchawce oddychała cisza, gdy agent napawał się swoim pytaniem, a Bill zagapił się, nie wiedząc, czy nie czeka go jeszcze jedno rozczarowanie. — Wechsler teraz obsadza i to będzie duża rzecz. Naprawdę rewelacja.

Słyszałem o tym w zeszłym tygodniu i słyszałem, że potrzebny mu facet mniej więcej w twoim wieku. Posłaliśmy twoją przeglądownkę i on chce cię zobaczyć.

Bill gwizdnał i spojrzał na Adama, wbrew woli uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Myślisz, że mam szansę?

Nie odważył się niczego spodziewać, tyle już zamków budował na lodzie. Ale może tym razem... W tym właśnie tkwi piękno tego zawodu. Zawsze jest nadzieja, zawsze jeszcze jedna możliwość, zawsze jest jutro.

— Myślę, że masz sporą szansę. On chce, żebyś był u niego jutro rano, o dziesiątej. Dostałem egzemplarz scenariusza. Poczytaj sobie dziś wieczorem. Chłopcze, to ci się bardzo spodoba.

— Jemu teraz nawet reklamowanie konserw dla psów bardzo by się spodobało, ale serial Mela Wechslera był czymś przekraczającym jego wszelkie nadzieje. — Wpadniesz do mnie do biura po scenariusz?

— Pracuję tu do dziesiątej. Mogę wpaść później do ciebie do domu.

— No to już ja ci go podrzucę po drodze do domu. Tylko daj słowo, że przeczytasz. Nie wiadomo, czym Sandy dzisiaj cię uraczy, nawet jeśli znowu nie przedawkuje. Zamknij się z tym scenariuszem w łazience.

— Przeczytam. Przeczytam na pewno. Daję słowo, nie musisz mnie o to prosić.

— Dobrze. I koniecznie zadzwoń do mnie jutro, jak ci poszło z Wechslerem.

— Oczywiście.

Bill położył słuchawkę. Uśmiech miał chłopiący i był z siebie zadowolony. Adam też się uśmiechnął.

— Coś nowego?

— Mój agent.

— Domyśliłem się.

Ale nawet temu przyjacielowi Bill wolał nie mówić o obsadzaniu serialu Wechslera. Nie chciał zaprzepaścić swojej szansy. Do diabła, mógłby któryś z tych facetów przy kontuarze podsłuchać i zgłosić się także. Ach, rola, rola!

Przez następne sześć godzin Bill chodził wśród stolików tak, jakby mu u ramion wyrosły skrzydła. I już nie był zmęczony, nawet gdy o jedenastej dobrnął do domu. Otwierając drzwi zląkł się — może Sandy będzie w złym stanie, może zrobi awanturę. Chciał być sam, żeby przeczytać scenariusz zostawiony przez Harry'ego w skrzynce na listy. Sandy nie było, był tylko Bernie, bernardyn, dla którego przyniósł ochłapy z baru. Wypuścił psa do ogrodu, napelnił ochłapami miskę i wziął sobie piwo z lodówki, zanim usiadł nad scenariuszem. Martwił się o Sandy, lecz sprawiło mu ulgę, że jej nie zastał. Po prostu chciał odsunąć od siebie jej problemy. Przynajmniej dzisiaj. Chciał czytać spokojnie, przygotować się na jutrzejsze spotkanie z Melem Wechslerem.

O pierwszej skończył czytać i serce biło mu mocno z podniecenia. Przecież to rola jak żadna dotąd, rola wprost uszyta, można by powiedzieć, na miarę dla niego. Wiedział, że zagrałby ją wspaniale, gdyby tylko zdołał przekonać o tym Wechslera. Położył się, jednakże nie mógł zasnąć. Wciąż tylko myślał o scenariuszu i jaki to będzie serial. I coraz bardziej pragnął w tym grać. O czwartej, gdy przewracał się na drugi bok, wydawało mu się, że słyszy jakieś odgłosy przed domem. Może Sandy wraca. Ale znów zaległa cisza. Prawdopodobnie szop szukał jedzenia w śmietniku.

Sandy nie wróciła tej nocy, po części ku jego uldze, chociaż przy goleniu znów martwił się o nią. A przecież doszedł do wniosku, że życie jest o wiele prostsze bez niej, pomimo że takie smutne. Pamiętał, jacy kiedyś byli ze sobą szczęśliwi. Może wszystko by się ułożyło, gdyby mieli możliwość żyć naprawdę jak mąż i żona. Tylko czy taka możliwość kiedykolwiek istniała, czy nad ich małżeństwem od samego początku nie wisiała jakaś klątwa? Pamiętał podróż poślubną, Mauna Kea na Hawajach i czułość Sandy. Zawsze Sandy była dla niego taka miła, ale potem to już nie wystarczało. Nie wynagradzało udręki, zamartwiania się o nią w dzień i

w nocy. Nie mógł sobie jednak pozwolić na rozpamiętywanie swego małżeństwa teraz, ani tych dobrych czasów, ani złych. Musiał się skoncentrować na spotkaniu z Melem Wechslerem. Tylko o tym powinien dziś myśleć.

Czekając na autobus, myślał znów o scenariuszu i w autobusie też, tak że jazda do biura Wechslera w Burbank wcale nie wydawała się długa. Podniecenie prawie zapierało mu dech, gdy wkroczył na teren wytwórni i podał strażnikowi swoje nazwisko, Spodziewano się go. Wskazano mu jeden z budynków. Skierował się tam i przez długi hali doszedł do sekretariatu z czterema sekretarkami, półkami pełnymi książek i obrazami na ścianach. Zameldował się najbliższej sekretarce, a ona poprosiła, żeby usiadł, i dopiero wtedy nagłe się zastanowił, po co tu przyszedł. Oczywiście w żadnym razie nie dostanie tej roli. To szansa zbyt świetna dla niego. Wcale nie jest gotów do sięgnięcia po nią.

— Pan Warwick — zaanonsowano go akurat w chwili, gdy uznał, że po prostu zbytecznie się tu pofatygował.

Wstał czując się jak uczeń wezwany do dyrektora szkoły, ale nabrał trochę pewności siebie, ledwie wszedł do gabinetu Mela Wechslera.

Z ciepłym uśmiechem Wechsler, bystrymi niebieskimi oczami taksując gościa, wyciągnął rękę nad biurkiem.

— Dzień dobry, Bill. Dziękuję za przybycie. — Przez chwilę Bill myślał, że to żart.

Przyszedłby na to spotkanie nawet boso po tłuczonym szkłe i zardzewiałych gwoździach. — Podobają mi się twoja przeglądówka.

— Dziękuję. — Przerażony stwierdził, że język staje mu kołkiem. Zresztą i tak nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

Wechsler mu pomógł.

— Przeczytałeś scenariusz?

Mel patrzył, jak oczy Billa błyskają ożywieniem i twarz rozjaśnia się uśmiechem, który może podbić serca milionów kobiet. Właśnie takiego syna Sabiny chciał mieć w swoim serialu. Sabina — Eloise w serialu „Manhattan” będzie kierować wielkim towarzystwem akcyjnym wspomagana przez syna, znienawidzona przez córkę, uwielbiana przez kochankę, kolegę z zarządu. Kochanka zagra jakiś starszy aktor, Zack Taylor, miejmy nadzieję. Jest jeszcze druga rola mocnej kobiety, jej siostry, która z początku nie interesuje się ogromnym przedsiębiorstwem, ale później walczy o nie z jej dziećmi i kochankiem. Serial „Manhattan” ukaże walki o władzę, wojny w świecie interesów staczane przez zaborczych, mocnych, pięknych ludzi. Bill Warwick ze wszech miar nadaje się na syna Eloise. Zgodnie ze scenariuszem ma to być mężczyzna około trzydziestki, on mniej więcej na tyle lat wygląda.

— Tak, bardzo mi się spodobał. — Bill odzyskał mowę i w głosie jego brzmiała serdeczność.

— Wszystkie role są jędrne, zwłaszcza ta.

Promieniał jak mały chłopiec, onieśmielony jednak wzrokiem Mela Wechslera, jak gdyby znajdował się w obliczu Czarodzieja Oz. Wiedział, że w telewizji Wechsler to potęga i wszystko, co produkuje, jest sukcesem.

— Cieszę się. Nam też bardzo się podoba. Myślę, że ten serial będzie w całym kraju szlagierem jesienią przyszłego roku. Pracę chcemy zacząć w grudniu. — Bill ze zbożną czcią tylko wpatrywał się w niego i później miał sobie za złe, że mówił o scenariuszu tak mało, ale naprawdę nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Myślał tylko o tym, że ogromnie chce grać w tym serialu. — Jak się przedstawia twój program zajęć?

— Uch... program zajęć? — Nagle miał w głowie pustkę. Jakie zajęcia? Praca u Mike’a czy „Zabawa w swaty”? Czy wykupywanie Sandy z aresztu? — Ja... uch..., dobrze..., nie mam chwilowo żadnych zobowiązań. — Jak gdyby był dziesięciolatkiem, chciał sobie dać kopniaka za to, że ma takie kluski w gębie. — Jestem raczej wolny, rzeczywiście. Chwilowo.

Mel Wechsler uśmiechnął się i znów ogarnął Billa bystrym spojrzeniem niebieskich oczu. Młody i nerwowy, lecz sympatyczny. Próbkę jego pracy są zadowolające. Mel nie chciał w tym serialu żadnych aktorów niedopieczonych. „Manhattan” wymaga najlepszych. Bill sprosta. Nie tylko jest w odpowiednim wieku, przystojny i sexy, ale gra doskonale.

— Dobry z ciebie aktor, Bill, bardzo dobry. — I powiedział, które fragmenty ról Billa ocenił wysoko. Widział go też w zeszłym roku w filmie telewizyjnym. Film był słaby, kiepsko reżyserowany, ale Warwick bez zarzutu.

— Dziękuję. Nie miewam często sposobności do tego, żeby pokazać, na co mnie stać. Ostatnio gram przeważnie w reklamówkach.

— Każdy przez to przechodzi! — zauważył z uśmiechem Mei.

To twardy kawałek chleba. Od dawna grasz?

— Już dziesięć lat. — Bill sam się zdumiał. Dziesięć lat przesłuchań i prób, niedużych sukcesów i porażek, filmów na sezon ogórkowy i reklam, i nic, żadnej dotychczas roli, którą rzeczywiście pozwoliłby mu przyjąć honor zawodowy. Wspinaczka mozolna, długa, ale nawet teraz, gdy siedział w gabinecie Wechslera, te lata nie wydawały mu się dużą częścią życia. Warto było je poświęcić.

— Nie byle jaki szmat czasu.

— Przedtem studiowałem na uniwersytecie dramat.

— Masz teraz lat... — Mei chciał jednak się dowiedzieć, ile Bill ma lat. Większość aktorów nie mówi prawdy, ale ten jest na tyle młody, że może powie. W każdym razie wygląda na chłopca akurat w wieku do tej roli, a tylko to się liczy.

— Trzydzieści dwa.

— Znakomicie. Syn Eloise ma dwadzieścia siedem, ewentualnie dwadzieścia osiem lat, mniej więcej. Dokładnie jeszcze nie ustaliliśmy. Świetnie dla ciebie. — Sprawa zależała też od tego, ile lat zechce mieć Sabina w roli Eloise, jeżeli tę rolę przyjmie. Ale Mel zakładał, że będzie grała swoją rówieśnicę. — W dodatku masz prezencję podaną w scenariuszu. Wiele kobiet się w tobie zakocha, kiedy zaczną nadawać serial, podlotki i babcie, dziewczyny w twoim wieku. Zwykły szal, może nawet większy niż zwykle. Plakaty, fotosy, wywiady w prasie. Bóg wie, co ponadto w tym przypadku. Ten serial uczyni cię wielkim gwiazdorem. — Bill nie wiedział, czy to znaczy, że Mel mu daje tę rolę. Wstrzymał oddech, czekając. — Przyjmuję, że nie masz obciążeń, publicznie w każdym razie. — Mei przeprowadził już śledztwo i był zadowolony z tego, czego się dowiedział. Bill jest przyzwoity, pracowity, lubiany przez wszystkich reżyserów, z którymi pracował. Mel Wechsler nie chciał narkotyków, migren, bumelanctwa w swojej obsadzie. Nie cierpiał aktorów spóźniających się do pracy, chwiejących się po pijanemu na planie albo uwodzących każde stworzenie, jakie się nawinie, nie cierpiał żadnych kolizji z harmonogramem zdjęć i dyscypliną zespołu z chwilą, gdy już kręcono. Zawsze kierował zespołem zwartym i tak miało być również w serialu „Manhattan”.

— Nie jesteś żonaty, prawda, Bill?

Bill Warwick z żoną narkomanką, uwieszoną poi jego fraka, doznał wrażenia, że okazja, ta jedna jedyna w życiu, przelatuje mu bezpowrotnie przez palce.

— Nie jestem — odpowiedział i pomodlił się, żeby Mei Wechsler nigdy nie usłyszał o Sandy. Ale właściwie od kogo miałby usłyszeć? Nikt nie wie, że są małżeństwem. I gdyby Sandy uwolniła się od nałogu, zawsze można zaaranżować huczne wesele. Teraz jej stan uniemożliwia wszystko, a przecież Bill, wstydząc się swego kłamstwa, uznał, że jest zdrajcą.

— Rozwiedziony?

— Nie. — Przynajmniej to zgadzało się z prawdą.

— Świetnie. Tym bardziej będziesz się podobał swoim wielbicielkom. — I Mei wiedział, że Bill nie jest pederastą, tak mu powiedziano. Dwaj z jego informatorów przypuszczali, że Bill ma jakąś stałą dziewczynę, bo od pewnego czasu raczej nigdzie nie bywał, ale zapewniali, że się nie łajdaczy, a to również dobrze. Mei Wechsler chciał, żeby Philip Martin stał się



ukochanym chłopcem Ameryki. Philip Martin czyli Bill Warwick. — Powiedziałbym, że jesteś numerem pierwszym do tej roli. Co ty na to?

Serce było Billowi prędko. Prawie już... prawie.

— Pokochałbym tę rolę, panie Wechsler... wiem, że tak... i mógłbym ją zagrać jak diabli. Mei Wechsler wyciągnął nad biurkiem rękę.

— Tak też myślę. Definitywną odpowiedź dam twojemu agentowi za parę dni.

Wstał, więc Bill chcąc nie chcąc wstał także. Boże, czy zaprezentowałem się należycie?, pomyślał zdenerwowany. Chciał błagać o tę pracę. Jakże często wychodził po takich rozmowach przekonany, że dostanie rolę, a potem się okazywało, że dostał ją ktoś inny.

— Będę czekał z nadzieją, panie Wechsler — mógł tylko powiedzieć, gdy oczy ich się spotkały, i wyszedł cicho z gabinetu.

Nie wiedział, co myśleć, i był już strzępkiem nerwów, zanim Przyjechał do baru Mike'a i zadzwonił do swego agenta. Przy kontuarze Adam poradził mu wziąć się w karby.

Zdenerwowaniem Przecież niczego nie zmieni. Ostatecznie powiedział Adamowi o spotkaniu z Melem Wechslerem, ale nie zdradził, o jaką rolę chodzi. Nadal bał się, że ktoś inny ją złapie. Harry jednak dodał mu przez telefon otuchy:

— Odpręż się, chłopcze. Już masz to w garści.

Co prawda mówił tak i przedtem, gdy to rzeczywiście było już w garści, tylko że nie Billa.

— Harry, zrobiłem z siebie osła.

— Jak? Ucałowałaś go?

— Nie, ja nie żartuję. Tak cholernie się bałem, że prawie mi mowę odjęło. Chyba nawet mówiłem od rzeczy.

— No to co? Jesteś aktorem, a nie panną na wydaniu. Scenariusz masz, poczytasz, nauczysz się roli i będziesz mówić do rzeczy. Słuchaj, on pytał o ciebie w całym Hollywood. To poważna sprawa.

— O co pytał?

— Czy jesteś bez nałogów, jak pracujesz i takie tam zwykłe bzdety. A z tobą wszystko w porządku. Wszyscy cię lubią. — Im obu jednocześnie przyszło na myśl to samo.

— Myślisz, że ktoś mu powiedział o Sandy?

— Przecież nikt nie wie. Tylko ja i Tony Grossman, zgadza się?

— Tak.

— No, ja na pewno nie pisnę ani słowa, a Tony w najściślejszej tajemnicy trzymał to, że ona jest mężatką. Oczywiście wtedy grała w „Niedzielnej kolacji”, teraz pewnie go to nie obchodzi, ale też by nie zdradził. Bo a nuż trafi mu się dla niej rola dziewczicy następnym razem?

Harry nienawidził Tony'ego Grossmana od czasów, gdy jeden i drugi zaczynali jako agenci, lecz Bill nie znał całej tej historii.

Wiedział tylko, że w ich wzajemnej nienawiści nie czai się zawiedziona miłość, i na początku swego romansu z Sandy czuł się jak Romeo z Julią między rodem Monteków i Kapuletów — w tym przypadku między dwoma wrogimi sobie agentami.

— Pytał mnie, czy jestem żonaty.

Harry nieomal chrząknął.

— Co odpowiedziałeś?

— Że nie jestem.

— Brawo. On chce z ciebie zrobić super-Amerykanina. Super-Amerykanin musi być kawalerem do wzięcia.

— Tak myślałem, ale mi głupio. Co będzie, jeżeli się dowie?

— Nie dowie się. Dobrze zrobiłeś. Już o tym nie myśl, zajmij się czymś uspokajającym i czekajmy na jego telefon.

— Nadal pracuję u Mike’a.

— Długo tam nie popracujesz.

Bill odpowiedział jednym z ulubionych zaklęć Harry’ego:

— Niech cię Pan Bóg usłyszy.

— Zadzwoń.

— Dzięki.

Położył słuchawkę i od razu zaczął się krzątać, bo goście przychodzili na obiad. Miał wrażenie, że lata minęły, odkąd rozmawiał z Melem Wechslerem, i dopiero o piątej mógł usiąść, by zjeść hamburgera i napić się kawy. Siedząc przy kontuarze, patrzył na dziennik telewizyjny na ekranie nad głową Adama. Nagle przestał jeść. Zobaczył fotografię Sandy z czasów, kiedy debiutowała w „Niedzielnej kolacji” przed trzema laty. Znów sobie uprzytomnił, jak bardzo Sandy się zmieniła, i zaraz usłyszał, że jest zamieszana w dużą sprawę handlu narkotykami i aresztowano ją dziś rano. Dziś rano... kiedy on był u Mela Wechslera... Znów poczuł mdłości.

Siedział jak przygwożdżony do stołka, wpatrzony w ekran telewizora, chcąc wiedzieć więcej, ale tylko powiedziano, że przebywa w areszcie wraz z pięcioma innymi podejrzanymi i nie jest to jej pierwsze aresztowanie. Nadmieniono, że została zwolniona z pracy za niedotrzymanie warunków kontraktu z powodu nadużywania narkotyków. Po chwili nastąpiły dalsze wiadomości dziennika.

Adam, który też tego słuchał, milczał, gdy Bill poszedł do telefonu. Bill spróbował skontaktować się z Sandy, ale tylko otrzymał informację, że już wyszła za kaucją. Na pytanie, kto kaucję złożył, nie było odpowiedzi.

Następne pięć godzin wlokło się niemożliwie. Kilka razy daremnie dzwonił do domu.

Wracając z pracy spodziewał się zastać Sandy nieprzytomną na kanapie albo na łóżku, całkowicie ubraną i plugawie brudną, zaćpaną kompletnie ze strzykawką pod ręką.

Tymczasem zastał tylko umiarkowany nieład, jaki zostawił rankiem. Sandy nie wróciła. Może uznała, że już zanadto przeholowała, więc woli trzymać się od niego z daleka. Poniekąd był z tego rad, poniekąd się zasmucił. Tak przywykł do ratowania Sandy, że teraz nie wiedział, co robić. Po prostu nie mógł o niej zapomnieć. Jej rzeczy wisiały w szafie i kłębiły się w szufladach. Jej szczotka do zębów leżała na półce w łazience, jak zawsze przy jego szczotce. Kosmetyki były w walizeczce, którą dawniej brała z sobą do studia. Ale ostatnio nie używała kosmetyków. Niczego już nie używała. Nie dbała o nic. Sukienki z niej spadały o wiele za luźne, nie chciało jej się malować i nawet myć zębów. Chodziła odurzona przez cały boży dzień.

Usiadł w zadumie na kanapie. Gdzie Sandy teraz jest? I nagle zadzwonił telefon. Dochodziła północ. Policja? Sandy ranna czy... Ale to był Harry.

— Bill?

— Tak. — Głos miał zdławiony.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno. Musiałem gdzieś być, a chciałem sam ci to powiedzieć. Chyba nie będziesz miał mi za złe?

— Co się dzieje?

Bill marszczył brwi. Mógł myśleć tylko o Sandy. Gdzie ona, do diabła, jest i w jakim stanie? Nie cierpiał siebie za to, że się o nią martwi. Nie chciał o niej myśleć, a jednak myślał... cholernie zbyt często z nienawiścią i miłością jednocześnie, z żalem, że w jego życie wniosła nieszczęście.

— Dostałeś, chłopcze! — W głosie Harry’ego brzmiała radość.

— Co dostałem? — W głowie miał pustkę, a potem nagle zrozumiał. — Ach, Boże...

Mówisz, że... że ja... udało się?

— Żebyś tak zdrów był, kiciu. Sekretarka Wechslera zadzwoniła o szóstej. Przyślę ci w przyszłym tygodniu kontrakty. I zaczynasz

w Nowym Jorku szóstego grudnia. Do garderoby zgłosisz się dziewiętnastego października. Więc, przyjacielu, załatwione. Gwiazdor się

narodził. Co pan na to, panie Warwick?

Łzy stanęły Billowi w oczach. Dziesięć lat ciężkiej pracy i rozwianych marzeń, przedtem cztery lata studiów i oto teraz... rola życia.

— Skurczybyku... nie przypuszczałem.

— Ja przypuszczałem. Ba, byłem pewny jak diabli. Ani przez chwilę nie wątpiłem. — Harry przypomniał sobie o czymś. — Ach... widziałem dziennik po południu, chyba wiesz, że... Bill wiedział, że chodzi o Sandy.

— Tak.

— Czy ona jest z tobą?

— Nie. Od dwóch dni jej nie ma. Doszło do małej awantury dwa dni temu. Wtedy też ją aresztowali.

— Słuchaj, Bill, zrób mi jedną grzeczność. Nabierz wody w usta i od Sandy trzymaj się jak najdalej. Tylko tego teraz potrzeba, żeby wszystko przez nią spaliło na panewce. Sandy to balast.

— Jest rozstrojona, nic poza tym. — Stawanie w jej obronie było już jego drugą naturą.

— Wystarczy. Ceną może być ta rola. Tego chcesz?

— Nie. — Ale Bill nie mógłby sprzeniewierzyć się Sandy. Wiedział, że w razie czego zawsze postara się jej pomóc. Będzie jednak dyskretny. Z konieczności. Już skłamał Wechslerowi, że nie jest żonaty. — Nie obawiaj się. Będę ostrożny.

— Spróbuj nie być! Mel by cię oskarżył o okłamywanie i kompromitowanie go. Wsadziłby cię za kratki tak prędko, że w głowie by ci się zakręciło, a ja bym o to nie miał do niego pretensji. Bill, trzymaj się z daleka od Sandy.

— W tej chwili to nie problem.

— Więc dalej też nie będzie problemem. I gratuluję. Wypływasz, Bill. — Harry wydawał się wzruszony. — Jestem z ciebie dumny.

— Dziękuję, Harry.

Kładąc słuchawkę Bill uśmiechał się jeszcze pełen niedowierzania i bardzo chciał z kimś się tą wiadomością podzielić. Ale miał tylko Berniego merdającego ogonem, czekającego na kolację.

Co się dzieje z Sandy?

## ROZDZIAŁ VII

Sabina w kostiumie kąpielowym stała na swoim tarasie i rozmyślała. Właśnie wróciła na górę z basenu. Na obiedzie z Melem była nie dalej niż wczoraj, a przeczytała ten scenariusz już siedem razy. Siedem! Gdyby chciała występować w telewizji, to scenariusz akurat dla niej. Mel miał rację. Rola Eloise Martin jest taka, jakby tylko z myślą o niej została napisana. Jak bliźniaczki, Eloise Martin i Sabina Quarles. W istocie jedna i ta sama kobieta. I jeśli, zgodnie z życzeniem Mela, Zack przyjmie główną rolę męską, ten serial może być rzeczywiście bombą. Mei jest tego pewien, ale czy pewność Mela wystarczy? Czy wystarczy, żeby ona, Sabina, zmieniła zdanie? Żeby wystawiła się na pośmiewisko nie dotrzymując danego sobie oficjalnie słowa? Agent mówił dziś rano, że proponują jej trzy miliony dolarów za pierwszy sezon. Trzy miliony. Jest jeszcze

coś, co musi uwzględniać w swoim życiu. Trzy miliony dolarów byłyby rozwiązaniem na długi, długi czas. Naprawdę nie stać jej na odrzucenie takiej propozycji.

Ale, rzecz dziwna, Sabina nie chciała tej propozycji odrzucić. Zastanawiała się, dlaczego uważa, że powinna to przemyśleć. I nagle parsknęła śmiechem. Kogo ja oszukuję? Trzy miliony dolarów przesądzą sprawę. Ja muszę w tym grać.

o czwartej po południu zadzwoniła do Mela, ale był na jakiejś konferencji w telewizji.

Zadzwonił do niej o szóstej. Właśnie wyszła spod prysznica i leżała na kanapie, naga, z głową owiniętą ogromnym ręcznikiem.

— Sabina?

— Tak.

Słyszając jej głos, znów poczuł mrowienie w dołku. Wyobrażał sobie, jak ten głos będzie działał na mężczyzn przed telewizorami w całym Stanach, jeżeli Sabina da się skłonić do przyjęcia roli.

— Żałuję, że mnie nie było, kiedy telefonowałaś.

— Nie szkodzi. — Uśmiechnęła się swoim kocim uśmiechem, tak doskonale pasującym do jej głosu. Wszystko w niej było dopasowane, takie jak trzeba. Istota nie mająca w sobie żadnych sprzeczności, dysharmonii, niczego błędnego. — Od czasu naszego spotkania czytałam trochę. — Nie zadzwoniła przedtem, by podziękować za obiad. Koncentrowała się na scenariuszu. Zadzwoniła dopiero wtedy, gdy już mogła dać odpowiedź.

— Mam zapytać, co myślisz o tym, czy grzecznie czekać, aż sama zdecydujesz się powiedzieć?

Nie wiedziała, jak będzie efektowniej.

— Może przyjedź do mnie, to porozmawiamy.

Przynajmniej nie odrzuca z miejsca, pomyślał, to już coś.

— Chętnie. I pozwolisz, że potem zaproszę cię na kolację?

Była zadowolona, cieszyło ją nie tylko towarzystwo Mela Wechslera, ale i pokazywanie się w jego towarzystwie. A będzie się ją z nim widywało często, jeżeli przyjmie tę rolę. Może bardzo często.

— Och, z przyjemnością. W takim razie ja zaproszę cię na drinka po kolacji.

— Doskonale. Przyjadę po ciebie o ósmej. Dobrze?

— Świetnie. Do widzenia, Mei. — Tak kocio to wymruczała, że gdy położył słuchawkę, serce mu łomotało.

Kazał sekretarce zarezerwować stolik w L'Orangerie i pojechał do domu, żeby się przebrać. Przyjechał po Sabinę punktualnie o ósmej. Sam prowadził swego mercedesa 600, jak zwykle wieczorem. Bez szofera było z pewnością, jeżeli spędzał wieczór z kobietą, bo przecież nigdy nie wiadomo, jak i gdzie taki wieczór się skończy. Z usług szofera korzystał tylko w ciągu dnia. W L'Orangerie było tłoczno i dlatego Mel Wechsler wybrał tę restaurację. Zebrało się tam całe Hollywood i wszystkie głowy się Odwróciły, gdy wszedł z Sabiną Quarles do sali. Mnóstwo osób rozpoznało Sabinę, jeszcze więcej — Mela. Bo Mel Wechsler to jeden z najważniejszych ludzi w Hollywood, a tych dwoje razem, ach, co za para!

Sabina wyglądała bardzo efektownie, gdy stali czekając na stolik przez chwilę krótką, a przecież dostatecznie długą, żeby maitre d'hôtel upewnił się, że wszystko jest tak, jak „Monsieur Wechsler” lubi, i żeby goście zdążyli docenić krój obcisłej białej atlasowej sukni Sabiny. Mei był pewien, chociaż wiedzieć tego nie mógł, że pod suknię nic nie włożyła, i odkąd zabrał ją z jej mieszkania, czuł nieprzepartą chęć przesuwania po niej dłońmi — ten atlas obleka ją jak druga skóra. W uszach miała zwisające długie brylantowe „leżki”, na nogach prowokacyjne białe sandały na bardzo wysokich obcasach. Grzywę blond upięła w kok i kontrast jej brunatnej opalenizny z białą suknią był taki, że wszyscy się zagapili, gdy szła z Melem do stolika.

— Tak jest teraz już przy stoliku skomentował Mel półgłosem spojrzenia zbierane po drodze.  
— Możesz sobie wyobrazić, co by było za rok od dzisiaj, gdyby cała Ameryka oglądała cię w „Manhattanie”?

Uśmiechnęła się wymijająco. Chciała go podręczyć, taka zabawa w kotka i myszkę sprawiała jej ogromną przyjemność.

Zamówił szampana, szybko przetrzucili się na wytrawne martini, po czym nastąpiła wyborna kolacja. Potrafił bardzo błyskotliwie prowadzić rozmowę, poruszał najrozmaitsze tematy, tylko nie temat serialu, ale w końcu już nie mógł wytrzymać.

— Musisz przyznać, że jestem nadzwyczaj grzeczny. Nawet nie zapytałem, co myślisz o scenariuszu. Ale dosyć już tej niepewności, Sabino. Co myślisz?

Patrzył pytająco jak mały chłopiec, więc pochyliła się ku niemu i z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

— Szalenie mi się spodobał.

Czekał, żeby powiedziała coś więcej. Nie powiedziała.

— To znaczy?

— Scenariusz doskonały. Tak doskonały, jak mówiłeś.

— Ale...? — Był rzeczywiście rozczarowany. Więc ona w tym nie zagra. Zbyt ślepa, zbyt uparta, żeby widzieć, jaka to dla niej idealna rola.

— Ale co?

— Doskonały, ale?...

— Ale nic — odpowiedziała spokojnie.

— Sabino Quarles — delikatnie ujął ją za nadgarstki i popatrzył głęboko w te zielone oczy.

— Zechciej, proszę, wyrażać się jasno. Doprowadzasz mnie do białej gorączki.

Odchyliła głowę i roześmiała się. Jakże przyjemnie tak dręczyć dla zabawy!

— Będiesz grała w „Manhattanie” czy nie?

— Naturalnie, że tak. Miałabym źle w głowie, gdybym odrzuciła tę rolę... Naprawdę uważasz mnie za taką idiotkę?

Patrzyła na niego, jak gdyby jej zgoda była od początku sprawą oczywistą, a on patrzył na nią, prawie gotów ją udusić, ale nagle objął ją i pocałował. Spojrzenia zainteresowanych podchwyciły ten gest. Przywołał kelnera i już miał zamówić szampana, gdy Sabina szepnęła:

— Może na obławanie pojedziemy do mnie?

Popatrzył na nią przeciągle, po czym skinął głową i poprosił kelnera o rachunek.

W parę minut później wyprowadził ją z restauracji do zaparkowanego mercedesa. Jeszcze nie wierzył własnym uszom. Czuł się jak smarkacz, który wygrał wielką nagrodę. Sabina Quarles będzie gwiazdą „Manhattanu”!

— Nadal nie mogę w to uwierzyć, Sabino. Jesteś cudowna! Jesteś fantastyczna!

— Dziękuję panu, panie Wechsler. Taki sam jest pana scenariusz. Ten pierwszy, w każdym razie. Następne odcinki lepiej niech będą też takie dobre.

Oboje wiedzieli jednak, że będą dobre. Mel angażował tylko najlepszych scenarzystów, a w tym przypadku szczególnie mu zależało na wspaniałości serialu. To przecież „Manhattan”.

Szybko pojechał z nią tam, gdzie mieszkała. Wyglądała wciąż tak pięknie jak w chwili, gdy wchodzili do Ł”Orangerie. W jej bloku powitał ich portier i wjechali windą na górę. Jeszcze czując się świątecznie, usiadł na kanapie, a ona poszła po jedną z dwóch butelek Szampana, które zawsze miała w zamrażalniku na specjalne okazje. Teraz była okazja szczególnie specjalna — początek nowego życia dla niej.

Mei otworzył butelkę i odwracając się od korka wylatującego w powietrze, powiedział z uśmiechem:

— Nie potrafię wyrazić, Sabino, jaki jestem zadowolony. To będzie cudowny serial.

Uśmiechnęła się do niego, spojrzała mu w oczy.

— Wiem, że go pokocham.

Mówiła nie tylko o serialu. Przebiegał ją miły dreszcz, ilekroć Mei patrzył na nią. A Mei widywał mnóstwo kobiet, które odkąd owdowiał, wkraczały w jego życie i odchodziły, ale żadna z nich nie dorównywała Sabinie. Napełnił kieliszki i wznosił toast.

— Sabino, twoje zdrowie... i zdrowie Eioise Martin. — Eloise Martin była postacią czekającą, żeby ona się w nią wcieliła.

Sabina wypiła łyk szampana. Nic nie mówiąc patrzyła na Mela. Czują przemożny pociąg do tego mężczyzny — chyba wzajemny. To będzie bardzo ciekawy serial pod niejednym względem, myślała. Nie tylko ta rola, ale Mei... I wyjazd do Paryża za niecały miesiąc, przymierzanie modeli Franois Braca. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Nagle miała na co z przyjemnością czekać.

— Byłaś już kiedyś w Paryżu?

— Raz. Dawno temu. W pracy właściwie. Będziemy w Paryżu kręcić niektóre epizody?

— Raczej nie. Chociaż może na drugi rok... W takiej formule da się zmieścić prawie wszystko i zawsze bierzemy pod uwagę dobre pomysły.

Podobało jej się to, co mówił. Ale jeszcze bardziej podobał jej się wyraz jego oczu, gdy na nią patrzył — jak gdyby była tą jedną jedyną, wreszcie spotkaną po latach. Wzruszył ją tym. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

— Jestem ci wdzięczna za tę sposobność, Mei. Wiem, podziękowanie tak banalne, ale jestem...

To było jaskrawe odstępstwo od obrazu Sabiny, chłodnej opanowanej gwiazdy, zdawała sobie jednak sprawę ze szczęścia, jakim jest otrzymanie takiej roli. Mei ma rację: taka rola w serialu takim jak „Manhattan” może z niej uczynić największą gwiazdę w Stanach. Wielka szansa dla kobiety czterdziestopięcioletniej, choćby miała

najlepszego z chirurgów plastycznych i była w najlepszej formie. I zdając sobie sprawę, że tę szansę zawdzięcza tylko Melowi, chciała mu wyrazić swoją wdzięczność.

— Nie dziękuj mi, Sabino. Nie siedziałbym tu teraz, gdybym nie uważał, że nadajesz się nadzwyczajnie.

Zanim Mei skończył mówić, Sabina pochyliła się i pocałowała go. Ten lekki pocałunek raptownie stał się namiętny, bo ogarnięta falą pożądania znalazła się w objęciach Mela.

Mocno ją przytulając Mei przyciskał wargi do jej warg, aż musiała nabrać tchu, gdy wreszcie odsunęła się od niego. Milczała, ale jej oczy mówiły wszystko. Znow ją pocałował, potem wstał z wyraźnym żalem. Znał swoje granice, a już do nich doszedł. Po jeszcze jednym pocałunku przecież rozdarłby tę białą atlasową suknię, czyli posunąłby się za daleko.

— Myślę, że na mnie już czas. — Uśmiechnął się tak czule, że Sabina poczuła ciepło w sercu.

— Jest jakiś powód?

— Bardzo istotny. Budzisz we mnie bestię, panno Quarles. A powinienem zachowywać się przyzwoicie. Lepiej, żebym wyszedł, zanim się rzucę na gwiazdę mojego serialu.

Uśmiechnęła się tym kocim uśmiechem doprowadzającym go do szaleństwa.

— Myślałam, że dzisiajszą decyzję uczymy.

— Myślałem, że już uczciliśmy.

— Myślałam, że dopiero zaczynamy. — Delikatnie pociągnęła go i gdy znow usiadł przy niej, nagle się roześmiała.

— Nie chcę być oskarżony o to, że moje seriale obsadzam na kanapie. Chcę, żeby sprawa była jasna tutaj i teraz. Przyjąłeś rolę, Sabino Quarles, i dalsze celebrowanie nie ma z tym nic wspólnego.

— Ustalone, panie Wechsler,

— Dobrze więc.

Znow ją pocałował i tym razem żar namiętności sprawił, że nieomal topniała w jego ramionach. Poczwała, jak pod jego palcami biały atlas się  
Z niej osuwa, i po chwili stała przed nim posągowa, doskonała

w splendorze swego obnażenia odbijającym się w dwóch lustrzanych ścianach saloniku. Przepiękna, wzięła go za rękę i skinęła głową w stronę sypialni. Ale gdy poszedł za nią, po raz ostatni ona prowadziła. W łóżku przejął inicjatywę wiodąc ją na wyżyny, ° jakich dawno już zapomniała i o jakich nawet nie marzyła. To była noc namiętności godnej dwojga ludzi tak ważnych. Producenta i gwiazdy „Manhattanu”.

## ROZDZIAŁ VIII

Wreszcie, już po Świącie Pracy, Zack Taylor wrócił z Grecji, opalony, beztroski, w nowym ubraniu uszytym na miarę w Londynie. Wyglądał raczej jak wypoczywający zawodnik polo niż jak gwiazdor filmowy. Sprawiał wrażenie arystokraty, co zawsze stanowiło część jego uroku, a teraz przyczyniało się do tego, że kroila mu się główna rola męska w serialu „Manhattan”. Po zakończeniu pracy w długometrażowym filmie wyjechał do Grecji na trzy miesiące. Dość długo, by z radością wrócić do swego domu w Bel Air. Miał piękny dom i ponadto, jak wszyscy inni, również dom w Malibu i kilka koni wyścigowych, które trzymał w Del Mar pod San Diego. Był człowiekiem mającym, o wszechstronnych zainteresowaniach. Zaintrygowany wysłuchał Mela Wechslera. Spodobała mu się koncepcja serialu, a zwłaszcza pomysł, że główną rolę żeńską będzie grała Sabina Quarles. Kiedyś już z nią pracował i wiedział, że jest sumienna i gra dobrze. Była jednak gwiazdą niedużego formatu i w tym serialu on będzie główną atrakcją.

Przesunął ręką po swych lekko falujących włosach, szpakowatych na skroniach, i uśmiechnął się do Mela. Właśnie skończyli jeść obiad w Hillcrest Country Club.

— Jestem ciekaw tego scenariusza, Mel. Jeżeli jest tak dobry, jak mówisz, to znów trafiłeś w dziesiątkę. No, ale trafiasz przecież zawsze.

— Dziękuję, Zack.

Wechsler uśmiechnął się i powiedział mu o Billu Warwicku i innych aktorach i aktorkach, których chce do tego serialu zaangażować. Dwie osoby spośród wytypowanych są pewne — Sabina i Bill.

— A telewizja depcze mi po piętach — dodał.

Zwykle pracował dla tej samej wytwórni telewizyjnej, więc w istocie nigdy nie miał kłopotów. Tam wiedzieli, że zawsze mogą liczyć na jego sukces. Zack też wiedział. Nie miał żadnych obiekcji co do występowania w telewizji. Rzeczywiście lubił tę pracę i nawet zapalił się do tego nadzwyczajnego serialu. Zdawał sobie sprawę, że ogromna popularność serialu przyciągnie licznych widzów i wyniesie go na szczyty powodzenia. Sabina dopiero ostatnio dopuściła do siebie myśl o ty. Ale Zack chętnie występował w telewizji już od dawna.

Mel wręczył Zackowi scenariusz zupełnie tak, jak dwa tygodnie wcześniej Sabinie. Nie wątpił, że Zack po przeczytaniu scenariusza zechce zagrać w jego serialu.

— Jutro do ciebie zadzwonię, Mel. — Zack nigdy się nie certował, nie prowadził gierek, nie bawił się w „Hollywood” i Mel to cenił.

— Nie mam dziś na wieczór żadnych planów, więc przeczytam od deski do deski i jutro rano powiem ci, co myślę.

— Doceniam to, Zack. Przypuszczam, że ten scenariusz ci się spodoba.

— Nie wiem, jak mógłby mi się nie spodobać po tym, co mi powiedziałeś.

Znów uśmiechnęli się do siebie i Mel, jak nieraz, zastanowił się nad Zackiem. Zachary Taylor to człowiek sympatyczny, którego warto byłoby lepiej poznać, a przecież zawsze zachowuje jakiś dyskretny dystans, zawsze go otacza jakaś niewidzialna ściana. Chyba nigdy nie zbliżył się do nikogo. Dlaczego? Może jest nieśmiały albo po prostu bardzo powściągliwy. Trudno w to uwierzyć, zważywszy jego ogromne sukcesy. Ale rzeczywiście nie wiadomo, z kim się przyjaźni.

Rozstali się przed klubem. Zack wsiadł do swego granatowego z podnoszoną budą *corniche*’a. Był to bajeczny samochód, a Zack w tym lodyńskim blezerze i rozpiętej niebieskiej koszuli wyglądał jeszcze bajeczniej, odjeżdżając w kierunku Bel Air i machając do Mela ręką. Jakieś dwie kobiety wskazywały go sobie i piszczwały z zachwytu. Poczekaście do przyszłego roku, moje panie, pomyślał Mel zwycięsko, zanim wsiadł do mercedesa i ruszył w kierunku biura.

W biurze czekała na niego wiadomość od Sabiny. Uśmiechnął się do tej kartki. Od dwóch tygodni spędzali ze sobą prawie każdą noc. Sabina budziła w nim namiętność, jakiej nigdy dotąd nie odczuwał. Dziś wieczorem znów miał zjeść u niej kolację. Bardzo lubił się z nią pokazywać publicznie, ale oboje zdecydowali, że lepiej dać temu spokój, posiedzieć przez jakiś czas w domu. Nieroztropnie byłoby afiszować się ze swoim romansem. Owszem, producent może od czasu do czasu zaprosić gdzieś swoją wielką gwiazdę, ale cokolwiek więcej stworzyłoby dla niej problemy w pracy, kiedy zaczną się zdjęcia.

Gdy Mel jeszcze siedział w to popołudnie przy biurku, Sabina odebrała w swoim mieszkaniu telefon wewnętrzny. Portier zapytał, czy wpuścić posłańca z przesyłką, której odbiór musi sama pokwitować. Zdziwiona powiedziała, że tak. Posłaniec przyniósł pudełeczko wielkości jajka drozda owiązane satynową wstążką. Pokwitowała i zamknęła drzwi, zastanawiając się, kto to przysłał, i ściągając wstążkę, pod którą ukazał się napis: Tiffany. Nagle przyszło jej na myśl, że to chyba od Mela. Otworzyła pudełeczko i aż się zachłusnęła na widok grubej brylantowej bransoletki. Włożyła tę bransoletkę, idealnie pasującą na rękę, tak bardzo zaskoczona, że ledwie zdołała odczytać na załączonym bilecie trzy słowa: „Witam w Manhattanie”.

## ROZDZIAŁ IX

Jane Adams nadal czuła się tak, jakby z ostatnim dniem na planie „Naszych tajemnych smutków” życie się dla niej skończyło. Bo i po co żyć? Po wakacjach Jason wyjechał do Santa Barbara, dziewczynki znow zaczęły chodzić do szkoły, a ją dopadło takie przygnębienie, że ledwie mogła je znieść. Czytała powieści, leżała nad basenem, pozwalając, żeby Jack nią pomiatał i wciąż czegoś od niej bezsensownie wymagał, tak jak to robił przez dwadzieścia lat, i nic jej nie obchodziło. Nic a nic. I pomimo próśb swego agenta nie chciała czytać żadnych scenariuszy ani jeździć na żadne rozmowy. Bo co by to dało? W żadnym serialu nadawanym w dzień nie było dla niej roli, a w szczytowej porze telewizyjnej oglądalności, nawet gdyby dostała rolę, przecież nie mogłaby grać. W żaden sposób nie zdołałaby tego ukryć przed Jackiem.

Rozgniewała się więc, gdy agent przysłał jej pocztą scenariusz zatytułowany „Manhattan”.

Przysłał go do domu, gdzie równie dobrze jak ona mógłby tę kopertę otworzyć Jack.

— Czy wiesz, Lou, co on by mi wtedy zrobił?

— Co? — Agent naprawdę nie wierzył, że ten facet jest aż tak narwany, jak Jane go przedstawia. Nikt nie jest taki. Nawet w świecie Lou Thurnana.



— On by się ze mną rozwiódł.

— Tak czy owak, przeczytaj to. Świetny scenariusz i nawet nie wiesz, ile sobie zadałem fatygi, żeby go zdobyć.

— Po co? Co w nim takiego specjalnego dla mnie?

Wydawała się tak zdeprymowana i znudzona, tak drażliwa w rozmowie z nim jak za każdym razem już od tygodni. Odkąd przestała opłakiwać utraconą rolę, zrobiła się okropna. Ale wiedział, jaka jest nieszczęśliwa i jaki przechodzi kryzys bez pracy, którą miała przez jedenaście prawie lat. Każdemu byłoby ciężko.

— Tylko to, że serial jest Mela Wechslera i że on dobiera teraz obsadę. Chcę pokazać mu kilka kaset ze „Smutków”, jeżeli pozwolisz.

— Czy ten serial będzie nadawany w dzień? — W głosie jej zabrzmiała nadzieja.

— Nie, w porze szczytu — powiedział agent z durną, a ona omal nie cisnęła słuchawki.

— Lou, niech cię diabli, nie możesz tego zrobić.

— Przeczytaj scenariusz, a kłócić się o to możemy później.

Nie poinformował jej, że już przesłał kasety do biura Wechslera, ale zadzwonił nazajutrz, by jej powiedzieć, że Wechsler go wezwał.

— Dlaczego? — Nie rozumiała. Przeczytała scenariusz ubiegłej nocy, gdy Jack położył się spać, i była zachwycona, ale wiedziała, że nie może tego dotknąć. Szczytowa pora oglądalności telewizyjnej!

— Dlaczego? Zadzwonił do mnie, bo spodobałaś mu się w „Smutkach”. Oto dlaczego.

Przeczytałaś ten scenariusz?

— Tak.

— I? — To było jak wrywanie zębów.

— Owszem, owszem, ale co z tego? Nie mogę w tym grać, wiesz przecież.

— Bzdura. Jeżeli dostaniesz rolę w tym serialu, to będzie twoja największa aktorska szansa. Zabiję cię, jeżeli z niej nie skorzystasz.

— Tak czy owak, on mi nie proponuje roli.

— Chce się z tobą spotkać.

Serce jej zamarło.

— Kiedy?

— Jutro. O jedenastej. — Nie zapytał, czy to jej odpowiada. Po prostu musi odpowiadać.

— Mogę być w peruce? — Bo jednak zdecydowała się tam pojechać, ot, tak sobie, żeby potem powiedzieć Lou, że tam była. Zresztą co to szkodzi! Jack na pewno się nie dowie...

— Możesz być we wszystkich swoich perukach naraz i włożyć na nie w dodatku kapelusz. Tylko b ą d ż u niego, Jane. Zrób to dla mnie... proszę cię, na miłość boską...

— Dobrze, dobrze. Ale uprzedzam, jeżeli nie pamiętasz: żadnej roli w tym serialu nie przyjmę, bo nie mogę. Wiedziała, że w żadnym razie otrzymanie propozycji jej nie grozi, bardzo jednak chciała poznać Mela Wechslera.

Gdy Jack wieczorem wrócił do domu, trochę pijany i namiętny, nie przejmowała się tym, że jest nieprzyjemny, że się uskarża i że co chwila chce ją posiąść. Ciągłe myślała o spotkaniu z Melem Wechslerem nazajutrz przed południem. Poczekała, aż Jack w końcu zaśnie, wstała i jeszcze raz przeczytała scenariusz. Był najlepszy ze wszystkich scenariuszy, jakie w życiu zdarzyło jej się czytać. Ukryła go w swojej szafie, zanim wróciła do łóżka, a potem leżała bezsennie, wyobrażając sobie, jak to będzie — znowu w wytwórni, chociaż tylko z wizytą. Nazajutrz Jack wstał jak zwykle o piątej rano. Podała mu kawę i gdy wyjechał do biura o szóstej, miała godzinę dla siebie przed podaniem śniadania dziewczynkom. O ósmej znów była sama i miała dwie godziny na przygotowanie się do wielkiego spotkania z Melem Wechslerem. Umalowała się starannie i wybrała ładną beżową sukienkę, którą kupiła zaledwie tydzień temu. Sukienkę nie rewelacyjną, ale wyglądającą na drogą. Uczesała się

byle jak, bo miała włożyć perukę. Zabrała perukę z krótkimi kędziorkami do włożenia w damskiej toalecie na którejs z stacji benzynowych po drodze do Los Angeles.

Jadąc była tak zdenerwowana, że omal nie zapomniła się zatrzymać, ale ostatecznie zatrzymała się na stacji przy autostradzie z Pasadeny. W toalecie, gdy przejrzała się w lustrze, chciała zawrócić do domu. Zmęczona twarz, nowe maleńkie zmarszczki pod oczami, czarne włosy ją szpeciły i postarzały. Nawet poigrała z myślą, żeby zdjąć perukę, ale jak mogłaby się pokazać taka ruda i nie uczesana? Nie pamiętała, że ma bardzo ponętą figurę w tej dopasowanej sukience z beżowego kaszmiru, sensacyjne nogi w czółenkach na wysokich obcasach i że jest utalentowaną aktorką. W „Smutkach” przez jedenaście prawie lat grała dobrze. Inaczej by jej nie trzymali

— z nikim z nich przecież nie sypiała. Trwała w tym serialu tak długo tylko dzięki swojemu dobremu aktorstwu, czasem nawet znakomitemu. I telewizywnie odbierali ją doskonale. Dostawała w każdym tygodniu dziesiątki listów świadczących, że ją lubią. Ale wydawało jej się, że tamto wszystko się nie liczy. Seriale Mela Wechslera to zupełnie inna kategoria. Podjechała pod bramę tak przerażona, że jej zaschło w ustach. Strażnik przy bramie jednak uśmiechnął się z uznaniem. Była ładną dziewczyną, pomijając te czarne szorstkie włosy, co zauważył także Mel, gdy usiadła naprzeciw niego zakładając nogę na nogę i zaraz zdejmując, i ściskając w rękach torebkę, jak gdyby osłaniała się tarczą. Wzruszyło Mela jej przerażenie. Taka nieopancerzona, taka niewinna pomimo swego wieku! Aż chciałoby się objąć ją ramieniem, powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale tak też będą na nią reagować telewizywnie. Będą chcieli ją chronić przed Eloise, będą ją popierać. Jane Adams to właśnie ten kontrpunkt dla Sabiny. Akurat taka, o jaką mu chodziło, z wyjątkiem tych czarnych włosów...

Nie odrywał od niej wzroku, gdy rozmawiali, i raptem doznał olśnienia. Z uśmiechem pochylił się ku niej i łagodnie zapytał:

— Jane, czy mogę bardzo niegrzecznie o coś poprosić?

— O co? — Boże, pomyślała niemal w panice, on mi każe się rozebrać, on coś zrobi, on...

Zbladła i usłyszała:

— Czy to są pani włosy?

Zapomniała, że jest w peruce.

— Te? — zapytała tępo, dotykając czarnych sztywnych kędziorków. — Och! — Zaczerwieniła się jak burak. Jak córeczka sąsiadów, tyle że trochę starsza. — Nie, nie moje. Ja zawsze pracuję w... to znaczy, w „Smutkach”. Ja... — Nie mogła mu wytłumaczyć, lży ją piekły w oczy. I co mu powiedzieć?... Że mąż jej przed laty zabronił pracować, więc musiała mieć dwie tożsamości, żeby się nie dowiedział?...

— Czy bardzo by pani nie chciała zdjąć tej peruki? — Mel pomyślał, że może coś zdarzyło się z jej włosami, a potem patrzył zdumiony, gdy powoli zdjęła perukę i siedziała przed nim nie uczesana, ale pięknie, naturalnie rudowłosa. — To pani naturalny kolor, Jane?

Uśmiechnęła się do niego.

— Tak, mój naturalny. Zawsze jako dziecko nienawidziłam moich włosów. — Wzruszyła ramionami.

Wygląda na czternastolatkę, a nie na kobietę trzydziestodwuletnią, pomyślał uradowany. Oto moja Jessica! Doskonała! Sabina zmysłowa, mocna, blond, a ta — miły rudzielec chwytający za serce. Kobiety będą się z taką Jessicą utożsamiać, bo chociaż tak niewiarygodnie zgrabna i płomiennie ruda, nie ma w sobie nic zagrażającego. A mężczyźni wszyscy będą chcieli mieć ją w łóżku. Nawet dzieci będą w niej zakochane, bo jest taka przemiła. I wiedział, że ona umie grać. Zobaczył w sumie jej sześć epizodów. Jest dobra... nawet bardzo dobra... Promieniał teraz patrząc na nią.

Uśmiechnęła się do niego. Okazał się wcale nie taki, jak myślała. Nie przyjął jej wyniośle ani szorstko, ani nieuprzejmie. Już się go nie bała. Wyobraziła sobie, że mogłaby się z nim

zaprzyjaźnić. A nawet się w nim zakochać... gdyby nie było Jacka, oczywiście. I wydaje się taki ojcowski, chyba wspaniale potrafi postępować z dziećmi. Myśli przelatwały jej przez głowę, gdy tak siedziała patrząc na niego, a on rozparty w fotelu podziwiał jej włosy. Podziwiał profesjonalnie, już kreował ją w swoim serialu.

— Wiesz, Jane, jesteś piękna. — Nic osobistego nie było w jego stwierdzeniu, ale i tak się zarumieniła.

— Ja uważam, że jestem pospolita.

I poniekąd jest pospolita, pomyślał. Ta czysta twarz typowej ładnej Amerykanki, piękne równe zęby, wielkie niebieskie oczy i blady gwiazdny pył piegów, makijaż ich nie ukryje. Ale te piegi nie rażą, przeciwnie, dodają jej wdzięku. Jane Adams wygląda miło, ponętnie i tak, że chce się być z nią w przyjaźni, lecz zarazem tak, jakby potrafiła stać się płomienna. Mnóstwo można z niej zrobić. I oczywiście ładnie się ubierze. François Brac będzie wiedział, jak ją ubrać, chociaż jej garderoba nie musi tak olśniewać, jak ta zaplanowana dla Eloise. François został zaangażowany do ubierania kilku innych żeńskich ról także. Jane w jego kreacjach będzie bajeczna: w futrze, w sukni wieczorowej... Mei przymrużył oczy patrząc na nią.

— Jak ci się podoba scenariusz, Jane? — Nie wątpił, że scenariusz jej się podoba, ale chciał usłyszeć jej zdanie. Ostatecznie to profesjonalistka w świecie melodramatu, a seriale nadawane w południe

niezbyt różnią się od wieczornych poza tym, że są może trochę bardziej e lodramatyczne.

— Ogromnie.

— Główną rolę męską bierze Zack Taylor. — Zobaczył wyraz jej OCZU, a wiedział, że każda kobieta w Ameryce tak właśnie, jak gdyby miała spaść z krzesła, będzie reagować na widok Zacka. — Załatwiliśmy to wczoraj wieczorem. I Sabina Quarles zgodziła się grać rolę Eloise. — Mignęło w jego oczach coś osobistego, lecz Jane nie zwróciła na to uwagi. — Mamy też młodego aktora, Billa Warwicka, do roli syna Sabiny, jest bardzo dobry. — I już jego oczy pytały. Jane zbladła.

— No co, Jane, zagrasz Jessicę?

Będzie musiała mu powiedzieć... A on zapyta, dlaczego w takim razie przyjechałam. A dlaczego przyjechałam? — bledła się. Pomyśli, że bawię się nim, będzie wściekły. To dobrotliwe spojrzenie nie będzie już dobrotliwe. Poczwała grozę.

— Ja... nie wiem., chyba nie jestem odpowiednio przygotowana.

— To nie różni się tak bardzo od „Smutków” i myślę, Jane, że jesteś przygotowana. Tak samo myśli Lou. Długo z nim rozmawiałem dziś rano.

Lou mnie lansuje. Drań. Przecież wie, że nie mogę przyjąć tej roli. Jak mógł dopuścić do takiej sytuacji?

— Muszę się nad tym zastanowić — zastrzegła.

— Nam zależy na tobie, Jane. — Mel podał sumę, której zażądał dla niej Lou, a ona tak już zbladła, że piegi niemal sterczały. Pół miliona dolarów... Boże... ileż można by zrobić z tymi pieniędzmi... Jack krzyczy przez cały czas, że wydaję każdą dziesięciocentówkę, jaką on zarabia.

— Ja... mnie... bardzo mi to pochlebia, Mei.

— Nie musi. Jesteś warta tej sumy co do grosza. — Och, Boże on mnie zmiesza z błotem, kiedy mu odmówię. — No, zastanów się nad tym, będę czekał na odpowiedź.

Z uśmiechem wstał i wyprowadził ją z gabinetu obejmując ramieniem, czując się serdecznie braterski. Przedziwne wrażenie Zrobiła na nim ta kobieta. Chciał jej powiedzieć, żeby pojechała do domu, a on już wszystkim się zajmie.

— Zadzwoń jeszcze raz do Lou — powiedział. I gdy zadzwonił, dorzucił do proponowanej sumy dwieście tysięcy.

Ale Jane nie obchodziły pieniądze. Oszołomiona samą rozmową z Melem i tym, co jej mówił, tak nieprzytomnie wyjeżdżała z terenu wytwórni, że uderzyła w jeden z zaparkowanych

samochodów i zgmiotła przedni zderzak. Drżącymi rękami zostawiła kartkę na szybie tego samochodu i pojechała do domu, gdzie Bogu dzięki, nie zastała nikogo. Nawet nie myślała o samochodzie. Myślała tylko o Melu Wechslerze i o serialu, w którym nie mogła grać. Gdy telefon się rozdzwonił, nie chciała odebrać. Wiedziała, kto to, i ostatecznie podnosząc słuchawkę, nie zdziwiła się. Oczywiście, Lou.

— Dostał bzika na twoim punkcie. Nawet podniósł ci gażę.

Bliska łez usiadła z czarną peruką w ręce. Omal nie zapomniała zabrać tej peruki z samochodu.

— Ja nie mogę w tym grać, Lou. Ale to było cudowne.

— Diabła tam cudowne. Najwspanialsza propozycja ze wszystkich, jakie kiedykolwiek dostaniesz. — Nie napomknął, że ona ma trzydzieści dziewięć lat, więc to dla niej niebywała szansa. — Musisz w tym grać, Jane.

— Nie mogę.

— Dlaczego, do cholery jasnej? — Ale Lou wiedział, dlaczego.

I już niedobrze mu się robiło od słuchania o tym. — Wiem, wiem, z powodu Jacka. Na Boga, powiedz mu, jakie to pieniądze, żaden człowiek takim pieniądzom się nie oprze, choćby Bóg wie co myślał o Hollywood.

— Jego to nie poruszy.

Jednakże wyjątkowo nie była całkowicie tego pewna. Siedemset tysięcy dolarów, każdemu piekielnie trudno byłoby odrzucić takie bogactwo. Jack nie zarabia bodaj w przybliżeniu tyle w firmie maklerskiej swojego ojca. Zarabia sto tysięcy rocznie i uważa, że to bardzo dużo. Swoje dawne zarobki ukrywała, wyjaśniała, że ma pieniądze z procentujących wkładów, które jakoby poczyniła dawno temu. Ale ukrycie tak wielkiej sumy byłoby niemożliwością. Nikt nie wyciągnie takich procentów z lokat. Nawet Jack.

— Nie dam ci zrezygnować. — Lou był stanowczy.

Ze łzami w oczach odezwała się dopiero po chwili.

— Nie mam wyboru.

— Jeżeli to odrzucisz, jesteś niespełna rozumu. Proszę, żebyś z nim porozmawiała. Powiedz mu, że chcesz w tym grać... powiedz mu, że ja cię zabiję, jeżeli nie będziesz w tym grała... powiedz mu, co chcesz, i zadzwoń do mnie jutro. Ja Wechslerowi powiedziałem, że zgłosimy się pod koniec tego tygodnia.

Wiedziała, że na nic wszelkie argumenty, i serce jej się wyrывało do tej roli, ale nie mogła sobie wyobrazić, jak to wytłumaczy Jackowi.

Jeszcze bardziej nie mogła, gdy Jack wrócił wieczorem do domu i zwymyślał ją za uszkodzenie samochodu. Wypił za dużo, szalał z wściekłości. Nawet groził, że jej ten samochód odbierze i niech jeździ furgonetką volvo, którą mieli dla dzieci.

— Do diabła, Jane, nawet nie potrafisz prowadzić wozu!

Zawsze ją lekceważył, ale ostatnio robił to przy dziewczynkach i tym bardziej było jej przykro. I one wtedy przyłączały się do niego, jak gdyby wolno im było wrzeszczeć na matkę, skoro ojciec to robi.

W żaden sposób nie mogła go przekonać, że przy dzieciach nie powinien podnosić na nią głosu. Usiłowała mu wyjaśnić, że córki tracą szacunek do niej, kiedy tak ją traktuje w ich obecności. Alexandra teraz, jakby na dowód tego, zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem i zwróciła się do swego taty.

— Czy ja mogę mieć samochód mamy?

— A wiesz, to nie jest zły pomysł! — Zawsze psuł Alexandrę, a z niej robił idiotkę, jak gdyby nie dorównywała inteligencją własnym dzieciom. Nie przejmowała się tym tak bardzo, gdy

codziennie grała w „Smutkach”. Tyle zadowolenia czerpała ze swojej pracy, że życie domowe jakoś nie miało wielkiego znaczenia, przynajmniej te problemy. Ale teraz wszystko nabierało ostrości. — Ty prowadzisz lepiej niż mama, Alex. — Uśmiechnął się do swego najmłodszego dziecka. I Alyssa także.

Potem skrytykował obiad i zapytał, dlaczego ona nigdy nie ugotuje czegoś, co mógłby zjeść, a potem wściekły wyleciał z domu jak burza, rzekomo, żeby grać z kimś w tenisa, dopóki się nie ściemni, ale podejrzewała, że to coś innego. Nie przebrał się do tenisa i gdy wrócił, Jeszcze bardziej pachniał alkoholem. Bywały chwile, gdy zastanawiała się nawet, czy jej nie zdradza, chociaż trudno byłoby w to uwierzyć, zważywszy, co z nią wyprawiał. Ale teraz jej nie tknął, tylko ponownie zwymyślał za uszkodzenie samochodu, nazwał ją „głupią dupą” i wtedy raptem coś w niej pękło. Dostyc już obelg słyszała przez te wszystkie lata i to prawda, że jest tym, za co on ją uważa: ciałem, które przed laty sobie kupił i może używać, kiedy mu się podoba. Ale ona już nie chce być używana przez niego ani przez kogokolwiek innego. Nawet przez córki, które w ten wieczór traktowały ją jak popychadło, gdy już się nasłuchały wymysłów Jacka w czasie kolacji.

— Nie mów tak do mnie — warknęła. Po raz pierwszy warknęła na niego.

— Jak?

— Nie przezywaj mnie.

— Co, że dupa? — Uśmiechnął się złośliwie. — Przecież tym jesteś, no nie?

Był bardziej pijany, niż jej się z początku wydawało, więc wołała uniknąć kłótni. Weszła do łazienki, zamknęła drzwi i pod prysznicem rozmyślała o serialu i o Melu Wechslerze, i o wszystkim, co Lou powiedział, gdy nagle Jack szarpnięciem otworzył drzwi.

— Wyłaż stamtąd.

Nie wiedziała, co w niego wstąpiło. Był gorszy niż zwykle, jak gdyby usiłował coś udowodnić.

— Biorę prysznic. — Głos miała spokojny, ale ogarnął ją gniew. Jack mnie powstrzymuje przed spełnieniem jedyne go mojego pragnienia na świecie i robi to już od tak dawna. Przez prawie jedenaście lat musiałam się ukrywać z tym, że pracuję, zamiast być z tego dumna, a teraz, jeżeli będę mu posłuszna, stracę największą sposobność w swoim życiu. Powiedziała:

— Zaraz wyjdę.

— Nie zaraz, tylko już. — Chwycił ją za rękę, tak że przemokła mu koszula, ale nie dbał o to.

— Puść mnie. — Głos miała teraz niebezpiecznie spokojny. Szarpnął ją mocno, omal się nie osunęła, ale uwolniła rękę. — Przestań, Jack.

— Dupo zakichana! — powiedział wstrętne znowu i wyciągnął ją spod prysznica. Gruchnął ją na umywalnię i przycisnął rozciągając jej ręce szeroko w swych zaciśniętych dłoniach, wpychając kolano między jej uda. — Winna mi to jesteś za rozbicie samochodu.

— Nic ci nie jestem winna. — Mówiła głosem cichym, bezbarwnym, przeczącym temu, co czuła. — Zostaw mnie.

Parsknął śmiechem, chwytając ją w kroku.

— Jesteś moja i nigdy o tym nie zapominaj, suko. — Odwrócił się i wyszedł, a ona stała w łazience rozdygotana, zapatrzona w jego oddalające się plecy. Chciała wrzasnąć na niego, ale zabrakło jej odwagi. Chciała wrzasnąć, że nie jest jego, że nie jest niczyja. Ale on ją przecież uważa za swoją własność. Uważa, że ją kupił ofiarując jej szacowność, życie w charakterze żony maklera. On nic nie rozumie.

Wytarła się i włożyła szlafrok, zanim weszła do sypialni. Jack siedząc na łóżku, oglądał telewizję, jego ubranie leżało w stercie na podłodze. Zawsze tak rzucał swoje rzeczy.

Wszystko robiłam za niego jak przystoi żonie doskonałej, pomyślała i po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat przyznała się przed sobą, że go nienawidzi. Dostyc już odgrywania roli doskonałej żony, doskonałej pani domu, doskonałej nałożnicy. Dostyc już, dostyc tego wszystkiego!

— Jack, muszę z tobą porozmawiać. — Przełączył telewizję na inny kanał, nie zwracając na nią uwagi. Usiadła w fotelu w drugim końcu sypialni, daleko od jego łapczywych rąk. Bała się, ale wiedziała, że musi mu to powiedzieć w każdym razie. — Muszę z tobą porozmawiać. — O czym? Że zapłacisz mi za samochód? — Nawet na nią nie spojrzął.

— Nie. Zaproponowano mi rolę w serialu telewizyjnym.

— Czyżby? Wielka sprawa.

— Chcę ją przyjąć.

Długo się nie odzywał, potem spojrzął na nią.

— Co ty mówisz?

— Tylko pogarda brzmiała w jego głosie, a ona teraz zauważyła, że ten przystojny blondyn sprzed lat wcale już nie jest przystojny. I tak często wygiada antypatycznie.

— Zaproponowano mi rolę w serialu telewizyjnym — powtórzyła.

Bardzo dużą rolę.

— Coś takiego. Kto ci zaproponował? — Zabronił jej dawno temu nawet telefonować do Lou.

— Nieistotne. — Nagle poczuła, że serce jej drży przed tą rozmową. On jest czasami taki przerażający! — Chcę ją przyjąć, Jack... to by dla mnie wiele znaczyło...

— Czyś ty rozum straciła? Powiedziałem ci: koniec z tym wszystkim po ślubie, Czy może chcesz znowu sypiać z reżyserami i producentami?

Brzydkie zagranie, oboje wiedzieli, że nigdy z nikim nie sypiała. Przynajmniej ona wiedziała, zawsze się zastanawiała, czy Jack w to wierzy.

— Nigdy tego nie robiłam.

— No, nie wrócisz do tego. Nie możesz wygłupiać się w jakiejś szmirowatej farsie i być moją żoną.

— To nie farsa. To duży serial. Mel Wechsler go produkuje.

— I kiedy to wyskoczyło? Co ty uknułaś, Jane? — Mówił do niej jak do dziecka na wagarach, ale przynajmniej z nią rozmawiał.

— Dzisiaj.

— Więc skąd wiesz o tym aż tyle?

Nie odważyła się powiedzieć, że wie od samego Mela.

— Mój dawny agent zadzwonił.

— Zabroniłem ci z nim rozmawiać — Jack znów patrzył na ekran telewizora. — Po prostu zapomnij o tym. I już. Każ im się wypchać.

Więc ostatecznie nie było z nim żadnej rozmowy. Siedziała zastanawiając się, co powiedzieć jeszcze, gdy usłyszała stuknięcie do drzwi.

Weszła ich córka, Alexandra, z naręczem wypranych rzeczy i lekceważącą miną. Rzuciła te rzeczy matce na kolana i nieomal plunęła w nią słowami:

— Nic mi dziś nie wyprasowałaś.

— Miałam co innego do roboty — Jane zwinęła łauszki i oddała Alexandrze. Nagle wszystko się w niej odmieniło. Już nie da nikomu z nich sobą pomiatać. — Wyprasuję, kiedy znajdę czas.

— Nie mam co na siebie włożyć! — To był gniewny skowyt.

Jane wstała. Dostyc tego. Po raz pierwszy od lat poczuła, że nie ustąpi.

— Masz pełną szafę. Na pewno coś tam wyszukasz.

— Nie możesz małej wyprasować? — wtrącił się Jack. — Siedzisz teraz beczynn timer. —

Dochodziła godzina jedenasta w nocy i ona jeszcze chciała z nim porozmawiać, co nie znaczy, że miała na to nadzieję.

— Wyprasuję jutro. — Nagle skuliła się, zmęczona i przygnębiona. To jest czasami jak życie wśród wrogów, zwłaszcza gdy atakują zbiorowo. Dlaczego tak się do niej odnoszą?

Jack spojrzął na nią gniewnie.

— Zrób to teraz.

— Dziękuję, tato. — Alexandra patrzyła na ojca z uwielbieniem.

— Czy mogę jutro samochodem mamy pojechać do szkoły?

— Muszę go oddać do warsztatu. — Jack znów się zirytował, zerknął na żonę. — Ale będziesz mogła nim jeździć, kiedy tylko go odbiorę.

To był jeszcze jeden policzek dla niej. Dostała od niego już wszystko, co mogła dostać.

Wzięła rzeczy Alexandry i poszła do kuchni. Wyciągnęła deskę do prasowania, żelazko. Mieli sprzątaczkę trzy razy na tydzień, ale ona prasowała staranniej niż sprzątaczką. Sama ich zepsuła i płaciła za to. Teraz jednak wiedziała, że ma dosyć tego wszystkiego. I ich wszystkich!

Prasowanie zabrało jej godzinę i gdy wróciła do sypialni, Jack spał przy włączonym telewizorze. Wyłączyła telewizor i przez długi czas stała patrząc na Jacka, a potem cicho wsunęła się do łóżka. Myślała o Melu, o tym, jaki był dobrotliwy.

Nazajutrz rano Jack pojechał do pracy, zanim Jane się obudziła. Dziewczynki pojechały do szkoły furgonetką volvo, a Jack zabrał nie tylko jej samochód, żeby go oddać do warsztatu, ale i kluczyki do swojego, więc została w domu unieruchomiona jak niegrzeczne dziecko.

Tego też miała nagle dosyć. Tak jak wszystkiego, wszystkiego! I pieniądze, które jej proponował Wechsler, wydawały jej się czymś cudownym.

I serial cudowny. Zdecydowała się wziąć wreszcie swoje życie we własne ręce, zadzwonić do Lou. Za dużo by straciła, gdyby zrezygnowała. I to w imię czego? Żeby wysłuchiwać obelg od męża i dzieci? Może kiedy już ochłona po wstrząsie, będą ją bardziej szanować.

Zawsze istnieje taka możliwość i Lou ma rację: Jack się z tym pogodzi. Będzie musiał.

Drżącymi rękami podniosła słuchawkę, wykręciła numer. Po chwili Lou się odezwał.

Zdenerwowana, ledwie coś mogła wykrztusić.

— No? — Wstrzymał oddech.

— Powiedz Wechslerowi, że przyjmuję.

Lou Thurman aż zapiał.

— Alleluja, dziecko! Napędziłaś mi strachu na chwilę.

— Sobie też. — Uśmiechnęła się. Ręce jeszcze jej się trzęsły jak liście.

— Będziesz gwiazdą, wiesz o tym?

— Chodzi mi tylko o pracę. Kiedy zaczynam?

— Zadzwonię do ciebie po południu.

Nie miał czasu, ale przysłał kwiaty, Mei tak samo. Dostała dwa duże bukiety. Jeden w swojej chwale ozdobił jadalnię, drugi przysłonił część frontowego hallu. Były to piękne kwiaty i bała się do utraty zmysłów, co powie Jack, kiedy je zobaczy, a przecież po raz pierwszy w życiu czuła się pewna siebie, silna i bardzo, bardzo zdolna.

## ROZDZIAŁ X

Zabuczał telefon wewnętrzny i Mei

Wechsler spojrział na zegarek.

Więc przyszła punktualnie? Czekał zadowolony. To, że Jane Adams przyjęła rolę Jessiki, nadało koncepcji serialu jeszcze lepszą formę i miał nadzieję, że ta dzisiejsza dziewczyna też będzie dobra. Nie ma dużego doświadczenia, ale widział jej kasetę — głównie reklamówki

i parę małych ról. Uznał, że pod odpowiednim kierunkiem będzie nawet świetna, a wygląda zupełnie tak, jak sobie wyobrażał Tamarę w serialu, córkę Sabiny, siostrzenicę Jane.

A jednak gdy weszła do jego gabinetu, był zaskoczony jej urodą „na żywo”. Uderzająco piękna dziewczyna, długie, jedwabiste, kruczoczarne włosy i zielone oczy — chociaż trochę mniejsza, niżby sobie życzył. Takiej aparycji nie sposób nie zauważyć. Ma dwadzieścia cztery lata, jak napisała w życiorysie, ale wydaje się młodsza, też dobrze. Tamara Martin w scenariuszu ma dziewiętnaście lat, jest dzieckiem poniewczasie w życiu Eloise i nie cierpi swojej matki. Przeprowadza się do ciotki i ostatecznie przysporzy obu paniom sporo kłopotu. Ta dziewczyna wygląda na zdolną do przysparzania kłopotów. A jakże, na zdolną do wielu rzeczy. Głos ma ciepły, aksamitny i taka zrównoważona. Trochę podekscytowana rozmową w sprawie roli, ale o ileż lepiej panuje nad sobą niż Jane Adams. Mei zaopiniował w duchu, że zajdzie daleko — warto jej pomóc, dając największą rolę w dotychczasowej karierze.

— Panno Smith, proszę mi powiedzieć coś o sobie.

Z nią nie musiał być taki delikatny jak z Jane. Ta potrafi dbać o swoje interesy. Podobały mu się iskierki w jej oczach. Pewnie potrafi też być zabawna i psotna. Bardzo dobrze.

— Jestem jedynaczką. Przyjechałam ze wschodu, mieszkam tu od dwóch lat.

Tego nie wiedział. Skoro tylko od dwóch lat, dokonała już dużo.

— Jakie ma pani przygotowanie?

— Studiowałam na wydziale dramatycznym w Yale.

To mu zaimponowało, chociaż tego nie okazał. Zawsze mu imponowali ludzie wykształceni w dobrych wyższych uczelniach na Wschodnim Wybrzeżu. Coś wyczuwał w Gabrielle Smith, chciał wiedzieć, co to, ona jednak mówiła ostrożnie. Niewiele też informacji osobistych podała w życiorysie.

— Gdzie pani była na wschodzie? Wahala się przez sekundę.

W Nowym Jorku. Tam chodziłam do szkoły. — Nie powiedziała mu, że była również w szkole z internatem w Szwajcarii i mówi doskonale po francusku, i zanim pojechała do Yale, ukończyła jedną z najlepszych szkół przygotowawczych w Nowej Anglii. Wielu szczegółów o sobie nie powiedziała Melowi Wechslerowi i w ogóle nikomu w Los Angeles.

— Jaką ma pani rodzinę?

Uśmiechnęła się i zastanowiła, dlaczego ją o to pyta.

— Bardzo miłą. Jestem z moją rodziną w doskonałych stosunkach.

— Pewnie są z pani bardzo dumni.

Uśmiechnęła się znowu, zdawkowo. Nie powiedziała mu, że rodzice rozpaczali, gdy zdecydowała się zostać aktorką. Ojciec — bo miał nadzieję, że córka będzie studiować prawo, matka — bo chciała ją wydać za mąż. Ale jeśli ma się własne marzenia, trzeba być wobec rodziców stanowczą.

— Przeczytała pani scenariusz, Gabrielle?

— Tak. Jest najlepszym scenariuszem, jaki w życiu czytałam.

— Uśmiechnęła się szeroko i teraz w jej uśmiechu prześwitywała psotność. — I cieszę się, że pan wezwał mnie, a nie jakąś inną.

Powiedział jej, kto będzie w obsadzie, i wyraźnie zrobiło to na niej wrażenie.

— Kiedyś grałam w reklamówce z Billem Warwickiem. Dobry jest, ma warsztat.

— Pani też jest dobra. Bardzo mi się pani podobała w tym, co widziałem.

— Dziękuję panu.

Jej ton sprawił, że Mel patrząc na nią znów się zastanowił i spróbował jeszcze raz.



— Gabrielle, kim jesteś, dziewczyno, naprawdę? Ty chyba coś przede mną ukrywasz. Dziwnie mi odstajesz od klasycznego hollywoodzkiego szablonu. — I to także mu się w niej podobało. Nawet bardzo. Ale chciał wiedzieć wszystko.

— Czy to ważne?

— Być może. Masz jakieś sekrety, z których chciałabyś mi się zwierzyć? Tylko gdyby wymagała tego konieczność, pomyślała. To jest właśnie ta cholerna druga strona medalu. Nigdy nikomu się nie zwierzyła. Teraz też ani jej się śniło zwierzać Melowi Wechslerowi.

— Nie mam, proszę pana.

Jest z siebie zadowolona. Miła dziewczyna, zdrowa i piękna. Doskonała do tego serialu. Oni wszyscy są doskonali. Sabina, Zack, Jane, Bill i teraz Gabrielle, pomyślał i uśmiechnął się do niej, gdy jeszcze się modliła, żeby dostać tę rolę.

— Wyjazd na zdjęcia do Nowego Jorku szóstego grudnia. Mógłby z tym być jakiś problem, Gabrielle?

— Och! Ależ nie! — I wiedziała, że rodzice będą zachwyceni. Spędzi z nimi Boże Narodzenie. Jeżeli dostanie tę rolę. Wielkie e żeli. — Na długo wyjedziecie? Uśmiechnął się.

— Na cztery do sześciu tygodni. — Zdecydował się uraczyć ją dobrą nowiną. Bo i po co zwlekać, przeciągać? — Nie „wyjedziecie”, tylko wyjedziemy, Gabrielle. Mam nadzieję, że chcesz jechać z nami.

Oczy jej się rozszerzyły. Zapatrzona w niego, rzeczywiście jak dziecko zerwała się na równe nogi.

— Poważnie? Dostanę tę rolę? — zapytała z takim niedowierzaniem, jakby to było zupełnie nierealne.

Roześmiał się.

— Poważnie, Gabrielle, jesteś świetną aktorką, dlatego cię angażuję.

— Auu! — Przeszła za biurko i zarzuciła mu ręce na szyję. Mocno, głośno cmoknęła go w policzek, a potem cofnęła się, odwzajemniając jego uśmiech. — Dziękuję, panie Wechsler. Dziękuję! — Uścisnęła mu rękę.

Odprowadził ją do drzwi, powiedział, że jutro zadzwoni do jej agenta. Patrzył, jak ona wychodzi i zbiega ze schodów. Słyszeć jej nie mógł. Gdy wyszła na chodnik przed budynkiem, podskoczyła wysoko, tak jak się nauczyła w balecie, i wydała jeden okrzyk radości. Udało się! Dostała największą rolę swego dotychczasowego życia. Gabby Smith w drodze do sławy!

## ROZDZIAŁ XI

— Od kogo to? — zapytał Jack Adams

podejrzliwie, gdy idąc od drzwi frontowych zobaczył dekorację z kwiatów. Dość długo panowała cisza. Jane patrzyła na niego. Przez całe popołudnie układała sobie, co i jak mu powie, a teraz nagle ani rusz nie mogła sobie przypomnieć z tego ani słowa. Było jeszcze trudniej, niż się obawiała.

— Pytam, od kogo te kwiaty. — Nie dostawała kwiatów od nikogo poza nim, a on od dziesięciu lat nie dał jej małego bodaj kwiatka.

— Od Lou.

— Z jakiej racji? Powiedziałaś mu, żeby się tą swoją rolą wypchał?

Wolno potrząsnęła głową. Miała załatwić najtrudniejszą ze wszystkich spraw swego życia. Ale nie wątpiła, że postępuje słusznie. Oni zaczną ją potem traktować inaczej. Jacki dzieci. Będą ją szanować. Na pewno. I co ważniejsze, ona będzie szanować siebie.

— Bo chyba tak mu powiedziałaś?

— Nie, nie tak. — Mówiąc to Jane wyglądała pięknie, ale Jack tego nie widział, a sama o tym nie wiedziała. — Powiedziałam mu, że przyjmuję.

— Ze co? — Osłupiał, jakby dostał po twarzy.

— Powiedziałam mu, że przyjmuję tę rolę. — Głos miała teraz mocniejszy. — Wiem, co o tym myślisz, Jack... ale dla mnie to ważne. Bardzo ważne, naprawdę. — W każdym swoim słowie czuła zwycięstwo.

Jack patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom.

— Nie pamiętasz, co ci mówiłem? — Jeszcze stali w tym małym hallu wejściowym i woń kwiatów zdawała się ich spowijać. Jane prawie nie mogła oddychać pod gniewnym wzrokiem męża. — Nie pamiętasz, że mówiłem: albo Hollywood, albo ja? Nie pamiętasz? — Zawsze ten sam jego sposób przemawiania do niej jak do wyjątkowo głupiego dziecka.

Przytaknęła żałośnie.

— Pamiętam, ale... Jack, to jest coś innego. To ważna rola w dużym serialu.

Przerwał jej.

— Z kim poszłaś do łóżka, Jane, żeby ci ją dali?

— Z nikim. — Popatrzyła na niego zgnębiona. — Był telefon ni stąd, ni zowąd. — Właściwie nie kłamała. Kiedyś będzie musiała mu powiedzieć prawdę, powiedzieć, że grała w „Smutkach”, ale na to jeszcze czas.

— Dlaczego telefon? Dlatego, że wiadomo, jak się puszczasz?

Już płacząc odwróciła się od niego.

— Nie mów takich rzeczy, Jack... proszę, pozwól mi to robić...

— Odwróciła głowę, podniosła na niego błagalne oczy.

Przepchnął się obok niej do saloniku i od razu zobaczył za otwartymi drzwiami jeszcze jeden ogromny bukiet. Wyniośle ruszył wtedy do sypialni, otworzył szafę, rzucił walizkę na łóżko. Przybiegła za nim.

— Jack, proszę... proszę, wysłuchaj mnie. — Zrozumiała, że ma go przeprosić i zrezygnować z tej roli, ale też wiedziała, że to nie jest z jego strony honorowo. I że to za wysoka cena do zapłacenia za tę odrobinę szczęścia, jaką on jej w zamian daje. — Proszę cię... — rozszlochała się.

Zaczął na nią wrzeszczeć, aż dziewczynki wybiegły ze swoich pokoi, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Wasza matka wraca do Hollywood, bo chce tam sypiać ze wszystkimi producentami i reżyserami, więc ja od niej odchodzę!

— wrzasnął do nich, gdy obie się rozplakały. — Odchodzę od niej, bo nie chcę być mężem hollywoodzkiej dziwki!

A przecież wymagał, żeby była dziwką dla niego o każdej porze dnia i nocy, bez ani jednego dobrego słowa po tych wszystkich zniewagach i brutalnościach, jakim ją poddawał, po dwudziestu latach uległości, do

której się poczuwała, skoro dał jej ładny dom i troje dzieci, i szacowność. A niech go diabli wezmą! Zatrzaskała drzwi sypialni, by dziewczynki nie mogły słyszeć, ale one i tak słyszały. Była teraz sina z wściekłości.

— Przestań mówić te plugastwa! Jestem ci wierna od dwudziestu lat i nigdy się nie puszczałam, n i g d y! Jack, słyszysz mnie? Chcę znów pracować zawodowo, chcę mieć

trochę uznania, trochę szacunku... chcę czuć, że coś osiągam, zanim zanadto się zestarzeję, żeby mnie to obchodziło, zanim ty mnie wdepczesz w ziemię po raz ostatni... Czy chcę zbyt wiele? Czy to tak źle?

Nawet jej nie odpowiedział, tylko wrzucił naręcza krawatów, koszul i bielizny w walizkę. Potem cisnął dwie pary butów i ekwipunek do tenisa, zatrzasnął walizkę po raz drugi, zaciągnął zamek błyskawiczny, zgarnął z szafy kilka ubrań i otworzył pchnięciem drzwi sypialni. Spojrzał na nią z całkowitą pogardą, a ona się zastanowiła, czy rzeczywiście znów dużo wypił, gdy powiedział:

— Zadzwoń do adwokata, Jane. J ponieważ masz swój zawód, nie będziesz potrzebować ode mnie niczego.

Jak on może o tym myśleć teraz? Jakie to ma znaczenie? Spuszcza z wodą dwadzieścia lat, ich całe wspólne życie, ich małżeństwo, jakkolwiek było puste! I to nic dla niego nie znaczy? Absolutnie nic? Jane patrzyła, jak dziewczynki czepiają się go, kiedy idzie przez hall, objuczony ubraniami i walizką, i błagają, żeby nie odchodził, żeby został z nimi. Alexandra nawet poprosiła, żeby ją zabrał ze sobą, na co odwrócił się do Jane z jadowitą miną.

— Widzisz? One też nie chcą mieszkać z dziwką.

— Przestań mówić do mnie w ten sposób! — Jane ruszyła ku niemu, ale córki ich rozdzieliły. Alex krzyknęła:

— Nie zbliżaj się do niego!... Nie zbliżaj się do nas! Nienawidzę cię!... Nienawidzę... Jeszcze szlochała, gdy Jack trzasnął frontowymi drzwiami i odjechał. Chwilę później dziewczynki zamknęły się u siebie, a Jane została sama ze swoimi myślami, rozbitymi marzeniami i szlakiem rozwleczonych krawatów i skarpetek, które Jack pogubił w hallu. Pozbierała je powoli wracając do sypialni, myśląc o tym wszystkim, co się stało. O tych chwilach, gdy Jack ją niszczył, o tych obelgach, jakie słyszała od niego nieustannie... I oto teraz ją porzuca... Tylko z powodu roli w serialu „Manhattan” czy może nie tylko? Może czekał na okazję już od dawna?

Dziewczynki nie wyszły ze swoich pokoi w ten wieczór, mimo że Jane co jakiś czas pukała cicho do ich drzwi. Zostawiła im kolację w folii w piecyku i wróciła sama do sypialni. Nie miała z kim porozmawiać, do kogo zadzwonić i żadnej pociechy nie mogła znaleźć u córek. Już Jack się o to postarał, jak zawsze starał się o wszystko. Siedziała dumając, czy jej decyzja jest warta ceny, jaką za to płaci. A gdyby tak zadzwonić do Lou i powiedzieć, że nie może przyjąć tej roli? Ale ja mam prawo ją przyjąć! Położyła się na łóżku i szlochała, dopóki nie zasnęła, nie wiedząc, jak to rozwiązać.

## ROZDZIAŁ XIII

Zaproszenie dostali wszyscy tego samego dnia.

Na karcie z wąskim złotym skrajem, kremowo-białej, sztychowanej u Tiffany’ego, był prosty nadruk: „Mei Wechsler ma zaszczyt prosić o przybycie... w dniu... o godzinie...” i poniżej adres domu w Bel Air. Sekretarka Mela Wechsiera starannie wpisała każde imię i nazwisko i godzinę ósmą, a na samym dole dopisała małymi literami tak, jak jej polecił: żeby poznać resztę obsady.

Zadzwoń do Chasena i zamówił dla gości ulubione menu Wechslera: befsztyki z papryką i pieczonymi kartofelkami, szparagi i sos hollandaise, przedtem hors d’oeuvres i mnóstwo kawioru. Na deser miał być treściwy tort czekoladowy i lody z czekoladowym sosem. To był dobry, prosty zestaw, smakowity dla każdego. Do tej kolacji miało zasiąść pięćoro gości i

Mei. Przyszło mu na myśl, by zaprosić też kilkoro przyjaciół, ale zaraz się rozmyślił. Najlepiej niech się poznają bez osób postronnych. To przecież pięcioro głównych aktorów nowego serialu — chciał, żeby się zaprzyjaźnili. Będą razem pracować, wszystko w tym serialu powinno iść możliwie gładko.

Przez cały tydzień Mei spotykał się z dyrektorami telewizji i już załatwił to, co było do załatwienia. Każdy z kontraktów został Podpisany, nie było żadnych nowych pomysłów wymagających omawiania z gwiazdami. Francois Brac spodziewał się przyjazdu Sabiny do Paryża za dwa tygodnie. Odbywały się w szybkim tempie przesiuchatyła aktorów do pomniejszych ról i już ich zaangażowano, był też Przeciek do prasy o czołowej obsadzie serialu „Manhattan”. Mei myślał o tym wszystkim ogromnie — słusznie, jak sam sobie przyznał

— zadowolony, wychodząc wcześniej tego dnia z biura. Chciał w domu osobiście dopilnować przygotowań do kolacji. Chciał się postarać, żeby atmosfera była taka, o jaką mu chodzi. Kazał sekretarce zaznaczyć na zaproszeniach, że obowiązuje strój wieczorowy, co powinno wytworzyć odpowiedni nastrój, zresztą zawsze przyjemniej wystroić się na przyjęcie, zwłaszcza dziewczynom.

I gdy przyjechał do domu, był zadowolony. Restauracja Chasena jak zawsze stanęła na wysokości zadania, resztą zajęła się już jego gospodyni. Miał nawet czas, by popływać w basenie i poleżeć. I wiedział, że gdyby zasnął, Maria obudzi go w porę, żeby bez pośpiechu mógł się ubrać.

Nie tylko Mei Wechsler spał w to popołudnie. Bill, zdenerwowany przez cały dzień, zdecydował się pobiegać po wzgórzach. Potem wrócił do domu, wziął prysznic i szybko zasnął, leżąc nago na łóżku przy strzegącym go Bernieem, wyciągniętym na podłodze, zdyszany w to ciepłe popołudnie. Gdy weszła Sandy, Bernie tylko zamerdzał ogonem. Jej nigdy nie witał z takim entuzjazmem jak Billa. Ale uważał, że nie potrzebuje czekać, znał ją i wiedział, że jest w tym domu mile widziana, chociaż nie było jej, odkąd kilka tygodni temu przyszła rano po swoje rzeczy.

Sandy stała przez chwilę, niepewna, czy Billa obudzić. I nagle lekko się poruszył. A potem jak gdyby zdał sobie sprawę, że ktoś jest w pokoju, usiadł raptownie i zagapił się na nią, nie bardzo wiedząc, czy widzi ją na jawie czy we śnie.

— Cześć...

Wyglądała jeszcze gorzej niż przed trzema tygodniami i serce mu się do niej wrywało. Miała brzydki siniec na policzku i jakąś świeżą bliznę nikałą we włosach.

— Gdzie się podziewałaś? — Gdziekolwiek ona się podziewa, to nie jest jej tam dobrze.

Przez chwilę grozy zastanawiał się, czy ktoś jej nie bije. — Wszystko w porządku?

To było idiotyczne pytanie. Przecież nic nie było w porządku, ale przynajmniej raz dla odmiany nie wydawała się kompletnie odurzona. Trochę może pobudzona, ale nie zanadto, i uśmiechnęła się do niego,

5jadając na krawędzi łóżka. Była w sukience, której nie znał. Gdzie ona teraz mieszka? Nagle poczuł onieśmienie, bo sobie przypomniał, że nie ma nic na sobie. Sięgnął po ręcznik, który zostawił na łóżku, i zakrył się. Uśmiechnęła się do niego.

— Słyszałam, że masz tę wielką szansę, na którą czekałeś. — Przytaknął bardziej przejęty nią niż sobą. — Cieszę się ze względu na ciebie, Bill.

— Dziękuję. — Ona podeptała swoją wielką szansę, którą przecież także miała, ale żadne z nich nie wspomniało o tym. — Gdzie mieszkasz teraz?

— U przyjaciół na South La Brea. Dobrze mi tam.

Trudno było w to uwierzyć, patrząc na nią. Zmęczona, niedomyta, wyglądała niechlujnie i tak, jakby jej przybyło dziesięć lat.

— Szkoda, że nie zgłosiłaś się do szpitala. — Nie chciał machnąć na nią ręką. Uważał, że jest jej coś dłużny przez pamięć na tamte dobre czasy, a także i w poczuciu winy, bo jemu życie zaczynało się już układać o wiele lepiej.

— Niedługo się zgłoszę, kiedy będę mogła.

— A może teraz? — Zabrałby ją wszędzie na każde leczenie z narkomanii, o którym on czy ona słyszeli. Po prostu żeby wiedzieć, że jest uratowana, zanim sam ruszy dalej ze swoim życiem.

— Teraz nie, muszę być gdzieś za chwilę. — Wiedział, że to kłamstwo i że nie ma sensu tego rozwijać. Utracił nad nią wszelką kontrolę, a tak naprawdę nie miał kontroli nigdy. — Chciałam tylko ci powiedzieć, że bardzo się cieszę ze względu na ciebie. Czy przeniesiesz się do Nowego Jorku?

Potrząsnął głową.

— Pojedziemy tam tylko na cztery czy sześć tygodni, ale dopiero za jakiś czas. Ja będę tutaj.

— Niech Sandy wie, że w razie potrzeby nadal może do niego zadzwonić. Bał się o nią.

Wkroczyła w świat przerażający dla niego, bał się, co w tym świecie ją spotka.

Pewnie chcesz niedługo wziąć rozwód.

— Nie ma pośpiechu. Nigdzie nie wyjeżdżam. Zgoda?

No pewnie. — Spojrzała na niego ze smutkiem, jak gdyby reprezentował to wszystko, co utraciła, a jemu serce się rozdzierało, gdy patrzył na nią. Na to przerażone, załamane dziecko. Ale wiedział, że już nie może nic naprawić, zresztą nigdy nie miał takiej możliwości.

— Ja tylko myślałam, że ty teraz... kiedy jesteś w tym serialu...

— Nie przejmuj się.

Patrzyła na niego.

— Nie chciałam, żebyś schodził na psy ze mną. Uważałam, że lepiej ci tak, jak jest, dlatego nie dzwoniłam.

Chciała mu wytłumaczyć i Bill zrozumiał. Uznał, że to dlatego nie wróciła. Owinął się w pasie ręcznikiem i wstał, przy czym kontrast między nimi był, że Boże zmiłuj się. Sandy taka chuda, taka blada i chora, Bill — młody, zdrowy i silny.

— Zrobić ci coś do jedzenia?

Potrząsnęła głową. Odżywiała się batonami czekoladowymi i papierosami, ale już nie miała apetytu. Potrzebowała tylko narkotyków, nic więcej jej nie obchodziło. Widok jedzenia jej nie kusił. A jak na ironię, lodówka była teraz pełna. Bill podpisał kontrakt na ćwierć miliona dolarów za pierwszy rok. Nawet nie marzył o zarobieniu tylu pieniędzy. Jego lodówka mogła być wciąż pełna przez długi, długi czas. Zasmuciło go, że Sandy nie jest z nim teraz, gdy nastały dobre czasy. Między nimi już wszystko skończone, ale musiał sobie o tym przypomnieć, gdy patrzył na nią siedzącą na krawędzi łóżka.

— Potrzebujesz czegoś? Mogę...

Chciał jej zaproponować pieniądze, zdał sobie jednak sprawę, że zaraz by je wydała na narkotyki. Sandy, wiedząc to także i nie chcąc wziąć pieniędzy od niego, zmusiła się, by potrząsnąć głową, po czym wolno wstała.

— Powiedziałaś mi... jest mi świetnie. — Oczy jej zalśniły łzami.

Wyciągnął do niej rękę.

— Sandy, zostań tu... Pomogę ci doprowadzić się do porządku. Przysięgam. Możesz się wyleczyć, jeżeli zechcesz.

— Nie, nie mogę. — Uśmiechnęła się smutno. — Już nie. Za późno dla mnie. Teraz są twoje czasy, nie moje.

Miała dwadzieścia pięć lat, a zachowywała się tak, jakby jej życie się skończyło. To było straszne, aż musiał się odwrócić, ukryć przed nią swoje łzy. Nie chciał jej dodatkowo obciążać. Po cóż ma ćpać w poczuciu winy. Jej życie, jej decyzja. Tak ona chce i chyba ma rację.

— Twoje czasy mogą być znowu, kiedy tylko zechcesz. Po prostu pamiętaj o tym. Musisz tylko się wyleczyć.

Tylko... Nie błahostka, wiadomo, ale nie jest to niemożliwe... Sandy też wie o tym. Cóż, kiedy już nie chce być wyleczona.

Podeszła i lekko dotknęła jego przedramienia, tak lekko, że prawie nie poczuł jej ręki.

— Dbaj o siebie. — Pocałowała go w policzek i szybko wyszła.

Słyszał stukot jej kłapek na chodniku przed domem i całą siłą woli zatrzymał się, żeby nie wybiec za nią. Łzy spływały mu po policzkach. Bał się, że nigdy już jej nie zobaczy.

— Do widzenia, najdroższa — wyszeptał.

Po jej odejściu nie miał ochoty ruszyć się dokądkolwiek.

Jane w Pasadena spędziła popołudnie u fryzjera. To był dla niej wielki dzień. Miała poznać tych, z którymi będzie grała w „Manhattanie”. Od chwili gdy dostała zaproszenie, wprost nie mogła doczekać się tego przyjęcia. Pojechała do Los Angeles i kupiła u Saksa białą suknię naszywaną perełkami, po czym omal jej nie zwróciła uznając, że ostatecznie to strój zbyt okazały. Ale wyglądała w tej sukni tak ślicznie, że ekspedientka słyszeć nie chciała o zwrocie. Dziewczynki jeszcze nie wróciły ze szkoły, gdy weszła do domu uczesana nienagannie i z paznokciami polakierowanymi na czerwono. Wyjęła nową sukienkę z szafy i obejrzała, znów niepewna jak zawsze wszystkiego, ale niech to diabli, pomyślała i odkręciła kran w łazience przygotowując sobie kąpiel. Jeszcze miała kilka godzin do przyjazdu samochodu, który przysłał Mei, żeby nie musiała sama prowadzić. A to dopiero początek, zupełnie jakby była Królową Jednego Dnia z tą różnicą, że miała być Królową Jednego Roku, a może nawet dłużej, jeżeli oglądalność będzie dobra. Podniecona, prawie nie mogła myśleć o tym.

Na to radosne podniecenie padał jednak cień. Jack nie przestawał podburzać córek. Pojechał też do Jasona w Santa Barbara i naopowiadał mu o niej strasznych rzeczy. Jason potem do niej zadzwonił, błagał, żeby nie grała w tym serialu, bo to rozstraja tatusia. A tatuś już rozmawiał ze swoim adwokatem i nie tylko wniósł o rozwód do sądu, ale zaproponował, że jej sprzeda swoją połowę domu. Przecież stać ją teraz na kupno tej połowy i skoro jest wspólnota majątkowa, jemu się to należy po tych wszystkich latach. W razie gdyby nie chciała wykupić od niego domu, będzie musiała się wynieść. Ma dziewięćdziesiąt dni „łaski”, jak napisał w liście, który dostała. I nie chciał odbierać jej telefonów, gdy próbowała się z nim skontaktować, aż w końcu przestała dzwonić.

Znalazła sobie adwokata, ledwie wierząc, że doszło aż do tego w ciągu kilku krótkich tygodni. Jednakże Jack nie żartował. Albo serial, albo on. Nieraz myślała, żeby mu ustąpić, lecz wiedziała, że jeśli to zrobi, będzie go jeszcze bardziej nienawidzić — już zawsze. To małżeństwo jest nieodwracalnie rozbite. Nie chciała prowadzić z Jackiem żadnej gry o nic i niecierpliwie czekała na swoje nowe życie. Może w końcu dzieci zrozumieją, że ona jest istotą ludzką, która czuje, ma swoje pragnienia i potrzeby. I że to wszystko, co Jack o niej mówi, wcale nie jest zgodne z prawdą.

Stojąc w bieliźnie przy napełniającej się wodą wannie nie usłyszała, jak drzwi frontowe otwierają się i zamykają, ani potem kroków w hallu, więc gdy odwróciła się po zakręceniu kranu, aż podskoczyła zdumiona.

— Jack... co ty tu robisz?

Nie widziała go od tygodni, odkąd przyjechał po resztę swoich ubrań, a oto nagle jest, stoi i patrzy na nią tak, jakby miał jej coś do powiedzenia.

— Przyjechałem po resztę rzeczy.

Wiedziała równie dobrze jak on, że już nic do zabrania nie zostało, więc zastanowiła się, po co przyjechał.

— Czy wszystko w porządku? — złękła się. Miał w oczach dziwny wyraz.

— Chyba tak. Chciałem do ciebie zadzwonić i porozmawiać w każdym razie.

— Ja nie mogłam się dodzwonić do ciebie.

— Jestem zajęty. — Wzruszył ramionami, patrząc w jej piersi tak, jakby to były oczy.  
— Myślałam, że powinniśmy czasami porozmawiać, tylko że...  
— Nie wiedziała, jak mu powiedzieć, że potrzebuje czasu, by spokojnie się ubrać, zanim dziewczynki wrócą do domu. — Akurat teraz nie jest odpowiednia chwila.  
Przyjrzał się jej podejrzliwie.  
— Dlaczego?  
Przykro jej było mu to wyjaśniać, ale kłamać już nie potrzebowała.  
— Dziś wieczorem będzie kolacja dla obsady serialu.  
— Co ty wyprawiasz? Próbujesz z co drugim, żeby sprawdzić, który to robi najlepiej?  
Oczy błyszczały mu niegodziwie i dopiero teraz pojęła, że sporo wypił. Coś nowego. Dawniej nie pił w ciągu dnia. Z pijanym nie chciała mieć do czynienia.  
— To tylko kolacja. Mogę zadzwonić do ciebie jutro do biura.  
— Po co? Żeby mi opowiadać, jak ci było? A cóż mnie to obchodzi? Wiem, jaka jesteś... — ruszył ku niej.  
Cofnęła się potykając o swoje pantofle na dywaniku przed wanną.  
— Jack... daj spokój... nie zaczynamy tego do początku. Musimy usiąść i porozmawiać.  
— Nie muszę usiąść z tobą. Nie siadam z dziwkami.  
Ten człowiek jest chory, przyszło jej po raz pierwszy na myśl. Jego mania prześladowcza na punkcie dziwek posunęła się w końcu za daleko.  
— Może po prostu już wyjdiesz stąd? — Mówiła bezbarwnie. Rozmawiać z nim naprawdę nie było sensu. Ale on nie chciał wyjść.  
— Dlaczego? Spodziewasz się kogoś?  
— Tylko naszych córek. I muszę się ubrać.  
— Nie fatyguj się. Ja to wszystko już widziałem.  
— Świetnie. Więc może wyjdiesz.  
— Chcę zostać, żeby zobaczyć się z dziewczynkami. — Stanął przed nią wojowniczo, oczy miał jak z kamienia i głębokie bruzdy przy oczach.  
— Możesz się z nimi zobaczyć kiedy indziej.  
— Nie wolno ci mnie wyrzucać. To nadal jest mój dom. Nadal mój. — Podszedł o krok, ale ona teraz się cofnęła. — I ty także moja. Mogę cię brać, kiedy zechcę.  
— Nie mówmy o takich rzeczach. — Nagle bardzo się złękła, Wołałaby nie być z nim sama. On jest jednak obłąkany. I już wyczuł jej strach. Znowu podszedł o krok, chwycił ją za rękę.  
— To fakt, wiesz... Mam ciebie... tak jak zawsze... moja własna dupka.  
Nie znosiła, kiedy tak mówił, i zastanowiła się teraz, od jak dawna tego nie znosi. Ale w tej właśnie chwili szarpnął ją za rękę i wyciągnął z łazienki do sypialni w stronę łóżka.  
— Przestań, Jack... proszę...  
— O co prosisz? Prosisz, żebym ci to zrobił, ty dziwko? Bo tylko dziwką byłaś zawsze, kawałkiem tyłka, który trzymałem w domu dla wygody... Nigdy mnie nie obchodziłaś, wiedziałaś o tym? Wiedziałaś, ty suko?  
Dlaczego on mnie tak nienawidzi? pomyślała, gdy cisnął ją na łóżko i przygniótł całym swoim ciężarem, zdzierając z niej stanik i jeszcze brutalniej figi. Oblęd. Była jego żoną przez dwadzieścia lat, a on teraz ją gwałci. Gdzież tu sens?  
— Jack, przestań. — Płakała już i prawie nie mogła oddychać, przygnięciona. Napierając na jej piersi, rozpiął spodnie i wepchnął się w nią. Jak to jest, że on zawsze może? Podnieca go teraz jej niechęć? — Proszę... — Błagała go, a on gryzł jej wargę, aż czuła krew w ustach, a potem odchylił się, żeby gryźć ją w pierś, dopóki i z piersi nie popłynęła krew, i ujeżdżał ją, kaleczył, ścisnął i nagle ze straszliwą siłą trzasnął ją po twarzy raz i drugi i ni stąd, ni zowąd zawył w ekstazie.  
Odepchnął ją od siebie, wstał i spojrzął z wysoka na łkającą na poplamionym krwią łóżku. Zapiął spodnie, uśmiechnął się szyderczo i zanim wyszedł, powiedział:

— Kurwa.

Zostawił ją zapłakaną. Słyszała warkot jego oddalającego się samochodu, ale nic jej to nie obchodziło.

### ROZDZIAŁ XIII

Bill Warwick stawiał się pierwszy, tak samo przystojny, jak Mei go sobie zapamiętał, ale poważniejszy, nawet bardzo poważny, może czymś strapiony. Wyglądał w wypożyczonym smokingu nienagannie, z włosami blond jak w złotej koronie. Coś w jego oczach jednak zastanowiło Mela. Wyraz oczu człowieka, który już widział wszystkie smutki świata.

Pogawędził z Melem przy barku, poprosił o szkocką z lodem i rozglądał się, wyraźnie pełen podziwu. Bo to był piękny dom. Mel czuł się tu bardzo dobrze. Dom stał wysoko na zboczu wzgórza, skąd rozciągał się malowniczy widok na Los Angeles. Dwupoziomowy ogromny salon z podłogą z marmuru zdobiły kamienne kolumny. Wszędzie wisiały duże nowoczesne obrazy. Za domem rozciągał się wielki basen, a strop czy też dach iście książęcej jadalni można było za naciśnięciem guzika rozsuwać w ciepłe wieczory, jak właśnie został rozsunięty dzisiaj.

— To doprawdy jest dom — z niemal zbożną czcią powiedział Bill, myśląc o swoim maleńkim schronieniu, a potem równie szybko o niedawnej wizycie Sandy. Dokąd ona poszła? Gdzie mieszka?... Kto jej zrobił tego siniaka i tę bliznę? Jakież to wszystko szpetne, jakie smutne. Prawie nie mógł powstrzymać łez, gdy rozmawiał z Melem i czekał z nim na innych gości.

— Jesteś bardzo poważny. — Mei nie tylko był spostrzegawczy, ale rzeczywiście interesował się swoimi aktorami. Bo obsada znaczyła dla niego dużo, a dla jego serialu wszystko.

— Raczej podekscytowany. — Bill postarał się go zbyć. — Naprawdę jest ostatnio o czym myśleć. — Uśmiechnął się.

Mei pomyślał o milionach kobiet, które będą spijały słowa z ust tego młodego człowieka za rok, gdy serial ukaże się w telewizji.

Następny gość, Zack Taylor, przyjechał prowadząc sam swego otwartego roilsa. Wytworny, spokojny i jowialny, czuł się w domu Mela jak u siebie. Miał dom o wiele większy niż ten i równie piękny. Jak starzy przyjaciele Zack i Mei zaczęli rozmawiać o ogrodnikach, robotnikach i przedsiębiorcach budowlanych, których znali, a Bill z tarasu patrzył na panoramę Los Angeles.

Następna przybyła Gabrielle w szyfonowej sukni koloru brzoskwiniowego. Jej włosy zwisające na plecach lśniły jak heban. Mel na powitanie pocałował ją w policzek, poprowadził na dół po schodach i przedstawił Zackowi, który stał w pobliżu. Gawędzili przez chwilę o Grecji i o tym, jak są zadowoleni, że będą grać w tym serialu, a potem Mel wyszedł z nią na taras do Billa, który jeszcze podziwiał widok. Gdy Bill się odwrócił, Mel pierwszy zobaczył udrękę w jego oczach. Gabrielle wyglądała mniej więcej tak, jak mogłaby wyglądać Sandy i jak Sandy wyglądała dawniej — tylko że Gabby była o wiele piękniejsza, nieskończenie bardziej wyrafinowana i obyta. Ale Bill doznał wrażenia, że stoi przed nim widmo. Z bólem spojrział temu widmu w oczy.

— Witaj, Bill. — Gabrielle uśmiechnęła się do niego. Spojrzenie miała ciepłe, twarz jak wyrzeźbioną z muszli, nos zadarty i oczy ogromne, zielone, jakąś słodycz w linii ust i cała była taka delikatna i piękna, i dobrze wychowana. — O ile wiem, będziemy w serialu bratem i siostrą.



Prawie z nią nie rozmawiał, tylko odpowiadał monosylabami, zanim wrócił do salonu po następną szkocką. Gabrielle, zgoła nieprzejęta tym lekceważeniem, też weszła do salonu, żeby pogawędzić z Zackiem. Długo rozmawiali o hotelu, w którym ostatnio on i swego czasu ona zatrzymali się w Dolomitach, gdy w końcu przyjechała Jane.

Zatrzymała się na szczycie schodów. Mei właśnie gawędził z Billem, a Gabrielie z powagą słuchała Zacka. Jane wyglądała jak śliczny ptak gotów do lotu. Jej egzotycznie czerwone włosy stanowiły ostry kontrast z białą, naszywaną perełkami suknią, a pyszna krągłość figury wprost zapierała dech. Ale to wyraz jej oczu sprawiał, że trudno było oderwać od niej wzrok. Mei Znow niewytłumaczalnie chciałby wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Taka przerażona i ponętna, i piękna. Nieomal aktem seksualnym jest patrzeć na nią, pomyślał Mel i poczuł się grzeszny.

Wolno, z wahaniem Jane zeszła ze schodów, patrząc tylko na Mela, i uśmiechnęła się z wyraźną ulgą, gdy do niej podszedł. Niedawne jej męki nie pozostawiły śladów poza brzydkim obrażeniem na lewej piersi, do którego przykładała lód, zanim je ukryła pod tą efektowną suknią, wywołującą w niej jeszcze teraz niepewność.

Ale oczy miała pełne serdeczności prawie matczynej, gdy rozmawiała z Gabrielle, tak że Mei pogratulował sobie wyboru. Potem zwróciła się do Zacka, a Zack w pierwszej chwili miał taką minę, jakby go powaliła. Zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć, zaraz jednak śmiejąc się sam z siebie, wyraził uznanie:

— To jest suknia.

— Dziękuję... — splonęła rumieńcem. — Bałam się, że... myślałam... nie byłam pewna...

Mel łagodnie objął ją ramieniem.

— Wyglądasz bajecznie, Jane. Poza tym że brak mi tej twojej czarnej peruki, oczywiście. Śmiali się, po czym Mei poznał ją, już swobodniejszą, z Billem i jej ciepło sprawiło, że nawet Bill trochę wysunął się ze swej skorupy.

Goście już czuli się bardzo swojsko, siedząc na dużych białych kanapach i popijając szampana, wszyscy z wyjątkiem Billa, który dalej pił whisky, gdy drzwi znow się otworzyły i nie było żadnej wątpliwości, kto tu jest gwiazdą. Sabina wężowo zeszła ze schodów, olśniewająca w szarej atłasowej sukni, z grzywą blond wokół twarzy, z oczami tygrysy, która wyrusza na żer, z nową brylantową bransoletką od Mela, roziskrzoną na ręce.

— Dobry wieczór — wymruczała i rozejrzała się powoli po salonie.

Mei się uśmiechał. Już ona sobie bierze swoją rolę do serca czy może nawet nie, skoro jest do tej roli stworzona. Popatrzyła na Zacka i wyciągnęła rękę.

— Panno Quarles — powitał ją z uśmiechem Zack. Wiedział, jak się do niej odnosić, już się znali.

— Cześć, Zack. — Odwróciła się do Billa. — My się chyba nie znamy. Jestem Sabina Quarles.

Mel nie był jej do tego potrzebny, w pełni panowała nad sytuacją, nad swoim wykalkulowanym wkroczeniem między tych ludzi, nad suknią idealną do tej roli i nad swymi oczami, włosami, twarzą. Jane poczuła się przy niej jak dynia, a Gabrielle patrzyła zafascynowana. Ale ona zbyła dziewczynę jednym spojrzeniem i zwróciła się do Jane:

— Więc to pani jest tą siostrą, którą będę kochała nienawidzić.

Wszyscy się roześmiali, Jane powiedziała lekliwie:

— Bardzo podziwiam pani pracę.

— Ja, niestety, pani pracy nie znam.

Zwyczaj z kolei Jane, Sabina odwróciła się do Mela i przyjęła kieliszek szampana. Jej oczy, chociaż tliło się w nich ciepło, nic nie wyjawiały. Nie była taka głupia, by dać tym ludziom poznać, że sypia z Melern. To dla niej zbyt ważne, ona jest już na planie.

Zasiedli do kolacji punktualnie o dziewiątej, Mel wynaczył im miejsca starannie. Sabina po jego prawej ręce, Jane po lewej przy Billu, Gabby z drugiej strony Billa, po prawej stronie Sabiny Zack. Jak zawsze Zack stanął na wysokości zadania. Był czarujący dla swojej partnerki w serialu, Mel jednak zauważył, że przeważnie patrzy na Jane. Wydaje się nią urzeczony, nieomal rozczulony. A Jane najwyraźniej jest tutaj jedyną osobą, która potrafi rozkrochmalić Billa, ignorującego Gabrielle prawie całkowicie, tak zresztą, jak ignonije ją większość z nich. Tylko Zack ma dość ogłady, żeby z Gabrielle pogawędzić, gdy Mei gawędzi z Sabiną. To interesująca grupka, ciekawe, co Sabina będzie miała do powiedzenia o nich wszystkich.

W sumie ten wieczór, pomimo kilku chwilowych napięć, upłynął przyjemnie. Po kolacji pili jeszcze szampana nad basenem. Sabina stała na tle miasta jak na tle migotliwej dekoracji i rozmawiała z Zackiem, od czasu do czasu patrząc na Billa. Była ledwie uprzejma dla Gabrielle, gdy zdarzało się, że zamieniały ze sobą kilka słów, i Mei widział też, jak spełzają na niczym wysiłki Gabrielle, by porozmawiać z Billem.

Wydawało się, że tylko Jane potrafi rozmawiać łatwo z nimi wszystkimi. Nad jej zdenerwowaniem wziął górę wrodzony macierzyński sposób bycia, rozgrzewający ich wszystkich z wyjątkiem Sabiny, która tak dwuznacznie skomentowała jej suknię, że ona znów zaczęła się ze swego stroju tłumaczyć. Ale Zack zręcznie pospieszył jej na ratunek, komentując z zachwytem wcale niedwuznacznym ładną bransoletkę Sabiny. Sabina była wyraźnie zadowolona, że Zack zwrócił uwagę na jej bransoletkę, a Mela to rozbawiło. Mel obserwował, jak rozwijają się stosunki pomiędzy nimi, rad, że wszystko jakoś gra, chociaż niestety, Gabrielle chyba nie będzie miała na planie łatwego życia. Jest tą pierwszą naiwną, najmniej wypróbowaną aktorką i ma w sobie coś ze złośliwego dziecka, więc oni ją zmuszą, żeby za to płaciła. Zdrażnieniem między Sabiną a Jane wcale się nie przejmował. Jane upora się z tym, kiedy już nabierze pewności siebie, a tymczasem nawet dobrze dla serialu przeciągać trochę ten wątek. Zack jest dostatecznie dżentelmenem, by w każdym razie dawać sobie świetnie radę z nimi obiema. Co do Billa, jeszcze nie bardzo wiadomo, ale ten chłopiec urnie grać, a to coś znaczy. Ma teraz jakieś zmartwienie, lecz zmartwienia mijają. Ważne, że Sabina go wyraźnie polubiła. I ważne, że Jane lubi wszystkich.

Przyjęcie skończyło się po północy. Sabina miała wyjść pierwsza. Po deserze Mel jej szepnął, że przyjedzie do niej, kiedy wszyscy goście wyjdą. Żegnając się, niczego po sobie nie okazała. Pocałowała go wpoliczek, cicho powiedziała coś Zackowi, uśmiechnęła się interesująco do Billa, skinęła głową w stronę Jane i całkowicie zignorowała Gabby. Przemiotła powietrze peleryną ze srebrnych lisów narzuconą na suknię z szarego ałtasu i odjechała samochodem Mela, tak jak przyjechała. Królowa zawsze wychodzi pierwsza. I ostatnia przychodzi. Sabina zrobiła jedno i drugie doskonale.

— Boże, ona jest bajeczna — szepnęła Jane do Mela po jej odejściu. — Zupełnie jakby się patrzyło na damę z rodziny królewskiej.

Mel się roześmiał. Sabina dobrze gra swoją rolę, a biednej Jane potrzebna jeszcze duża porcja ufności we własne siły.

— Tak właśnie ma być. A ty się nie przejmuj. Telewizjowicze będą zachwyceni również tobą. Dla każdego coś miłego w tym serialu.

Uśmiechnął się do wszystkich, do Gabrielle, która stojąc nad basenem wyglądała jak ciemnowłosy anioł. Dziwił się, że Bill nie okazuje jej zainteresowania. Gdyby on był w wieku Billa Warwicka... no, ale co kto lubi, pomyślał.

Zack pożegnał się następny, proponując obu paniom, że je odwiezie. Podziękowały, bo Mei postarał się o limuzynę dla jednej i dla drugiej. Rozjechały się każda w swoją stronę wkrótce po odejściu Zacka, a Bill wyszedł za nimi. Dwukrotnie potrząsnął ręką Mela i podziękował mu za rolę w serialu.

— Tylko rozluźnij się, Bill, i ciesz się tym. Nie masz chyba jakichś zmartwień? Bo Mei jednak niepokoił się o Billa.

Bill z mocą zapewnił, że nie, wszystko idzie wspaniale, wsiadł do porsche'a, którego kupił za pierwszy czek a conto, i odetchnął z ulgą. Dla niego to było przyjęcie wlokące się niemilosiernie. Mógł myśleć tylko o Sandy, o tym, jak dziś wyglądała. A ta cholerna dziewczyna z serialu..., taka podobna... przecież to Sandy mogłaby być na jej miejscu, pojechać z nim do Nowego Jorku, gdyby była zdrowa. Na samą myśl o tym poczuł straszliwe przygnębienie.

Jane w limuzynie, wtulając się w oparcie siedzenia, myślała o nich wszystkich: o Sabinie, o Billu, o Gabby... wszyscy oni są bardzo interesujący. Zastanowiła się, czy kiedykolwiek im dorówna. Czuła, jak pierś jej pulsuje, to miejsce, w którym Jack zębami rozdarł skórę, i raptem przyłapała się na tym, że myśli o Melu, o tych jego dobrotliwych oczach. Może mogłabym się z nim zaprzyjaźnić, on tak patrzy, jakby mnóstwo już widział w życiu... Z nimi wszystkimi chciałabym się zaprzyjaźnić, przełączyła swoją myśl. Gabby taka miła... i Bill... a Zack po prostu bajeczny, ale prawdopodobnie do szaleństwa zakocha się w Sabinie. Boże, Sabina jest niewiarygodna, ta figura... te oczy...

Myśląc o oczach Sabiny przymknęła swoje i gdy samochód podjechał pod jej dom w Pasadena i szofer otworzył drzwiczki, mocno już spała, wtulona w oparcie siedzenia.

#### ROZDZIAŁ XIV

— No i co myślisz o nich? — Mei z zadowoloną miną rozpari się na białej kanapie w saloniku Sabiny. Była godzina pierwsza po północy. Zapłacił dostawcom, zamknął dom, gdy wyszli, i sam prowadząc samochód przyjechał do niej na Linden Driye.

— Niezła gromadka. — Sabina w tej samej atlasowej sukni leżąc wygodnie na kanapie wyglądała nadal tak, jak przedtem u niego w domu, tyle że była trochę bardziej rozluźniona. W jej oczach tańczyły iskierki, gdy zaczęła rozpatrywać obsadę serialu. Mei śmiał się, słuchając, co ona o nich myśli. — Biedna Jane to myszka.

— Parsknęła śmiechem. — I powinna uważać, bo ją żywcem zjem... grr... rmffm... — Lekko złapała się za szyję.

— Bądź dla niej miła. Ona śmiertelnie się ciebie boi — żartobliwie, po ojcowsku pogroził jej palcem. Śmiała się niecznie.

— Ja wiem. Mój Boże, figurę ma, że ho, ho. Ile ma lat?

— Trzydzieści dziewięć.

— Ciekawe, ile za tę figurę zapłaciła. To wszystko nie może być prawdziwe. Tak czy owak, co robiła do tej pory?

— Grała w dziennym serialu. Przez dziesięć lat. W „Naszyc tajemnych smutkach”.

— Ojej. Jedna z tych... — zbyła Jane machnięciem ręki. — Natomiast Bill Warwick jest interesujący. Czymś zraniony. Złamane serce, podejrzewam. Z rodzaju tych zadumanych przystojniaków, namiętnych, prawdopodobnie bardzo dobry w łóżku. — Zadowolenie Mela nieco się zmniejszyło, więc śmiejąc się z niego, uszczypnęła go w policzek. — Nie obawiaj się. Chłopczyk to nie mój typ. Dla mnie on jest za młody, ale ta mała naiwna wygiąda mi tak, jakby mogła się do niego palić. Ona coś ukrywa — powiedziała z głębi swego instynktu, Mei jednak przecząco potrząsała głową.

— Bardzo wątpię.

— Uwierz mi na słowo. Ukrywa. Jato poznaję. Może sypia z kimś, z kim nie powinna... — Zerknęła na Mela, zmarszczyła brwi. — Lepiej, żeby nie z tobą, przyjacielu. Tym razem on się roześmiał.

— Ja też nie zaglądam do przedszkola, moja droga.

— To dobrze. A Zack Taylor jest odchylony.

Mei omal nie spadł z kanapy. Wpatrzył się w nią.

— Chcesz powiedzieć, homoseksualista?

— Tak — odpowiedziała zadowolona z siebie.

— No, tutaj się mylisz.

— Akurat!

— To najbardziej namiętny amant w Hollywood i nigdy nie słyszałem o njm żadnych pogłosek.

Nie zrobiło to na niej wrażenia.

— A więc jest dyskretny. Możesz mi wierzyć, ja się na tym znam. W nim nie ma chemii. Nie ma ikry. Nic. Jest grzeczny, czarujący i pedał.

— Sabino, fantazja cię ponosi.

Ze śmiechem wzruszyła ramionami.

— Może ponosi, ale idę o zakład, że mam rację. Po prostu Zack uważa, żeby nikt niepowołany nie wiedział.

— To niemożliwe w tym mieście. W s z y s c y by wiedzieli.

— Może się mylę, ale nie sądzę. — Co nie znaczyło, że ją to obchocizi. Była szczęśliwa z Melem, szczęśliwsza niż kiedykolwiek od lat.

— Mam nadzieję, że co do Billa się nie mylisz. Zaniepokoił mnie dzisiaj. Był jak wulkan przed wybuchem, a ja nie chcę kłopotów na planie.

— Gabrielle będzie go trzymała w ryzach. Albo doprowadzi go do szaleństwa. Kim ona właściwie jest? Wydaje mi się, że już dokazała strasznie dużo jak na taką smarkatą. — Bo podsłuchiwała, jak Gabrielle mówiła o podróżach, o Europie, archeologii, Palm Beach...

— Prawdopodobnie tylko się popisuje, chociaż bo ja wiem..., może masz rację. Może z kimś podróżowała. — Bawiła Mela ta analiza przeprowadzana przez Sabinę.

— Czy urnie grać?

— Czy ja bym ją zaangażował, gdyby nie umiała?

— Nie, kochanie. — Pocałowała go szczerze w usta i oboje zapomnieli o Gabrielle. — Wreszcie ja—powiedziała. — Czy ja pasuję do tego wszystkiego?

— Ty jesteś gwiazdą. Wszyscy byli tacy olśnieni. — Ogromnie lubiła to słyszeć, więc często jej powtarzał. Tyle już miał do czynienia z gwiazdami, wiedział, że potrzebują ciągłego uspokajania. Sabina może nie tak bardzo jak inne, a jednak... — Myślałem, że padnę, kiedy weszłaś.

Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się.

— Ja myślałam, że ta biedna kobiecina zrobi w majtki. — Miała na myśli Jane.

Mei zrozumiał.

— Sabino — upomniał ją delikatnie — bądź dla niej miła... ona nie będzie ci szkodzić. Ciebie przecież stać na wielkoduszność.

— Brak mi cierpliwości do takich jak ona.

— Mogłaby wszystkim dorównać. Tylko jest niepewna siebie, nieśmiała i rozpaczliwie chce się podobać.

Sabina potrząsnęła swoją złocistą grzywą.

— Nawet nie potrafię sobie wyobrazić tego dorównywania. Powiedziałam ci, to mysz. Ja zjadam myszy. — Pocałowała go znowu.

Między innymi.

— Jesteś niedobrą dziewczyną. — Ale lubił ją taką, jaka była, dręczącą go swymi ustami, ciałem i oczami.

Postawiła kieliszek, rozpięła jego wieczorową koszulę.

— Tęskniłam do ciebie przez cały wieczór.

— Jak to?

— Głupio mi było grać, udawać, że prawie się nie znamy...

Już muskała językiem jego nagą pierś, więc zamknął oczy, porwany Pożądaniem. Bez trudu rozpiął jej szarą atlasową suknię. To były tylko Cztery guziki na ramionach, od razu mógł zsunąć całą, otwierając oczy, żeby spojrzeć na nią.

— Boże, jesteś piękna... — mówił cicho. Czy ona kiedyś mi spowszednieje?, myślał, czy kiedyś do niej zwyczajnie przywyknę? Pragnął jej ciągle.

Gdy wstała i suknia z niej opadła na podłogę, zobaczył, że jest naga. Więc przez cały czas przyjęcia siedział przy tej nagości... zrobiło mu się nieomal słabo. To znakomite ciało miał tak blisko! Rozstawiła nogi, żeby go podreżyć, a on się pochylił i jak koneser skosztował jej. Wprawił ją w podniecenie, aż błagała o niego, krzyczała. Rozebrał się szybko i położył przy niej na białym, grubym futrzaku pośrodku jej saloniku. Leżeli tak obok siebie i znów ją podniecał, zanim wziął porywając na nieznane wyżyny i spotkał się tam z nią, i ulecieli w kosmos we dwoje. Znów krzyczała, zdawałoby się, nieskończenie tym razem, wreszcie wyczerpana ucichła w jego objęciach, a on patrzył na nią, zadowolony przegarniając dłonią jej złocistą grzywę. Uśmiechnęta sennie, głosem jeszcze niższym niż zwykle powiedziała:

— Każą mi się stąd wyprowadzić, jeżeli nie przestaniemy tego robić.

— Zawsze możesz wprowadzić się do mnie. — Był zachrypnięty z rozkoszy.

Długo tak leżeli na futrzanym dywanie — dwoje ludzi dobranych fizycznie, a także pod innymi względami. On niczego od niej nie potrzebował, ona bardzo niewiele potrzebowała od niego. Już dostała prestiżową główną rolę, ale dostałaby przecież tę rolę w każdym razie. Po prostu spokojnie cieszyli się tym, co sobie dawali nawzajem, i żadne nie chciało niczego więcej. Żadnych przyrzeczeń, żadnych marzeń na przyszłość, nic mającego trwać wiecznie. Liczyła się tylko terażniejszość.

— Pojedziesz ze mną do Paryża, Mel? — Odwróciła się bokiem i patrzyła na niego.

Wyglądała zdumiewająco młodo.

— Postaram się. Nie będę mógł tam zostać na całe trzy tygodnie, ale postaram się być jak najdłużej.

— Świetnie. — Uśmiechnęła się i przymknęła oczy. Życie dla niej ostatnio jest takie łaskawe. Leżeli przy sobie, dopóki nie zaczęło świtać. Wtedy Mel pojechał z powrotem do Bel Air.

## ROZDZIAŁ XV

Mei wysłał Sabinę do Paryża samolotem concorde.

Wsiadła do samolotu na lotnisku w Waszyngtonie, z wielką paradą. Były tłumy fotoreporterów. Futro z norek, osobisty prezent od Meia, miała przerzucone przez rękę. W Paryżu czekała limuzyna rolls-royce, żeby ją zawieźć do Plaza Athéne na Avenue Montaigne, gdzie Mel wynajął dla niej apartament.

Nazajutrz odbyła się międzynarodowa konferencja prasowa, po czym szybko zawieziono Sabinę do ekskluzywnego domu mody François Braca. Ten żarliwy białowłosy człowieczek ubierał księżne i gwiazdy filmowe już od trzydziestu lat. Modele, które zaprojektował dla Sabiny, były godne królowej. Zachwycaly ją prawie wszystkie, a to, co jej się nie podobało, kazała zmieniać.

Mel przyleciał też samolotem concorde w następnym tygodniu i wynajął apartament dla siebie, ale nocował u niej. Pokojówki o tym wiedziały, przywykły jednak do takich rzeczy, więc nie widziały w tym nic dostatecznie sensacyjnego, by komukolwiek mówić. Jadali obiady w Relais-Plaza albo u Fouqueta, kolacje u Maxime'a czy w Tour d'Argent, czy też, co zdarzyło się dwa razy pod rząd, w jej apartamencie leżąc w łóżku. To były tak bajeczne tygodnie, że Sabina Z niechęcią myślała o powrocie do Los Angeles. Cóż, kiedy przymierzanie kreacji się skończyło i Mel stanowczo uważał, że czas wracać. Mają mnóstwo pracy, on i ona. Początek prób już za tydzień, a za miesiąc wyjazd do Nowego Jorku. Życie zrobiło się bardzo ciekawe. Ela Sabiny przynajmniej.

Dla Jane w tym czasie życie było czystym piekłem i przeważnie harówką. Niewiarygodne wydawało jej się to, że w przyszłym roku będzie jedną z gwiazd w największym serialu telewizyjnym. Na razie tylko czekała na początek prób. Do Los Angeles przyjechał asystent Francois Braca, wziął jej wymiary, naszkicował ją i sfotografował, po czym odjechał z powrotem do Paryża, żeby tam projektowano jej garderobę. Przymierzać te kreacje miała dopiero w czasie prób.

Nie wiedziała teraz, co ze sobą zrobić poza tym, że jak zawsze ciężko pracowała w domu i usiłowała zjednać sobie córki. Daremnie. Obie nie chciały słyszeć o serialu i wciąż groziły, że zamieszkają z Jackiem, o czym z kolei ona nie chciała słyszeć. Są przecież jej dziećmi, należą do niej. Pragnęła dojsć z nimi do porozumienia, pragnęła, żeby Jack wreszcie się uspokoił. Ale na to nie było teraz nadziei. Przyjechał kiedyś do domu i tym razem nie zastał jej nie przygotowanej, bo znalazła pistolet zapomniany przez niego w szufladzie biurka. Zawsze lubił mieć broń pod ręką „tak na wszelki wypadek”, ale jakoś o tym pistolecie zapomniał. Ona nie zapomniała. Więc tym razem, gdy chciał ją dopaść, zobaczył wycelowaną lufę.

— Jeżeli kiedykolwiek jeszcze mnie dotkniesz, zabiję cię. Słyszysz? — Płakała, ale cicho, zdławiając szloch przy każdym słowie.

Jack był wściekły, potem jednak już nie przyjeżdżał.

Zmieniła zamki w drzwiach. Formularze zostały wypełnione, za trzy miesiące miała wyprowadzić się z tego domu. Nie zgodziła się wykupić swojej połowy. Nie chciała od Jacka nic. Nie potrzebowała go i za nic już nie dałaby się traktować jak dziwka. Nie jest dziwką, nigdy nie była i to właśnie stale powtarzała dziewczynkom. Ale ojciec zatrął ich serca, wcale jej nie wierzyły, chociaż zawsze postępowała z nimi uczciwie. A syn nawet rozmawiać z nią teraz nie chciał.

Powiedziała dziewczynkom wszystko o serialu, w którym grała przez jedenaście lat. Były wstrząśnięte. Jak mogły o tym nie wiedzieć! Jak ona mogła tak strasznie okłamywać ich ojca! Starła się im wytłumaczyć, że bała się Jacka, bo Jack nie rozumie, czym dla niej jest aktorstwo. Starła się jak mogła, lecz niezłomnie sobie postanowiły też jej nie rozumieć i ją dręczyć. Prawie się do niej nie odzywały, co wieczór zaraz po kolacji odchodziły do swoich pokoi. We własnym domu czuła się jak wyrzutek, z wielką więc ulgą przyjęła któregoś dnia niespodziewany telefon Zacka Taylora i zaproszenie na obiad. Wydawało jej się to jakimś chwilowym zwolnieniem z więzienia smutku, przypomnieniem, że jest lepsze życie, w innym świecie. Zack zaproponował, że przyjedzie po nią, ale wolała umówić się z nim w mieście. A więc na obiedzie, zaproponował, w La Serge w Dolinie. położyła słuchawkę przyjemnie ożywiona.

Kupiła nową sukienkę z dżerseju w twarżowym odcieniu zieleni, wspaniale podkreślającą jej figurę, i nowe pantofle na wysokich obcasach. Ostatnio kazała sobie obciąć włosy, toteż czuła się cała jak nowa wchodząc do restauracji. Zack pocałował ją na powitanie i omal nie parsknęła śmiechem widząc, jak ludzie się gapią. Wszyscy wiedzieli, kim jest, i nagle wszyscy chcieli wiedzieć, kim jest ona. Zack przedstawił kierownictwu sali swoją „nową filmową partnerkę” i zaczął z nią mówić o serialu. Rozśmieszyła go opowiadaniem o

asystencie Braca, o tym, jaki miał zabawny akcent, jakie dziwactwa i jak uskarżał się na Amerykanów.

— Ciekaw jestem, czy Sabinie dobrze poszło z samym Francois Brakiem. — Zack roześmiał się na myśl o tym i zaraz potrząsnął głową.

— Chociaż podejrzewam, że Sabina potrafi dbać o siebie.

I on też potrafi, jest taki gładki, pomyślała Jane jeszcze oszołomiona tym, że Zachary Taylor zaprosił ją na obiad. Jest czarujący i elegancki i chyba wszystkich tu zna, i wszyscy znają jego. Czuła się jak Kopciuszek w bajce. Wczoraj szorowała podłogę w kuchni i prasowała dla dziewczynek, a dzisiaj oto siedzi przy obiedzie z jednym z największych gwiazdorów w Hollywood.

— Chwilami po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

— Jane, w pełni na to zasługujesz. Wiesz, kiedyś oglądałem ten twój wariacki serial. Wcale mi się nie skojarzyło, że to byłaś ty.

Oczy jej się rozszerzyły.

— Oglądałeś?

— Nigdy bym cię nie rozpoznał bez tej peruki.

— Właśnie o to chodziło. — Opowiedziała mu o Jacku, który nie Pozwalał jej pracować.

— Jak więc teraz się z tym pogodził? Nie najgorzej?

Wahała się chwilę, zanim wyznała prawdę.

— Rzucił mnie, kiedy przyjąłem tę rolę.

— Mówisz serio? — Zack wyraźnie się przejął.

— Tak. — Przytaknęła trochę upokorzona, ale już jej to nie denerwowało tak jak dawniej. Już przychodziło jej na myśl, że właściwie teraz jest lepiej, — Po dwudziestu latach. Może to i dobrze. Trochę jednak zdezorientowało to moje dzieci. Uważają, że wyłącznie ja ponoszę za to odpowiedzialność, i chwilami rzeczywiście czuję się piekielnie winna. Ale nie mogłabym znieść okłamywania go nadal. Poza tym... były inne sprawy.

— Zawsze są.

Zdawał się wszystko rozumieć. Wzruszyła ją jego delikatność.

— Zack, jesteś rozwiedziony?

Wszyscy w Hollywood byli rozwiedzeni co najmniej raz, jeśli nie kilkakrotnie. Ale on potrząsnął głową.

— Nie, nie jestem. Nigdy nie miałem żony. Jestem czterdziestosześcioletnią dziewicą. —

Uśmiechnął się szeroko, a ona się roześmiała. Bo Zack wyraźnie dziewicą nie był.

Najbardziej pożądany mężczyzna wmieście! Nie mogła mieć mu tego za złe. No bo i czemu?

— W jakim wieku są twoje dzieci? — zapytał.

— Jason ma osiemnaście lat i jest na uniwersytecie w Santa Barbara, a dziewczynki, jedna ma szesnaście, druga czternaście...

— westchnęła — i są ostatnio bardzo trudne. Jack je nastawia przeciwko mnie.

— To im minie. Zaczekaj, aż ich mama stanie się rewelacją w telewizji. Kiedy koleżanki i koledzy będą się czołgać przed nimi, znów zaczną cię cenić. Dzieci są bardzo wrażliwe na opinię.

Zastanowiła się, skąd on wie. Tak czy owak, oby miał rację. Nie do zniesienia jest życie z dziećmi w obecnym stanie rzeczy. Ale wiedziała, że w żadnym razie z córek nie zrezygnuje.

Zapytał, czy spotkała się z kimś z obsady od czasu kolacji u Mela. Odpowiedziała, że nie.

Gdy jej powiedział, że w zeszłym tygodniu jadł obiad z Gabby, była rozczarowana. A więc Zack tylko chce się zaprzyjaźnić z nimi wszystkimi i prawdopodobnie wcale mu się nie podobam, pomyślała. Idiotycznie coś sobie uroiłam.

Jednak w tydzień później Zack znów zaprosił ją na obiad i zapytał, gdzie będzie mieszkała w Nowym Jorku. Jemu zaproponowano do

wyboru hotele Carlyle i Pierre, ale wolałyby mieszkać w śródmieściu. A ona?

Roześmiała się.

— Mnie wszystko wydaje się dobre. — Powiedziała mu, że córki spędzą u niej w Nowym Jorku ferie szkolne, chociaż syn nie chce przyjechać. Pojedzie na narty z ojcem. Ale co do córek, uparła się.

— Więc zamieszkaj w Carlyle.

— Będziesz tam także w święta Bożego Narodzenia?

Mieli dostać cztery dni wolne i nie zamierzała na tak krótko wracać do Los Angeles. Zack jednak wymijająco powiedział, że chyba wpadnie na te cztery dni do domu. Patrzyła na niego uważnie w czasie obiadu. Tak niewiarygodnie przystojny, właściwie dlaczego zaprosił ją znów, czy chce się z nią zaprzyjaźnić, czy chodzi mu o coś więcej? Ale na kolację jej nie zapraszał i doprawdy wystarczającą przyjemność sprawiały jej te obiady. Gdy czekała na próby, życie nadal było dosyć bezbarwne.

A potem nagle wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Pakowała się do Nowego Jorku. Jej garderobę przysłano od Braca. Mei i Sabina wrócili z Paryża, chociaż osobno. Dziewczynki wyjechały, zamieszkały u Jacka na czas jej pracy w terenie.

I zanim Jane się spostrzegła, już siedziała ze wszystkimi w samolocie do Nowego Jorku, gdzie miały się zacząć zdjęcia. Sześćdziesięcioro ich leciało na wschód tym wynajętym samolotem: asystenci produkcji, technicy, aktorzy, kamerzyści. Dodatkowy personel miał być zaangażowany w Nowym Jorku, ale tu była prawie połowa zespołu. Pili mnóstwo wina, śpiewali, rozmawiali, zaczęli się bratać. Sabina gawędziła wyłącznie z Melem i Zackiem. Jane rozmawiała z Billem, Gabby była osamotniona pomimo wysiłków Jane, żeby ją wciągnąć do rozmowy. Bill ignorował Gabrielle wprost niegrzecznie. W końcu Sabina pożyczyła od kogoś gitarę i zaczęła śpiewać sprośne piosenki, zabawiając wszystkich. Takiej Sabiny dotychczas nie widzieli. Dolecieli do Nowego Jorku trochę pijani. Dwa autobusy czekały na personel, trzy limuzyny na resztę. I Jane ucieszyła się, że ona, Zack, Gabby i Bill będą mieszkać w Carlyle. Mei i Sabina wybrali sobie Pierre.

Zack zjadł kolację z Gabby i Jane w restauracji hotelowej. Bill zamówił kolację do pokoju. Powiedział, że jest bardzo zmęczony, i zaraz wszyscy troje o nim zapomnieli. Po kolacji poszli do baru Bemelmana i gawędzili tam, dopóki Zack — o pierwszej po północy — nie powiedział stanowczo, że czas już spać. Musieli zacząć nazajutrz o szóstej piętnaście.

Gabby wyszła oświadczając, że potrzebuje trochę świeżego powietrza, i uparła się, że pójdzie na mały spacer sama. Zapewniła, że dobrze zna Nowy Jork, więc w końcu Zack się zgodził i z Jane pojechał windą na górę.

— Jesteś zmęczona?

Był taki troskliwy! Przepadała za Zackiem — dobrym kolegą. Już nie miała nadziei, że mógłby być dla niej kimś więcej. Oczywiście w życiu Zacka są wspaniałe kobiety, dobrze po prostu mieć w nim kumpla. Zack się interesuje tym, co ona myśli, co czuje. Po raz pierwszy od dwudziestu lat Jane miała przy sobie mężczyznę, który o nią dbał, chociaż był tylko znajomym. W każdym razie sprawiał, że czuła się dobrze.

— Jestem zanadto podniecona, żeby odczuwać zmęczenie. Nawet wątpię, czy zasnę. — Według czasu Los Angeles dochodziła dopiero dziesiąta, ale wiedziała, że jeżeli zaraz się nie położy, będzie tego rano żałować.

W samolocie rozdano im plan zajęć na pierwszy dzień — jakie sceny będzie się kręcić, którzy z aktorów będą grać i w jakiej kolejności. To wszystko było dla Jane nowe i podniecające. Nigdy przedtem nie pracowała w terenie.

— Chyba jesteśmy w pierwszej scenie — przypomniał jej Zack. Scenę tę próbowali kilka razy w Los Angeles, oboje byli więc o siebie spokojni.

— Tak, a potem ty i Bill, apotem Sabina, jaj Gabby... — Nauczyła się tego na pamięć.



Uśmiechnął się do niej i delikatnie dotknął jej policzka.

— Nie denerwuj się, Jane... to nie ucieknie... Prawdopodobnie będzie trwało bardzo długo, znając Mela. Tylko on umie robić szlagiery.

— Obyś miał rację.

— Wiem, że mam. — Dojechali na jej piętro. Wysiadł z nią i odprowadził ją do drzwi jej apartamentu. — To dopiero początek dla ciebie, Jane. Całego nowego życia, na które zasługujesz ze wszech miar.

Zatrzymała się przed swoimi drzwiami, z powagą spojrzała na niego.

— Zachary, jesteś najprzyzwoitszym człowiekiem, jakiego znam.

— Nie, nie jestem — posmutniał.

Widząc wyraz jego oczu zastanowiła się niespokojnie, co może być powodem aż takiego smutku.

— Ależ tak, jesteś. I byłeś dla mnie, kiedy rozpaczliwie potrzebowałam kogoś życzliwego.

— Cieszę się. — Popatrzył na nią łagodnie i jej kluczem otworzył drzwi. — Prześpij się teraz, ślicznotko, bo ta Pani Smok jutro cię pożre.

— Roześmiał się, a Jane jęknęła. Sabina nadal okropnie ją przerażała.

— Nie mów tak. Ona cię usłyszy, nawet tam daleko, w Pierre.

— Nie obawiaj się. Ma większe ryby do usmażenia. — Zack od dawna się zorientował, że Sabina romansuje z Melem, ale nie należał do plotkarzy. Miał własne zmartwienia. Zresztą co to komu szkodzi? Jeśli ona tego chce, jej sprawa, do diabła! — Dobranoc, miła dziewczyno. Pocałował Jańkę w policzek i po chwili był z powrotem w windzie, znów myśląc o dalekich ludziach i dawnych czasach dokonywania wyboru. Jednakże myśl o Jane raz po raz powracała. Gdy wszedł do pokoju, zadzwonił do obsługi, kazał podać whisky.

## ROZDZIAŁ XVI

Pierwszy dzień zdjęć był pełen krzątaniny i wszyscy mieli napięte nerwy. Horoskopy już zostały odczytane, przesądom stało się zadość. Sabina nie chciała się kochać z Melem poprzedniej nocy w obawie, że zmęczenie odbije się na jej wyglądzie. Wszyscy dopełnili jakichś swoich osobliwych małych obrzędów, jak zwykle aktorzy, gdy zaczynają zdjęcia. Z czasem mieli się rozluźnić, lecz dopiero z czasem.

Jak wynikało z planu zajęć rozdanego w samolocie, do nakręcenia tego pierwszego dnia były tylko cztery sceny, chociaż w niektórych z następnych dni miało być ich sześć albo nawet siedem czy osiem. Ale tak czy owak, musieli zacząć. Kręcili w centrali IBM, w hallu i na dwudziestym siódmym piętrze, gdzie tłem był niewiarygodny, rozciągający się panoramicznie widok Nowego Jorku. Jane zdenerwowana przed pierwszą sceną — spotkaniem z Zackiem w hallu — jeszcze raz powtarzała swoje kwestie. Sto razy mówiła je tej nocy i przedtem w Los Angeles miała z Zackiem wiele prób, ale bała się, że na planie zaniemówi, że zapomni.

— Nie denerwuj się — szepnął Zack w drodze na charakteryzację do jednej z przyczep samochodowych na parkingu.

Było po wpół do siódmej i wszyscy punktualnie już przyjechali trzema limuzynami. Nawet Sabina, która wyglądała bardzo profesjonalnie w czarnym swetrze i dżinsach. Jej stroje wisiały w dodatkowej przyczepie. Ona jedna oprócz przyczepy-garderoby dostała przyczepę-szafę. Jane, już uczesana i w białej sukience do pierwszej sceny, siedziała teraz w ogromnym białym kitlu z plastiku chroniącym tę sukienkę, gdy charakteryzatorka kończyła jej twarz. Zack zajął ze słowami otuchy i ledwie go zobaczyła, poczuła się lepiej. Zack zjawia się zawsze wtedy, gdy jest potrzebny. Jest taki chyba dla wszystkich, a to rzadkie w przypadku

gwiazdora. Zawsze przyjazny, zawsze uprzejmy, nigdy nie narzeka, tylko że zachowuje dystans. Jane nawet po obiadach z nim w Los Angeles doznawała wrażenia, że prawie go nie zna, chociaż serdecznie go lubiła. Był dla niej taki dobry!

— Jeszcze kawy, panni Adams? — Asystent producenta chodził od przyczepy do przyczepy, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku, a Jane już szumiało w uszach. Tylko jej mignęli Gabby i Bill. Gabrielle poważna, skupiona, a Bill jak zwykle przystojny, ale antypatyczny. Zastanowiła się, jakie ma zmartwienie. Bo jasne było dla wszystkich, że coś go gnębi. Zaczynali w nim widzieć samotnego wilka.

W planie zajęć przy nazwiskach aktorów były numery i Jane jeszcze raz sprawdziła siebie. Jest numerem trzy i ma wystąpić w dwóch scenach z dzisiejszych czterech — w scenie z Zackiem i w scenie z Sabiną i Gabby, najtrudniejszej, przedstawiającej, kim są i co wiąże te trzy postacie. Dzisiaj mieli kręcić sceny do trzygodzinnego odcinka premierowego, ale później czekały ich sceny do następnych odcinków i to nigdy we właściwej kolejności. Zupełnie inaczej niż było w „Smutkach” nadawanych na żywo. Tam akcja rozwijała się z sensem i Jane po latach pracy wiedziała, co improwizować, jeśli zapomniała swojej kwestii, przy czym te improwizacje czasem nawet wychodziły serialowi na korzyść. Tutaj wszystko musiało być dokładnie tak, jak w scenariuszu i każde ujęcie należało powtarzać, dopóki nie było doskonałe.

W ogromnej ciężarówce parzono kawę, był bufet ze śniadaniem dla każdego. Ale Jane zanadto się denerwowała, żeby jeść, chociaż widziała, jak Gabby i Mel wchodzą tam z kilkoma ludźmi z personelu. Aprowizacją zajmowali się najlepsi dostawcy w Nowym Jorku. Mel dla swojej obsady i personelu nie skąpił niczego. Świadczyły o tym znakomite kreacje zamówione u François Braca i apartamenty w Carlyle. Jane włożyła na sukienkę biały płaszcz do kompletu i zapaliła papierosa, którego prawie natychmiast zgasiała.

— Slicznotka gotowa? — Zack przyszedł w eleganckim codziennym garniturze, w prochowcu i z teczką w ręce. Byli urodziwą parą, gdy Jane wyszła za nim z przyczepy. Na podjeździe tłoczyło się co najmniej osiemdziesiąt osób: sanitariusze, oświetleniowcy, kamerzyści i robotnicy. Zostały wystawione fotele reżyserów, a także pięć nowych z nadrukowanymi szablonymi nazwiskami pięciu głównych ról.

Widząc je, Jane poczuła przyjemny dreszczyk i uśmiechnęła się do Zacka jak mała dziewczynka. Więc to się dzieje rzeczywiście! Podniecona, ledwie mogła iść spokojnie.

— Czuję się jak dziecko pierwszego dnia w szkole. — Zachichotała nerwowo, pewna, że zapomniała swoich kwestii. Trochę ją mdlilo.

Przez obrotowe drzwi weszli do hallu i stanęli patrząc, jak dublerzy zajmują ich miejsca na planie, żeby odpowiednio ustawiono światła. Wydawało się, że trwa to wiecznie. Dopiero o wpół do ósmej reżyser im powiedział, że mają zaczynać. Był to Anglik, który już dla Mela nie raz pracował. Bardzo grzecznie rozmawiał na uboczu z Zackiem i Jane.

— Próbowaliście tę scenę? Kwestie przyswojone? — Jeszcze mogli coś niecoś zmienić, ale tylko teraz, a nie później, po pięciu ujęciach. Jane słyszała, że z tym reżyserem czasem bywa nawet dwadzieścia ujęć. Oboje przytaknęli. — Gotowi?

— Tak — z wahaniem powiedziała Jane.

Zack potwierdził.

— To dobrze. — Reżyser uśmiechnął się zadowolony. — Spróbujmy więc. Jeszcze jedna próba, trzymajcie się linii.

Taśmy na podłodze zaznaczały, gdzie byli dublerzy, ale on wiedział, że w czasie nagrywania sceny nieuniknione będą lekkie przesunięcia.

To była scena, w której Zack spotyka Jane przed windami, zatrzymuje ją chwytając za rękę i pyta, co ona tu robi.

— „Chcę zobaczyć się z moją siostrą — mówi Jane. — W sprawie córki.”

Zack usiłuje jej to wyperswadować, ona jednak wymyka mu się do windy. Drzwi windy się zamykają i na tym scena się kończy. Zaraz potem miała nastąpić scena na górze, gdzie Jane spotyka Billa, ale kręcić to mieli innego dnia.

Spróbowali tę scenę raz ku zadowoleniu reżysera i przesunięte zostały tylko dwie taśmy.

Przez megafon kazano wszystkim się

odsunąć i być cicho. W hallu panował tłok. Na zewnątrz było zimno, więc kto mógł z personelu, wszedł do hallu. Poza tym chcieli popatrzeć. Wszyscy byli w niebieskich dżinsach i grubych kurtkach, w kowbojskich butach albo trampkach, niektórzy w czapkach marynarskich z dzianiny albo w czapkach futbolowych, tylko Zack i Jane wyróżniali się, kosztownie, elegancko ubrani. Na pierwszy rzut oka gwiazdor i gwiazda.

Teraz czyjś głos gdzieś blisko kamery wrzasnął:

— Cisza... spokój! — I raptownie: — Akcja!

Jane z wdziękiem ruszyła przez hali, zatrzymała się przy windzie. Zobaczyła Zacka i odwróciła się, gdy podszedł do niej i chwycił ją za rękę.

— Jessica? — zapytał na dany znak. — Co ty tutaj robisz?

Jane patrzyła na niego, jak gdyby niepewna, co odpowiedzieć, a potem wyzywająco, ale nie za bardzo, rzuciła:

— Chcę zobaczyć się z moją siostrą, Adriane.

Scena rozgrywała się dalej, drzwi windy się zamknęły doskonale i ten sam głos wrzasnął:

— Cięcie... dobrze!..., bardzo dobrze...

Reżyser był wyraźnie zadowolony, drzwi windy się otworzyły. Jane wyszła z uśmiechem podniecenia, była szczęśliwa. Reżyser pogadał z nimi i powtórzyli scenę. I jeszcze cztery razy, a potem w końcu usłyszeli:

— Do wywołania!

Zarządzono przerwę, podczas gdy dublerzy znów zajęli miejsca na planie przed inną sceną, i Jane ze zdumieniem stwierdziła, że już minęła ósma. A więc są tu ponad godzinę. Wydawało się, że ten czas przeleciał na skrzydłach. Jane nie grała w następnej scenie, ale chciała zobaczyć Billa i Zacka. Nigdy nie widziała, jak Bill pracuje, jaki ma styl. Stała na uboczu gawędząc z Zackiem, gdy ustawiano światła, co zabrało znowu pół godziny. Wiedziała, że w studiu czasem trwa to dwa razy dłużej, ale w terenie, jeżeli szczęście sprzyja, wszystko idzie szybciej.

— Kawa dla pani? — ktoś zaproponował. Jane potrząsnęła głową i zwróciła się do Zacka:

— I co myślisz? — Zależało jej na jego zdaniu.

— Chyba wyszło dobrze.

Pewności nikt wszakże nie miał. Oboje wiedzieli, że w ciągu następnych tygodni będzie się to wydawać na przemian okropne i wspaniałe, co i tak nie gwarantuje oglądalności. Jediną gwarancją jest fakt, że Mel ma nosa do szlagierów. Wszyscy liczyli na Mela, ale też musieli robić swoje i każdy był gotów dać z siebie wszystko.

Bill wszedł do hallu, uderzająco przystojny w szarym garniturze, blondyn z włosami lśniącymi w ostrych światłach złotem. Przystojny, młody i bardzo żarliwy. Jane nie zdawała sobie dotąd sprawy, że jest taki piękny. Był wspaniały.

Oczy Billa napotkały wzrok Zacka i Jane odsunęła się, gdy ci dwaj ze sobą rozmawiali.

Minęło znów pół godziny, zanim oświetleniowcy byli zadowoleni, po czym Bill i Zack zrobili próbę, taśmy zostały przesunięte, powtórzyli jeszcze raz i ktoś zawołał:

— Uciszymy się, proszę! Cisza, cisza! Następną kręcimy!... Cicho już... proszę, ma być zupełnie cicho! Kamera... światła!

— Akcja!

Jane znów poczuła ten miły dreszczyk. Zdumiewające, jak na nią działa samo to, że tu jest.

Poczuła się jak osiemnastolatka, niewiarygodnie szczęśliwa. Rzeczywiście jest to warte ceny, jaką zapłaciła. Przez tyle lat nie uświadamiała sobie, jak bardzo była nieszczęśliwa. Życie

wtedy mogło być znośne tylko dzięki pracy w „Smutkach”, a teraz oto całe się roziskrzyło. Brak jej dzieci, owszem, ale czas jest tak przyjemnie wypełniony, a Jacka nie brak jej wcale i dobrze, że w końcu pojęła, jak przez niego cierpiała. Dotychczas nie dopuszczała do siebie takich myśli o nim. Aż dziw bierze. Tutaj ją traktują jak istotę ludzką. Ma ważną rolę w „Manhattanie” i Mel wierzy w ostateczny sukces tego serialu, a ufność Mela jest zaraźliwa. Wszyscy są pewni sukcesu. Chcą, żeby „Manhattan” okazał się — cytując Mela — największym serialem Ameryki w następnym sezonie.

Scena Zacka z Billem była bardziej skomplikowana niż scena z Jane. Reżyser kazał im powtarzać osiem razy, zanim w końcu powiedział czarowne słowo:

— Wywołać!

I wszyscy odetchnęli.

Bill grał interesująco. Był sympatyczny, żywy, zupełnie inny niż ten Bill w prawdziwym życiu, przygaszony, zamknięty w sobie, trzymający się od wszystkich z daleka. Jane zrozumiała, dlaczego Mel go zaangażował i dlaczego kobiety przy telewizorze będą głupiec, wpatrzone w niego. Bill jest znakomity. J tak samo Zack, na swój spokojny, dojrzały sposób. Dla każdej coś będzie. Więc Jane z uśmiechem poszła do swojej przyczepy, żeby się przebrać przed następną sceną. Miała to być jej początkowa scena z Sabiną, kręcona na dwudziestym siódmym piętrze biura, które wynajęto za tysiąc dolarów dziennie. To bajeczne biuro wisiało jak szklana skrzynia na rogu drapacza chmur i widok Nowego Jorku z tej perspektywy wprost oszałamiał. Ale Jane nie myślała o widoku, gdy się przebierała. Myślała o Sabinie i o Gabby, i o sobie w zestawieniu z nimi. Z piękną, młodą dziewczyną i taką sexy wielką gwiazdą jak Sabina. Jakaż ja będę przy nich?, pomyślała przerażona i nagle, jak gdyby odgadując jej myśli, pojawił się Zack, akurat wtedy, gdy garderobiana zaciągnęła zamek sukienki. Sukienka była nobliwa, w kolorze granatowym podkreślającym płomiennosc jej włosów. Ekspozowała także jej pełny biust, cienką talię i krągłe biodra, dość krótka, by odsłaniać sensacyjne nogi. François Brac ostatecznie miał z nią łatwe zadanie.

— Wyglądasz szalowo, Jane. — Zack wsunął głowę zza drzwi przyczepy i gwizdnął, co ją rozśmieszyło. W swoim wytwornym ubraniu nie wyglądał na faceta, który gwizdże.

— Boję się. — Jej oczy świadczyły, że naprawdę się boi.

— Będiesz wspinała. Numer pierwszy — podniósł kciuk.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Rozpaczliwie potrzebowała zachęty i on o tym wiedział. W takich chwilach nie rozumiem, dlaczego Mel dał mi tę rolę.

— Nie zastanawiaj się nad tym. Ten człowiek wie, co robi. Kobiety cię pokochają, a mężczyznom kolana będą się uginały na sam twój widok. Sabina to coś innego. Mocna dawka, a ty... — Miał jakąś rzewność w oczach i głos mu zmiażdżył, gdy mówił dalej: — Ty jesteś bardzo kobieca, Jane.

— Dziękuję, Zack. Pojedziesz na górę, żeby popatrzeć?

— Chyba puszcze cię tam samą. Będzie dosteczny tłok. Zresztą muszę się przebrać do mojej sceny z Sabiną.

Ta scena miała się rozgrywać innego dnia, więc musiał być w innym ubraniu. On też był szczerze zaopatrzone w garderobę, za którą płacił Mei. Aie Mei wiedział, że to dobra iokata. W żadnym innym serialu nie ma takiej obfitości modeli, to nadaje aktorom wygląd ludzi bogatych, a widowisku oprawę należycie kosztowną. Nic taniego nie było w Melu Wechsierze ani w jego serialach.

Zack miał rację. Gdy Jane wjechała windą na górę, w biurze już się zgromadziło wielu ludzi z kamerami i sprzętem. Charakteryzatorka i fryzjer czekali i odświeżyli Jane, dublerki zajęły miejsca i ustawiano kamerę kilkakrotnie pod różnymi kątami. Jane zobaczyła stojącą na uboczu Gabby w pięknej czarnej wełnianej sukience, którą zaprojektował dla niej François Brac. Gabby wyglądała młodo, szykownie i drogo. Sabiny nigdzie nie było widać i minęła prawie godzina, zanim się ukazała. Ktoś przez krótkofalówkę zawiadomił personel na dole, że

na górze już wszystko gotowe do zdjęć i dopiero wtedy Sabina wjechała windą, efektowna wprost niewiarygodnie w jaskrawoczerwonej wełnianej sukni z żakietem. Nie ulegało wątpliwości, kto tu jest gwiazdą, gdy wyszła z windy z fasonem i rozmachem, buńczucznie nieomal, jakby ją wystrzelono z armaty. Z chwilą jej przybycia zapanowało poruszenie.

— Cisza! — wrzasnął znany już głos, tym razem jeszcze donośniej.

— Cisza... Spokój, proszę... Pozycje!

Jane przecisnęła się przez tłum, by stanąć na swoim miejscu. Nie było żadnej próby tym razem. Sabina uważała, że próby nie potrzebuje, i reżyser to uszanował. Gabby weszła na swoją linię i znów stała spokojnie wyczekująca, młoda. Jane uśmiechnęła się do niej przelotnie. Czuła się jak koń wyścigowy w boksie przed gonitwą — kto wygra, czy rzeczywiście one trzy łeb w łeb... Sabina wygiąda prześlicznie. Ten gruby makijaż ujmuje jej mnóstwo lat i te jej nadzwyczajne włosy!... Duże złote kolczyki Sabiny, gruby sznur pereł na szyi i brylantowy pierścionek na jej prawej ręce zostały wypożyczone na czas zdjęć od Harry'ego Winstona. Mei nie chciał nawet, żeby biżuteria była sztuczna w jego serialu.

— Cisza, proszę... światła!... Akcja!

I jak gdyby urodzona do tej roli Sabina zajęła swoje miejsce za biurkiem, po czym wstała po królewsku i zapatrzyła się w Jane, za którą powoli weszła Gabby.

— Co ty tu robisz? To znaczy, co wy obie tu robicie...?

Jej oczy były jak zielone brylanty, nie mówiła, tylko warczała, i Jane prawie bezwiednie, jak gdyby słowa kwestii płynęły jej prosto z serca, odpowiedziała na to pełną pasji tyradą, którą przedtem ćwiczyła j ćwiczyła. Gabby też powiedziała swoją kwestię tak, jakby była Tamarą Martin, a nie Gabrielie Smith. Nie do wiary, co się z nimi stało, nagle wtopiły się w życie „Manhattanu”. Sabina z oczami pałającymi kazała im się wynieść, przeszła przed biurko, naciskając guzik. W ten sposób wezwała Zacka, ale on miał wejść już w następnej scenie. Jane oszołomiona usłyszała głos reżysera:

— Kapitalnie!... Kapitalnie wszystkie!... Jeszcze raz, proszę...

— Kręcili tę scenę trzy razy i za trzecim razem się radował: — Boże, jesteście świetne. Do wywołania!

Rozległy się brawa. Nie sposób było poznać, którą z nich szczególnie oklaskują. Jane miała chęć podskakiwać, krzyczeć z radości. Z daleka zobaczyła Zacka i łzy stanęły jej w oczach. Ach, czy to możliwe, żeby jej kiedykolwiek spowszedniała ta podniecająca praca? Nawet Sabina była zadowolona. Gabby promieniała. Wyszło dobrze, lepiej niż dobrze. Wspaniale. Wszystkie trzy instynktownie o tym wiedziały.

Godzinę zabrało ustawianie świateł do czwartej tego dnia sceny. Urzędnicy z wynajętego biura tłoczyli się w kątach, żeby oglądać gwiazdy i możliwie także trochę akcji. Ale nic nie było do oglądania z wyjątkiem oświetleniowców, techników i operatorów.

Przerwę obiadową ogłoszono punkt o dwunastej. Należało zadowolić związki zawodowe, a i tak zaraz na początku zdjęć nie kalkulowałyby się godziny nadliczbowe. Wszyscy wrócili do przyczep, żeby coś zjeść. Przerwa trwała do pierwszej. A potem czas szybko minął, gdy kręcili czwartą scenę i rozdawano plan zajęć na następny dzień.

Mel po południu pokazał się w czasie zdjęć i wydawał się tak zadowolony jak wszyscy.

Wyszedł, zanim skończyli kręcić. Sabina Wróciła do hotelu sama jedną limuzyną, Zack, który chciał po

drodze odwiedzić kogoś, drugą, do trzeciej wsiedli Jane, Bill i Gabby.

— Au, jestem zmachana. — Jane dziwiła się, że odczuwa zmęczenie, bo zarazem czuła się cudownie. — No i co myślicie?

— Ja myślę, że muszę jeszcze porządnie nad sobą popracować

— powiedziała Gabby pokornie, a Bill spojrział na nią i po raz pierwszy wyszedł ze swej skorupy.

— Byłaś dobra. Bardzo dobra. Ta scena w biurze to bomba.

Jane też tak uważała, więc uśmiechnęła się do niego.

— Dziękuję. Ty wyglądałeś fantastycznie w scenie z Zackiem.

Gawędzili o zdjęciach i znów przeczytali plan. Mieli nazajutrz kręcić sześć scen, z czego trzy duże, musieli zabrać egzemplarze scenariusza do hotelu.

— Popróbujesz ze mną dziś wieczorem? — Gabby z nadzieją patrzyła na Billa, lecz potrząsnął głową.

— Lepiej pracuję, kiedy jestem sam.

Krótko, zwięźle. Gabrielle znów była wyraźnie rozczarowana.

— Ja mogę z tobą próbować, jeżeli chcesz — ofiarowała się Jane wypełnić jej tę lukę, ale miała z nią tylko jedną scenę, i to niedużą.

— Dziękuję. Pomoc zawsze mi potrzebna.

Gabby bardzo chciała się wykazać, a Jane bardzo chciała jej pomagać. Gabby wydaje się niewiele starsza od Alexandry i Allysy, chociaż naprawdę jest starsza od Allysy o dziesięć lat. Trudno w to uwierzyć — wygiąda jak dziewczynka, kiedy już włożyła z powrotem dżinsy i trampki i zaplotła włosy w dwa warkoczyki.

Bill jednak zupełnie nie interesował się Gabby, unikał jej wzroku i w czasie jazdy do hotelu rozmawiał przeważnie z Jane. Ledwie dojechali, pospiesznie obie pożegnał. Jane zaprosiła Gabby na kolację w swoim apartamencie i na próbę.

— Teraz chcę wskoczyć do gorącej wody i trochę poleżeć.

— Ja też. — Gabby się uśmiechnęła.

Bill zniknął, we dwie pojechały więc windą na górę i dopiero gdy szły korytarzem, Gabby westchnęła zniechęcona.

— Bill jest nieżyczliwy jak diabli. Naprawdę trudno z nim pracować.

— Wiem. Prawdopodobnie po prostu się denerwuje.

— A kto się nie denerwuje? — Gabby wzruszyła ramionami.

— Wszyscy się denerwujemy. To jest wielki serial, wielka szansa dla nas wszystkich z wyjątkiem Zachary’ego i Sabiny, którzy pewnie są do tego przyzwyczajeni. Ale, o rany, Bill nie może wciąż na nas warczeć. acbowuje się tak, jakby miał rzep na siedzeniu.

Jane roześmiała się, Gabby znów przypomniała jej córki.

— Daj mu czas. Jeszcze się nie zżyliśmy. Jeszcze będziemy jedną wielką rodziną. Tak właśnie było w moim poprzednim serialu.

Gabrielle spojrzała zaciekawiona.

— W którym serialu grałaś?

— W „Naszych tajemnych smutkach”.

Gabriele parsknęła śmiechem.

— Moja babcia przepadała za tym.

Jane uśmiechnęła się smętnie.

— No właśnie. Chcieli go odmłodzić, przyciągnąć młodych widzów. Więc mnie odprawili.

— Żałujesz teraz? — Gabrielle uśmiechnęła się do niej. Bardzo ją lubiła.

— Do licha, nie. — Jane filozoficznie rozłożyła ręce. — Ostatecznie straciłam tylko rolę w melodramacie i swoje małżeństwo.

Oczy Gabby otworzyły się szeroko.

— Poważnie? Małżeństwo? Z powodu roli w „Manhattanie”?

— To długa historia. Opowiem ci kiedyś, kiedy będziemy miały dziesięć godzin czasu i butelkę koniaku pod ręką.

Gabby otworzyła drzwi swego apartamentu obiecując, że przyjdzie do Jane za godzinę — trochę tak, jak gdyby w internacie umawiały się na wieczór, żeby razem wkuwać.

Spotkały się godzinę później i gawędziły aż do północy, chociaż wiedziały, że muszą wstać nazajutrz o wpół do piątej. Zupełnie zapomniały o reszcie obsady, koncentrując się na swoich

kwestiach. Tymczasem, gdy one były pochłonięte pracą, Bill histerycznie usiłował dodzwonić się do Harry'ego. Od chwili przyjazdu chciał dostać Połączenie, a w czasie zdjęć jakoś dziwnie im lepiej wszystko szło, tym bardziej nękało go poczucie winy wobec Sandy. W końcu dodzwonił Się, usłyszał głos Harry'ego, trzymając papierosa w rozdygotanych palcach.

— Jak ci idzie?

— Dobrze.

— Tylko tyle? Dobrze?... Grasz w największym serialu twojego życia w Nowym Jorku z Sabiną Quarles i Zacharym Taylorem, pracujesz dla Mela Wechslera i mówisz tylko: dobrze?

— Więc cudownie. Słuchaj, Harry, czy możesz coś zrobić dla mnie? — Jeszcze w skórzanej kurtce leżał na łóżku, rozstrojony. Myśl o Sandy doprowadzała go do obłądu. Co będzie, jeżeli Sandy teraz umrze i Wechsler się dowie, że była jego żoną? Odkąd przyjechał do Nowego Jorku, wiedział na pewno, że trzeba ją zmusić do leczenia, natychmiast. Trzeba koniecznie. Nawet zadzwonił do jej rodziców, ale nie wiedzieli, gdzie jest) tak samo jak nie wiedzieli jej przyjaciele, gdy do nich zatelefonował. — Czy mógłbyś się dowiedzieć czegoś o Sandy?

Harry zaczynał myśleć, że Sandy rzeczywiście stała się obsesją Billa. Nie rozumiał jego obaw ani poczucia obowiązku.

— Słuchaj, czy ty nie możesz po prostu zapomnieć o niej?

— Nie mogę. — Nie dlatego, żeby ją jeszcze kochał, po prostu zapomnieć o niej nie mógł! — Ona musi się wyleczyć.

— Więc zwróć się do policji. Już kto jak kto, ale policja prawdopodobnie coś tam przecież wie. — Harry był sarkastyczny.

Bill się rozgniewał. Na jego jasnej twarzy urodziwego blondyna malował się gniew i lęk.

— To wcale nie jest zabawne.

— To wcale nie miało być zabawne. Głupiec z ciebie, jeżeli teraz wciągasz ją z powrotem w swoje życie. Mel nie będzie się patyczkował, jeżeli dowie się, że jesteś żonaty z narkomanką. W tym właśnie rzecz. Gdyby się wyleczyła, przynajmniej mógłby z nią po cichu wziąć rozwód.

— Nie proszę cię, żebyś to podał mojemu agentowi prasowemu. Proszę cię tylko, żebyś ją znalazł.

— Tak? Mam wyjść z towarem i ją zwabić?

— Do cholery! — wybuchnął Bill zrywając się na równe nogi.

— Nie dręcz mnie, Harry.

— Zgoda... zgoda... postaram się. Ale na litość boską, Bill, ty się uspokój. Masz pracę. Dużą pracę. Jak ci poszło dzisiaj? Pytam poważnie.

— Dobrze, ale naprawdę, Harry... — Musiał komuś powiedzieć, już nie wytrzymał. — Strasznie się martwię o Sandy. — To go tak bezustannie denerwowało. Lęk przed skandalem i świadomość, że tylko martwi się o dziewczynę, którą kiedyś kochał całym sercem.

— Zrobię, co będę mógł. Ale i ty zrób mi grzeczność. Myśl wyłącznie o swojej pracy. Harry miał nadzieję, że Bill jednak zainteresuje się młodą aktorką zaangażowaną do roli jego siostry, ale teraz tę nadzieję stracił. Niestety. — Zadzwonię do ciebie, kiedy czegoś się dowiem.

Jednakże Bill dowiedział się pierwszy. Matka Sandy zadzwoniła do niego i tego samego dnia podano to w dzienniku. Sandy przedawkowała w jakimś nędznym małym hotelu na Sunset.

## ROZDZIAŁ XVII

Karetką pogotowia przyjechała na czas i tym razem powstało pytanie, czy nie ma uszkodzenia mózgu. Ale gdy Bill zadzwonił do szpitala, nie pozwolono mu z Sandy porozmawiać. W dwa dni później, dzwoniąc już po raz setny, usłyszał, że została wypisana. A jej matka powiedziała, że Sandy zniknęła i nie wiadomo, gdzie jest. Udało się tylko dowiedzieć, że podobno mieszka u jakiegoś handlarza narkotyków w Inglewood. Jej rodzice prawie już z niej zrezygnowali. W sądzie się nie stawiała, wezwana z oskarżenia wniesionego w końcu sierpnia, więc wydano nakaz aresztowania jej. To była koszmarna sytuacja. Bill nie wiedział, co robić. Możliwość zresztą, żeby coś zrobić, miał niewielkie, będąc tak daleko, w Nowym Jorku. Ze straszliwym wysiłkiem starał się koncentrować na pracy. Nazajutrz po znalezieniu Sandy musieli kręcić jedną jego scenę osiemnaście razy. Czuł się bliski obłądu, z takim trudem usiłował nie myśleć.

— Może w czymś mogłabym ci pomóc? — delikatnie zapytała Jane, jadąc z nim po pracy do hotelu.

Tylko potrząsnął głową i odwrócił się, żeby nie widziała wyrazu jego twarzy. Dla niej jednak było jasne, że coś nie jest w porządku, i gdy w końcu znów spojrzął na nią, miał oczy zmęczonego starca.

— Nie, ale dziękuję. — Uważał, że Jane jest przyzwyczajona, chociaż cóż można mieć z nią wspólnego? W kółko mówi o swoich dzieciach. Nie doprowadza go jednak do szału jak Gabrielle, ta Gabby, szczeniak zakichanie przyjazny i wciąż wesoły. Chce, żeby z nią robił próby

w każdej wolnej chwili, a on naprawdę nie ma ochoty na nią patrzeć. Za bardzo mu przypomina Sandy, to rozdrapuje ranę.

Nawet Mel zauważył, że pośepność Billa pogłębia się w Nowym Jorku, ale gdy co wieczór oglądali nakręcone w ciągu dnia sceny, aktorstwo Billa było zawsze bez zarzutu.

— Jest dobry — przyznał reżyser. — I będzie jeszcze lepszy, kiedy się uspokoi. Na razie taki spięty, jakby lada chwila miał trzasnąć. Ale on ma warsztat. Ten chłopak to profesjonalista. To właśnie ocaliło Billa i sprawiło, że wszyscy się pogodzili z jego czarnymi nastrojami. Zresztą w istocie nie odburkiwał nikomu oprócz Gabrielle. A Gabby miała inne kłopoty, co nie znaczy, że komukolwiek o nich mówiła. Matka dzwoniła do niej po pięć razy dziennie błagając, żeby spędziła całe Boże Narodzenie u rodziców.

— Kochanie, podaj mi bodaj jeden logiczny powód. — Ten głos, głos czysto paryski, i z Palm Beach, i z Newport, był z dnia na dzień coraz bardziej natarczywy. Gabrielle ledwie zachowywała spokój. Męczyło ją tłumaczenie się matce.

— Mamo, pracuję osiemnaście godzin na dobę, muszę wstawać co dzień o wpół do piątej.

— Musisz jeść. Może jadaj w domu?

Wysztafirowana przy stole w gronie dwóch setek najbliższych przyjaciół rodziców. To miało sens dla Charlotte, ale nie dla Gabrielle.

— Jadam w swoim pokoju i zwykle mam wciąż próby z obsadą.

— Jak dotąd tylko z Jane, ale Gabrielle jeszcze nie straciła nadziei, że wreszcie będzie odbywać próby z Billem. Była przekonana, że to bardzo polepszy sceny ich dwojga.

— To niezdrowo, kochanie. Potrzebne ci przecież spacerki na świeżym powietrzu.

— Już powiedziałam, mamo. Przyjadę na wigilijną kolację.

— Jesteś tu trzy tygodnie, a myśmy jeszcze ciebie nie widzieli. No to przyjdź jutro wieczorem. Będą wszyscy starzy przyjaciele i każdy bardzo chce cię zobaczyć. — Bzdura, nikomu na mnie nie zależy, Pomyślała Gabrielle. To byli przyjaciele tylko jej rodziców, ludzie, których nie cierpiała. Największe nazwiska w Nowym Jorku, nazwiska figurujące w



„WWD” i „Town and Country”, magazynach pełnych fotografii pięknej porcelany i ślicznych kryształów, i stołów nakrytych do „casserole” — kolacji dla dwudziestu osób w uroczystych strojach wieczorowych. Takie życie przejmowało ją wstrętem już w dzieciństwie ho się nie zmieniło. Odsunęła się od tego. To jest teraz życie ich, nie jej. lich przyjaciele nigdy nie byli jej przyjaciółmi. Widzieli w niej tylko córkę Charlotte i Eyeretta.

— Mamo, ja naprawdę nie mogę. I nie mam w co się ubrać na wieczór, wszystko zostawiłam w Kalifornii — powiedziała niezupełnie zgodnie z prawdą. Mogła wypożyczyć suknie wieczorowe zaprojektowane dla niej przez Franois Braca. Wiedziała, że Sabina już kilka razy nosiła rzeczy z garderoby Eloise, gdy pokazywała się publicznie z Melem, i nikogo to nie obchodziło, byleby suknia pozostawała w należytym stanie.

— Każę przysłać ci jutro coś od Bendela.

— Nie chcę niczego od Bendela. — Gabrielle już mówiła przez zaciśnięte zęby. — Nie chcę przyjść.

— Spodziewam się ciebie o wpół do ósmej — zakończyła rozmowę matka.

Gabrielle siedziała zapatrzona w słuchawkę w swojej ręce.

Cholera! Mama nigdy mnie nie zrozumie i teraz wymaga, żebym była na ich zakichanym przyjęciu, pomyślała. Takie to moje szczęście, że muszę pracować akurat w Nowym Jorku. Znów poczuła się dzieckiem, które ma być posłuszne, zupełnie jak wtedy, gdy była w Saint Paul’s czy nawet w Yale. Rodzice wcale nie przyjmowali do wiadomości faktu, że ona rośnie i nawet teraz, kiedy już dorosła, mieszka na Zachodnim Wybrzeżu i pracuje zawodowo, dla nich to nic nie znaczy. Po prostu wmawiają sobie, że tak nie jest i że ich córka nie jest aktorką.

Nazajutrz rano wstała w parszywym nastroju, akurat doskonałym do sceny, którą grała z Billem. Zawzięta, w myśl scenariusza, kłótnia nabrała autentyzmu, gdy ona wrzeszczała na Billa i nawet czymś w niego rzuciła. Lepiej by to nie mogło wypaść, gdyby nawet tygodniami robili przedtem próby, oboje więc zadowoleni zeszli z planu, chociaż Bill nic jej nie powiedział. Wróciła do swojej przyczepy i niechętnie wybrała suknię wieczorową, nobliwą, z czarnego aksamitu. Podpisała kwit, włożyła suknię do plastikowej torby i wzięła do hotelu wieczorem, gdy limuzyną wracała z Jane.

— Wybierasz się gdzieś?

Jane też jest zadowolona, że dobrze gram, zauważyła Gabby. Jest tak bardzo dla wszystkich życzliwa! Czasami Gabby było jej żal. Bo taka jakaś samotna i chyba podkochuje się w Zacku, a Zack, owszem, lubi ją, ale zgola beznamiętnie.

— Na kolację ze znajomymi. Kiedyś mieszkałam tutaj. — Gabby usprawiedliwiała się nieorna!, a Jane przecież cieszyła się ze względu na nią.

— Wiesz, moje dziewczynki przylecą jutro z Los Angeles. Może przywiozę je na plan.

— Zrobisz mi tym wielką przyjemność. — Ale w głosie Gabrielle nie zabrzmiał entuzjazm.

Gdy wyjeżdżały ze śródmieścia mijając sklepy na Madison Ayenue przeładowane dekoracjami gwiazdkowymi, wcale nie czuła się świątecznie. Wiedziała, że mieszkanie rodziców też będzie przeładowane jak zwykle choinkami ubranymi przez ich kwiaciarza za tysiące dolarów. Nie cierpiała tych choinek nawet w dzieciństwie. Wszystko tak doskonałe, tak sztuczne. Nic ciepłego w tym nie było, nic przytulnego. Gdzież to Boże Narodzenie z zabawnymi cackami i sznurami prażonej kukurydzy na choince, jakie miały inne dzieci? Zawsze to wyglądało jak jeszcze jedna rozkładana stronica w „Town and Country”.

Rozstały się przed drzwiami swoich apartamentów i Gabrielle poszła się przebrać, zdumiona, że jednak dała się zmusić do wizyty w rodzinnym domu. Zamówiła limuzynę na siódmą piętnaście i z włosami upiętymi wysoko, w pięknej sukni Franois Braca, wyglądając jak filigranowa księżniczka, zjechała windą na dół. W hallu wpadła na Billa idącego z plikiem magazynów. Przez chwilę patrzył na nią zaintrygowany, jak gdyby rzeczywiście go

obchodziło, dlaczego tak się wystroiła. Uśmiechając się do niego, napomknęła o scenie, którą grali po południu.

— Myślę, że była super.

Tak myślą wszyscy — powiedział zdawkowo.

— A ty nie?

— Zawsze można coś zrobić lepiej.

Bill z reguły krytykował wszystko i wszystkich. Dlatego, że jest nieszczęśliwy, tłumaczyła go Jane, ale Gabby wydawało się to kiepskim uzasadnieniem jego zgryźliwości. Nie rozumiała, dlaczego się tak zachowuje.

— Nie bądź dla siebie surowy.

— Nie jestem. Po prostu wiem, że mógłbym lepiej zagrać. Idziesz na jakąś zabawę?

Dziwiła się, że raczył o to zapytać. Zwykle tylko burczał do niej „cześć” i zbywał ją, ledwie wszczęła z nim rozmowę.

— Tylko z wizytą do znajomych.

— Ładna suknia. Pożyczyłaś z serialu? — zabrzmiała w tym nuta szyderstwa.

Gorąco zrobiło jej się od rumieńca, za który siebie znienawidziła.

— Tak, ale podpisałam papierek na wypadek, gdybyś się o ten ciuch obawiał.

— Nie obawiam się. O ile wiem, Sabina wciąż chodzi w swoich kostiumach. Nawet ma zaznaczone w kontrakcie, że kostiumy przechodzą na jej własność. Może i ty zdołasz to sobie załatwić? — mówił uszczypliwie, aż ohciała trzepnąć go w twarz.

— Będę o tym pamiętać.

Odwróciła się z powiewem czarnej aksamitnej peleryny. Bill burknął dobranoc i popędził do windy, by zabrać się z kimś na górę. Wzruszeniem ramion spróbowała zlekceważyć jego uwagi, ale już wprawiły ją w niedobry nastrój na wieczór, o którym i bez tego myślała ze zgrozą. I wiedziała, że zgroza ta nie jest bezpodstawna, gdy wjeżdżała windą do domu na rogu Piątej Alei i Siedemdziesiątej Czwartej Ulicy, a kamerdyner rodziców czekał na podeście schodów. Mówił gościom, gdzie zostawić płaszcze, witał każdego i serdecznie uściskał pannę Gabrielle, co fotograf „Woman”s Wear Daily” skwapliwie sfotografował. Pojęła, że na skutek własnej bezmyślności stała się nagle kąskiem dla prasy i że to może koniec anonimowości Gabrielle Smith. Przez ten cały wieczór na próżno unikała fotografów. Było ich czterech towarzyszących reporterom z kronik towarzyskich gazet, a także fotografowie z „Women”s Wear” i z „Town and Country”.

— Kochanie... wyglądasz uroczo... witaj w domu! — Matka ucałowała ją ostrożnie, żeby nie naruszyć sobie makijażu, przy czym ich idealna w dwóch dopasowanych wersjach uroda brunetek została uwieczniona dla potomności i czytelników dodatków niedzielnych.

Matka jak zawsze wyglądała pięknie w szafirowej sukni z atłasu od Galanos, odpowiedniej etoili i w oszłomiającym naszyjniku z szafirów oraz takich samych kolczykach. — Ojciec czeka na ciebie w bibliotece.

— Machnęła lekko ręką w stronę ulubionego pokoju ojca, gdy hordy nowo przybyłych gości pchnęły Gabrielle i tak w tym kierunku, wśród krążących wszędzie kelnerów z kawiozem i szampanem na tacach.

Rozpoznając z grubsza połowę służby i dwie trzecie gości, zdołała znaleźć ojca w tłoku, który otaczał go przy barze. Ojciec pił jak zwykle wódkę z lodem. Oczy mu na jej widok zajaśniały.

— Jest moja córeczka!... Ho, ho, jak ty ładnie wyglądasz! Matka będzie bardzo zazdrosna.

Ilekcroć patrzył na nią, w oczach miał iskierki. Eyerett Thornton-Smith uwielbiał swoje jedyne dziecko, zdaniem jego żony, za bardzo. Charlotte rozsądniej kochała Gabrielle, ale ogromnie ją rozczarowało to, że Gabby uparcie chce zrobić tę swoją śmieszłą karierę w Hollywood. I nie wzbudziła w niej zachwyty wiadomość o roli córki w serialu. Natomiast Eyerett wszystkim opowiadał, że Gabby jest „gwiazdą” w jednym z seriali Mela Wechslera.

Wymieniał nazwiska innych wykonawców i z każdą wypitą wódką rozwodził się nad tym coraz wylewniej.

— Ona Sabinę Quarles usunie w cień, damę wam słowo! — uśmiechał się do Gabby błogosławiąco, obejmując ją ramieniem, wytworny, w smokingu doskonale skrojonym przez londyńskiego krawca. Zastęp fotografów utrwał jej ojcowską dumę, reporterzy zapisywali każde słowo.

— Kto jest producentem tego serialu, panno Thornton-Smith?... Jaki to tytuł, jeszcze raz proszę?... — W Hollywood wszyscy wiedzieli, ale w kronikach towarzyskich Nowego Jorku niewiele się czytało o Melu Wechslerze. — Główna rola, pani powiedziała...

Zaznaczała usilnie, że to mała rola, i nie mogła sobie darować obecności na tym przyjęciu. Przecież z góry wiedziała, że to się źle skończy. Przez dwa lata w Hollywood nikt nie wiedział, kim ona jest i oto teraz katastrofa.

Było gorzej, niż myślała. Fotografie nie tylko zostały zamieszczone w „Women’s Wear” i „Town and Country” w następnym miesiącu, ale ukazały się w miejscowych gazetach nazajutrz rano. Duże, wyraźne fotografie. Na jednej ojciec obejmował ją ramieniem, podnosząc kieliszek szampana w toaście na jej cześć, na drugiej witała się z kamerdynerem. „Eyerett Thornton-Smith, dumny ojciec Gabrielle, która gra główną rolę w nowym serialu Mela...” Nawet mieli czelność nie zadbać o podanie bez błędu nazwiska Wechslera, ale jej fotografie były niezwykle wyraźne. I przypomniano wszystkie te informacje o niej, których nie cierpiała przez całe życie, wiernie je powtórzono, żeby świat na pewno wiedział, kim są jej obaj dziadkowie. Benton Thornton-Smith ze strony ojca, założyciel sześciu banków, właściciel największej spółki farmaceutycznej na wschodzie i kilku linii kolejowych. No i dziadek ze strony matki, Harrington Hawles IV, przy którym Thornton-Smith wydaje się biedakiem. Więc w ten poranek Gabrielle odkładając gazetę nienawidziła ich wszystkich, a zwłaszcza matki, bo to matka tak usilnie ją tam zapraszała. Oni nic nie rozumieją, a już najmniej jej pasję, z jaką chce być zwyczajną Gabby Smith. Pojęcia nie mają, co to znaczy dla jej kariery. Odrzuciła pierwszą część nazwiska: Thornton, już w Yale, po prostu nie wytrzymując wywoływania swoją obecnością sensacji w uczelni, gdzie jedna z sal i biblioteka były imienia jej dziadka.

Parę minut przed szóstą Gabby usłyszała pukanie do drzwi i otworzyła je z drżeniem. To była Jane uśmiechnięta, jak gdyby przyniosła jakiś prezent. Gabby wzięła się w garść, przygotowana na ostrzał czekający ją tego dnia może nawet ze strony Jane. Zaznała tego już nieraz przedtem. Dlaczego nigdy nie traktowano jej poważnie, jeżeli wiedziano, kim jest? Dlaczego nikt nie mógł pojąć, że ona może być Gabby Thornton-Smith, a jednak pracować, i nawet dobrze się w pracy spisywać.

— Cześć.

Jane weszła do pokoju tanecznym krokiem w džinsach, trampkach i ciepłej futrzanej bluzie. Wczoraj było zimno, a dzisiaj poza czterema scenami w biurze w „IBM” miały zagrać trzy sceny w parku. Wydawała się pełna animuszu.

— Co się dzieje?

— Po prostu cieszę się, że znów zobaczę moje dziewczynki. Jak gdybym całe wieki ich nie widziała. — Jane kupiła poprzedniego dnia małą choinkę i ubrała ją specjalnie dla córek ozdobami z bazaru.

— Och! — Gabby bała się powiedzieć cokolwiek więcej, bo może gazeta wpadła już w ręce Jane i całemu światu czy bodaj tylko obsadzie i personelowi, co najgorsze.

— Dobrze się czujesz? Jane zerknęła przez ramię, gdy Gabby wkładała grubą płaszcz.

— Tak. — Ale nie w stylu Gabby była małowówność i obie o tym wiedziały.

— Dobrze się wczoraj bawiłaś?

— Nie.

Odpowiedź padła zwięzła i szorstka, więc Jane nie rozwijała tematu. Gabby zabrała czarną aksamitną suknię w plastikowej torbie i wsiadły obie do limuzyny przed hotelem. Zack i Bill zwykle jeździli drugą limuzyną, a Sabina mieszkała w hotelu Pierre, więc nie musiała czekać na nikogo.

— Gabby, stało się coś?

Jane martwiła się o nią, gdy jechały na zdjęcia w parku, ale Gabby stanowczo odpowiedziała, że nic.

Było mroźno, gdy wysiadły z samochodu, i dmuchał ostry wiatr, aż oczy łzawiły. Praca w taką pogodę zapowiadała się rzeczywiście niemiło. Przyczepy stały w porannym zimowym mroku, galony gorącej czekolady i kawy, i herbaty rozgrzewały, ale niewystarczająco.

Jak zwykle tylko Zack i Jane byli pogodni, gdy wszyscy jęczeli i narzekali. Wiatr z poświstem przenikał do przyczep. Ostatecznie to Bill pierwszy rzucił w Gabby kamieniem, uśmiechając się do niej sardonicznie nad kubkiem kawy.

— Zniżasz się dziś do slumsów, Gabrielle?

Spojrzała na niego spode łba, pełna lęku i nienawiści.

— Co to ma znaczyć? — Ale wiedziała, co. Wiedziała aż za dobrze. Niech go diabli..., więc już przeczytał..

— Ciekawe rzeczy w dzisiejszej gazecie. Nie miałem pojęcia, że jest wśród nas taka słynna osobistość.

— Ooo? — Zack uniósł brew bez żadnej złośliwości.

Gabrielle chętnie by się zabiła. Do przerwy obiadowej wszyscy będą wiedzieli i zaczną zatruwać jej życie. Niezmienny jej los. Nie do zniesienia.

— To źle, panie Warwick, że panu imponują takie śmieci!

— palnęła Billowi w twarz, poszła do swojej przyczepy i trzasnęła drzwiami.

— O co chodzi? Dowcipy tylko dla was dwojga? — zapytał Zack i Bill nie oparł się pokusie uraczenia go interesującą plotką o pannie Thornton- Smith.

— Wiesz, kim ona jest?

— Myślałem, że wiem. Czyżby była Bostońskim Dusicielem w roli kobiety czy kim innym, kogo nie powinienem znać?

— Słyszałeś kiedy o Thornton- Smithach? — Bill był zadowolony z siebie.

— Ta firma farmaceutyczna?

— Między innymi.

— Chyba mam jej akcje.

— W takim razie należy ci się informacja o pannie Gabby.

Zack gwizdnął przez zęby w mroźnym powietrzu.

— T a Thornton-Smith? Jesteś tego pewny?

— Zobacz w gazecie. Ostatnia stronica. Przed nekrologami.

— Mam nadzieję, że przed.

Zack z ciekawości pożyczył od kogoś poranną gazetę, a potem dał ją Jane, gdy wyszła z przyczepy na pierwszą scenę. Czytała to szeroko otwartymi oczami, zdumiona.

— Taka miła dziewczyna, kto by przypuszczał?

— Tylko pomyśleć — Bill zachichotał — pod maską naszej skromnej miłej panny Gabby Smith kryje się wydra kapiąca złotem.

— Ja bym jej tak nie nazywał — skarcił go Zack w obronie Gabby.

— Nie waż się! — wybuchnęła szorstko Jane, zirytowana napastliwością Billa. Nagle zrozumiała, dlaczego Gabby jest tak spięta od samego rana. Na pewno widziała już tę gazetę. Swoim pochodzeniem nie chce się chwalić i to jest w niej godne podziwu. Doprawdy Jane bardziej teraz ceniła Gabby niż przedtem i powiedziała jej to później, w ten poranek.

— Kochanie, myślę, że jesteś wspaniała.

Gabby uśmiechnęła się ponuro.

— Ale wszyscy inni tak nie pomyślą. Znienawidzą mnie, kiedy się dowiedzą. Taką ostrożność zachowywałam w Hollywood, a teraz dlatego, że byłam na tym idiotycznym przyjęciu, wszyscy będą wiedzieli! Usiłowałam wyjaśnić mojej mamie, że... — Miała łzy w oczach przypominając sobie te daremne rozmowy. — Mama po prostu nie rozumie. Uważa, że powinnam być z tego dumna. Ale ja nie jestem. To dla mnie kula u nogi i teraz koniec kariery po dwóch latach zabijania się, żeby ją zrobić zwyczajnie, na własną rękę.

— Przecież robisz karierę na własną rękę, o co więc chodzi? — Jane macierzyńska i logiczna objęła Gabby ramieniem.

— Słyszałaś, co Warwick powiedział? Zapytał mnie, czy dziś się zniżam do slumsów. A to dopiero początek.

— Młody chłopak, Gabby. Zaimponowało mu i prawdopodobnie jest zazdrosny. Nie wie, jak reagować. I nikt też nie będzie wiedział, że to dla ciebie ważne, jeżeli tego nie okazesz. Więc powiedz im, jakie to ma dla ciebie znaczenie i nie przejmuj się już. Ale ja nadal uważam, że przyjemnie jest mieć takie zaplecze. — Pomyślała, jak bardzo przez dwadzieścia lat była zależna od Jacka Adamsa, jak ją przerażał i maltretował ten sadysta, ten drań. To nie mogłoby nigdy spotkać Gabby. — Bądź za to wdzięczna i nie ukrywaj tego. Żaden wstyd pochodzić z takiej rodziny. — Roześmiała się. — Każdy jest czymś zakłopotany, większość ludzi tym, że ich rodzina nie jest dostatecznie jaśniepańska. Ty natomiast uważasz, że twoja rodzina jest jaśniepańska zanadto. I jak tu komu dogodzić?

Gabriele parsknęła śmiechem, a Jane ją uściskała, ale nie było tarczy przed docinkami, których nie szczędzono jej w czasie przerwy obiadowej. Po przerwie, gdy miały się zacząć zdjęcia w biurze w IBM, wszyscy już widzieli fotografie Gabrielle z ojcem i przeczytali relację z przyjęcia. Niektórzy komentowali to zabawnie, ale większość niezycliwie, a już najgorsza była podczas przygotowywania sceny w hallu Sabina.

— Nic dziwnego, że dostałaś tę rolę. — Promieniowała złośliwością. — Zawracanie głowy z dobieraniem typu do roli... Czy Mei zna twojego ojca?

Odeszła zaraz, żeby charakteryzatorka odświeżyła jej twarz, a Gabby musiała się odwrócić ukrywając łzy. Mogłaby zabić Billa za to, że rozgadał, ale pewnie i tak wszyscy by tę gazetę zobaczyli. I Sabina przecież by im powiedziała.

Sabina tego dnia po południu napomknęła o tym ze zjadliwym uśmieszkiem nawet Melowi, tak że mu się żal zrobiło tej małej. Zadzwoił do Gabby wieczorem, gdy wróciła do hotelu. Odebrała telefon po długiej chwili, głos miała zachrypnięty.

— Tak?

— Cześć, Gabby. Mówi Mei. Przykro mi z powodu tej dzisiejszej sensacji. To było po prostu parszywe.

Westchnęła.

— Tak... nie szkodzi... — Ledwie mogła mówić przez łzy. Tyle razy już przechodziła to wszystko, a jednak teraz też bolało. Zepsuli jej całą przyjemność. I wiedziała, że będzie dla nich Panną Wydrą Kapiącą Złotem na zawsze. — Jestem do tego przyzwyczajona.

— Tak czy owak, to nieprzyjemne. I przykro mi z powodu Sabiny. Sęk w tym, kochanie, że oni wszyscy ci zazdroszczą. Szalenie chcieliby pochodzić z takich rodzin, mieć takie pieniądze i wychowanie. Nawet sobie tego nie potrafią wyobrazić, dla nich jedyny środek utrzymania to ta praca.

— Wiem. Ale ja pracuję tak samo ciężko jak oni. — Pociągnęła nosem.

Mei żałował, że nie może jej przytulić. Dziewczyna tylko trochę młodsza od jego córek, gdyby żyły. I jest przyzwoita. niesprawiedliwie wszyscy jej dokuczają. Pod koniec dnia sto trzydzieści osób o tym mówiło i prawdopodobnie jedna trzecia, jeśli nie połowa czyniła

uwagi bardzo niestosowne. Koszmar! I to tylko dlatego, że była na przyjęciu w domu swoich rodziców i że nie z jej przecież inicjatywy gazety to rozdmuchały.

— Ty prawdopodobnie pracujesz ciężiej niż oni, Gabby. I to ich jeszcze bardziej drażni. To, że nie musisz pracować, a pracujesz. Im się roi, że gdyby mieli takich rodziców jak ty, toby się nie ruszali z kanapy i tylko by jedli czekoladki i, do licha! kto wie, może są urażeni tym, że ty tego nie robisz. Może drażni ich to, że jesteś inna niż królewna z bajki w ich wyobrażeniu. Że chcesz zjeżdżać w dół do tej kopalni węgla i pracować razem z nimi, kiedy oni woleliby cię widzieć na górze, na tronie, w różowej tiulowej spódniczce. — Rozbawiona tym obrazem śmiała się wbrew sobie, od razu czując się lepiej. — W każdym razie są jak dzieci. Za dwa tygodnie zapomną o tym i będą mówić o kimś

innym, o kontrakcie czy o romansie tego kogoś, i mało ich będzie obchodziło, jak ty się nazywasz. Możesz mi wierzyć, mają pamięć nie dłuższą niż pamięć owadów. Trochę jak karaluchy. — Znów parsknęła śmiechem, wdzięczna Melowi. Zanim zatelefonował, czuła się taka zgnębiona i samotna. Nie miała nikogo, kto by ją podniósł na duchu. Jane pojechała na lotnisko po córki. I ten drań, Bill... chętnie by go zabiła. — Ach, jeszcze coś... Czy interesowałaby cię kolacja ze mną? Moglibyśmy pojechać do Gina na pastę.

— Mnie tutaj dobrze. Właśnie myślałam, że położę się wcześniej. Miałam dziś dosyć ciężki dzień.

— Jadłaś?

— Nie, ale naprawdę nie jestem głodna.

— Bzdura. Musisz coś zjeść, inaczej się rozchorujesz przy tej parszywej pogodzie. Przyjadę po ciebie za pół godziny.

— Nie, Mei, naprawdę.

— Mówi twój producent. Bądź na dole. Przyjadę o ósmej piętnaście.

Mel położył słuchawkę i odwrócił się, gdy do pokoju weszła Sabina w zielonym aksamitnym szlafroku pod kolor jej oczu i w przybranych piórami złotych pantoflach bez pięt, ale na wysokich obcasach.

— Z kim rozmawiałaś? — Spojrzała na brylantowy zegarek, który jej kupił tydzień wcześniej, zastanowiła się, gdzie będą jeść kolację.

— Z Gabby. — Mei westchnął i usiadł na kanapie podziwiając tę kobietę w każdym calu znakomitą. Lubił patrzeć na nią w dzień i w nocy. Nawet o czwartej rano była piękna i ponętna. — Biedna mała. Nadokuczali jej dzisiaj. — Nie czynił wyrzutów Sabinie, chociaż oboje wiedzieli, że ona dokuczyla Gabby najbardziej.

— Zasłużyła sobie.

— Nie mów tak. — Mei się zmartwił. — To naprawdę porządna dziewczyna. Bardzo dobra w tym, co robi, i nigdy nikomu nie sprawia przykrości.

— Zabiera pracę osobom, które pracy potrzebują. — Zdumiewająca była zawziętość Sabiny.

— Może ona też potrzebuje pracy. Dla swego serca, dla poczucia swojej wartości. To przecież nie tylko sprawa pieniędzy. Sama o tym Wiesz. Ona kocha tę pracę i wykonuje ją należycie.

— Więc niech gra w zespołach młodzieżowych. Nie jej miejsce w branży.

— Mówisz to serio? — Oszołomiony zastanawiał się, czy dużo ludzi myśli tak jak Sabina. Prawdopodobnie za dużo.

Przytaknęła bez zakłopotania.

— Mówię serio. Są takie wśród nas, które walczyły długo i ciężko, żeby dostać się tam, gdzie są, wdrapywałyśmy się, głodowałyśmy, żeby przetrwać, robiłyśmy wszystko, co trzeba zrobić. Więc zasłużyłyśmy na to, żeby nam się udało. Ona gra od dwóch lat, pogra jeszcze dwa i wyjdzie za jakiegoś playboya nazwiskiem Courtney czy Fauston, i zameżna zamieszka na Park Ayenue albo w Palm Beach i będzie miała dzieci. A do tego czasu zmniejszy nasz tort o tę porcję, którą zjada, nie rozumiem, z jakiej racji. — Sabina podeszła do barku, wprawnie

naląła sobie martini i spojrzała na Mela znad szklanki, gdy on patrzył na nią rozczarowany i niezadowolony.

— Nie bardzo wielkoduszne podejście, Sabino.

— Ja nie zawsze jestem bardzo wielkoduszna. — Nie bała się powiedzieć tego Melowi ani komukolwiek innemu. — I nie lubię oszustów. A ona jest oszustką. Zgrywa się na mysz kościelną, kiedy rzeczywiście jest głupawą panną na wydaniu z bzikiem na punkcie Hollywood. Mówiłam ci, że coś ukrywa. To oszustka.

— kę.

— Nie powiedziałbym. — Mei wstał. — I jest świetną aktor-

— Dokąd idziesz? — Nie wiedziała, czy przypadkiem go nie obraziła, ale jeśli tak, to trudno. Jest, jaka jest, nigdy się z tego nie tłumaczy.

— Biorę tę głupawą pannę na kolację, bo kiedy do niej zadzwoniłem, płakała.

— Wyślij jej pudełko chusteczek papierowych na otarcie łez.

— Przestań udawać piękność bez serca. Gabby niczym ci nie zagraża. To smarkula. Ty jesteś gwiazdą. — Umiał sobie poradzić z jedną i drugą.

Sabina się uśmiechnęła.

— Dziękuję. Ale co ja mam robić, kiedy ty będziesz bawił się w Czerwony Krzyż dla małej panny Płaczki?

— Co tylko chcesz, kochana. — Pocałował ją w szyję i spojrzał w zielone oczy, które go oczarowały. — Powiedziałaś, że nie chcesz wyjść, bo jesteś zbyt zmęczona. Dlatego ją zaprosiłem.

Sabina wzruszyła ramionami. Tak powiedziała. Ale raczej jej się nie podobało to, że będzie jadł kolację z Gabby. Ostatecznie Gabby jest młodsza o dwadzieścia lat i niebrzydka. I w dodatku ma pokaźną fortunę. No, ale Mei także, chociaż on swoje pieniądze, swój majątek zbił sam, a to zawsze pewna różnica.

— Tylko postaraj się zachować przyzwoicie — dokuczała mu, nie obawiając się jednak o niego. Przecież łączyło ich oboje coś fantastycznego.

— Aha! — Idąc po płaszcz, spojrzał na nią przez ramię. — Zapomniałem ci powiedzieć, wynająłem jacht dla nas na Bahamach na Boże Narodzenie. — Zatrzymał się, zaskoczony wyrazem jej oczu. Nie ucieszyła się i nie mógł tego zrozumieć. — Coś nie tak?

Wahała się. Ostrożnie postawiła szklankę z martini.

— Muszę pojechać do Kalifornii.

— Na cztery dni?

— Już zaplanowałam.

— Rozumiem. — Podeszedł do drzwi, ale jakoś nie mógł nie odwrócić się do niej. —

Myślałem, że te ostatnie kilka tygodni wyparło dawniejsze plany, Sabino. Chyba się myliłem.

— Przykro mi, Mei.

Widział jakiś smutek w jej oczach, pozostawiła to jednak bez wytłumaczenia.

— Mnie też.

Był zamyślony jadąc do hotelu Carlyle, by zabrać Gabby na kolację.

## ROZDZIAŁ XVIII

Nazajutrz rano córki Jane jechały z Jane i Gabrielle limuzyną do śródmieścia uskarżając się, że musiały wstać tak wcześnie. Dla nich godzina była jeszcze wcześniejsza niż na zegarkach,

bo nie zdążyły się przystosować do czasu nowojorskiego. Gabby zgorzona słuchała, jak nieładnie odzywają się do matki. Po tym radosnym powitaniu, które Jane im zgotowała, ledwie raczyły być dla niej uprzejme. I wciąż mówiły o ojcu jak o jakimś bogu.

Obie wydawały się szorstkie, rozpieszczone i wyraźnie zaprogramowane przez ojca. Po przyjeździe na miejsce zgorzienie Gabrielle zmieniło się w irytację. Nigdy dotąd nie widziała córek, które by wobec matki były tak antypatyczne. No, ale rzadko w życiu codziennym stykała się z nastolatkami, dorastała będąc jedynaczką, a przyjaciółki jej nie miały dzieci poza jedną, mającą dwuletniego teraz synka.

Alexandra i Alyssa zresztą wcale nie były typowe. Zmitygowały się dopiero wtedy, gdy Zack Taylor dał im swój autograf, a później aż do przerwy obiadowej gapiły się na Billa i już zupełnie normalnie szeptały ze sobą i chichotały. Ale i tak nie zaskarbiły sobie sympatii Gabrielle. Uznała je za okropne bachory i korciło ją, żeby im to powiedzieć, tylko że nie chciała sprawiać przykrości Jane.

O wiele bardziej jednak niż te dziewczynki zirytował ją Bill znowu z niej kpiąc, gdy rozchodzili się na przerwę obiadową. Zapytał, czy teraz idzie do Grenouille czy do Café Basque, czy może do Colony Ciub albo do Quo Vadis. Nie wiadomo dlaczego tym razem straciła

cierpliwość. Oczy jej zapalały i chwyciła go za rękę tak mocno, że cofnął się zdumiony.

— Słuchaj, ty draniu, ty mięczaku — zwymyślała go. — Nadzwyczajne, że raptem przestałeś litować się nad sobą na dość długo, żeby zauważyć kogoś poza czubkiem swojego nosa i jeszcze nawet się zatroszczyć, gdzie jadam obiady! Kiedy będę w pracy albo w życiu towarzyskim potrzebowała twojej rady, na pewno się do ciebie zwrócę, ale teraz odwal się, panie Warwick, bo pożałujesz!

Stała przed nim nieduża, trochę ponad pięć stóp wzrostu, a on ze zdumienia aż się uśmiechnął szeroko, tak samo jak Zack i Mei, którzy stali w pobliżu.

Mei patrzył zadowolony. A więc tchnął w nią ducha wczoraj wieczorem. Odeszła wyniośle do swojej przyczepy, ale już widział, że czuje się lepiej. W poprzedni wieczór poświęcił jej czas prawie do północy, po kolacji przeniósł się z nią do innego lokalu, by posłuchała Bobby'ego Shorta. Potem, gdy wrócił do Pierre, Sabina już spała. Rano nie wspomniała ani słowem o swoich planach na Boże Narodzenie. Zdecydował się nie odwoływać wynajęcia jachtu i niech ją diabli, skoro chce spędzić święta z kimś innym... Chociaż niczego sobie nie przyrzekali, jakoś się spodziewał, że Sabina będzie wobec niego bardziej lojalna. Tymczasem postąpiła tak, jakby jej zależało na udowodnieniu, że nie jest jego własnością. Nadal chciał, żeby z nim pojechała, ale nie miał zamiaru o to błagać.

Praca szła gładko i w dwa dni później rozjechali się na święta. Mei poleciał do Nassau, gdzie czekał jacht wynajęty na tydzień. Zack i Sabina oddzielnymi limuzynami udali się na lotnisko. Spotkali się przy wejściu dla pasażerów do Los Angeles i gawędzili przez chwilę, ale w samolocie usiedli w pierwszej klasie osobno, nie pragnąc towarzystwa, oboje zajęci swoimi myślami. Na lotnisku w Los Angeles Sabina z zainteresowaniem zobaczyła, że Zack wita się z mężczyzną mniej więcej w jego wieku i odjeżdżają razem jego rolls royce'em, którym tamten najwidoczniej po niego przyjechał. Zastanowiła się, kim ci dwaj są dla siebie. Nadal żywiła podejrzenia co do Zacka Taylora. Na tę noc pojechała do swojego mieszkania. Nazajutrz rano Poleciała do San Francisco.

Personel został na Boże Narodzenie w Nowym Jorku. Zbyt kosztowne i skomplikowane byłoby wyekspediowanie wszystkich na cztery dni do domów, każdy więc już sobie jakoś te święta poza domem ułożył. Mei przed odlotem zorganizował dla nich gwiazdkowe przyjęcie w Maxwell's Plum. Gabby natknęła się tam na Billa pomimo wysiłków, żeby go uniknąć.

— Znowu w slumsach? — zagadnął trochę wstawiony i blady.

Gabrielle nie miała pojęcia, co rzeczywiście jest powodem tych szyderstw, więc znów oczy jej zapalały i nieorna! poczuła mdłości.



— Nie możesz odczepić się ode mnie? — mruknęła, zanim zniknęła w tłumie. A Bili przez całe to popołudnie na próżno usiłował odszukać telefonicznie Sandy. Zrezygnował, nikt nie wiedział, gdzie ona jest.

— Wesołych Świąt nawzajem, księżniczko! — zawołał.

Gabby zaczęła się lękać nawet pracy z Bille. Jeżeli ten serial okaże się sukcesem, będzie jeszcze gorzej, cały następny sezon godzenia się na takiego partnera. Ale wieczór z Melem dobrze jej zrobił. Postanowiła nie pozwalać na żadne bzdury Billowi i w ogóle nikomu. Toteż minę miała wojowniczą, gdy przepychała się przez tłum w barze do Jane stojącej z dziewczynkami. Alexandra była wyraźnie olśniona scenerią tej zabawy, chociaż za nic by się do tego nie przyznała matce, a Alyssa wreszcie trochę odtajała. Jak Jane, pomyślała Gabby, może z nimi wytrzymać? Rozmawiały nieustannie o tatusiu, jak gdyby to był tatuś-ideał. Tatuś jest na nartach z ich bratem w Dolinie Słońca, powtarzały raz po raz i Alex w dodatku miała czelność nawet teraz ubolewać, że nie pojechała z tatusiem.

— Żałujesz rzeczywiście? — Gabby szeroko otworzyła oczy.

— Dziwię ci się. W Dolinie Słońca nudy na pudy. I ta miejscowość raczej niemodna. —

Uśmiechnęła się. Niech je licho porwie, pomyślała. Jane jest za dobra dla nich. — Często przyjeżdżasz do Nowego Jorku? — Wkręcała dalej ten swój nóż i Alex wijąc się zakłopotana przyznała, że przyjechała po raz pierwszy. — Wasza mama chyba będzie tu przyjeżdżać bardzo często teraz, kiedy jest taką wielką gwiazdą. A w przyszłym roku prawdopodobnie będziemy kręcić w Europie.

Mówiło się o tym przez jakiś czas, ale tylko się mówiło. Oczy Alyssy już rozbłysły, pełne zainteresowania.

— Naprawdę? Marno, będziemy mogły tam do ciebie przyjechać?

— zapytała Alyssa dziecinnie, a Jane się do niej uśmiechnęła. Było jasne, że uwielbia swoje córeczki.

— Zobaczymy, kochanie. To zależy, czy będziecie miały wtedy ferie.

I w tym momencie Gabby wpadła na pewien pomysł. Spojrzała na Jane omijając dziewczynki wzrokiem.

— Chciałabyś być w Wigilię u moich rodziców?

Właśnie tego dnia po południu skapitulowała przed matką. Już nie było powodu walczyć z rodzicami i wiedziała, że sprawi przyjemność tacie, jeżeli u nich spędzi wigilijny wieczór, a zresztą nic innego do roboty nie miała. Nie była w domu na Boże Narodzenie od trzech lat. Matka bardzo się ucieszyła. Będzie tym razem trochę przyjaciół jak zawsze. I Gabby wiedziała, że „trochę” znaczy nie więcej niż dziesięcioro. Więc jest mnóstwo miejsca dla jeszcze trzech osób. Jeżeli chcą ją tam mieć, muszą też przyjąć jej przyjaciółki. Zaprosiłaby także Billa, gdyby nie był takim świrem. Ale był świrem, więc go nie zaprosiła.

Jane wzruszyło to zaproszenie.

— Czy na pewno nie byłybyśmy intruzami na takiej rodzinnej uroczystości?

— Na pewno nie. A mnie się przyda parę osób z mojego obozu.

— Gabby zniżyła głos. — Nie cierpię wizyt w domu. To zawsze duży wysiłek.

Ale Jane zazdrościła Gabby. Jej rodzice nie żyli już od lat i w tym roku nie ma nawet Jacka... ani syna... Dobrze chociaż, że są dziewczynki.

— Z przyjemnością tam pojedziemy, jeżeli wiesz na pewno, że twoi rodzice nie mają nic przeciwko temu.

— Będą zachwyceni.

To była prawda trochę naciągnięta, Gabby jednak czuła się lepiej, jadąc do domu w Wigilię z Jane i jej dziewczynkami. Pojechały na Piątą Aleję limuzyną wśród płatków zaczynającego padać śniegu. Jane śpiewała „White Christmas”, nastrój stał się zaraźliwy, Gabby z dziewczynkami zaśpiewały także.

Jedna z pokojówek, postawiona na warcie przy drzwiach, przyjmowała okrycia. Gabby wiała się, gdy Jane szeroko otwierała oczy na widok domowego przepychu. Co innego jest czytać o Thornton-Smithach, a co innego ich odwiedzić. Choinka, jak zwykle superozdobna, doskonała, zielono-srebrna, obwieszona antycznymi niemieckimi aniołkami i małymi kiściami owoców, wznosiła się do wysokości pierwszego piętra, ogromny salon umeblowany antykami w stylu Ludwika XV wyglądał wytwornie i okazale, a pani Thornton-Smith podeszła szybko do córki, pocałowała ją, uścisnęła rękę Jane i przedstawiła „panią Adams” wszystkim jako aktorkę „z serialu Gabby”. Gabby się zarumieniła, ale była zadowolona, gdy ojciec zaczął wokół jej gości robić dużo szumu i gdy w jadalni znalazły się nawet prezenciki dla nich.

Stół czekał z czternastoma nakryciami, przybyli najbliżsi przyjaciele domu: państwo Armstrong, państwo Marshall, stara pani Hampton, państwo Proctor i William Squire Hunt. Jane czytała o nich wszystkich i wydawało się jej trochę snem, że siedzi z nimi przy stole. Charlotte była w suto naszywanej koralikami wieczorowej sukni z czerwonego atlasu, a Gabby w sukni ciemnozielonej, którą matka ostatecznie przysłała jej od Bendela, a nie w żadnej z wieczorowych kreacji z serialu. Jane ubrała się na ten wieczór w prześliczny model Francois Braca z szyfonu w kolorze kreta i wyglądała wspaniale, a jej córki sprawiały wrażenie dziewczątek niewinnych i pełnych słodyczy.

Gwiazdka jak w książce z bajkami. Po kolacji siedząc przy kominku śpiewali kolędy. Gabby rzeczywiście cieszyła się, że jest w domu. Ojciec czytał jak co rok fragmenty „Opowieści wigilijnej” Dickensa, pili brandy i rum z masłem, i koniak z żóltkami. Cały ten wieczór był świętowaniem i Jane rzeczywiście posmutniała, gdy nadszedł czas się pożegnać. Dogadała się z Charlotte znakomicie. Gawędzili o Hollywood i Charlotte słuchała jej urzeczona, tak jak wszyscy goście.

— Musi pani przyjechać do nas na plan, dopóki kręcimy w Nowym Jorku — nalegała Jane i tym razem Gabby nie musiała się wić.

— Z przyjemnością. — Matka zachwycona obiecała przyjechać któregoś dnia po świętach. Ucałowała Jane, Gabrielle ucałowała rodziców na dobranoc i ziewnęła, gdy wsiadły do czekającego samochodu. Rozparła się na siedzeniu przy Jane, wyglądając jak jeszcze jedna nastolatka.

— Wiesz, raz wyjątkowo wcale nie było tak źle. — Uśmiechnęła się psotnie, a Jane parsknęła śmiechem.

— Jak ci nie wstyd! Oni są cudowni. Jesteś bardzo szczęśliwą dziewczyną.

Gabby jęknęła i uśmiechnęła się do Alexandry i Alyssy. One też uważały, że jest szczęściarą. W istocie ogromnie im zaimponowała, tak samo jak zaimponowała im Jane. W końcu zdały sobie sprawę, że ich matka ostatecznie nie jest taka okropna, skoro zna aż takich ludzi.

— Będziemy miały co opowiadać tatusiowi... — powiedziała Alyssa, na co Jane się roześmiała. Zabawne dzieciaki, ale czyż wszyscy nie są zabawni? Gdy pocałowała dziewczynki na dobranoc i położyła się spać tej nocy, raptem zaczęła myśleć o Zacku, zastanawiać się, gdzie i z kim jest w to Boże Narodzenie. Nie zadzwonił do niej po wyjeździe. Teraz myśląc o nim, zasnęła pełna jeszcze wrażeń z przyjęcia u rodziców Gabby.

## ROZDZIAŁ XIX

Zdecydowany chłód panował pomiędzy Melem i Sabiną, gdy Mei wrócił. Wrócił w dwa dni po przerwie świątecznej i przez pierwszych parę

nocy sypiał w swoim apartamencie, po raz pierwszy, odkąd zaczęły się zdjęcia w Nowym Jorku. Ale Sabina nic nie powiedziała. Nie wyjaśniła, dlaczego pojechała w święta do domu, i dopiero Mei ostatecznie oczyścił atmosferę, gdy w pewien wieczór zabrał ją po pracy z powrotem do hotelu.

— Przykro mi, że jestem nie w sosie. — Oczy miał łagodne, ale to były nadal oczy człowieka zranionego.

— Masz prawo — głos jej brzmiał dobrotliwie. — Nie mogłam zmienić planów, Mei. Chociaż bardzo chciałam.

Nie zapytał jej dlaczego ani kto aż tyle dla niej znaczy. Nie wyobrażał sobie, żeby ktokolwiek mógł dużo znaczyć dla Sabiny. Jest taka egocentryczna, tak zepsuta i myśli na ogół tylko o sobie, a przecież jest dla niego miła. I dobrze im ze sobą. Może gdyby chciał więcej, wymagałby od niej za dużo. Może oboje po prostu muszą akceptować to, co mają, dopóki mają. Jakim prawem próbuje stawiać jej wymagania?

— Ponieważ jesteś kimś zajęta? — Tylko to chciał wiedzieć. Nie chciał robić z siebie głupca nawet dla niej. Jest już na to za stary.

— Nie w taki sposób, jak myślisz. To było zobowiązanie, które mam co rok. — Nie ulegało wątpliwości, że ona nie chce mu tego wyjaśnić. — Poniekąd sprawa rodzinna.

Raczej w to nie uwierzył, ale to kłamstwo było wygodne dla nich obojga.

— Nie wiedziałem, że masz rodzinę.

Nie odpowiedziała mu. Zjedli potem razem kolację i wszystko było w porządku. Tej nocy znów wprowadził się do jej apartamentu i dokuczała mu, leżąc w jego objęciach, popijając szampana.

— Bałam się, że nie będziesz chciał mnie znać.

Wlepiła w niego swe nadzwyczajne zielone oczy i czuł, jak mu serce znowu topnieje. Był zdumiony, że stała się w jego życiu ważna. Ważniejsza niżby sobie życzył, ale w jakiejś chwili jego nieuwagi weszła mu w krew.

— Dlaczego miałbym być taki głupi, żeby nie chcieć ciebie znać?

— Dlatego, że ja czasami jestem bardzo niezależna.

Patrząc jej w oczy — teraz kocie, roześmiał się. Miała rację.

— No, jesteś. Czy kiedykolwiek chciałaś być inna? Chciałaś być z kimkolwiek związana? Uczciwie, potrząsnęła przecząco głową i podsunęła mu swój kieliszek z szampanem. Oboje nadzy leżeli w jej łóżku.

— Nie. Och... może kiedyś... kiedy byłam bardzo młoda... Ale niedługo. Może już nigdy od tamtego czasu. Nie sądzę, żebym dobrze się czuła związana z kimś. — Była związana, ale nie z mężczyzną.

— Kochałam się w kimś szaleńczo kilka lat temu, ale nigdy nie myśleliśmy o małżeństwie. W istocie on był żonaty. I to mi bardzo odpowiadało.

Md pomyślał, że to okropne, jeszcze pamiętał swoje cudowne małżeństwo z Liz. Ze smutkiem spojrzął na Sabinę.

— Mnie z moją żoną było bardzo dobrze.

Zobaczył w jej oczach współczucie.

Wiem..., to musiało być straszne dla ciebie... to znaczy wtedy, gdy... — Nie chciała wypowiedzieć tych słów, żeby nie zbudzić w nim bólu.

— Było. Myślałem, że tego nie przeżyję. I nigdy już nie chciałem się ożenić..., przywiązać się tak ogromnie... i wszystko utracić... — Nie mógł znieść myśli o tym, o dzieciach, o żonie... o wszystkim. — Teraz wystarcza mi to, co jest. Przywykłem do samotności.

I lubił być z nią. Chciał jej dać mnóstwo miejsca w swoim życiu, a ona to doceniała. Była mu wdzięczna, nawet nie wiedział jak bardzo, za niewypytywanie o jej gwiazdkowe plany. Inny mężczyzna nie okazałby się tak tolerancyjny. Zdawała sobie z tego sprawę.

— Nie ożeniłbyś się znowu?

— Nie jestem pewny. Nigdy nie chciałem. I nie chciałbym mieć znowu dzieci. Jestem już za stary.

— Nonsens.

Uśmiechnął się.

— Nie fizycznie. Pod innymi względami. Nie chciałbym zaczynać tego znowu. Trzeba mnóstwo energii i czasu, i miłości, żeby wychowywać dzieci. — Przewrócił się na bok i pocałował ją w pachę. Był silnym, żywotnym mężczyzną, młodzieńczym pod niejednym względem i zadowolonym ze swojego życia. — Ale jeszcze mnóstwo energii zostało mi dla ciebie, mam nadzieję... i dostatecznie dużo miłości...

— mówił coraz ciszej. — Ja rzeczywiście kocham cię, wiesz?

— Dziękuję, Mei.

Zareagowała pocałunkiem, nie odpowiadając mu bezpośrednio, i dopiero po długiej chwili szepnęła te słowa tak dla niej przerażające, słowa, których wypowiedzania unikała, gdy tylko to było możliwe. Ale tym razem je wypowiedziała.

— Ja też cię kocham.

Łzy zalśniły mu w oczach, gdy ją pocałował, a potem łagodnie wziął w objęcia.

## ROZDZIAŁ XX

Mel wydał piękne przyjęcie sylwestrowe dla obsady i personelu. Wynajął całą dyskotekę w Le Ciub i wszyscy bawili się cudownie, pijąc szampana, tańcząc przez całą noc, śpiewając „Za dawny, bracie, czas” o północy. Mei o północy objął Sabinę i ucałował, gdy nieduża gromadka w pobliżu wiwatowała. Sabina śmiała się, a potem zarzuciła ręce na szyję Zackowi. Zack właśnie tańczył z Jane i zanim Sabina podbiegła, pocałował Jane w policzek.

— Wszystkiego najlepszego w nowym roku, miła moja przyjaciółko... Mam nadzieję, że to będzie cudowny rok dla ciebie... dla nas wszystkich...

I gdy Sabina go porwała, patrzył na Jane z niezrozumiałym dla niej wyrazem twarzy. Po chwili już Jane całowała jednego z kamerzystów, potem uściskała Gabby, podszedł reżyser i ucałował je obie. Na tej zabawie, na której nie było tylko Billa, większość nie miała swoich dam czy kawalerów. Po prostu wszyscy bawili się razem, w myśl nadziei Mela, jak jedna wielka rodzina. A Gabby bawiła się tym lepiej, że nie musiała mieć do czynienia z Billem. Jane była z córkami pełnymi zbożnego zadziwienia na widok tego wszystkiego. Dziewczynki po swych niezwykle, niezapomnianych fenach miały wrócić do Los Angeles nazajutrz, a ekipa filmowa za dwa tygodnie.

Zack później znowu tańczył z Jane. Teraz trzymał ją bliżej siebie, co poruszyło ją do głębi serca. Po świątecznej przerwie nie zdarzało im się być długo sam na sam, ale Jane była zaabsorbowana dziewczynkami, ponadto wprowadzano w ostatniej chwili mnóstwo zmian w scenariuszach. Noc noworoczna skończyła się dla większości towarzystwa o czwartej rano i piętrowe autobusy, które Mei wynajął, odwiozły wszystkich do hoteli. W autobusie Zack siedział przy Jane, Mei przy Sabinie na tylnym siedzeniu. Już zaczęto zauważać, że często te pary są razem, ale nikt tego nie komentował. Wydawali się jakoś do siebie dopasowani. Zack odprowadził Jane i dziewczynki do jej apartamentu.

— Mamo — zapytała Alyssa — jesteś w nim zakochana?

— W kim? — Jane po chwili zaskoczenia spłonęła rumieńcem.

— W Zacku? Oczywiście, że nie. Po prostu jesteśmy przyjaciółmi.

Jednak Alexandra nie była tego taka pewna. Widziała, jak Zack patrzył na Jane, i odnosiła się do niego podejrzliwie, ale zarazem lubiła go. Obie dziewczynki go lubiły, chociaż nadal uważały, że Bill jest o wiele przystojniejszy od Zacka.

W tym samym czasie Bill leżał nieprzytomny w swoim pokoju. Wypił całą butelkę szkockiej, bo samotność i troska o Sandy w końcu go zmogły. Dziewczynki były rozczarowane, że już go przed wyjazdem nie zobaczyły. Alex sobie wymarzyła, że na zabawie, gdy północ wybije, Bill może będzie stał przy niej i może ją też pocałuje. Mel miał rację — wszystkie dziewczęta na świecie będą wkrótce czołgać się u jego stóp.

Nazajutrz Jane odwiozła córki na lotnisko i zrobiło jej się bardzo smutno po ich odlocie.

Zobaczy je za dwa tygodnie, ale do tego czasu Jack znów czegoś z nimi dokáže. Chociaż jest nadzieja, że ferie w Nowym Jorku pozostawią trwałe ślady. Wiedziała, że im ogromnie zaimponowali Zack, Bill, rodzice Gabby, praca na planie, zabawy gwiazdkowa i sylwestrowa. Ale tęskniła do statecznego życia, jakie przedtem z nimi wiodła, jakkolwiek było zakłamanie. Wszystko wtedy wydawało się takie normalne i bezpieczne. Nie było takie, oczywiście, ale ona sobie wmawiała... przez tyle lat...

Myślała o tym, gdy zadzwonił Zack.

— Pójdiesz ze mną na spacer?

Znów padał śnieg, zgodziła się skwapliwie. Wbiła się w swój gruby płaszcz i poszli przez Madison Avenue, spoglądając na wystawy sklepów, rozmawiając o dziewczynkach.

— Myślę, że to była dla nich udana wycieczka.

— Bo też i one to dobre dzieciaki.

— Dziękuję. Ty nie masz dzieci, prawda, Zack?

Z uśmiechem potrząsnął głową.

— Nie. — Dotychczas nie zapytała go o to, a przecież mógłby mieć dzieci z kimś tam, gdzieś tam. — Zawsze trochę mi żal. Chyba nie spotkałem odpowiedniej dziewczyny.

— Nie jest za późno. — Uśmiechnęła się, a on popatrzył na nią rzewnie.

— Możliwe.

Szli dalej dość długo, milcząc, pogrążeni w swoich myślach. Nowy rok to punkt zwrotny, czas rozważania tego, co było i tego, co będzie. Oboje mieli pomyślne perspektywy w tym nowym roku. Serial, zdaniem wszystkich, zapowiadał się świetnie. Zaczęli więc rozmawiać, jak nieraz, o serialu, idąc w stronę Piątej Alei.

— Wstąpimy do Plaza napić się czegoś?

— Oczywiście.

Zamówili grog, a potem, gdy znów szli ulicą, Zack przywołał dorożkę i przejechali się po parku, ona skulona przytulnie u jego boku, zdumiona, że tak jej przy nim dobrze. Nagle spojrzał na nią — oczy miał mokre od zimna, a może jej się tylko wydawało.

— Szkoda, że nie spotkałem ciebie dwadzieścia..., czy nawet dwadzieścia pięć lat temu... — Roześmiał się i mocno uściśnął jej dłoń w rękawiczce.

Dorożka przywiozła ich pod same drzwi Carlyle. Kolację zjedli w jej pokoju, po czym próbowali sceny na następny dzień. Jane pamiętała, co Zack jej powiedział, i też żalowała, że nie spotkała go wcześniej.

— O czym myślisz, Jane?

Odpoczywali na kanapie jak starzy przyjaciele. Czują się tak, jakby go znała od lat, i to właśnie w nim lubiła. Lubiła w Zacku mnóstwo jego cech. Aparycję, elegancję, wdzięk, troskliwość, inteligencję, dobroć.

— O tym, że jesteś miły... że co z ciebie za wspaniały aktor, co za miły człowiek i że bardzo cię lubię.

— Ja też cię lubię... stałaś się dla mnie kimś bardzo specjalnym.

Wyczuła, że chce powiedzieć więcej, lecz umilkł. Po chwili rozmawiali o innych, o Gabby, Sabinie i Melu, i o Billu, który nadal jest taki trudny.

— Chciałabym, żeby Bill złagodniał dla Gabby. Wciąż robi jej przykrości.  
— Czasami myślę, że prawie tak, jakby się w niej zakochał. — To było bystre spostrzeżenie, ale dla Jane szokujące.  
— W Gabby?! Jest dla niej straszny.  
— Jak mały chłopiec. Obserwowałaś kiedy dziewięciolatka zainteresowanej dziewczyną? Taki przecież podejdzie i walnie ją w brzuch, a potem ucieknie zadowolony z siebie, jak gdyby powiedział jej coś rzeczywiście ważnego. Bo też powiedział.  
Jane rozbawił ten obrazek.  
— Z pewnością jest podobieństwo. Myślisz, że Bill z tego wyrośnie?  
— Mógłby.  
— To taka miła dziewczyna.  
— Ty także.  
Zack wstał z kanapy ziewając, uściskał Jane serdecznie i w kilka minut później już go nie było, a Jane zastanawiała się, czy on kiedykolwiek coś z nią zacznie. Aiyssa miała rację. Bardzo, bardzo go lubię... może nawet nie tylko lubię, ma wspaniałą prezencję, ale przede wszystkim podoba mi się to, co jest w nim... Człowiek, który w nim jest, dlatego on jest piękny. Jane nagle zdała sobie sprawę, że go kocha.

## ROZDZIAŁ XXI

Ostatnie dwa tygodnie zdjęć w Nowym Jorku przeleciały jak na skrzydłach. Wszyscy pracowali zgodnie, scenariusze tylko migały. Każda scena wydawała się lepsza od poprzedniej i słowa: „Cięcie, do wywołania!” wprost przesycaly powietrze. Ostatniego dnia pracy w terenie wszyscy wiwatowali, a wieczorem Mei zaprosił Sabinę, Zacka, Jane, Gabby i Billa na obładowanie w „21”. Po powrocie do Los Angeles miał nastąpić tydzień przerwy przed zdjęciami już w wytwórni. Jane powiedziała, że musi szukać nowego domu i chciałyby znaleźć coś w Beyerly Hills. Bill planował ewentualnie wyjazd na narty z przyjaciółmi, Gabby oświadczyła, że chce tylko rozgrzać się w kalifornijskim słońcu, a Sabina zamierzała pojechać na parę dni do San Francisco. Bawili się cudownie, ale nazajutrz w samolocie wszyscy milczeli rozmyślając o tym, co ich czeka. Zack siedział przy Jane, Sabinie i Melu, a Gabby i Bill starannie wybrali sobie miejsca w dwóch końcach samolotu. Rozmawiali ze sobą tylko wtedy, gdy grali na pianie, poza planem unikali nawzajem jak zarazy.

Z powrotem w Los Angeles zaczęły się zwykłe sprawy. Mnóstwo scen było do zmontowania. Mei miał szereg konferencji. Sabina po cichu zniknęła, Bill wyjechał na narty obiecując, że się nie opali, co by popsuło ciągłość scen, gdy wróci do pracy. Jane znalazła nowy dom w Bel Air i szalała z zachwytu. Dom był mały, ale akurat dostatecznie duży dla niej i dzieci, z ładnym małym basenem i bramą strzegącą odosobnienia. Prawie nie bolało wyrowadzenie się ze starego domu.

Tym razem w obawie przed Jackiem poprosiła Gabrielle, by w czasie pakowania dotrzymywała jej towarzystwa. Ale Jack i tak się nie pokazał. Dziewczynki mówiły, że ma przyjaciółkę, która pracuje u niego, niezbyt im się podoba, jest bardzo młoda, ma dwadzieścia jeden czy dwadzieścia dwa lata i jak się wyraziły, wielkie cyce i sieczkę w głowie. Jane pomyślała, że Jackowi z pewnością to odpowiada, i na chwilę zrobiło jej się żal tej dziewczyny, po czym skarciła siebie, bo właściwie co ją to obchodzi, do diabła!

Wprowadziła się do nowego domu, gdy tylko dokumenty zostały podpisane. Praca już się zaczęła. Wszyscy byli wyraźnie zadowoleni i zrelaksowani, nawet Bill, chociaż po powrocie

do Los Angeles szukał Sandy wszędzie i nikt nie miał pojęcia, gdzie ona się podziewa. Ale jemu zależało na jej odnalezieniu. Chciał ją umieścić w bezpiecznej przystani, a potem jakoś po cichu przeprowadzić rozwód. Modlił się, żeby to przeszło gładko i żeby nikt się o tym nie dowiedział. Jednakże nigdzie nie było ani śladu Sandy, bez skutku zostawiał gdzie mógł wiadomości, że chce się z nią zobaczyć. Po powrocie zajrzał do Baru Mike'a. Przyjemnie było zobaczyć stare twarze, zwłaszcza teraz, gdy mu się powiodło.

Zaczęli pracować 4 lutego, a i marca Jane dostała papiery rozwodowe. Siedziała w studiu spokojnie czytając jakąś kwestię, którą właśnie zmieniono, i nagle ktoś upuścił jej na kolana kopertę przyslaną w to popołudnie. Otworzyła. To było to. Skończone. Jest rozwód.

Dwadzieścia lat spłynęło z wodą. Wbrew sobie rozplakała się i wtedy wszyscy taktownie odeszli z wyjątkiem Zacka, który podszedł i zapytał, co się stało. Wytarła nos i pokazała mu te dokumenty.

— Wiem... głupio, że płaczę... przecież taki wariat..., tylko że... nie wiem... jak w tym powiedzeniu, połowa życia poszła na marne.

— Miała prawie czterdzieści lat i nagle to poczuła.

— No — wyciągnął rękę — jesteś dziś jeszcze w jakichś scenach?

— Potrząsnęła głową i znowu wytarła nos. — Pojedziemy gdzieś coś przekąsić. Znam pewien straszny bar, w którym podają przepyszne hamburgery.

Wstała z wahaniem.

— Zmyję charakterystycję i zaraz przyjdę.

Czekał w czystych dżinsach i wykrochmalonej białej koszuli, w sandałach bez skarpetek, gdy ona wyszła w różowym dresie i z włosami ściągniętymi do tyłu gumką. Wyglądali jak dwoje zwyczajnych ludzi, wsiadając do samochodu i wyjeżdżając z terenu wytwórni. Była wdzięczna Zackowi, że jest z nim. Nie chciała być teraz sama.

W Barze Mike'a parsknęła śmiechem. Było ciemno, strasznie i pachniało piwem. Ale goście w sali wyglądali młodo, zdrowo i czysto i zorientowała się, że większość z nich to aktorzy. I Zack miał rację: hamburgery okazały się tak dobre, jak zapowiedział.

Skończyli jeść i popijając piwo, Zack nagle zauważył Billa siedzącego w kącie z jakąś dziewczyną. Tego dnia Bill nie grał, więc nie był w wytwórni. Jane też na niego spojrzała i tak samo jak Zack zobaczyła wyraz bólu na jego twarzy. Siedział z dziewczyną chyba rozpaczliwie chorą, chudą jak patyk, o włosach ciemnych, zmierzwionych, ubraną niemal w łachmany. Zobaczyli, że Bill potrząsa głową, wyraźnie bliski płaczu, i w końcu daje dziewczynie pieniądze. Jane odwróciła się, czując, że patrzy na coś, na co patrzeć nie powinna. Bill zmartwiony, zdenerwowany wyszedł szybko po odejściu tej dziewczyny, nie widział Zacka i Jane, którzy siedzieli na uboczu.

— Boże, kim ona jest, jak myślisz? — Jane przejęła się zmartwieniem Billa. Najwyraźniej jemu na niej zależało.

— Nie wiem, ale nic dziwnego, że Bill jest przeważnie przygnębiony.

Posiedzieli jeszcze w milczeniu, a potem pojechali do nowego domu Jane w Bel Air. Jane wciąż myślała o Billu i tej dziewczynie. Jakaś taka upiorna. I zarazem troszeczkę podobna do Gabrielle. Ale Gabby jest zdrowa, silna i promienna. A ta wyglądała jak tylko na pół żywa.

— Tak jakby była narkomanką — powiedział spokojnie Zack i Jane przypuszczała, że ma rację. Było jej żal tej narkomanki i Billa.

— Chcesz popływać? — zapytała.

— Nie przyniosłem kostiumu, a w którymś z twoich sprawiałbym dziwne wrażenie. — Zack się uśmiechnął.

— Nie będę patrzeć, jeżeli chcesz pływać nago. — Była przy nim tak nieskrępowana, że nie miałyby nic przeciwko temu.

— Ja nie mogę ci dać na to słowa. Ale on zawsze zachowywał się jak przystało na dżentelmena w każdym calu. Ostatnio prawie żałował, że taki jest. — Dołożę jednak wszelkich starań.

Podawała wino, oboje wypili, po czym przyniosła mu biały płaszcz kąpielowy i poszli się rozebrać, ona uradowana i przygnębiona jednocześnie. Przygnębiona migawką z prywatnego życia Billa — oby nie było nic poważnego pomiędzy nim i tą dziewczyną — i otrzymaniem rozvodu, uradowana tym, że jest z Zackiem. Zawsze cieszyła ją jego obecność. Coś bardzo szczególnego było w ich przyjaźni.

Oboje po paru minutach wrócili nad basen ubrani jednakowo w białe płaszcze kąpielowe i Jane dyskretnie odwróciła się tyłem, gdy Zack skoczył do wody i odpłynął. Sama zeszła po schodkach, w blaskach wieczoru jeszcze piękniej posągowa niż zwykle, i popłynęła do Zacka. Zack dał nurka, ucieki pod wodą i już zaraz bawili się w berka śmiejąc się jak dzieci, zapominając o swojej nagości aż do momentu wyjścia z basenu. Ale Jane nagle zdecydowała, że to przecież nieważne, do diabła. Bez skrępowania sięgnęła po płaszcz kąpielowy, narzuciła go i zobaczyła, że Zack jeszcze w wodzie patrzy na nią z powagą.

— Jesteś piękna, Jane.

— Dziękuję. — Odwróciła się.

Zack wtedy wyszedł z basenu, włożył płaszcz kąpielowy i wrócili do domu i dalej pili wino w częściowo umeblowanym saloniku, z którego rozciągał się wspaniały widok. Wieczór był czarowny, Jane wypila dużo — jak na nią. Tak dobrze czuła się z Zackiem, a ten dzień miała tak trudny. Wydawało się zupełnie naturalne to, że Zack się pochylił i łagodnie pocałował ją w usta. Nic poza tym. Pocałował ją jeszcze raz i całym ciałem zatęskniła do jego dotknięcia, przysunęła się bliżej, delikatnie dotknęła jego piersi, niepewna, co mu powiedzieć. Czuła się cudownie wolna i spokojna. Dziewczynki ten tydzień spędzały u Jacka, więc nie musiała się obawiać, że wrócą do domu, zastaną ją z nim. Od siedmiu miesięcy nie spała z nikim, teraz nagle rozpaczliwie zapragnęła siedzącego przy niej Zacka.

— Jesteś taka piękna...

Łagodnie rozchylił jej płaszcz kąpielowy, jakby po to, by ją podziwiać, a ona przymknęła oczy pełne pożądania i zaraz je otworzyła.

— Tak bardzo cię pragnę... — Z łatwością mu to powiedziała, ale on odwrócił się od niej.

Postawił swój kieliszek, wstał, podszedł do szklanych drzwi i długo patrzył na panoramę miasta. Wiedziała, że coś nie jest w porządku, ale co? — O co chodzi, Zack? — Zastanowiła się, czy może powiedziała coś, zrobiła coś niewłaściwego, może była zanadto obcesowa. — Ja naprawdę nie...

Odwrócił się szybko, słysząc w jej głosie żal. Ale żal w jego oczach była o wiele większa.

— Nie chodzi o to, co ty... nie myśl tak... przeciwnie... tyś prawie odmieniła mi życie... prawie... ale niezupełnie.

— Dlaczego chciałbyś w swoim życiu zmieniać cokolwiek? — Nie rozumiała, wiedział, że musi być z nią szczerą.

— Dlatego, że nie spałem z kobietą od dwudziestu lat... od dwudziestu pięciu lat, dla ścisłości... To bardzo długi czas, Jane.

— Owszem. — Patrzyła na niego tkliwie.

Podszedł i usiadł przy niej z westchnieniem, cały jak gdyby zwiotczały. Z żalem połączyło się uczucie ulgi. Wreszcie musiał zrzucić z siebie ten ciężar.

— Byłem w internacie, młodzieńki chłopak..., miałem czternaście lat... w jednej z najlepszych szkół... i to było wtedy raczej dla żartu... Wielu chłopców zabawiało się z sobą... Ja nigdy. To do mnie nigdy nie przemawiało... dopóki nie przyjechał nowy nauczyciel



literatury angielskiej. Był wysoki, piękny, jasnowłosy... w typie Billa i mniej więcej w tym samym wieku. Chciał, żebym ja był jego „specjalnym przyjacielem”. Pożyczał mi książki, zabierał mnie na ryby i na obóz. Podziwiałem go... zanadto... W czasie drugiego obozowania wsunął się do mego śpiwora i zaczął mówić, że bardzo mnie lubi, że jestem dla niego kimś szczególnie drogim, i kochał się ze mną... Miałem czternaście lat. Nie wiedziałem, co zrobić, komu powiedzieć. Zresztą myślałem, że przecież nikt mi nie uwierzy. Najbardziej lubiany nauczyciel, w dodatku jakoś spokrewniony z dyrektorem szkoły. Kiedy moi rodzice przyjechali, nie powiedziałem nic. I przez dwa lata nic nie mówiłem, aż on wyjechał i przysięgłem sobie, że nigdy czegoś takiego już nie będę robił. Wiedziałem, że to było złe, chociaż tak bardzo go podziwiałem.

Jane patrzyła na Zacka szeroko otwartymi oczami, ale nie potępiająco, tylko ze współczuciem dla chłopca, którym Zack był przed trzydziestu laty.

— Kiedy pojechałem do college’u, zakochałem się w pewnej pięknej dziewczynie i nawet zaręczyliśmy się. Miałem wtedy dwadzieścia dwa lata. Ona była cudowna, chciała zostać aktorką. Zamierzaliśmy prowadzić doskonale życie, mieć czworo dzieci... dopóki nie spotkała innego. No i to mnie zdruzgotało. Byliśmy oboje za młodzi. I potem nie było nikogo... aż do mojego cholernego pierwszego filmu. Rozpaczliwie pragnąłem grać, a reżyser był rzeczywiście skurwysynem. Miałem dwadzieścia trzy lata, a on mnie upił. Na drugi dzień rano obudziłem się w jego łóżku. Nawet postarał się, żeby jeden z jego kumpli sfotografował mnie nieprzytomnego z nim... Resztę możesz sobie wyobrazić. Groził mi szantażem, jeżeli nie będę z nim sypiał. Więc sypiałem... i chyba uważałem, że to już fakt dokonany, kości rzucone. Uczepił się mnie na cały prawie rok, a potem już było za późno. Bałem się, że ktoś się dowie. Przez dwa lata nie sypiałem z nikim, aż spotkałem pewnego miłego człowieka, dwa razy starszego ode mnie. Związałem się z nim i był nadzwyczaj dyskretny. Nikt nigdy nie wiedział. A po nim był już tylko jeden... To skończyło się wiele lat temu i nadal jesteśmy przyjaciółmi. Zawsze boję się, że ktoś mógłby wykryć. To by strasznie zaszkodziło mojej renomie, prawda? — Łzy spływały Zackowi po policzkach, gdy znów spojrzął na Jane. Delikatnie mu je otarła. — Obłędne jest to, że po Kimberly nigdy nie chciałem żadnej innej kobiety... dopóki nie spotkałem ciebie... I już myślałem, że wszystko może się zmienić... ale ja nie zdołam... nie zdołam zawrócić... a tych zbroczeń już nie chcę. Ale jak mógłbym wciągnąć cię w to wszystko? Co będzie, jeżeli zakocham się w jakimś mężczyźnie... w przyszłym roku? Za dwa lata? Co wtedy? Znów twoje życie legnie w gruzach? Dostyc się nacierpiałś beze mnie.

Jane także płakała.

— Kocham cię, Zack. — Kochała jego ból i jego uczciwość, kochała go takiego, jaki był. — Nie dbam o to. Tylko mi żal, że tak się z tobą stało..., strasznie żal. — Rozszlochała się, przytulił ją i znów pocałował.

— Ja jednak dbam. Dbam o nas oboje.

— Pssst... Pocałowała go, a on długo tulił ją do siebie. Gdy znów podniosła na niego wzrok, już się ściemniło. — Zostań tu na noc

— szepnęła w ciemnym saloniku.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie byłbym w porządku. Nie chcę kochać się z tobą.

— Tylko mnie przytulaj... nie zostawiaj mnie samej... za bardzo mi jesteś potrzebny...

Rzecz dziwna, ona też była mu potrzebna bardziej, niż potrafił to wyrazić, bardziej niż chciałby przyznać. Leżała przy nim na kanapie, aż zasnęła zmęczona wrażeniami dnia. W mroku patrzył na nią, trzymając ją mocno, czuł jak nigdy od ponad dwudziestu lat poruszenie z samych głębin jestestwa. Ale nic nie zrobił. Tylko leżał przy niej i płakał nad przeszłością, nad chłopcem, którym był, i rozpaczliwie pożałował Jane.

## ROZDZIAŁ XXII

— Cisza już... Kamera... Światło... Akcja!... Ujęcie

pięć...

Sabina stała pod żyrandolem pośrodku wymyślnie urządzonego saloniku, wpatrując się w Zacka oczami pałającymi wściekłością. Uderzyła go w twarz, a on chwycił ją za rękę.

— Mówiłem ci... nigdy już tego nie rób!

— Trzymaj się z daleka od mojej siostry. Pracujesz u mnie, Adrianie!

— Eloise, nie jestem twoją własnością.

— Was wszystkich mam na własność... w a s w s z y s t k i c h... słyszysz?

Oczy jej pałały, kamera podjechała, nastąpiło zbliżenie, reżyser pomachał ręką.

— Cięcie... Najlepiej jak dotąd, ale próbujmy jeszcze raz.

Wszyscy odetchnęli, Sabina się uśmiechnęła, gdy charakteryzator podbiegł do Zacka, żeby upudrować mu twarz. Słysząc było szepty. Sabina po cichu powtarzała sobie słowa.

— Gotowi! — Reżyser, stojący blisko nich, odwrócił się do kogoś wprawo. — Teraz na rolkach. — Odwrócił się znów do Sabiny i Zacka:

— Było bardzo dobrze, jeszcze tylko raz — a potem znów do swojego asystenta: — Proszę o dzwonek.

Po chwili dzwonek uprzedził wszystkich, że zaraz zaczną się kręcić.

— Scena dwadzieścia pięć, ujęcie szóste — zabrzmiał czyjś głos.

— Kamera... Akcja!

Sabina zrobiła krok przed siebie z pałającymi oczami, znów dała Zackowi po twarzy, on złapał ją za rękę i znów powiedzieli te same kwestie. Tym razem było jeszcze lepiej niż przedtem i po chwili usłyszeli:

— Cięcie!... Doskonale..., wywołać!

Wszyscy zeszli z planu uśmiechnięci, nawet Zack spoliczkowany sześć razy. Nie trapiło go to i byli już wolni. Spojrzał na zegarek, powiedział coś zniżonym głosem do Gabrielle i szybko poszedł do swojej przyczepy, gdy Gabby podbiegła do Jane.

Jane zmywała charakteryzację. Grała tego dnia w sześciu scenach, z których jedna wymagała szesnastu ujęć. Długi to był dzień dla wszystkich. Pracowali codziennie na dwóch sześciogodzinnych zmianach, mając tylko godzinną przerwę obiadową. Ale kończyli pracę punktualnie po dwunastu godzinach, więc nie było kar za nadliczbowe. Wszystko według zegara. Wybiła siódma, gdy skończyli.

— Chcesz pojechać gdzieś na hamburgera?

Gabby miała minę jak gdyby nigdy nic. Dojrzała w ciągu tych sześciu miesięcy pracy i grała coraz lepiej. Nadal pracowała ze swoim korepetytorem, ale nabierała bezcennego doświadczenia. I traktowano ją z większą życzliwością. Przez jakiś czas dużo było gadania, w końcu jednak, tak jak Mel powiedział, zainteresowanie osłabło. To, kim ona jest, już nikogo tak nie podniecało, a pracowała rzeczywiście jak profesjonalistka. Personel szanował ją za to, Jane ogromnie się do niej przywiązała.

— Dziś wybieram się na kolację z dziewczynkami. — Uśmiechnęła się do Gabby, ale była smutna. Czowała się stara. Nikomu na planie o tym nie mówiła, ale dziś ukończyła czterdzieści lat i miewała w życiu radośniejsze urodziny. — Chcesz z nami pojechać? Bo właśnie myślałyśmy o hamburgerach.

— Oczywiście. Czy muszę się przebrać?

Gabby była w wystrzępionych dżinsach z dziurami na kolanach i wyglądała gorzej niż zwykle. Jane nie miała nic przeciwko temu. Sama włożyła swój różowy dres i trampki. Nie było powodu się stroić. Nie wybierały się w jakieś szczególne miejsce. Alex znów stała się przykra. Nadal uważała, że do rozwodu doszło z winy matki, chociaż imponowała jej rola Jane w serialu. Przynajmniej Alyssa się opamiętała. Alex w zeszłym miesiącu ukończyła siedemnaście lat, Alyssa piętnaście. Alex dostała od Jacka na urodziny samochód, rabbitta z podnoszoną budą, i bardzo lubiła Wozić nim wszystkich i wszędzie. Gabrielle i Jane wyszły ze studia, gdy usuwano już rozsunięte ściany domostwa Martinów. Wymyślny salonik zniknął.

— Jak wyszła ta ostatnia scena? — zapytała Jane. — Patrzyłaś?

— Na sześć ujęć. Wyglądało nieźle.

— Zack ma podbite oko?

Gabby parsknęła śmiechem. Po cichu Jane nazywała Sabinę Panią Smok.

— Będzie żyć. Ma randkę, powiedział, i zaraz wyszedł, ale wyglądał dobrze.

Wszyscy wyszli szybko w ten wieczór i Gabby pojechała z Jane do jej nowego domu w Bel Air, gdzie czekały dziewczynki. Dochodziła już godzina ósma. Jane i Gabby napiły się wina i Alex zaofiarowała się

zawieźć je do I-lard Rock Cafć na hamburgery. Dziewczynki były porządnie ubrane, w czystych spodniach i ładnych wdziankach. Jane

poczuwała się do winy z powodu swego różowego dresu, ale zmęczona nie miała chęci się przebrać, Gabby prezentowała się jeszcze gorzej, gdy gawędziły na tylnym siedzeniu. Jane upomniała Alex, żeby nie jechała zbyt szybko, i wtedy nagle Gabby wyraźnie się stropiła:

— Do licha... Zack ma mój scenariusz na jutro, a ja go potrzebuję dzisiaj.

— Mogę ci dać mój, kiedy wrócimy do domu. Jestem jutro tylko w dwóch ostatnich scenach. Gabby potrząsnęła głową.

— Notowałam na moim. Nie masz nic przeciwko temu, że wstąpię do niego po drodze? —

Powiedziała Alexandre, gdzie to jest. — Tylko tam wbiegnę po scenariusz... Nie sprawi ci to różnicy, Jane?

Owszem, sprawiało jej różnicę, ale nie chciała tego przyznać. Była zmęczona i przygnębiona, chciała coś zjeść, wrócić do domu i położyć się spać. Dziewczynki ani słowem nie wspomniały o jej urodzinach, na pewno zapomniały, że to dzisiaj.

Piętnaście minut zabrała im jazda do domu Zacka. Gdy dojechały, Gabby zapytała, czy Jane chce z nią tam wejść.

— Mówiłaś, że on gdzieś się wybiera.

— Chyba mówił, że dopiero o dziewiątej.

— W porządku... zaczekam tutaj.

Jane siedziała w samochodzie z dziewczynkami, gdy Gabby poszła. Alexandra odwróciła się do niej.

— Mamo, możemy wejść i zobaczyć, jak on mieszka?

— Zack jest zajęty, kochanie. Nie wypada, żebyśmy wszystkie go nachodziły.

— Oj, przestań... wszyscy mówią, że to bajeczny dom.

— Alex, proszę cię... — Cóż, kiedy ta kipiąca energią nastolatka wyskoczyła z samochodu i Alyssa wobec tego także. — Alex!... Dziewczynki!... Proszę!...

Były niemożliwe, już w połowie drogi do drzwi domu, więc Jane wysiadła, żeby je zawrócić. Dzwoniły do drzwi, gdy weszła na frontowe schodki. Chciała im powiedzieć, że w tej chwili mają wsiąść z powrotem do samochodu, ale drzwi się otworzyły i córki pociągnęły ją do hallu pełnego gwaru, twarzy i balonów.

— niespodzianka! — wrzasnęło dwieście głosów chórem.

— Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, mamo!

Przez łyzy ledwie widziała córki i Gabby stojącą przy Zacku. Zack zorganizował to wszystko, zaprosił obsadę i personel „Manhattanu”, i za pośrednictwem dziewczynek kilkoro dawnych znajomych, a także całą obsadę „Smutków”, ludzi, których nie widziała już prawie od roku, i jej agenta... wszystkich!

— O mój Boże! — Mogła tylko płakać i śmiać się całowana, przytulana, przechodząc z objęć w objęcia, aż raptem znalazła się przed Zackiem, który patrzył na nią rozpromieniony. — Czy zasłużyłam...

o Boże! — Spojrzała na swój różowy dres i przez łyzy parsknęła śmiechem. Nawet się nie uczesała. — Patrz, jak wyglądam!

— Wyglądasz pięknie, nie starzej nawet o jeden dzień niż czterdziestolatka.

— Och, Zack... — Oczy ich się spotkały i pocałowała go w ten policzek trzepnięty dzisiaj tyle razy.

Nawet Sabina była i uśmiechała się do niej życzliwie, elegancka w bajecznej białej garsonce z dżerseju i perłach, które dostała od Mela.

— Wszystkiego najlepszego, mała. — Pocałowała ją lekko. Nie przyjaźniły się, ale też nie były sobie wrogie.

I wszyscy dobrze dochowali tajemnicy, żeby sprawić Jane niespodziankę. Mei mocno ją uściskał, a Bill się uśmiechał widząc wyraz jej twarzy. Nikt na taką owację nie zasługiwał bardziej niż ona, zawsze taka miła dla każdego z obsady, nawet dla aktorów zupełnie nie znanych, i cały personel wprost przepadał za nią. Wielki tort czekał w jadalni, za domem grała orkiestra. Najpiękniejsze przyjęcie, jakie kiedykolwiek widziała.

— Szczęśliwej czterdziestki.

Zack objął ją ramieniem i oprowadził po ogromnym salonie, żeby mogła zobaczyć wszystkich. Za domem był nawet parkiet do tańca i ogromny bufet ze spiętrzonymi wysoko dwoma tuzinami najrozmaitszych potraw meksykańskich zgodnie z upartym twierdzeniem dziewczynek, że to ulubiona kuchnia Jane.

— Jak tyś to wszystko zorganizował? Niczego się nie domyślałam.

Była zdumiona i gdy patrzyła na niego, znów popłynęły łyzy wzruszenia. Nikt nigdy nie okazał jej tyle dobroci. Już bez słowa zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta, a tłum wokoło wiwatował.

— Hurra!

Sabina podeszła z groźnie zmarszczonymi brwiami.

— Mówiłam ci, trzymaj się. z daleka od mojej siostry, Adrianie.

Wszyscy ryknęli śmiechem, gdy Zack udał, że kuli się ze strachu.

— Tylko mnie już nie bij, błagam...

Pocierał ten zmaltretowany policzek, wszyscy śmiali się dalej, a Sabina wróciła do Mela.

Zabawa była świetna. Nikt nie zauważył, że Bill wymknął się cicho, zanim podano tort. Jane wysłała dziewczynki o dwunastej do ojca, jak zostało przedtem uzgodnione z Jackiem. To był dzień tatusia, ale tatuś ustąpił ze względu na urodziny matki. Miały wrócić do Jane następnego dnia wieczorem. Inni goście zaczęli się rozchodzić dopiero nad ranem.

Jane wyczerpana jeszcze została, żeby porozmawiać z Zackiem i podziękować mu. Gabby odjechała z kimś do domu po drugiej, a Zack oznajmił, że jemu przypada zaszczyt odwiezienia solenizantki. Teraz im się nie spieszyło. Siedząc nad basenem popijali szampana.

— Nie wiem, co powiedzieć. — Nigdy dotąd nie czuła takiego wzruszenia. — Było po prostu pięknie... najpiękniejsza dla mnie noc

w życiu... — Wiedziała, że do końca swoich dni zachowa w sercu to wspomnienie.

— Jesteś nadzwyczajną dziewczyną. — Uściskał ją serdecznie i spojrzał jej w oczy. Planował to przez dwa miesiące, odkąd się dowiedział, kiedy będą jej czterdzieste urodziny. Gabby mu pomagała wraz z dziewczynkami. Wszyscy chętnie się przyłączyli do przygotowań zabawy urodzinowej dla Jane. Nikt w tym serialu nie był tak lubiany jak ona, z wyjątkiem może tylko

Zacka. Jane i Zack, sympatyczni, koleżeńscy, pełni względów dla ludzi i przyzwoici, cieszyli się ogólnym szacunkiem. — Chciałem więc zrobić dla ciebie coś nadzwyczajnego.

— No i zrobiłeś.

Patrząc na niego pociągnęła łyk szampana. Jego wyznanie niczego między nimi nie zmieniło, jeśli już coś, to od miesiąca byli sobie jeszcze bliżsi. Nigdy o tym nie rozmawiali, chociaż kilka razy zaprosił ją na kolację. Ale poczuł ogromną ulgę, gdy przekonał się, że jej stosunek do niego się nie zmienił.

— Ty dla mnie robisz mnóstwo, wiesz...

— Żartujesz chyba? Nic nie robię.

— Owszem, robisz. — Nie wiedział, w jakie to ująć słowa.

— Sprawiasz, że zastanawiam się nad wieloma sprawami.

— Pomogłeś mi przetrwać najcięższy okres w moim życiu. Rozwód tyłby jeszcze gorszy bez ciebie, Zack.

— Nie rozumiem, czym ci pomogłem, ale rad jestem, że tak uważasz.

Ten koszmar przysnuła mgła dzięki Zackowi. Jane czuła się teraz zupełnie odrodzona. Oboje się wzbogacili tym, co dawali sobie nawzajem.

Spojrzała na niego oczami wilgotnymi od łez.

— Nikt nigdy nie był dla mnie taki dobry jak ty...

Pochylił się i pocałował ją w usta.

— Więc wszyscy byli głupcami.

Siebie też uważał za głupca, który od dwudziestu lat pozwala, żeby jego życiem rządziły lęk i żal. Z własnej winy wpakował się w życie, do którego się nie nadawał. Nagle jednak już nad tym nie bolał. Jane się nie przejmuje, więc czemuż by on miał?

Wszystko to wyjaśnił swojemu przyjacielowi parę tygodni przedtem. I Bob się nie zdziwił. Zawsze czuł, że Zack pójdzie ponownie tamtą drogą, a teraz to stało się niemal pewne.

— Nie mogę tego jej zrobić — powiedział mu Zack.

— Czego zrobić? Być uczciwym? Już byłeś i ona tą sprawą się nie przejęła, prawda?

Bob był zadowolony. Ogromnie Zacka lubił i od kilku lat miał już innego kochanka, mężczyznę będącego dla niego wszystkim. Martwił się jednak o Zacka. Zack zasługuje na znacznie lepszy los. I ma tyle do dawania. Oby tylko ta Jane była godna Zacka.

— Jeszcze raz życzę ci urodzinowego szczęścia — szepnął Zack, a Jane uśmiechnęła się radośnie. Chcesz popływać?

Nie czuli zmęczenia. Moment nocnej senności dawno minął, czuli się szczęśliwi leżąc wygodnie nad basenem i pijąc szampana w tę ciepłą gwiazdzistą noc.

— Nie mam tu kostiumu.

Roześmiał się cicho.

— Gdzie ja to już słyszałem? Zdaje mi się, że kiedyś gdzie indziej poradziliśmy sobie bez kostiumów. Moglibyśmy spróbować znowu.

Tym razem rozebrał się swobodnie przy niej, wspaniale zbudowany z mięśniami grającymi energią, jak gdyby był młodym chłopcem, a ona szybko ściągnęła różowy dres i starannie złożyła zdjętą bieliznę. Czuła się tylko odrobinę skrępowana, gdy zobaczyła, że Zack ją podziwia czekając, by weszła do wody. Płynęli przy sobie spokojnie, i gdy dotarli do płytszego końca basenu, bez słowa wziął ją w objęcia. Stała z nim otoczona jego ciepłem i czuła jego pożądanie. Zaczęli się całować. Nie mogła złapać tchu, a on znów ją całował i znów, delikatnie głaskał po piersiach, badał dalej, pieścił wargami. Poprowadził ją do schodów basenu i jak gdyby oboje czekali na to przez całe życie, tkliwie kochał się z nią w opływającej ich wodzie. Szepty ich ulatywały w mrok ciche, a potem głośniejsze, a potem leżeli zjednoczeni na schodkach basenu i on uśmiechał się do niej.

## ROZDZIAŁ XXIII

Bill wyszedł z przyjęcia kwadrans po dziesiątej. Lubił

Jane

i uważał, że to ładnie ze strony Zacka urządzić jej urodziny, ale nie był w towarzyskim nastroju. Parę tygodni przedtem w Barze Mike'a widział się z Sandy po raz pierwszy od miesiący. Zadzwoiła do niego i poprosiła, by tam się z nią spotkał, a gdy przyszedł, chciała tylko dostać od niego pięćset dolarów. Błagała go, tłumaczyła, że musi przecież gdzieś mieszkać, a nie ma nawet dziesięciu centów. Bał się, że te pieniądze pójdą prosto w jej żyły. Wyglądała strasznie i serce mu krwawiło, lecz wiedział, że nic nie może dla niej zrobić, toteż widząc ją w tak fatalnym stanie, nawet nie napomknął o rozwodzie.

Ostatecznie dał jej tyle gotówki, ile miał przy sobie, trochę ponad trzysta dolarów, i wtedy wyszła nieomal biegiem. Ale tego samego dnia zadzwoniła do niego znowu, tym razem wyraźnie przerażona. Zapytała, czy mógłby się z nią zobaczyć wieczorem o jedenastej, więc żeby na pewno nie sprawić jej zawodu, wymknął się od Zacka czterdzieści pięć minut wcześniej. Jednakże Sandy się nie pokazała. O północy pojechał do Baru Mike'a na piwo, apotem do Malibu i tylko jeździł w kółko. Nie mógł przestać myśleć o niej, tak błyskawicznie się marnowała, wiedział, że lada dzień znów przedawkuje. Może po raz ostatni. Było już po drugiej, gdy wrócił do domu, gdzie zastał policję. Cztery samochody z błyskającymi światłkami i ambulans. Z zapartym tchem, ze strasznym uczuciem, że czeka go nieuchronne nieszczęście, podbiegł wąskim chodnikiem do drzwi frontowych. Czekali na niego i drzwi sypialni były zamknięte. Ci policjanci mieli ponure twarze. Byli jeszcze ludzie po cywilnemu i jeden z kamerą, a dwaj gliniarze wycelowali w niego z pistoletów, gdy wszedł. Zagapił się na nich i poczuł, że blednie, zatrzymując się, podnosząc ręce.

— Co się stało..., gdzie... — wiedział, że ona tam jest. Musi być.

— Nadal w tamtym pokoju. — Nie spodobał mu się sposób, w jaki powiedzieli „nadal”. Jak gdyby ktoś ją tam zostawił. — Gdzie pan był?

Jeszcze miał ręce podniesione i nie odważył się poruszyć. Nie wiedział, czy sanitariusze udzielają jej pomocy, czy wychodzi z tego, ale był zanadto wstrząśnięty, żeby zapytać.

— Na przejażdżce... w Malibu.

— O której godzinie pan stąd wyszedł?

— Koło północy. Czekałem na... kogoś... bez skutku, więc pojechałem na piwo.

— Na kogo pan czekał?

— Na... znajomą. — Omal nie powiedział: „na żonę”.

Jeden z policjantów podszedł do drzwi sypialni i przywołał go gestem.

— Czy na tę znaj omą?

Skinął, więc Bill wszedł za nim. W sypialni zastał jeszcze więcej policjantów. Usłyszał skomlenie psa zamkniętego w łazience. Nie był jednak przygotowany na to, co zobaczył. Sandy leżała na łóżku w rozszarpanych łachach takich, jakie te łachy były, wątła, maleńka, nie większa niż dziecko, postrzelona w pierś i w głowę. Nie żyła. Jęknął straszliwie, zrobił krok ku niej i zachwiał się. Czyjeś ręce go podtrzymywały, zanim gruchnęła na podłogę. Zataczając się, wrócił do saloniku.

— Boże... o Boże... — kwilił jak mały chłopiec. Sandy nie żyje... nie żyje. Popatrzył na nich szklistymi oczami. — Kto... jak...? — Nie mógł znaleźć słów.

Pchnęli go brutalnie w fotel.

— Pan nam powie. Sąsiedzi słyszeli strzały. Pan ma broń?

— Nie. — Potrząsnął głową.

— Co to za jedna?

— To moja żona..., byliśmy w separacji od sześciu miesięcy.

— Pokaż ręce, kolego. — Widzieli na jej rękach te ślady, ale on miał ręce czyste.

— Kto pana widział, kiedy pan stąd wyszedł?

— Barman w Barze Mike'a. — Czuł się bliski torsji, przymknął oczy.

— Długo pan tam był?

— Pół godziny mniej więcej.

— A po pierwszej?

— Jeździłem.

— Ona została zastrzelona w ciągu ostatniej godziny. Nie wie pan, kto mógłby chcieć ją zabić?

Potrząsnął głową żałośnie i łzy popłynęły mu z oczu. Została zastrzelona. Jak zwierzę. Spojrzał na nich.

— Dzwoniła do mnie dziś wieczorem. Wyraźnie się bala.

— Czego? — Nie mieli dla niego współczucia. Widzieli to wszystko już nieraz. I słyszeli takie słabe zeznania.

— Nie wiem. Swojego dostawcy... może jakiegoś alfonsa... Aresztowano ją w zeszłym roku latem za prostytutkę, potrzebowała pieniędzy na narkotyki... Była przyzwoitą dziewczyną — tłumaczył, jak gdyby ważne było, co oni myślą. — Tylko narkotyki jej poplątały w głowie.

— Najwidoczniej.

Policjant najstarszy stopniem dał znak i weszli sanitariusze z noszami i brezentem.

— Dokąd ją zabieracie? — Bill wstał, jak gdyby chciał ją zatrzymać, ale pchnęli go w fotel z powrotem.

— Do kostnicy. A pana do śródmieścia.

— Dlaczego?

— A niby dlaczego nie mielibyśmy pana zabrać?

— Ja jej nie zamordowałem.

— Więc powie pan to porucznikowi. Teraz przejmuje tę sprawę wydział zabójstw.

Aresztujemy pana pod zarzutem zabójstwa.

Ależ nie możecie... Ja...

Zanim powiedział następne słowo, policjant zatrzasnął mu na rękach kajdanki, a sanitariusze wyszli z sypialni z noszami zakrytymi brezentem tylko trochę wypukłym. Nic nie zostało po Sandy. Zapatrzył się w pustkę za nią, przypominając sobie tę krew w sypialni, modląc się z nadzieją, że nie czuła bólu, że to się stało szybko... Ten skurwysyn zabił ją w ich łóżku, w którym kiedyś byli tacy szczęśliwi! Wydawało mu się, że to sen, gdy potykając się szedł do samochodu otoczony policją. Parę minut później już jechał na tylnym siedzeniu, wstrząśnięty, w kajdankach. To niemożliwe, to nie może się dziać naprawdę. Ale działo się...

Powiedziano Billowi, że zostaje zatrzymany na czterdzieści osiem godzin, w ciągu których dalej będzie trwało dochodzenie, i wypytywano go przez dwie godziny. Ale już przedtem zeznał wszystko, co wiedział. Był wyczerpany, miał mdłości, gdy zdjęli mu kajdanki, kazali się rozebrać, przeszukali go dokładnie, oddali ubranie i wepchnęli do celi z trzema facetami. Dwaj, z których jeden spał, byli pijani na umór, trzeci groził, że go zabije, jeżeli on się zbliży. Bill usiadł na wąskiej pryczy z materacem cuchnącym uryną i zastanowił się, co będzie.

— Czy mogę zatelefonować? — zapytał strażnika.

— Rano o dziewiątej.

Ale dopiero za piętnaście jedenasta przed południem wyprowadzono go z sali na następne przesłuchanie i pozwolono zadzwonić. Był już o cztery godziny spóźniony do pracy, a miał

grać w każdej scenie. Nie wiedział, do kogo się zwrócić, więc zadzwonił do swojego agenta. Sekretarka poprosiła, żeby poczekał, inspektorzy niecierpliwili się trochę, chcieli go znów wypytywać.

— Powiedz pan tam, żeby prędziej.

— Nie mogę, słuchawka odłożona.

Bał się panicznie, że nie pozwoli mu odbyć tej rozmowy. Sprawa jest poważna. Waży się jego życie. Wreszcie odezwał się Harry.

— Co się stało? Jak ci idzie, chłopcze? — miał wesoły głos. Był w dobrym humorze. Ale niedługo. Bill mu powiedział, gdzie jest i dlaczego, a on siedział przy swoim biurku oszołomiony. — C o? Czy oni oszaleli?... Do jasnej cholery...

— Możesz wziąć mi adwokata, Harry? I na litość, nie mów nikomu.

— Żartujesz chyba? Przed wieczorem cały świat będzie wiedział. Rany boskie!

— Na litość! — Bill ryknął w niedużym pokoju, inspektorzy zapatrzili się w niego z zainteresowaniem. — Tylko znajdź mi adwokata i wydostań mnie stąd. I zadzwoń do wytwórni, powiedz, że przez parę dni mnie nie będzie.

Obaj jednocześnie pomyśleli o tym samym i Harry to powiedział:

— Niech no Wechsler się dowie...

— Porozmawiam z nim, kiedy wyjdę. Wszystko mu wyjaśnię.

— To najlepsze w tym roku niedomówienie. — Bo ta sprawa przecież była pogwałceniem kontraktu Billa w Bóg wie jakim stopniu. Już nie mówiąc, jaki MeI będzie wściekły, że Bill mu skłamał.

— Zadzwonię do mojego adwokata. I z nikim tam nie rozmawiaj.

— Wspaniale. — Bill zerknął na czekających inspektorów. — Harry... dziękuję.

— Zrobię, co będę mógł. Przykro mi, chłopcze. Wiem, co do niej czułeś.

— Tak. — Znow miał łzy w oczach. — Czuję.

Położył słuchawkę i popatrzył na inspektorów, którzy chcieli z nim porozmawiać, ale się nie zgodził, dopóki nie przyjdzie jego adwokat.

Ponieważ nie chciał mówić, odesłali go z powrotem do celi. Ci dwaj pijani zostali już zwolnieni, a ten, który groził, że go zabije, siedział i wciąż się na niego gapił. Wydawało się, że długie godziny minęły, zanim wreszcie pokazał się adwokat. Nie pałał zbytnim optymizmem. Rozważano oskarżenie o morderstwo.

— Ale dlaczego, na litość boską!

— Dlatego, że ona została zabita w pana domu, była pańską żoną, żyliście w separacji i nie ma pan alibi. Policja wie, że był pan rozżalony, nienawidził jej, wściekał się na jej narkotyki. Jest tysiąc powodów, dla których mógłby pan chcieć ją sprzątnąć. — Adwokat był brutalnie Szczery.

— A czy nie muszą mi tego udowodnić?

Niekoniecznie, jeżeli pan nie może udowodnić, że tak nie było. Mogą pana zatrzymać do wstępnego przesłuchania, jeżeli prokurator wniesie oskarżenie.

— Myśli pan, że wniesie?

— Czy widział pana ktoś tej nocy po godzinie dwunastej?

Bill ponuro potrząsnął głową.

— Nie, odkąd wyszedłem od Mike'a. Jeździłem po prostu bez celu.

— Czy rozmawiał panno żonie? Mówił pan komuś, jak pana gniewa jej nałóg?

Potrząsnął głową i przyjrzał się temu adwokatowi przysłanemu przez Harry'ego. Był to człowiek mniej więcej czterdziestopięcioletni, zdawałoby się, pozbawiony osobowości. Cała nadzieja w tym, że zna swój fach.

Właściwie nigdy nikomu nie mówiliśmy, że jesteśmy małżeństwem.



— Dlaczego?

— Jej agent tego sobie nie życzył. Ona miała wtedy dużą rolę w serialu, więc uważał, że to by kolidowało z jej renomą pierwszej naiwnej.

— A w kręgu pana znajomych ktoś wie?

Bill znowu potrząsnął głową i powiedział adwokatowi, jak okłamał Mela Wechslera, dostając u niego pracę.

— Prawdopodobnie teraz stamtąd wylecę.

— Może nie. — Pierwsza odrobina otuchy z ust tego adwokata, który nazywał się Ed Fried i zdaniem Harry'ego był dobry. — Może Wechsler ulituje się nad panem. Przecież to piekielne przeżycie dla każdego. Jak pan myśli, kto mógł być zabójcą?

Bill zastanawiał się przez chwilę, wreszcie bezradnie wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Jej dostawca prawdopodobnie. Ktoś musiał za nią iść do domu..., może jakiś alfons.

Wplątała się i w to? — zapytał Ed.

— Tak... kiedyś... — Upierne tak odsłaniać przed kimś swoje życie. Znowu spojrzał na Eda. — Może pan mnie wydostać za kaucją?

Adwokat potrząsnął głową.

— Jest pan w areszcie jako podejrzany. Jeszcze nawet nie wyznaczyli kaucji. I nie wyznaczą, jeżeli oskarżą pana o morderstwo.

— Miał jednak nadzieję, że sędzia poprzestanie ewentualnie na jakimś mniejszym oskarżeniu. Przynajmniej będzie mógł go wyciągnąć.

— Wspaniale. — Bill był posępny.

Sposepniał jeszcze bardziej, gdy zobaczył wieczorną gazetę. Nie było wielkiego nagłówka, ale podano na pierwszej stronie: „Aktor oskarżony o zamordowanie żony”. I nazwiska obojga, i wyliczone

przestępstwa za które Sandy została skazana, i to, że narkomanka, i że zwolniono ją z pracy w filmie, i że Bill właśnie gra w nowym serialu Mela Wechslera, i że zapowiada się na nowego telewizyjnego idola w przyszłym roku.

— Nieprawdopodobne — mruknął leżąc na cuchnącej pryczy

i przymknął oczy. W ten wieczór nie przesłuchiwało go. Leżał i myślał o Sandy z kulą w sercu, z trzema kulami w głowie... i o swoim małżeństwie, jak gdyby to był sen, który śnił mu się bardzo dawno.

## ROZDZIAŁ XXIV

— O Boże... O Jezu... Jane przeczytała o tym pierwsza, gdy siedzieli czekając na ustawienie świateł do następnej sceny. Jeden z kamerzystów zostawił na ławce przyniesioną po przerwie obiadowej gazetę. Jane bez słowa podała ją Zackowi.

— To Bill? — Zack czytał oszołomiony.

— Z pewnością.

Bill nie przyszedł tego dnia do pracy. Jego agent zadzwonił o jedenastej, więc kręcili sceny bez niego, co spowodowało dla nich sporo zamieszania, bo tych scen przedtem nie próbowali i w rezultacie musieli każdą powtarzać co najmniej czternaście razy. Wszyscy się złościли, tylko Zack i Jane, chociaż tej nocy nie spali, wyglądali na szczęśliwych. Do chwili, gdy przeczytali ten artykuł. Wyjaśniło się, dlaczego Bill był przeważnie taki ponury.

— Byli małżeństwem! Nigdy nic nie mówił... Wiedziałaś? — Jane patrzyła na Zacka zdumiona, gdy podeszła do nich Gabby. W dodatku panował tego dnia niezwykle upał, a ludzie po hucznych urodzinach Jane mieli kaca.

— Jeżeli tę scenę też będę musiała powtarzać szesnaście razy, chyba się zabiję. — Gabby usiadła na ławce, popatrzyła na nich. — Co się stało? Wyglądacie akurat tak, jak ja się czuję. Za dużo było wczoraj tych meksykańskich specjałów, za dużo wina czy za dużo jednego i drugiego? — Uśmiechnęła się. To była piękna noc i rzeczywiście niespodzianka się udała. Jane nic nie mówiąc wskazała leżącą na ławce gazetę.

Gabby przeczytała.

— Rany boskie! Niemożliwe... Niemożliwe. Wykluczone. Jak on mógłby ją zabić w ten sposób?

Wiadomość pomknęła jak błędny ogień, szeptała w przerwach między ujęciami. I policja zjawiała się tego dnia, zanim zeszli z planu. Policjanci oznajmili, że chcą porozmawiać z każdym, więc żeby wszyscy na jakiś czas zostali. Była godzina siódma, ale nikt nie protestował i tylko nalewano kawę do styropianowych kubków, gdy inspektorzy najpierw rozmawiali z reżyserem, potem poprosili Zacka do jego garderoby. Rozmowa z Zackiem trwała pół godziny i wyglądało na to, że śledztwo przeciągnie się do rana.

Jane szeptem zapytała Zacka, gdy wrócił:

— Co powiedzieli?

— Niewiele. Chcieli wiedzieć, czy Bill opowiadał o swojej żonie... czy myśmy ją kiedyś widzieli, czy mówił coś, czy wczoraj był zdenerwowany. Powiedziałem im, że nie wiedzieliśmy o jego małżeństwie. I że tylko raz go widziałem z dziewczyną parę tygodni temu w Barze Mike'a. — Oboje pamiętali to wynędzniałe stworzenie, z którym zobaczyli Billa, i Jane się zastanowiła, czy to ta została zastrzelona. Zack był strapiiony. — Zapytali mnie, o której godzinie Bill wyszedł z przyjęcia, powiedziałem, że chyba koło dziesiątej. Pewnie nie powinienem był tego mówić. — Wyraźnie miał to sobie za złe. Nikt spośród nich przez cały czas pracy nie poznał Billa bliżej, a przecież Bill stał się jednym z nich, należał do rodziny, więc i Zack nie chciał pogarszać jego sytuacji.

Jane ogarnęło współczucie.

— Ja w tym podnieceniu nawet nie zauważyłam, że wyszedł.

— Ja też nie — powiedziała Gabby.

Następnie inspektorzy rozmawiali z Sabiną, a potem z Jane 1 kolejno z innymi aktorami z obsady. Kwadrans po dziesiątej wezwali Gabriele, gdy już pozwolili większości personelu wrócić do domu. Jane została, czekając na Gabby, i Zack też, żeby zabrać je obie samochodem. Wszyscy rozmawiali już otwarcie o Billu, jaki był czasami przygnębiony, jaki ponury w Nowym Jorku, jaki przeważnie Skwaszony. Jane słuchała tego wprost chora i serce jej wyrывało się do niego. Powiedziała coś Zackowi, wyraził powątpiewanie.

— Myślę, że nie powinnaś.

— A jak ty byś się czuł?

Spojrzała na zegarek. Jeszcze był w ubraniu, w którym grał ostatnią scenę, jego charakterystyka już zaczęła się rozmazywać na twarzy.

— Tak czy owak chyba nie pozwolą.

— Spróbować możemy. To nie zaszkodzi.

Uśmiechnął się do niej. Nadal czuł w sobie ciepłą łunę poprzedniej nocy. Pochylił się tak, że tylko ona mogła słyszeć.

— Kocham cię, Jane.

— I ja cię kocham.

Wymienili spojrzenia zrozumiale tylko dla nich, a potem wydawało im się, że bardzo długo czekają na Gabrielle.

Gabby była z inspektorem w głównej charakteryzatorni, bo właśnie tam przesłuchiwali wszystkich.

— Panno Smith, знаła go pani przed pracą w tym serialu?

Potrząsnęła głową.

— Nie, nie znałam go.

— Czy kiedyś wspominał o swojej żonie?

— Nie. — Znów potrząsnęła głową, bardzo spokojnie patrząc na nich. Myślała o tym przez cały czas, odkąd się dowiedziała, i była pewna, że Bill nie zabił żony. Ale zastanawiała się, czy jeszcze ją kochał. To by tłumaczyło, dlaczego tak się zachowywał przez te wszystkie miesiące. Wszystko teraz ukazywało się w ostrzejszym świetle.

— Czy widziała ją pani kiedykolwiek na planie? — Dali jej fotografię Sandy z lepszych czasów.

Popatrzyła na tę fotografię i potrząsnęła głową.

— Nie.

— Powiedziałyby pani, że pan Warwick wczoraj wydawał się rozgniewany..., no, wczoraj wieczorem?

Uśmiechnęła się.

— Wcale nie. Wszyscy byliśmy na przyjęciu — niespodziance dla Jane... Jane Adams... i Bill tam był.

— O której stamtąd wyszedł?

— Trochę po dziesiątej. — Wiedziała, że Zack im to już powiedział.

— Czy pani wie, dokąd wyszedł? Mówił, dokąd?

Odwróciła wzrok.

— Spotkałam się z nim później w moim mieszkaniu. — Znów spojrzała jednemu i drugiemu w oczy, zdawałoby się, wstydliwie, z lekkim zażenowaniem, ale stanowczo gotowa być szczerą.

— Czy pani wyszła razem z nim, panno Smith?

Potrząsnęła głową.

— Wyszłam później. Około dwunastej. — Wyszła o drugiej, ale wtedy wszyscy już byli zanadto pijani, żeby wiedzieć, która jest godzina.

— I spotkała się pani z nim., gdzie?

— W moim mieszkaniu. Nie powiedział wam?

Wyglądała młodo i niewinnie, znów zakłopotana, aż inspektor, który pytał, zaczął się wiercić w fotelu. Bardzo ładna dziewczyna w szatce rozchylającej się tak, że mignęły jej małe piersi, gdy przejęta pochyliła się ku niemu. Nawet trochę podobna do tej z fotografii.

I nagle przyszło mu coś na myśl.

— Czy wyście się pokłócili? — Może Warwick targnął się na tamtą, bo one takie do siebie podobne. Trzeba brać pod uwagę wszystko.

Roześmiała się jak dziecko i skubnęła swoje długie czarne włosy.

— Ależ skąd! Przeciwnie... — Rzeczywiście udało jej się zarumienić.

— O której godzinie do pani przyszedł? — Inspektor zmrużył oczy, a ona się zastanowiła.

— Musiało być chyba trochę po dwunastej.

To z pewnością zmieniało postać rzeczy.

— Dlaczego nam tego nie powiedział?

Wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Może myślał, że narobiłby mi kłopotu. — Zniżyła głos, jak gdyby ściany miały uszy. — Nikt nie wie o nas. To by mi strasznie skomplikowało, pan wie... klauzula o moralności... — Gdyby na klauzulę o moralności powoływano się, ilekroć dwoje aktorów

poszło z sobą do łóżka, w Hollywood nie zostałoby nikogo do pracy, ale ci policjanci o tym nie wiedzieli. Inspektor przytaknął Z powagą.

— Rozumiem... — Wstał. — Może będziemy musieli porozmawiać z panią znowu, panno... hm... Smith. Bardzo pani dziękuję.

Odprawili ją, wróciła do Jane i Zacka i wszyscy inni też mogli już wyjść z wytwórni.

Szli we troje poważni, milczący, pogrążeni w swoich myślach, dopóki Jane nie powiedziała:

— Może byśmy jednak wstąpili po drodze do Billa?

— Myślisz, że nas wpuszczą? — Gabby wątpiła, ale też chciałyby się z nim zobaczyć.

Naraziła się dla niego, ale była pewna, że postąpiła słusznie. Po prostu instynktownie wiedziała, że on nie popełnił tej zbrodni, cokolwiek by twierdziła policja. To nie taki człowiek. Gdyby chciał zabić żonę, zrobiłby to już dawno.

Rozmawiali o tym i Zack przyznał Gabby rację.

Miał dziwny wyraz oczu, kiedy ona wychodziła..., wtedy w Barze Mike'a... tak jakby mu jeszcze bardzo na niej zależało.

Gabby, chociaż się wzdrgnęła, co nie uszło uwagi Jane, powiedziała spokojnie:

— Chyba tak. Myślę, że to go zżerało. Prawdopodobnie zachowywanie tego w tajemnicy nie było żadnym rozwiązaniem.

— Policjanci mówili, że od miesiący był z nią w separacji

— powiedziała Jane, gdy wsiadali do samochodu Zacka — ale chyba Zack ma rację. Kiedy zobaczyłam Billa wtedy, myślałam tak samo. Bill wydawał się zdruzgotany jej wyglądem.

Wyglądała strasznie, biedaczka... — Cierpiała na samo to wspomnienie.

— Ale jak to się mogło stać? — zapytała Gabby.

— Prawdopodobnie coś z narkotykami. — Zack spojrział na nią i Jane, włączając silnik. — O ile wiem, Bill zeznał, że ona zadzwoniła do niego do studia. Nic o tym nie wiedziałem, ale możliwe, że zadzwoniła, powiedziała, że przyjdzie do jego mieszkania. Nie pokazała się, więc wsiadł do samochodu, przejechał się, a kiedy wrócił, była tam... martwa.

To zabrzmiało okropnie. Pojechali do aresztu, gdzie jak Zackowi powiedziano, był Bill.

Minęła już dziesiąta i Zack wątpił, czy ich wpuszczą. Ale o dziwo, wpuścili. Policjanci, którzy ich przesłuchiwali, właśnie wrócili z wytwórni i zgodzili się zrobić dla nich wyjątek „zważywszy, kim są”. Ton inspektorów zirytował Jane, rozpaczliwie współczującą Billowi, ale wszyscy troje byli wdzięczni za pozwolenie na rozmowę z Billem.

Zamknięto ich z Billem w pokoju z okienkiem, przez które strażnik na zewnątrz mógł widzieć, co się dzieje. Jane i Gabrielle musiały zostawić torebki, zanim tam weszły, a Zacka obmacano. Ledwie weszli, klucz zazgrzytał w zamku drzwi. Był to w istocie pokój przesłuchań, o wiele lepiej umeblowany niż miejsce normalnych wizyt w areszcie. Innymi drzwiami wprowadzono samego Billa w kajdankach, które mu zdjęto, gdy już wszedł. Ze łzami w oczach stał przed tymi przyjaciółmi, nie wiedząc, co powiedzieć. Jane zarzuciła mu rękę na szyję, przytuliła go mocno, też płacząc.

— Wszystko będzie dobrze..., wiem, że tak.

Ale Bill diugo nie mógł mówić. Uścisnął Zackowi rękę i zapatrzył się w Gabrielle. Wyglądał brudno, nie golił się od dwóch dni. Wyglądał też na powalonego tym, co widział i tym, co odczuwał, i faktem, że jest tu, gdzie jest, i przekonaniem, że życie dla niego nigdy odtąd nie będzie takie jak przedtem. Pod pewnymi względami na pewno. Pozostawało wielkim pytaniem, czy Mei zatrzyma go w serialu i co ważniejsze, czy zostanie oskarżony o zabicie żony.

— Nie mogliśmy uwierzyć, Bill. To zupełnie jak bardzo kiepski scenariusz. — Zack usiadł na krześle, Bill także, patrząc na nich z wdzięcznością.

— Ja też nie mogłem uwierzyć. To jakiś koszmarny sen. Mogą mnie tu trzymać jeszcze przez dobę bez formalnego oskarżenia, a potem przedłużyć areszt o jeszcze jedną. — Czyli jeszcze dwie doby strachu i piekła.

Patrzyli na niego z niedowierzaniem.

— Ale dlaczego? — Zack nie rozumiał, jak to jest możliwe, gdy nie ma niezbitego dowodu.  
— Dlatego, że nie mam alibi. Jeździłem po okolicy sam. Nikt mnie nie widział po północy, a to się stało między pierwszą a drugą. Znalaziono ją w moim domu i widocznie to wystarcza. Uważają, że denerwowało mnie życie, jakie prowadziła, i rzeczywiście tak było. Zupełnie mnie kładło to, że ona tak się zabijała. Ale ja bym w żadnym razie... — Bill nie mógł nic więcej wykrztusić.

Gabby delikatnie dotknęła jego ręki i zaczęła, aż podniesie na nią wzrok. Gdy oczy ich się spotkały, cicho, spokojnie powiedziała:

— Przyznałam się, że wczoraj w nocy byłeś u mnie.

Przez chwilę tylko patrzył jej w oczy, jak gdyby nie mógł zrozumieć, w końcu potrząsnął głową. Ale się zorientował. Oboje wiedzieli, że w tym pokoju może być podsłuch, starała się być ostrożna.

— Co powiedziałaś?

— Że byłeś u mnie, kiedy wyszłam od Zacka.

Dalej się w nią wpatrywał.

— Dlaczego? — Dlaczego to zrobiła po tych miesiącach, przez które traktował ją tak obrzydliwie? Dlaczego miałyby mu pomóc? Był oszołomiony.

Gabby dalej patrzyła mu w oczy przy Zacku i Jane.

— Powiedziałam dlatego, że to prawda. Więc już nie musisz kłamać, żeby mnie osłaniać, Bill. Już jest w porządku.

Chciał wrzasnąć: Ale ja tam nie byłem i przecież nie zabiłem mojej żony! Nie odważył się jednak na to, pamiętając o prawdopodobieństwie, że w pokoju są ukryte mikrofony.

Zack i Jane patrzyli na nich zdumieni. Oboje byli pewni, że Billa i Gabby nic nie łączy.

Bill popatrzył na Gabby ze skupieniem i po raz pierwszy widział tylko ją.

— Ja nie zabiłem, Gab... przysięgam, że nie..., zadzwoniła do mnie i bała się. Powiedziała, że ktoś za nią chodzi, ale nie wiem kto. Trzy tygodnie temu powiedziała, że jest winna pieniądze, wszystkim łącznie z jej dostawcą, i martwiła się tym. Powiedziała, że nie ma gdzie mieszkać. Ale dałem jej tylko trzysta dolarów, bo obawiałem się, że jeśli dam więcej, zacznie szaleć i znów przedawkuje. — Miał łzy w oczach, zwiesił głowę, czując wokół siebie po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin jakieś ciepło. — Byliśmy w sobie tacy zakochani..., tak strasznie chciałem, żeby się wyleczyła, ale jej już nie zależało.

Nikt nie wątpił o niewinności Billa. Nikt, niestety z wyjątkiem policji.

Jane pogłaskała go po karku, gdy płacząc ukrył twarz w dłoniach. Zack potrząsnął głową markotnie.

— Bill, czy twój adwokat nie może czegoś zrobić?

— Próbuje. Ale to wygląda strasznie. Zastrzelona w moim domu.

— Bill zdławił szloch, przypominając sobie Sandy z ranami w głowie.

— Znaleźli ten pistolet?

— Nie. A ja nigdy w życiu nie miałem broni. Trzymałem pistolet w ręce tylko raz w reklamówce płatków owsianych dla dzieci, kiedy grałem kowboja na koniu na biegunach, który stał w olbrzymiej misce pełnej niby to owsianki, i nawet nie wydaje mi się to realne. Wszyscy się uśmiechnęli, chociaż mieli znikomą powód do uśmiechu.

Gabby znów spojrzała na niego ze skupieniem.

— Tylko mów, że byłeś u mnie. To już w porządku... sama im powiedziałam, że byliśmy na Galey Ayenue. — Zdała sobie sprawę, że Bill chyba nawet nie wie, gdzie ona mieszka, bo i dlaczego miałyby wiedzieć, a on dalej wpatrywał się w nią z niedowierzaniem, gdy strażnik na korytarzu otworzył z klucza drzwi i skinął ręką.

— Dosyć na dziś, ludzie. Możecie przyjść jutro w godzinach odwiedzin. Od drugiej do czwartej, siódme piętro.

Wspaniale. Może uda się przerwać zdjęcia, żeby wszyscy mogli Billa odwiedzić! Wydawał się im dzieckiem pozostawionym w jakimś strasznym miejscu i sercem byli przy nim. Jane na pożegnanie przytuliła go mocno, a Gabby ostrożnie. Ścisnął rękę Gabby przez krótką chwilę, po czym puścił ją, niemo dziękując. Może właśnie ocaliła mu życie? Następnie Zack też Billa przytulił i miał łzy w oczach, gdy strażnik znów zakładał Billowi kajdanki.

Wyszli we troje, zostawili go tam. Schodząc ze schodów milczeli, aż znaleźli się z powrotem w samochodzie Zacka, głodni, zmęczeni, wypompowani. Jane odwróciła się do Gabby na tylnym siedzeniu rolisa zaparkowanego przed aresztem.

— Nie wiedziałam, że... ty i Bill... — Nie była pewna, jak to powiedzieć.

Gabby wzruszyła ramionami, wyraźnie nie kwapiąc się do rozmowy. Ale Zack widział ją w lusterku nad kierownicą i wiedział dobrze, co i dlaczego zrobiła. Wiedział może lepiej niż ona sama. Gabby była zakochana w Billu.

## ROZDZIAŁ XXV

Już nie przesłuchiwali Billa w tamten wieczór, ale nazajutrz

rano

w obecności jego adwokata zapytali go przede wszystkim o Gabby.

Rozmawiali przedtem z kilkoma osobami w studiu i dowiedzieli się

o wrogości pomiędzy Billem i Gabby. Wiedzieli, że ona kłamie

twierdząc, że była z nim wtedy w nocy.

— Głupio postąpiła — powiedział inspektor. — Pan ją do tego namówił?

Bill potrząsnął głową żałośnie, mając nadzieję, że Gabby nie wpakowała się w kłopoty. Nagle stało się to koszmarem już dla wszystkich.

— Nie chciała nic złego. Tylko myślała...

— Tak, wiem. — Kobiety wciąż to robią, chociaż zwykle chcą ratować mężczyzn, których lubią bardziej niż podobno panna Smith lubi Warwicka. To nie jest przestępstwo, ale głupota i nigdy się nie udaje. — Tylko że nadal nie masz alibi, bracie. — Inspektor miał zimne oczy.

— Ja nie zabiłem mojej żony. — Bill ponuro powtórzył jeszcze raz to samo.

— Myśli pan, że żona nadal pana kochała? — Teraz tylko ciągnęli go za język.

— Nie wiem... Bardzo nam na sobie zależało..., kiedyś. — Bill mówił cicho, nagrywali każde jego słowo. — Ale ona była od dawna w takim stanie, że już nie zależało jej na nikim.

— Czy wie pan coś o jej kochankach?

— Nie wiem.

— Czy był pan zazdrosny o kogoś w jej życiu?

Obserwowali uważnie jego reakcje.

— Nie. Nawet nie wiem, kto był w jej życiu.

— Mówiono nam, że robiła różne numery.

Bill milczał.

— Co pan na to?

Spojrzał pytającemu prosto w oczy.

— Smuci mnie to.

— I rozwściecza?... bardzo cię to wkurza, Bill?

Opanował się.

— Już nie. To wszystko łączyło się z jej chorobą.

Do niczego nie doszli w tej rozmowie z nim. Ostatecznie odesłali go z powrotem do celi.

Później pojechali do Mela Wechslera. Mel, małowówny i niezadowolony, powiedział, że nic nie wie o życiu osobistym Billa. Powiedział im też, że nie potrafi powiedzieć, czy Bill dalej

będzie grał w jego serialu. W tym tygodniu kręcą sceny bez niego, ale za kilka dni będą musieli przerwać zdjęcia, jeżeli nie zostanie zwolniony. Powtórzono to Billowi, gdy go zawiadamiano, że areszt ulega przedłużeniu.

— Jak wygiąda sprawa? — zapytał Bill rozpaczliwie swego adwokata wieczorem.

— Niestety, niedobrze. Nic nowego nie wyszło na jaw. Policja nie zdołała niczego dowiedzieć się o niej i nikt z sąsiadów nie widział, żeby ktokolwiek wszedł wtedy nocą do domu.

— Boże święty, Ed, to nie do wiary. Jak mogą mi to robić? Z braku dowodów oskarżą mnie o mord? Tylko dlatego, że nie wiedzą, kto rzeczywiście ją zabił? — Zastanowił się, czy nie zaszkodziło mu kłamstwo Gabby.

— Niewykluczone. — Adwokat znał niesprawiedliwości kodeksu karnego. Miał z tym do czynienia dzień w dzień. Jednak niejasno było mu żal Billa. Przypuszczał, że prawdopodobnie nie zabił żony, ciężko będzie to udowodnić. — Masz cholernie dużą szansę na procesie.

— Tylko taką pociechą mógł służyć Billowi. — Bo musieliby cię skazać jako winnego ponad racjonalną wątpliwość, a wątpliwości jest w tym mnóstwo.

— Czy dojdzie aż do tego? — Bill był wstrząśnięty. I ten człowiek w jego celi znów mu groził, że go zabije. Bill zaczął się zastanawiać, czy przeżyje tę okropną próbę. Może nawet nie dotrwa do procesu. Może zabiją go tutaj. To już się zdarzało aresztowanym, Bogu ducha winnym.

— Mogłoby dojść do tego, Bill powiedział adwokat. — Będziemy wiedzieli jutro.

I wiedzieli. Prokurator okręgowy wysunął oskarżenie przeciwko niemu i jedynym kompromisem, jaki dopuszczono ze względu na brak konkretnego dowodu czy też wyraźnego motywu, było to, że ograniczono oskarżenie do zabójstwa zakładając, że wywiązała się kłótnia i bójka, w czasie której zabił ją nieumyślnie, chociaż prokuratura wolałaby oskarżyć go o morderstwo z premedytacją, gdyby dało się to skleić. I oskarżenia o zabójstwo są o wiele bardziej wiarygodne, więc trudniej je podważyć.

Bill stał osłupiały, gdy przeczytano mu oskarżenie i zawiadomiono, że może zostać wypuszczony za kaucją w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zadzwoił do Harry'ego, który obiecał go wyciągnąć. Kosztowało to pięć tysięcy dolarów gotówką poza wekslem na resztę. Był zadowolony, że stać go na to. Przesłuchanie wstępne miało się odbyć za dwa tygodnie i o jedenastej wieczorem Bill wyszedł na wolność. Płakał wychodząc. Harry objął go. Wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że coś takiego spotkało Billa.

## ROZDZIAŁ XXVI

Przypominając sobie tamtą pierwszą rozmowę z Melem, Bill czekał w recepcji, zdawałoby się, całą wieczność. Tym razem nie było to radosne oczekiwanie. Czuł w żołądku ołowiany ciężar. Z biura Wechslera telefonowano, że Bill Warwick ma się zgłosić w piątek nie do pracy, tylko do samego pana Wechslera. O godzinie dziewiątej rano.

Kwadrans po dziewiątej sekretarka w końcu go wezwała. Patrzyła na niego bez wyrazu, chociaż co dzień w tym tygodniu mówiło się o nim w dziennikach telewizyjnych i pisało w gazetach. Zachowywała się tak, jakby nigdy dotąd go nie widziała. Więc był peny, że Mei go z miejsca wyleje — ze wszech miar słusznie i co gorsza, mając podstawy do wytoczenia mu sprawy w sądzie. Bo przecież przy podpisywaniu kontraktu skłamał, że nie jest żonaty.

— Cześć, Bill — powiedział Mei uprzejmie, ale tym razem bez ciepła w oczach. Bili zsiniał.

— Cześć, Mel. — Usiadł skromnie naprzeciw biurka. Dobrze ogolony, wyglądał schludnie, ale był blady. Miał za sobą okropny tydzień i kilka nie przespanych nocy. Wydawało się niewiarygodne, że tak wiele się stało. I dziś przed jego domkiem czekała gromada fotoreporterów.

Mei przeciągle popatrzył temu młodemu człowiekowi w oczy i od razu przystąpił do rzeczy.

— Chciałbym wiedzieć, dlaczego mi skłamałeś. Mówię o twoim małżeństwie.

— Bardzo mi przykro z tego powodu. Chyba się bałem. Sandy była w takim fatalnym stanie. Zresztą nasze małżeństwo od początku trzymaliśmy w sekrecie.

— Dlaczego? Czy ona była narkomanką, kiedy się z nią żeniłeś?

— Mei zastanawiał się już, czy Bill też nie jest narkomanem, czy może był wówczas, gdy się żenił. Mnóstwo pytań przelatywało mu przez głowę w ciągu ostatnich trzech dni, odkąd Billa aresztowano.

— Nie, nie była. Ale grała w „Niedzielnej kolacji”. — Mei czytał o tym w gazetach poprzedniego dnia i nawet ją sobie przypomniał. Ładna młoda dziewczyna, trochę podobna do Gabby. Ciekawe, czy to ma coś wspólnego z nieustanną wrogością Billa wobec Gabby? Możliwe, że to jakieś przeniesienie gniewu, który wywoływała w nim Sandy. — Jej agent uważał, że nadal powinna mieć renomę niezamężnej. W tym serialu grała piętnastolatkę. I wyglądała na tyle. Mnie ta dyskrecja niezbyt zachwycała, ale zgodziłem się. Sandy tego chciała, więc... — wzruszył ramionami. — Nie wiem, potem ona sięgnęła po narkotyki i wyleciała z serialu. Jedno prowadziło do drugiego i dalej zachowywaliśmy nasze małżeństwo w tajemnicy. A potem raz po raz pakowała się w kłopoty z narkotykami. Szła do szpitala, ale ledwie wyszła, wracała do narkotyków. To było straszne. — Bliski płaczu, jednak panował nad sobą. Nie spodziewał się współczucia.

— A ty? Wplątałeś się w to razem z nią? — Mel uważał, że ma prawo wiedzieć, był na Billa wściekły.

— Nie, proszę pana. — Z całą uczciwością Bill patrzył Melowi w oczy. — Przysięgam, że nie... Staralem się zmusić ją do leczenia, ale to było beznadziejne. Na dzień przed pana telefonem w zeszłym roku latem została aresztowana za narkotyki i prostytutkę i wydała ostatnie dziesięć centów, jakie miałem. Byłem w rozpacz. Więc kiedy pan zapytał, czy jestem żonaty, skłamałem. Nie chciałem, żeby pan się dowiedział, w jakim ona jest stanie, i właśnie ze sobą skończyliśmy.

— Wzięliście rozwód?

Potrząsnął głową, nieszczęśliwy.

— Nie. Wtedy już bałem się rozgłosu. Nie chciałem, żeby pan się dowiedział, więc nie wystąpiłem o rozwód. I nie wiedziałem, gdzie jej szukać. Zniknęła, kiedy byliśmy w Nowym Jorku, i zobaczyłem się z nią dopiero kilka tygodni temu. Chciałem zażądać rozwodu, ale była w tak fatalnym stanie, że w ogóle tej sprawy nie poruszyłem. Wyprosiła ode mnie trochę pieniędzy, a potem zadzwoniła... i chyba ciąg dalszy pan zna. Wróciłem do domu i zastałem policjantów... — Oczy napęłniły mu się łzami, przez chwilę nie mógł mówić.

Głos Mela spokojnie zabrzmiał w tym gabinecie.

— Moi radcy prawni radzą mi podać cię do sądu, Bill.

Bill patrzył na niego udręczony.

— Rozumiem. — Nie mógł dyskutować z Meiem Wechslerem, bo był oszustem. Ale nie był mordercą.

— Jednak nie zrobię tego. Na razie. — Bill patrzył nie wierząc własnym uszom. A Mei nie powiedział, że to Sabina go od tego odwiodła, błagała o łaskę dla Billa. — Myślę, że i tak jesteś w dostatecznych tarapatkach. — Tylko powtórzył te słowa Sabiny. — Ale mógłbyś zaszkodzić serialowi. Fatalnie. F a t a i n i e. Jeżeli zostaniesz skazany za zabicie jej, to wpłynie na oglądalność. Rzeczywiście to nas zniszczy.

Bill słuchał w udręce.



— Ja tego nie zrobiłem, Mel... Bóg mi świadkiem... — Łzy spłynęły mu po policzkach. — Nie zabiłem jej.

— Mam nadzieję. Mei był szczerzy. Naprawdę lubił Billa.

Zaproponowałem policji testy z wykrywaczem kłamstw i chętnie bym się temu poddał dla pana. — Odmówili mu, ale Ed w każdym razie zamierzał doprowadzić do poddania go tej próbie, żeby pokazać wynik prokuratorowi, czy jest to dopuszczalne, czy nie jest. Bill nie ma nic do ukrycia.

— To już rzecz twoich adwokatów, Bill. Co z procedurą sądową?

— Mei był wyraźnie zmęczony. Na jego nerwach też się to odbiło. Ciężka sprawa dla wszystkich, ale najcięższa dla Billa, który wygląda jak z krzyża zdjęty.

— Idę na wstępne przesłuchanie za dwa tygodnie i jeszcze jest nadzieja, że wycofają oskarżenie.

— A jeśli nie? — Mel, realista, miał serial do wyprodukowania. Wielki serial.

— W dziewięćdziesiąt dni później będzie proces.

— I co wtedy? — Marszcząc brwi Mei włożył okulary i sprawdził w kalendarzu leżącym na biurku. — To w czerwcu?

— Chyba tak.

Mei przytaknął. Myślał o serialu. O nich wszystkich. Myślał już o tym przez całą noc, przez cały tydzień i przez cały ten poranek.

— Chyba jednak będziemy kręcić dalej. Zwolnisz się na to przesłuchanie, oczywiście. A przerwa aż do następnego sezonu zaczyna się pierwszego czerwca. — Umilki zdejmując okulary, przygryzając jeden ich koniec. — Nakręcimy dwie sceny finału, jedną zgodnie z planem mamy teraz. I druga, w której zginiesz śmiercią tragiczną. W razie potrzeby będziemy mogli puścić ją w przyszłym roku i wytłumaczyć nią twoje zniknięcie. — Nadal była to dla niego niedobra alternatywa. Zabójca żony raczej nie stanie się ulubieńcem Ameryki. — Jeżeli zostaniesz uniewinniony, może cię poprosimy, tak jak zaplanowaliśmy, żebyś wrócił po przerwie w końcu sierpnia. Jeżeli nie, będziemy mieli ten finał z tobą, w takim przypadku niezbędny. Ale muszę mieć trochę czasu, dobrze to przemyśleć. Jeżeli cię uniewinnią, będziemy mogli we dwóch porozmawiać. Co do uczciwości, punkty dla ciebie. Tylko nie możesz się spodziewać, że kiedy rzuciłeś w nas taką bombę, będziemy cię witać w domu z otwartymi ramionami.

Nadal chciał zwolnić Billa, ale Sabina powiedziała, że to byłoby złe dla serialu i że strasznie jej Billa żal. Coś okropnego, ona uważa Billa za dzieciaka.

— Rozumiem to. — Bill rozumiał, a przecież ogarnęła go rozpacz i był pewny, że po przerwie nie przyjmą go z powrotem. Bo i dlaczego mieliby przyjąć?

— To ciężkie dla wszystkich. A dla ciebie najbardziej. Kto jest twoim obrońcą?

— Ed Fried. Znajomy mojego agenta.

— Chcę, żebyś porozmawiał z Harrisonem i Goode'em. Jutro rano. I spodziewam się ciebie na planie w poniedziałek.

— Ja... uch... Zobaczę się z tymi adwokatami po południu, jeżeli zechcą spotkać się ze mną w sobotę. — Mel uniósł brwi. Bill znów usiłował powstrzymać łzy. — Rano jest pogrzeb Sandy.

Mel odwrócił wzrok. Nie mógł znieść widoku tego cierpienia. Może Sabina ma rację... biedny chłopak.

— Przykro mi, Bill.

Bill skłonił głowę i wytarł oczy. Całe jego życie się rozpadło w ciągu paru dni. Rzeczywiście koszmar.

— I trzeba ci wiedzieć, że jeśli po przerwie nie weźmiemy ciebie, nie wypłacimy ci odprawy. Podpiszesz teraz pismo, że nie będziesz zgłaszał pretensji.

— Tak, proszę pana. — Bill zrobiłby wszystko, żeby Mei złagodniał. Dałby sobie uciąć prawą rękę i lewą nogę, gdyby Mei chciał tego. Ale Mei nie chciał.

— Jednak musisz porozmawiać z naszymi adwokatami, bo może ci pomogą. Prawo karne to nie ich domena, ale na pewno skierują cię do właściwych ludzi. — Mei odchrząknął i znów włożył okulary. Były to małe półksiężycy, w których wyglądał starzej, trochę jak dyrektor szkoły. Wydawały się dziwnie stosowne w czasie tej rozmowy. I Mei zawsze marszczył brwi, gdy miał je na nosie. — Pokryjemy koszty twojej obrony. — Sabina to również wymogła na nim.

Bill osłupiał.

— Nie mógłbym... Mei...

— Tak chcemy. Z dwóch powodów. Dla dobra serialu ważne jest, żeby cię uniewinniono, a także — glos trochę zmieknął Melowi patrzącemu na przerażonego chłopca po drugiej stronie biurka — dlatego, że zależy nam na tobie. Wszystkich ścięło z nog to, co się stało.

Tym razem łyzy się polały. Bill wstał i uściśnął producentowi rękę.

— Nie wiem, jak dziękować.

— Bądź na planie w poniedziałek i postaraj się o uniewinnienie na procesie.

— Tak.

Bill czekał, ale rozmowa już się skończyła. Jeszcze raz uściśnął Melowi rękę i wyszedł z gabinetu, cicho zamykając drzwi za sobą. Gdy schodził na dół, czuł się tak, jakby zdjęto mu z ramion jeden ciężar i zaraz obarczono go drugim. Nie dostał zwolnienia w trybie natychmiastowym, ale zdawał sobie sprawę, że może być zwolniony po letniej przerwie. Ta już zaplanowana dla niego końcowa scena śmierci będzie ich mocną kartą i prawdopodobnie wyłożą ją na stół. Ale równocześnie był do głębi wzruszony tym, że Mei daje mu obrońców. Wiedział, że to będą najlepsi adwokaci, i modlił się, by zdołali mu pomóc.

Wsiadł do swego samochodu zaparkowanego przed biurem Mela i pojechał do studia.

Wysiadając czuł się niezręcznie, trochę bał się spotkania z ekipą, jednakże musiał się z nimi spotkać i musiał

porozmawiać z Gabby. Nie widział jej od tamtego wieczora, od jej wizyty w więzieniu z Zackiem i Jane, i musiał ją zapytać, dlaczego tak skłamała. I przede wszystkim chciał podziękować za wysiłek, na jaki się dla niego zdobyła, jakkolwiek był to wysiłek zbędny. Kręcili scenę Sabiny i Jane, gdy przyszedł, i właśnie zabrzmiał dzwonek. Znieruchomiał w pół kroku poza polem widzenia Sabiny. Wiedział, jak ona nie cierpi żadnych zakłóceń w pracy. To było jedno z jej głównych życzeń przez wszystkich respektowane. Między innymi dlatego rzadko kiedy miewali na planie gości.

Dopiero gdy usłyszał z ust reżysera: „Cięcie!”, ruszył z miejsca i kilka osób z personelu go zobaczyło. Niektórzy powiedzieli cicho dzień dobry, inni udawali, że go nie widzą. Też czuli się niezręcznie. Nie wiedzieli, co powiedzieć, i Bill po raz pierwszy sobie uświadomił, że niejedynemu prawdopodobnie uważa go za mordercę. Przeraził się, chciał wrzasnąć w ciszę planu: „Jestem niewinny!”, ale zamiast tego poszedł prosto do garderoby Gabby, modląc się, żeby tam była.

Była. Czytała scenariusz, popijała kawę. Gdy wszedł, podniosła wzrok zaskoczona, po czym uśmiechnęła się z wahaniem. Wiedziała, że go wypuścili, ale nie zadzwoniła do niego.

— Przychodzę w nieodpowiedniej chwili?

Potrząsnęła głową, uśmiechała się już pewniej.

— Nie, bardzo proszę. Co z tobą?

— Dobrze, chyba. Właśnie widziałem się z Melem.

Zmarszczyła brwi.

— Co mówił? — Wszyscy się nad tym zastanawiali.

— To przyzwoity człowiek. Pozwolił mi zostać do letniej przerwy.

— A potem?

— Chyba koniec. Nakręcą scenę mojej śmierci, żeby ją mieć w razie potrzeby. Proces będzie w czerwcu i nie wiadomo, jak to pójdzie.

— Ślicznie optymistyczny punkt widzenia — zakpiła i poczęstowała go kawą. Wziął od niej filiżankę drżącymi rękami, usiadł naprzeciwko niej.

— Nie jestem już zbyt wielkim optymistą. — Oczy mu złagodniały, gdy patrzył na nią. — Winien ci jestem przeprosiny i podziękowanie. Byłem wobec ciebie durnym baranem przez cały rok.

Więc nie rozumiem, dlaczego to zrobiłaś, dlaczego chciałaś dać mi alibi. Nie zasłużyłem na to.

Odpowiedziała szczerze:

— Uważam, że ty jej nie zabiłeś.

Ale tego nie wiesz. Nikt nie wie. — Czuł te prądy, gdy przyszedł na plan. Nikt już nie ma co do niego pewności. W ciągu krótkich paru dni stał się obcym. A przecież niektórzy z nich są po jego stronie. Nikt jednak aż tak wiernie jak Gabby. — Oni i tak wiedzieli, że kłamiesz, ale to był szlachetny wysiłek. I tym kłamstwem mogłaś sobie narobić kłopotu.

— Uznałam, że warto. — Ich spojrzenia się spotkały i zatrzymały.

Po chwili Bill zamknął oczy i zaraz znów popatrzył na Gabby.

— Nie wiem, dlaczego w ogóle rozmawiasz ze mną po tych chamstwach, jakimi cię raczyłem.

— Głupio, moim zdaniem. — Uśmiechnęła się, odstawiając filiżankę z kawą. — Nie przeczę, że czasami byłeś kompletnym łachudrą i że chętnie bym cię zabiła w Nowym Jorku, kiedy mówiłeś wszystkim, kim jestem, i pokazywałeś tę gazetę. Jednak to, że kłułeś jak rzep pod ogonem, zrobiło się nieważne, kiedy wpadłeś w tarapaty. Wiedziałam, jaki to parszywy cios dla ciebie. — Zawahała się. — Czy dlatego byłeś tak często spięty?

— Chyba... Martwiłem się o nią. Zwłaszcza kiedy byliśmy w Nowym Jorku. Wciąż myślałem, że przedawkuje, i wydawało się niesprawiedliwe, że mnie życie się tak dobrze układa, a jej ucieka. Drętwiałem ze strachu, bo skłamałem Melowi, że nie jestem żonaty, kiedy mnie angażował. Nie byłem nawet pewny, czy powinienem nakłaniać ją do rozwodu, bo bałem się, że Mel się dowie, jeżeli to nabierze rozgłosu. — Popatrzył na Gabrielle jakoś dziwnie. — Ty wyglądasz trochę tak jak ona kiedyś, wiesz? Myślę, że to mnie też wkurzało. Bo ty taka świeża i żywa, i normalna, i zdrowa, a ona... Może o to miałem do ciebie urazę. — Patrzyła mu w oczy. Były rozpaczliwie smutne. — Wciąż tylko myślałem, że mogłaby być taka jak ty... gdyby chciała... miała przed sobą wspaniałą karierę, kiedyśmy się pobrali.

— Dlaczego trzymaliście to w sekrecie?

— To długa historia. Jej agent tak chciał i ten serial, w którym grała.., no, potem skłamałem Melowi... straszna gmatwanina. — Westchnął. — Ale teraz nie jest lepiej. Stanę przed sądem, ledwie zacznie się przerwa.

Powiedział Gabby, że Mei daje mu swoich adwokatów. Zachwyciła się.

— Piekielnie równy facet. Zabrał mnie na kolację w Nowym Jorku, kiedy byłam taka wykończona. — Przez ciebie, pomyślała, ale nie powiedziała tego.

— To prawdziwy mensch. — Bill użył ulubionego w Los Angeles określenia. Mei jest taki. Prawdziwy mężczyzna. Patriarcha. Bohater.

Gabby uśmiechnęła się szelmowsko.

— Myślisz, że Sabina z nim sypia?

Bill parsknął śmiechem. Pierwsza swawolna uwaga, jaką po tak długim czasie usłyszał. Byli jak dwoje dzieciaków plotkujących o rodzicach.

— Prawdopodobnie. Ona wie, co dobre. I ta jej biżuteria jest niezupełnie do Świętego Mikołaja.

— Chyba się w niej zakochał.

— Uważam, że to piekielnie przyzwoity człowiek i nawet jeżeli mnie zwolni, a zwolni na pewno, zasługuje na mnóstwo dobrego w życiu. — Bill westchnął, myśląc znów o serialu. — Dużo mnie ominęło w tym tygodniu?

— Nic szczególnego. Kręciliśmy sceny bez ciebie. Wracasz w poniedziałek?

Dziwne — nagle rozmawiali już jak starzy przyjaciele i chociaż przedtem się nie cierpieli, teraz tym, co dla niego zrobiła, zaskarbiła sobie jego przyjaźń raz na zawsze. To fantastyczna dziewczyna. Bill był śmiertelnie zakłopotany pamiętając, jak paskudnie ją traktował.

— Tak. — A potem, jak gdyby musiał jej to powiedzieć, mruknął cicho ze smutkiem: — Pogrzeb Sandy jutro.

Aż zamrugwała.

— Przykro mi. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Bill potrząsnął głową. Nikt już w niczym nie może mu pomóc.

Jemu czy Sandy... W jego domu zrobili porządek ludzie, których najął

Harry. On by nie mógł stawić czoła tej krwi na ścianach sypialni. Psa

Harry umieścił w pensjonacie weterynarza do czasu, aż jego pan

nabierze tchu. Bill już się zdecydował przeprowadzić. Chciał wynieść

się stamtąd jak najdalej. Poza tym ów ktoś, kto ją zastrzelił, mógłby zacząć się na niego,

choć to wątpliwe. Przecież musiałyby być wariatem, żeby go zabić, tym samym

udowadniając, że to nie on zabił Sandy.

Patrzył na Gabrielle, jak gdyby widział ją po raz pierwszy. Ładna. Jeszcze ładniejsza niż Sandy.

— Dziękuję ci za wszystko. — Wstał, niepewny, co powiedzieć dalej. Przypomnił sobie jej serdeczny uścisk w więzieniu, ale to teraz wydawało się niezręczne.

Nagle usłyszeli stukanie do drzwi.

— Teraz ty, Gabrielle — powiedział jeden z asystentów reżysera.

Gabby zawołała:

— Dziękuję. Już idę. — Spojrzała Billowi w oczy. — Bill, wszystko będzie w porządku.

Może niełatwo pójdzie, ale w końcu będzie dobrze. Musi być. Jesteś niewinny. Wygrasz.

Tylko trzymaj się.

— Dziękuję. — Zdecydował się uściskać ją ostatecznie i w parę minut później wyszedł cicho z terenu wytwórni.

## ROZDZIAŁ XXVII

Pogrzeb Sandy był najbardziej ponurym momentem w życiu Billa. Przyjechali jej rozszlochani rodzice, młodszy brat i starsza siostra. Siostra kurczowo trzymała za rękę swego męża. Braciszek zanosił się płaczem i wszyscy patrzyli na Billa ze smutkiem. Przynajmniej ci wierzyli, że nie on ją zabił. Przybyło też kilkoro jej przyjaciół z dawnego serialu. Ale była to jedna z tych strasznych uroczystości, o których wiadomo, że będą trudne, ale które okazują się trudne ponad wszelkie przewidywania. Z powodu ran od kul trumna została już przedtem zamknięta, ku uldze Billa. Nie chciał znów zobaczyć Sandy nawet bez tych ran: takiej maleńkiej, wątłej, skurczonej, wyniszczonej i z twarzą będącą tylko cieniem jej twarzy, bez śladu dawnego uśmiechu.

— Była takim milutkim dzieckiem — łkała teściowa w jego objęciach, gdy sam powstrzymywał łzy. — Miała takie wielkie oczy... i pomagała mi przy pieczeniu ciasta... — Nie mogła mówić dalej.

Nawet jej ojciec przytulił Billa do piersi. Pastor uściśnął Billowi rękę jak wszyscy inni i pojechali na cmentarz wynajętymi szarymi limuzynami. Bill jechał z siostrą Sandy i jej mężem, którzy milczeli, zgnębieni tym wszystkim i być może nie tak pewni jego niewinności jak rodzice.

— Mówiła mi, że wielu osobom jest winna pieniądze za narkotyki

— powiedziała siostra Sandy jeszcze prawie nie wierząc, że jej siostrzyczka nie żyje. Tylko o dwa lata starsza od Sandy, nie była ładna.

— Myślę, że... — spojrzała na Billa pytająco, jak gdyby czekając, żeby przyznał się w drodze na cmentarz.

Rozmowa utknęła, zanim dojechali, po czym wszyscy stanęli tępo patrząc na trumnę i matka szlochała jeszcze histeryczniej, a pastor czytał Psalm Dwudziesty Trzeci. Bill czuł się jak w złym śnie. I wciąż myślał o dniu ich ślubu. To się już skończyło. Dziwna świadomość, że jest wdowcem. Sandy przecież nadal była jego żoną, gdy ów ktoś, nie wiadomo kto, ją zabił. Jazda z powrotem do śródmieścia wydawała się trwać całe wieki, a potem raptem już włączył się bez celu. Nie pamiętał, gdzie zostawił swój samochód, jak trafił do niego, zapomniał nawet, dokąd ma pojechać. Ale sobie wkrótce przypomniał. Do Harrisona i Goode'a, adwokatów Mela. Miał trochę czasu, żeby wstąpić na kawę, i siedział zapatrzony w pustkę, a kawa stygła, gdy znów myślał o Sandy i znów zmuszał się do tego, by o niej nie myśleć. Płacąc za kawę zobaczył, że kelnerki gapią się na niego, nie tak jak przedtem ciekawe, czy jest gwiazdorem jakiegoś serialu, tylko najwyraźniej dlatego, że widziały go w dziennikach ty i na fotografiach w gazetach. Popędził do samochodu i pojechał na Santa Monica Bouleyard, żeby porozmawiać z adwokatami.

Ich kancelaria mieściła się na trzydziestym czwartym piętrze ABC Entertainment Center i Stan Harrison już wezwał dwóch kolegów specjalizujących się w prawie karnym. Było to długie, mozolne popołudnie. Tak jak Ed Fried, który przysłał akta Billa, ci adwokaci uważali, że jest możliwość uniewinnienia w wyniku procesu, jeżeli nie zostaną przedstawione żadne dalsze dowody, ale też uważali za nieprawdopodobne umorzenie sprawy przed procesem. Jak się okazało, mieli rację. W dwa tygodnie później Bill stawiał się na przesłuchanie wstępne i wyznaczono datę procesu. Sędzia uznał, że jest dostatecznie dużo wątpliwości, by nadać sprawie dalszy bieg, i nie dało się mu tego wyperswadować. Proces miał się odbyć 9 czerwca. Bill czuł się tak, jakby patrzył na bardzo niedobry film.

Musiał szybko wrócić do studia, bo tego dnia grał jeszcze w trzech scenach. Pracował pilniej i dawał z siebie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Jak gdyby był to winien Melowi i wszystkim. Chciał w tę postać wlać maksimum życia, zanim przestanie ją grać.

Skończyli zdjęcia o ósmej wieczorem, czyli po jednej godzinie nadliczbowej, co rzadko im się zdarzało. Sabinie jakoś było trudno

grać w dużej scenie z Zackiem. Wciąż myliła się w swoich kwestiach i w końcu zeszała z planu wściekła. Ostatecznie nakręcili tę scenę należycie, ale dopiero po dwudziestu dwóch ujęciach, co wszystkich wyczerpało. Nawet Zacka, który nigdy się nie uskarżał. Bill jednak widział, jak wykończony Zack odjeżdża z Jane. Ostatnio widywał tych dwoje razem bardzo często, aż się zastanawiał, czy pogłoski o Zacku, które kiedyś słyszał, są prawdą, czy zwykłą hollywoodzką gadaniną. Ktoś w Barze Mike'a szepnął, że Zack jest pedałem, chociaż na to nie wyglądało. Ale wcześniej czy później o każdym mówią takie rzeczy. Może jednak Zack i Jane tylko się przyjaźnią. Nie wiadomo, zachowują dyskrecję. Jeszcze większą niż Mel i Sabina.

— Widać, żeś zmordowany — powiedziała Billowi Gabby, gdy wyszli razem. Ten dzień był długi dla wszystkich, już szczególnie dla niego po przesłuchaniu w sądzie.

— Dziękuję.

— Jak tam poszło?

Gabby zaproponowała, że pojedzie z nim do sądu, ale się nie zgodził. Chciał stanąć wobec szpetoty swego życia sam. Nie było powodu, dla którego miałaby mu towarzyszyć, i nadal w zakłopotanie wprawiały go jej miłe gesty, kiedy on tak parszywie traktował ją przez całą zimę.

— Nie umorzylili. — Znal już tę terminologię, chociaż wolałby nie znać.

— Będzie proces?

Przytaknął. Przyjął to zrezygnowany. Miał tylko nadzieję, że adwokaci mają rację i zostanie uniewinniony.

— Tak. Dziewiątego czerwca. — Wydawało się, że to odległa data, ale wiedział, że ten dzień nadejdzie aż nazbyt szybko. — Zacznie się już przerwa wakacyjna. Dla mnie na stałe.

— Nie mów tak. Grasz wspaniale.

— Bo myślę, że skoro mam odejść, to powinienem przynajmniej z fasonem. Może bodaj pod tym względem wszyscy odczują moją obecność. — Uśmiechnął się żałośnie, a ona potrząsnęła głową. Miała teraz długi, jedwabisty czarny warkocz, który z pleców przerzuciła przez ramię.

— Przestań wreszcie tak mówić. Ostateczna decyzja jeszcze nie zapadła.

— Jak ty sobie to wyobrażasz, Gab? Choćbym został uniewinniony, rzeczywiście myślisz, że mnie zatrzymają? Żaden serial nie udźwignie skandalu tego rodzaju, a już tym bardziej serial zupełnie nowy, który dopiero ma zadbać o oglądalność. Po prostu muszą się mnie pozbyć dla samego zadowolenia opinii publicznej.

— A jaką to sprawi różnicę? Nawet jeżeli pozbędą się ciebie naprawdę, i tak będziesz na ekranie w przyszłym roku. A wtedy już wszyscy o tej sprawie zapomną. Więc równie dobrze można cię zatrzymać.

— Powiedz to Melowi. — Ale Bill tylko się przekomarzał. Szanował decyzję Mela, jakakolwiek ta decyzja w końcu będzie.

— Mogłabym mu powiedzieć. — Też się przekomarzała. Oboje wiedzieli, że tego nie zrobi.

— Głodnaś? — Z wyżyn swego wzrostu patrząc na nią, zaczynał ją traktować jak młodszą siostrę.

— Raczej.

— Chcesz pójść gdzieś na hamburgera?

Pomyślała chwilę.

— Nie wiem... Mam już dość dzisiaj hałasu i gadania. Może byśmy pojechali do mnie na pierożki?

— Umiesz gotować? — zapytał rozbawiony. Gabrielle Thornton-Smith gotuje? Ale nie powiedział tego, nawet by nie szepnął, że zniża się do slumsów.

— Właściwie nie — przyznała z uśmiechem. — Ale umiem podrabiać.

— Jak to podrabiać? Podrabiać pierożki to nie takie łatwe.

— Udaję, że nie są z puszki, a ty będziesz udawał, że ci smakują.

— To brzmi nieźle. Czy mam zadzwonić do mojego agenta, że dostałem taką rolę?

Parsknęła śmiechem, zadowolona, że Bill jest w dobrym humorze. W pierwszym tygodniu po powrocie do pracy był rzeczywiście przygnębiony i tym razem nie miała mu tego za złe.

Personel nie ułatwiał mu życia i nawet aktorzy odnosili się do niego ostrożnie. Panował na planie taki nastrój, jakby nie było wykluczone, że Bill zabił, a jej serce wyrwało się do niego. Pamiętała, jak się czuła, gdy od niej stronili, i pragnęła Billa przed takim samopoczuciem chronić.

— Może zostaw samochód tutaj. Zawsze mogę podjechać po ciebie rano. Mam po drodze. Był zdumiony, że jej mieszkanie jest takie zwyczajne. Gabrielle pomimo swoich wysokich apanaży, jak się domyślał, i gaży, o której wiedział, mieszkała bardzo skromnie, w pełnym roślin mieszkaniu z przytulną małą sypialnią, bez wspaniałego widoku za oknami. Wszędzie nakleiała afisze reklamujące miejscowości, w których była albo w których chciałaby być. I w

kuchni miała milion rondli, chyba rzadko używanych poza tą dzisiejszą kolacją na jego cześć. Najwyraźniej nie zanadto swój sko czuła się przy kuchence i pierożki z pewnością nie należały do najlepszych, jakie w życiu jadł. Ale ani on, ani ona tego nie zauważyli gawędząc o serialu, wreszcie dalecy od omawiania jego zmartwień.

— Jaka jest twoja rodzina, Gab?

— Bogata. — Uśmiechnęła się promiennie. — To chciałeś usłyszeć, prawda?

Roześmiał się.

— Coś innego. Lubisz ich?

— Od czasu do czasu. Mama myśli tylko o ciuchach, a tata myśli o niej, że jest fantastyczna.

— Było to proste podsumowanie, ale niezupełnie bezpodstawne.

— Bracia i siostry?

— Jedna ja. — Bill też był jedynakiem i często mu to ciążyło. Żeniąc się z Sandy, chciał mieć dużo dzieci, tylko że szybko po ślubie jej nałóg wykluczył taką możliwość. — Kiedy byłam mała, psuli mnie aż do zgnicia. Szaleli, kiedy postanowiłam zostać aktorką.

— Moi rodzice także nie wpadli w wielki zachwyt, kiedy wybrałam ten zawód. Ojciec chciał, żebym pracował w ubezpieczeniach, jak on. Nigdy tak naprawdę mnie nie rozumieli, jak się to mówi. Mieszkają daleko na wschodzie i nie widziałem ich już od trzech lat. Posłałem im kartę na Boże Narodzenie z wiadomością, że się ożeniłem, a matka mi odpisała, że są dotknięci tym, że zawiadamiam ich po fakcie i że nie przedstawiłem im Sandy. Przysłali nam salaterkę do sałatek i od tamtej pory raczej nie mam od nich wiadomości. Rzeczywiście jestem

kiepski, jeśli chodzi o utrzymywanie kontaktu. Nie mam im nic do powiedzenia.

— A mój ojciec chciał, żebym została adwokatem. Oboje zmarnowaliśmy takie szanse. —

Nie wydawała się tym zmartwiona. Uśmiechnął się do niej.

— W przyszłym roku zmienię zdanie. Przecież będziesz najbardziej sensacyjną młodą giazdą Hollywood.

Przez chwilę milczeli dumając, czy on wtedy jeszcze będzie w tym serialu.

— Może nie. Może serial klapnie i zostanie zdjęty.

Bill roześmiał się.

— To nieprawdopodobne. Nie serial Mela Wechslera. On jak Midas zamienia wszystko w złoto. — Zatoczył krąg obiema rękami, żeby przedstawić sukcesy Mela.

Gabby się uśmiechnęła.

— Zdumiewające, prawda? Wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego wybrał mnie.

— Dlatego, że jesteś dobra szczerze powiedział Bill z serdecznym uśmiechem.

— Ty także. — Uczciwie wymienili te pochwały, rzeczywiście oboje byli dobrzy. Pilnie pracowali i mieli warsztat. Mei dobrał obsadę trafnie, jak oboje wiedzieli przynajmniej w odniesieniu do siebie nawzajem. — Sabina jeszcze teraz okropnie mnie przeraża. Jane wszystko tak ułatwia, a Sabina wprost zieję napięciem. Mówiąc to Gabby wyglądała bardzo młodo, podpierając głowę nad talerzem, gdy siedzieli przy kuchennym stole.

— Ona uwielbia robić z siebie gwiazdę.

— Czasami jestem ciekawa, co w niej jest.

— Niewiele! Brylanty, norki, konto bankowe Mela. Zwykle wewnątrz.

Gabby parsknęła śmiechem i zaraz spoważniała.

— Myślę, że w niej jest o wiele więcej, niż wiemy. Jest tylko bardzo zamknięta.

— Tak jak ty?

Był zaintrygowany Gabby, ale też jej zazdrościł. Nieraz wydawało mu się niesprawiedliwe, że niektórzy ludzie mają tak dużo, gdy inni nie mają nic. Ale Gabby przynajmniej nie pokazywała swojego bogactwa. Wyobrażał sobie, że ona ma kamerdynera, pokojówkę, dywany z norek, a tymczasem wcale nie jest taka. Jest pełna prostoty, bezpośrednia i szczerą... i serdeczną... Wyczuwał w Gabby mnóstwo cech, jakich za nic nie przyznałby jej

przedtem, i nie wiedział, jak je wszystkie zestawić. Dziwna dziewczyna, inteligentna i dumna, szalenie lojalna, niezawodna w przyjaźni. Broniąc Zacka i Jane mogłaby zabić, a wobec osób z zewnątrz występuje nawet w obronie Sabiny. Dla niej „Manhattan” jest jak rodzina, jeszcze bliższa niż jej własna. A on należy do tej rodziny, chociaż był takim gburem. Oboje wiedzieli, że Bill jak najbardziej należy do rodziny „Manhattanu”.

— Jestem dokładnie tym, czym się wydaję. Gabby Smith, aktorka. Ciężko pracuję, gotuję parszywie i naprawdę nie moja wiiia, kim jest mój dziadek. Już prawie przestałam poczuwać się do tej winy. — Praca w serialu „Manhattan” dobrze zrobiła Gabrielle. I nawet dokuczliwość Billa przydała jej dojrzałości, chociaż nie bez trudu. — Jakoś to nie jest ważne.

— Chyba masz rację.

— Nie cierpiałam tego, kiedy byłam mała. Zawsze ktoś mnie tym dręczył.

— Naprawdę? — Przynajmniej część tego, co sobie wyobrażał, okazuje się prawdą.

Ale Gabby parsknęła śmiechem, popychając go za drzwi.

— Oczywiście, że nie, ty głupku. Ja tu jestem kucharką i pokojówką... i szoferem. Hej! — zawołała, gdy już wsiadł do samochodu. — Nie zapomnij rano podjechać tu po mnie! Za piętnaście siódma.

— Podjadę. Dobranoc.

Pomachała mu ręką, gdy odjeżdżał, weszła powoli do mieszkania i zamknęła drzwi.

Natychmiast Bill poczuł się winny.

— Nie mów tak. Znow czuję się bydlakiem.

— Byłeś taki. — Najwyraźniej jednak nie miała do niego pretensji.

— Ale to przeżyłam. I ty przeżyjesz to, co teraz przechodzisz, i potem będzie ci lepiej dzięki temu.

Silna dziewczyna, ta siła w niej mu się podobała. Słuchając jej pojął, że ona nie ma w sobie nic z Sandy. Sandy była słaba i niepoohamowana.

Nic z tego nie widać w Gabby.

Spojrzał na zegarek i zobaczył, że jest już po północy.

— Muszę iść. — Oboje musieli wstać o świcie. — Chcesz robić ze mną próby w sobotę i niedzielę?

Przytaknęła w zamyśleniu. Już dawno zrezygnowała z prób z Billem, le podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się.

— Dobrze... myślę, że to mi się przyda.

— Pomóc ci tu posprzątać?

— Oczywiście, że nie. Pokojówka sprzątnie jutro rano.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Zabrał ją rano, spóźniony o pięć minut i wyraźnie zaspany. Wsiadając do samochodu też ziewała. Późno się położyła spać, bo sprzątała po kolacji i czytała swoje kwestie na następny dzień. Zawsze była dobrze przygotowana i to również Bill w niej podziwiał. W ciągu dziesięciu lat w zawodzie pracował z wieloma aktorkami, które nie przygotowywały się w domu. Skomentował to, gdy jechali do wytwórni, i uśmiechnęła się zadowolona z pochwały. Nie do wiary jak ten Bill się zmienił, odkąd go aresztowano i odkąd — to smutne — Sandy nie żyje. I chociaż jest zdruzgotany tą tragedią i tym szkaradnym przeżyciem, to jednak, o dziwo, wydaje się już wolny. Nie powiedziała mu tego. Dojechali na miejsce i rozeszli się, każde w swoją stronę. Musieli się przebrać, pójść do



charakteryzacji i ona jeszcze o wpół do ósmej do fryzjera. Powinna być uczesana do góry z francuskim koczkiem z loków.

Wyglądała zupełnie inaczej, gdy spotkała się z nim później na planie — w czerwonym kostiumie, brylantowych kolczykach i w pantoflach na wysokich obcasach.

— Panna Thornton-Smith? — uklonił jej się nisko.

Zrobiła do niego minę.

— Idź do diabła. Jestem Tamara Martin.

— Przepraszam, wygiąda pani jak... — Ale teraz było to życzliwe przekomarzanie i razem dwukrotnie powtórzyli swoje kwestie, podczas gdy dublerzy wyznaczali im linie.

W pół godziny później ustawiono światła i zaczął się dzień pracy. Zabrział dzwonek, asystent reżysera zawołał:

— Cisza, proszę!... Cisza... Kamery... światła... akcja!

Swojski refren. Sceny przebiegały gładko w ten poranek.

W czasie przerwy obiadowej Bill miał w swojej przyczepie spotkanie z adwokatami, a Gabby jadła obiad z Zackiem i Jane. Rzewnie uśmiechała się patrząc na nich, takich dla siebie serdecznych i tkliwych.

— Sprawiacie, że czuję się samotna.

— No, no. — Zack uściskał ją jedną ręką, drugą nalał sobie następną coca-colę. — Kiedy osiągniesz nasz sędziwy wiek, będziesz mężatką z dziesięciorgiem dzieci.

— Mało prawdopodobne.

— Co? Czy mogę się przyłączyć? — To przyszedł Bill, zmęczony i trochę przygnębiony, ale szukał jej i ktoś mu powiedział, że chyba jest tutaj, w garderobie Jane.

— Jak poszło? — Trzymając kanapkę, Gabby spojrzała na niego niespokojnie.

— Myślę, że dobrze. Wzięli się do rzeczy, aż mi się wydaje, że jestem Jessem Jamesem. — Ale to nie było zabawne ani dla niego, ani dla nikogo z nich. Stawki zbyt wysokie i wszystko razem tragiczne.

— Mam nadzieję, że wiedzą, co robią.

— Ja też — szepnęła Gabby, co zauważyła Jane.

Jane również zauważyła, że Bill się zmienił, i powiedziała o tym Zackowi, który uznał, że Bill ze strachu szuka w nich wszystkich oparcia. Oby tylko przyniosło to coś dobrego, a nie dalsze nieszczęścia.

— Kto gra teraz? — zapytał Bill.

— Sabina, Zack i siedmiu statystów — poinformowała Jane. — Ja już na dziś skończyłam, ale jeszcze tu zostanę. — Chciała czekać na Zacka. Gabby się domyśliła, ale tego nie powiedziała.

Amy?

— Ty i Gabby następni, z „adwokatami” Sabiny.

— To powinna być dobrze mi znana scena.

Wszyscy się śmiali i ostatnie wolne chwile przeleciały zbyt szybko. Zack musiał pójść do głównej garderobianej po następny garnitur, Gabby została parę minut z Jane, gdy Bill jadł dodatkową kanapkę. Był zgłodniały po pełnej napięcia rozmowie. Zjadł i odprowadził Gabby do jej garderoby, a Jane się zastanawiała, co zaszło między nimi.

— Gab, pojedziemy gdzieś wieczorem na pizzę? — Spojrzał na nią w drzwiach.

— Nie masz dosyć oglądania mnie przez cały dzień tutaj, a potem jeszcze przy kolacji?

— Nie świruj. Zabiorę cię do mojego ulubionego baru.

— Muszę się wystroić?

Parsknął śmiechem.

— Niezupełnie. Grasz w kule?

Zrobiła minę.

— W b i l a r d. Niestety nie. Ale nie mów nikomu.

— Nie martw się. Ja cię nauczę.

Zabrał ją do Baru Mike'a po pracy i jedli tam hamburgery, grali w bilard i przedstawił jej Adama.

— Moja koleżanka, gwiazda, Gabby Smith — powiedział.

Tym razem nie było mowy o Thorntonach ani żadnego dokuczania, a Adam patrzył na nią z nie ukrywanym podziwem. Kilku mężczyzn tak samo, co uświadomiło Billowi, jaka jest ładna. Zerknął na nią, odwożąc ją do domu, i wreszcie zadał pytanie, które go męczyło przez cały dzień.

— Czy wkradłem się w czas kogoś innego?

— Hmm? — Nie zrozumiała. — Co?

— To znaczy, czy spotykasz się z kimś?

— Ach! — Potrząsnęła głową. — Na razie nie. — Nie miała żadnych randek, odkąd zaczęła pracować w „Manhattanie”. Brakowało jej czasu, a poza tym od dawna nikt jej nie interesował.

— Zastanawiałem się nad tym. Taka ładna dziewczyna jak ty i bez przydziału? — To zabrzmiało jak wyświechtany frazes, ale był rzeczywiście ciekaw.

— Nie wiem., może zbyt ciężko pracuję. Może jestem zrażona tym, że ludzie wiedzą, kim jestem. Niewiele o tym myślę. Po prostu nie mam czasu.

— Słaba wymówka. Ile ty masz lat, Gabby?

— Dwadzieścia pięć. — Jej urodziny minęły, gdy pracowali w Nowym Jorku. Spędziła je spokojnie z rodzicami. — A ty?

— Trzydzieści trzy.

— Myślałam, że jesteś młodszy.

Roześmiał się.

— Czy to komplement czy obraza?

— Może jedno i drugie. — Też się roześmiała i odprężyła w czasie jazdy do domu. —

Rzeczywiście na ekranie wyglądasz młodziej.

— Po procesie już nie będę.

— Przestań się tym martwić.

— Ty byś się nie martwiła?

— Owszem, martwiłabym się. Ale po prostu wiem, że to się skończy dobrze.

— Nawet jeżeli tak — znów posmutniał myśląc o tym. — Przecież nie wrócę do „Manhattanu”.

— Tego jeszcze nie wiesz, Bill.

— Ja tylko myślę, że Wechsler już się nie nabierze. Narobiłem mu kłopotów za wszystkie czasy i potrafię na to popatrzeć z jego punktu widzenia.

— Mei to przyzwoity człowiek, nie zwolni ciebie, jeżeli nie uzna, że musi.

— Ja na jego miejscu bym mnie zwolnił.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Chwała Bogu, nie jesteś na jego miejscu.

Odpowiedział jej uśmiechem, przypominając sobie, jakim był głupcem, i dziwiąc się, że mógł być tak długo ślepy, ale żył opętany myślą o Sandy. Spróbował to jej wytłumaczyć nad kieliszkiem wina, gdy przyjechali do jej mieszkania. Zauważył tam nieskazitelny porządek, ani śladu kolacji z poprzedniego wieczoru. Zastanowił się, czy ona rzeczywiście ma służącą, tylko nie chce się do tego przyznać. Jednakże wydawała się zdumiewająco zręczna nalewając wino, podając jakieś przekąski, a potem wszystko sprzątajac. Zorganizowana, schludna, inteligentna.

— Wiesz, jesteś zdumiewająca, Gabrielle. — Nawet jej imię mu się podobało.

— Nie bądź niemądry. Dlaczego?

— Dlatego, że panujesz nad wszystkim, co robisz, i nad swoim życiem, nad swoją karierą, nawet nad mieszkaniem. Ja ledwie mogę znaleźć skarpetki do pary rano i dać psu jeść o właściwej porze.

— Jakiego masz psa? — Już ją zaciekawiał. Chciała wiedzieć o nim jak najwięcej.

— To bernardyn, wabi się Bernie. Patałach, ale kocham go. Mam piekielny kłopot ze znalezieniem mieszkania gdzieś, gdzie przyjmą nas obu. — Rzeczywiście zależało mu na przeprowadzeniu się jak najprędzej, co zrozumiałe po tym, co się stało. — Chcesz poszukać ze mną? Potem moglibyśmy próbować nasze sceny albo pojechać na kolację, albo i to, i to, albo...

Przerwała mu śmiechem. Był jak dzieciak, który znalazł nowego przyjaciela, a tym przyjacielem była ona. Wzruszające i pochlebiające zarazem.

— Bardzo chętnie. — Nie miała nic innego do roboty i dobrze czuła się w jego towarzystwie. Wychodząc pocałował ją z wahaniem, jak gdyby niepewny, co ona na to. Ale nie odsunęła się w drzwiach, napawała się tym pocałunkiem.

Dobranoc — szepnęła.

— Do jutra. Czy mogę znów cię zabrać rano? — Lekko czubkami palców dotknął jej twarzy.

— No pewnie. Ale ja ci się znudzę.

— Nie pleć. — Nagle doznał uczucia, że ona mu się nie znudzi jeszcze długo, bardzo długo, a może nigdy.

Gabrielle w łóżku tej nocy zwinięta w kłębek myślała o Billu i ciepło jej się robiło na myśl o nim. Tyle jego cech lubiła i był taki inny teraz, serdeczny, otwarty. Nazajutrz rano, gdy przyjechał po nią, na siedzeniu w samochodzie leżała różowa róża, sztampowa, przewiązana białą wstążką.

— Dla pani, mademoiselle. — Dał jej tę różę. Ucieszyła się. Miły początek dnia.

— Psujesz mnie, Bill. — Prawie bała się w to wszystko uwierzyć. A jeśli on znów się zmieni, zatrzaśnie przed nią i znów będzie tak, jak było? Co wtedy...?

— Zasługujesz na to. Zasługujesz na dużo, dużo więcej. Ale kwiaciarnie jeszcze zamknięte. Ta jest z ogródka mojego sąsiada.

— Dziękuję. — Uśmiechnęli się do siebie serdecznie i znów ją pocałował, zanim dojechali do wytwórni i wysiedli z samochodu.

— Dziękuję za starania, żeby mnie uratować, chociaż takie wariackie.

Zrobiła minę.

— Oj, zamknij się.

Nadal był zdumiony, że chciała go osłonić. Dosyć to niebywałe. Skąd mogła wiedzieć, że nie zabił Sandy?

Na planie tego dnia panował gorączkowy nastrój. Przyszli goście, co zawsze wszystkich z początku denerwowało, ale to byli jacyś znajomi Mela i należało się z tym szybko pogodzić, tymczasem oświeceniowcy dziwnie jakoś się guzdrali i w czasie jednej z dużych scen przeleciał nisko samolot. Musieli kręcić całą tę scenę na nowo, bo warkot samolotu zakłócił nagranie dźwiękowe. Po pracy Gabby zmęczona ziewała, gdy Bill odwoził ją do domu.

— Ofiarowałabym się ugotować coś na kolację, wątpię jednak, czy przy garnkach nie zasnę.

— W porządku. I tak powinienem wrócić do Berniego. Rano nic dla niego nie miałem, biedne psisko na pewno kona z głodu.

— Musisz kiedyś mnie z nim poznać.

Uśmiechnął się. Już wysiadała przed swoim mieszkaniem.

— Umowa stoi. Hej... zapomniałaś coś zabrać.

— Co? — Zajrzała do samochodu, a on ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował ją.

— Będzie mi ciebie dziś brak.

— Mnie ciebie też.

To dziwne, dwadzieścia pięć lat Gabby przeżyła bez Billa, a teraz

jeden wieczór bez niego wydawał jej się pusty. Nagle oboje mieli w życiu nowy doping. Bill zadzwonił do Gabby, gdy tylko nakarmił psa. Nienawidził teraz swego domu, wydawało mu się, że to dom, w którym straszy. Miał nadzieję, że jeszcze przed końcem tygodnia znajdzie jakieś mieszkanie.

— Przyjadę po ciebie jutro — obiecał, zanim położył słuchawkę, a Gabby odpowiedziała z wahaniem:

— Nie myślisz, że ludzie zaczną mówić?

— A kogo to obchodzi? Każdy jest dostatecznie zajęty swoimi sprawami.

— Chyba masz rację.

Była zdumiona, że tak bardzo jej się spieszy do jutrzejszego spotkania. Zupełnie jakby znów miała czternaście lat i czekała przez całą noc na to, że zobaczy rankiem swego najmilszego w szkole, swoją najnowszą sympatię... Ale Bill to coś więcej. Bill jest atrakcyjny i zabawny, i chwilami poważny. I mają takie same zainteresowania. Bo Bill też lubi chodzić po górach, lubi surfing, i żeglowanie, lubi jeździć na nartach. Nie jeździła na nartach już od roku. Nie pozwalała jej na to praca w serialu, a w kontrakcie zastrzeżono, że nie ma urlopów aż do letniej przerwy.

Nazajutrz przed pracą zrobili jeszcze próbę w jej garderobie i oboje nie mogli się nadziwić, że tak dobrze tego dnia idą im wszystkie sceny. Wystarczyły trzy ujęcia, nawet reżyser był zadowolony. Chwalił ich oboje, gdy przyszli na obiad, a Sabina darzyła ich najpiękniejszymi kocimi spojrzzeniami.

— Co wy robicie po godzinach, dzieci? Ciągłe próby?

Gabby się zarumieniła, Bill wytrzymał wzrok Sabiny. Czasami Sabina irytowała go piekielnie, zwłaszcza wtedy, gdy czepiała się Gabby, co nadal czyniła dosyć często. Bo Gabby nadal była tą pierwszą naiwną i w takim wieku, że mogłaby być jej córką. Bill podejrzewał, że właśnie to Sabinę drażni.

— Rzeczywiście tak.

— Oj, oj... czasem najlepsze romanse zaczynają się odrobiną nienawiści. A wy z pewnością mieliście jej dla siebie sporo. Całujecie się i to naprawiacie, dzieciaczki?

— Och, Sabino, daj spokój. — Bill objął Gabby ramieniem i poprowadził do garderoby. — Chwilami Sabina zalewa mi sadła za skórę — mruknął, gdy zdejmowała płaszcz, w którym była na planie.

— Ona tylko musi od czasu do czasu przewietrzyć swoje szpony.

— Byleby ich nie ostrzyła na moim czy twoim tyłku... — utyskując nalał sobie wodę sodową, po czym znów odwrócił się do niej. Wyglądała ślicznie. W kosztownym modelu François Braca było jej doskonale, ale gdy jej to powiedział, wruszyła ramionami.

— Za bardzo mi te ciuchy przypominają mamę.

— To wcale nie jest źle, jeżeli twoja mama wygiąda w nich tak jak ty, księżniczko. — Teraz jednak słowo „księżniczko” zostało powiedziane dobrotliwie, nie jadowicie.

Gabby usiadła w wygodnym fotelu i westchnęła. Była zmęczona. Pracowali ciężko w tym tygodniu. Cieszyła się, że już piątek.

Nazajutrz rano przyjechał po nią i obejrzeliby cztery mieszkania oraz jeden dom w mieście, niezbyt zachwycający, ale przynajmniej stanowiący dla niego jakąś odmianę. Dom był do wynajęcia za czynsz płatny co miesiąc i nie wysuwano zastrzeżeń co do psa, więc ostatecznie wybrali ten dom.

— Chyba dobry. — Bill wruszył ramionami, gdy wstąpili do Baru Mike’a na hamburgery przed próbą swoich scen w mieszkaniu Gabby.

— Ale wciąż nie wiem, czy za trzy miesiące będę tutaj. Trochę trudno teraz planować.

Czekał go proces i zawsze istniała możliwość, że znajdzie się w więzieniu. To go otrzeźwiało, ilekroć o tym myślał. W istocie

przerażało go. Kazało mu się zastanawiać, czy roztropnie jest wiązać się z Gabby. Nie ma przecież prawa jej krzywdzić. Powiedział coś w tym duchu po kolacji.

— Jestem dużą dziewczynką, Bill. Potrafię dbać o siebie. Wiem, co cię czeka. Ale też wiem, że tego nie zrobiłeś. Zawsze w to wierzyłam, od pierwszej chwili, w której się dowiedziałam. Piekielne votum zaufania z ust osoby, dla której przez bite sześć miesięcy był taki paskudny.

— Twoja wiara we mnie mnóstwo znaczy.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Powiedziałaś ci... zasługujesz.

Gawędzili jeszcze trochę, a potem pojechali do niej na próbę. Przyniosła scenariusze i przećwiczyli dwie sceny, ale nie mogła się skupić i raz po raz się myliła.

— Przepraszam cię, Bill... to chyba ze zmęczenia.

— No — pociągnął ją, żeby usiadła przy nim na kanapie. — Jesteś taka dzielna...

— Dlaczego to mówisz?

— Nie wiem, masz taki sposób brania świata za łeb... Gabrielle, ogromnie cię podziwiam. — Pocałował ją, oboje zapomnieli o scenariuszach. Całował ją długo i mocno, aż musiała zaczerpnąć tchu, gdy w końcu się od niego odsunęła.

— Czy to jest w następnej scenie? — zapytała przekornie.

— Musimy poprosić, żeby dopisali — szepnął. — Myślę, że to naprawdę dobrze wychodzi.

— Ja też...

Znów ją całował i nagle leżała w jego objęciach, ręce jej błądziły pod jego koszulą, a on ją głaskał po obcisłych dzinsach. Dzinsy były stare i miękkie, więc wyczuwał pod nimi jej młodą jędrność. Czuł rosnące pożądanie.

— Pragnę cię... tak bardzo... ale nie chcę ci zapaskudzić życia...

— Tym się nie martw. — Nigdy dotąd Gabrielle nie spotkała mężczyzny, który by jej się tak podobał, chociaż niewiele czasu z nim spędziła. Ale stanowczo wolała nie myśleć o przyszłości. Niech przyszłość sama się martwi o siebie. — Kocham cię...

Nie zamierzała tego powiedzieć, wyrwało jej się to z ust bezwiednie. Bill patrzył zaskoczony na nią leżącą na nim, niedużą, tak lekką, że on, o wiele większy, prawie nie czuł jej ciężaru.

— Ja też cię kocham. Gabrielle... to wariactwo. Chcę kochać cię dostatecznie, żeby odejść z twojego życia i zaoszczędzić ci mnóstwo cierpienia, ale chyba się na to nie zdobędę.

Teraz ona całowała go tak namiętnie, że zapomniał o swoich skrupułach, przeniósł ją do drugiego pokoju i położył na łóżku. Ściągnął z niej dzinsy, delikatnie rozpiął guziki koszuli tak, jakby rozbierał dziecko, a potem patrzyła, jak z jego ubrania wylania się wspaniałe męskie ciało. A potem zapomnieli o wszystkim z wyjątkiem swojej miłości, która wyrosła z popiołów jej urazy, jego cierpienia i rozczarowań. Mieli sporo do ofiarowania sobie nawzajem i Bill leżąc później na łóżku Gabby, czuł się szczęśliwy jak nigdy.

— Gdzie byłaś przez całe moje życie, dziewczyneczko? — szepnął, gdy Gabby, wtulona w jego objęcia, zasnęła. I uśmiechnął się, patrząc na nią, głaszcząc ją po długich, jedwabistych czarnych włosach, które dawniej przypominały mu inną, ale teraz już nie. Teraz kochał Gabby, ją jedną jedyną.

## ROZDZIAŁ XXIX

— Myślisz, że to romans? — zapytał Zack jedząc śniadanie z Jane któregoś dnia rano.

— Bill i Gabrielle? — Jane uśmiechnęła się do niego. — Myślę, że to możliwe. Nie jestem pewna, czy Bill chce się wiązać z dziewczyną właśnie teraz. Bardzo się denerwuje tym procesem, rzecz zrozumiała. Ale też myślę, że to mogłoby być silniejsze od nich obojga. Wiesz, dziwne, nawet wtedy gdy jej robił takie przykrości, zawsze uważałam, że idealnie do siebie pasują.

Zack pochylił się, pocałował Jane.

— To właśnie kocham w tobie. Tę intuicję.

Jedli śniadanie nadz nad jego basenem. Dziewczynki pojechały na weekend do ojca, a oni zamierzali wypoczywać i kupować antyki do jej nowego domu, ale jakoś jej na urządzaniu go nie zależało. Przeważnie spędzała czas u niego, szczególnie gdy dziewczynki były u ojca.

Dziwna wydawała jej się teraz nawet myśl o Jacku. Jack stał się człowiekiem zupełnie obcym. Po rozwodzie widziała się z nim tylko raz. Zawzięty, antypatyczny, trochę pomyłony.

— Wiesz, tak sobie myślę... Co chcesz robić w czasie letniej przerwy?

— Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Alyssa jedzie na obóz, Jason i Alex jadą do pracy.

Jason będzie pracował na jakiejś farmie

w Montanie, a Alex na tym obozie, na który jedzie Alyssa.

— Może byś w tym roku i ty wyjechała na obóz? Ze mną.

— Uśmiechnął się do niej radośnie. Nigdy dotąd życie nie układało mu się lepiej niż teraz z nią. Przeszłość wydawała się jakimś dawnym snem.

— Na dwa miesiące do Europy?

Jane wpadła w zachwyt. Nigdy nie była w Europie.

— Auu!

— Południe Francji, parę tygodni we Włoszech, Austria... Może nawet festiwal muzyczny w Salzburgu. Co powiesz, najdroższa?

— Pochylił się nad nią i pocałował ją w kark, promienną. Nie było żadnej wzmianki o jego wcześniejszych wycieczkach do Grecji z homoseksualnymi przyjaciółmi. Tamto wszystko należało do zamierzchłej przeszłości. Skończyło się.

— To brzmi bajecznie.

— Zacznę załatwiać rezerwacje. Może Irlandia? Moglibyśmy wynająć samochód i pojeździć... i Szwajcaria! — Był tak samo podniecony jak ona. — I Hiszpania!

Śmiała się z radości. Ożywni, sporządzili listę. Ten rok okazywał się najszcześniejszym rokiem w jej życiu, i w jego życiu także.

— Wiesz, przyjemnie mi mieć czterdzieści lat — zadumała się z uśmiechem satysfakcji. — To jest nawet wspaniałe.

— Bo tak ma być. — Był zadowolony. Właśnie zamówił dla niej u François Braca futro z norek i zamierzał jej dać, gdy tylko wrócą. Ale podróż do Europy im obojgu wydawała się cudowna. — Zaczekaj, aż będziesz w moim wieku!

— Skoro już mowa o wieku... Sabina jest ostatnio w okropnym nastroju.

— Po prostu zmęczona. Wszyscy są gotowi już wypocząć.

Jeszcze tylko sześć tygodni! Zack miał rację. W tenże poranek Sabina, leżąc nad basenem Mela, pomyślała, że nigdy dotąd nie była tak bardzo zmęczona. I o dziwo, Mel i Sabina też rozmawiali o letniej przerwie. Ona miała na trzy tygodnie polecieć do Paryża, żeby popracować z François Brakiem nad kreacjami na następny sezon, ale potem już miała być wolna i Mel zaproponował, że spotkają się w Europie.

— Nie możesz ze mną tym razem być w Paryżu? — Nadała się jak rozczarowane dziecko. Ucałował czubki jej palców, potem czubek nosa i usta.

— Żałuję, ale nie, kochanie. Wiesz, jak to jest przed emisją. Mam tutaj mnóstwo roboty. Ale przyjadę, kiedy tylko będę mógł. Co byś powiedziała na dwa tygodnie w Cannes? — Zawsze lubił zatrzymywać się w hotelu Carlton.

— Ale co ja będę robić w Paryżu sama? — wydymała wargi markotnie.

— Mam nadzieję, że będziesz za mną rozpaczliwie tęskniła.

Ich romans trwał przez cały czas pracy w serialu i odpowiadali sobie znakomicie. Sabina nadal robiła przeważnie to, co chciała, Mel dawał jej swobodę. Kilka razy sama wyjechała na weekend i nigdy nie zapytał jej dokąd. Trochę go to trapiło, ale wiedział, że taka już jest. I nie żądał, żeby dla niego była inna. Nie spodziewał się tego od niej. Przyjmował ją taką, jaka była, bo odpowiadała mu pod każdym względem, z wyjątkiem swoich humorów od czasu do czasu. Ale Zack miał rację — Sabina była po prostu zmęczona. Wszyscy byli zmęczeni, Mel również. Ogromną pracą jest wyprodukowanie serialu na skalę „Manhattanu”. Teraz Mel opracowywał reklamę na jesień. Planował wielką galę połączoną z oglądaniem premierowego odcinka w obecności prasy i późniejszą zabawą. Martwił się jednak, że Warwick może pójdzie do więzienia.

— Myślę, że on sypia z Gabrielle — powiedziała Sabina bez ogródek.

— Może to mu dobrze robi — uśmiechnął się do niej. — Może są zakochani.

Sabina uśmiechnęła się. Lubiła romantyczność Mela. Nie skąpił jej tej romantyczności i była ostatnio szczęśliwa. Oboje byli ze sobą szczęśliwi.

— Więc opowiedz mi o naszej podróży.

— Chcesz Cannes? I tydzień w Wenecji?

— Bosko. — Zielonym okiem zerknęła na niego spod kapelusza nasuniętego na twarz. — Pan jest dla mnie bardzo dobry, panie Wechsler.

— Czyżby? — Sięgnął pod gazetę i wyciągnął pudełeczko w opakowaniu z nadrukiem Bułgari.

— Co to jest? — Zielone oko patrzyło zaintrygowane.

Mel dał jej pudełeczko.

— Chyba gazeciarz zostawił to dla pani, panno Quarles. Lepiej niech pani sprawdzi, co to. Jednym ruchem odrzuciła kapelusz i zaczęła rozpakowywać. Mei wciąż jeszcze wzruszał ją nieustannymi prezentami. Tym razem był to świetny pierścionek ze szmaragdem.

Uśmiechnęła się całym sercem, wkładając go na nieskazitelnie wymanikiowany palec.

Dbiała o siebie, o swoją formę. Była gwiazdą i nigdy o tym nie zapominała, a już szczególnie teraz. On też o tym nie zapomniał.

— Jest piękny, Mei.

— Skojarzył mi się z twoimi oczami.

Podziękowała mu długim pocałunkiem i powoli weszli do domu, ona w białym bikini i z tym wspaniałym szmaragdem na palcu, on w płaszczu kąpielowym. Dużo czasu minęło, zanim wyszli z powrotem nad basen. Wyszli uśmiechnięci.

## ROZDZIAŁ XXX

Ostatniego dnia zdjęć wszyscy byli zdenerwowani patrząc na finałową scenę. Tej sceny nikt nie chciał widzieć, ale też nikt nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie patrzeć. Dopisana przez Mela dodatkowa scena, w której Bill zostaje zastrzelony..., na wypadek, gdyby miał nie wrócić do pracy w serialu. Dochodzi pomiędzy nim i Gabrielle do konfrontacji, w wyniku czego przyjaciółka Tamary Martin go zabija. Na samym końcu Sabina dostaje wiadomość, że jej syn nie żyje. Mocna scena i wszyscy stali zupełnie cicho. A Bill był ponury, podnosząc się z podłogi, gdy zabrzmiało:

— Do wywołania!

I wszyscy dalej milczeli pełni zbożnego lęku wobec implikacji. Bill rozejrzał się ze smutkiem, jak gdyby żegnał się z nimi. Łzy na policzkach Gabby były prawdziwe i nawet Sabina raz wyjątkowo była cicho. Zack dotknął ramienia odchodzącego Billa.

— Tej sceny nie trzeba będzie wykorzystać, Bill. Nie martw się.

Oczy miał dobrotliwe i Bill chciał mu podziękować, ale nie mógł wykrztusić słowa. Obsada stłoczyła się wokół niego, Gabby bez skrępowania zarzuciła mu ręce na szyję i płakała. To był ciężki dzień dla wszystkich. Ostatni dzień pierwszego sezonu serialu „Manhattan”.

Przerwa letnia miała trwać prawie dwa miesiące. Mei zamówił wspaniały obiad dla obsady i personelu i wszyscy razem zaczęli się odprężać, mówić o swoich planach na lato.

Gabrielle wytarła nos, Jane objęła ją ramieniem.

— Uspokój się. Już skończone.

Ta scena owszem, ale zdawali sobie sprawę, że nie skończyły się kłopoty Billa. Proces za dziesięć dni. Bill myślał o tym ze zgrozą i Gabby również się bała. Odłożyła planowany wyjazd, zdecydowała się zostać z Billem. Nazajutrz mieli pojechać nad jezioro Tahoe i po dwóch dniach wrócić, bo musiał przez ostatni tydzień przed procesem rozmawiać ze swoimi adwokatami.

Jane i Zack wyjeżdżali w przyszłym tygodniu do Rzymu, stamtąd mieli jechać do Wenecji, a potem na miesiąc na francuską Riwierę, na parę dni do Paryża i już w drodze powrotnej na tydzień do Londynu. Jane wprost nie mogła się doczekać tych wakacji. Sabina wybierała się do Paryża na narady z François Brakiem. I wszyscy z personelu mówili podnieceni o tym, co planują, o Europie, o Wielkim Kanionie, kilku wybierało się w swoje rodzinne strony, niektórzy na wschód, inni chcieli zostać w Los Angeles i po prostu nic nie robić, dopóki nie zaczną się zdjęcia w sierpniu.

— Zupełnie jak ostatniego dnia w szkole — powiedziała Gabby.

Bill uśmiechnął się do niej. Taka młoda, taka miła i okazuje mu tyle dobroci. Był jej głęboko wdzięczny, innym też. Gdy schodzili z planu, każdy miał dla niego dobre słowo, klepnął go po ramieniu, uściśnął mu rękę, dodał otuchy, życząc jak najlepiej. Rzeczywiście byli teraz rodziną. I Mei też nieprzypadkowo podszedł do niego.

— Będę w mieście, jeżeli twoi adwokaci zechcą mnie na świadka obrony. — Już to mówił adwokatom, ale chciał, żeby Bill o tym wiedział. — My wszyscy jesteśmy po twojej stronie, Bill.

Bill jednak nadal wątpił, czy zachowa tę pracę. Inni już dostali kontrakty na następny sezon do podpisania. Tylko nie on. Ale nie mógł martwić się tym teraz. Chodziło o życie, martwił się procesem. Trudno uwierzyć, że już prawie czas zmierzyć się z tą fatalną sytuacją. Raz czy dwa myślał o zatelefonowaniu do rodziców. Przypuszczał, że mają wiadomości o nim, ale nie skontaktowali się z nim i właściwie on też nie chciał z nimi rozmawiać.

— Wyjeżdżasz gdzieś? — zapytał Zack Gabrielle, gdy jedli w studiu pączki z siekanymi jarzynami i kluski w potrawce dostarczone z chińskiej restauracji. Były także pizze z restauracji włoskiej.

— Na razie nie.

Zack zrozumiał dlaczego i z powagą przytaknął, a potem spoj rzał na Jane. Oboje cieszyli się swoją rychłą podróżą. Weekend mieli spędzić z dziewczynkami i wyjechać w poniedziałek zaraz po ich wyjeździe na obóz.

— Podamy ci naszą trasę, żebyś mógł do nas zadzwonić... już po sprawie. — Bo Bill podszedł i objął Gabby ramieniem. Odpowiedział Zackowi w imieniu swoim i jej:

— Zadzwonimy, Zack... — I dodał: — Mam nadzieję, że w przyszłym sezonie zobaczę was..., wszystkich.

Zabrał ze swojej garderoby rzeczy. Nie było powodu myśleć, że ostatecznie wróci. Gabby pomogła mu przenieść do samochodu torby i walizkę, i dwie doniczki z roślinami, które mu



dała. Przygnęła go ta wyprowadzka, ale uważał, że nie ma sensu zostawiać rzeczy, żeby ktoś inny je później wywoził.

— W sierpniu będziesz musiał to wszystko z powrotem tu taszczyć. — Gabby próbowała podnieść go na duchu.

Uśmiechnął się.

— Mam piekielną nadzieję. — Ale nie wydawał się tego pewien i gdy już uściskali i ucałowali wszystkich i popłakali jeszcze trochę, oboje milczeli, w końcu wyjeżdżając z terenu wytwórni.

To był raczej wyjazd z domu rodzinnego niż z miejsca pracy na urlop. Serial dla wszystkich znaczył już wiele i bardzo byli ciekawi dalszego ciągu fabuły w następnym sezonie. Mei wygłosił małe przemówienie, życzył wszystkim przyjemnych wakacji i dał do zrozumienia, że ma dla nich w zanadrzu wielkie niespodzianki.

— Oby tylko nie katastrofa, w której znowu zginę, jako niespodzianka dla mnie — szepnęła Jane. Przeszła to już w „Smutkach”

i bała się, że to się znowu powtórzy. Pokochała serial „Manhattan” i ludzi, z którymi pracowała.

— To wykluczone. — Zack uważał, że Jane jest o wiele lepszą aktorką niż Sabina.

— Gotów do wyjazdu w góry? — zapytała Gabby, gdy Bill wiozł ją do domu. — Ja jestem spakowana.

— Prawie gotów. — Bill uśmiechnął się do niej. Smutne rozstanie z serialem przysnuło się lekką mgłą. Już nie mógł się doczekać paru spokojnych dni z Gabby sam na sam w górach. Długo debatowali,

dokąd pojechać: Yosemite czy jezioro Tahoe, czy gdzie indziej. Ostatecznie zdecydowali się wynająć domek w motelu nad jeziorem. Bill chciał tylko łowić ryby, leżeć w blasku słońca i być z Gabby. Oboje potrzebowali wypoczynku zwłaszcza wobec tego, co mieli przed sobą. Nie sposób było przewidzieć, jaki obrót przyjmie sprawa, i adwokaci, jakkolwiek optymistyczni, nie mogli Billowi niczego obiecać.

— Chcesz nocować dziś u mnie, Gabby?

— Bardzo.

Zabrała torby i ekwipunek już przygotowane w sieni jej mieszkania. Miała wędkę i odpowiednie buty, śpiwór na wypadek, gdyby chcieli spać pod gołym niebem. Dalekie to było od kompletu sześciu walizek z firmy Louis Vuitton, z którymi Sabina leciała do Paryża. Bill uśmiechnął się, pomagając Gabby przenieść ten bagaż do samochodu.

— Z pewnością pani jest należycie wyekwipowana, panno Smith. Czy wszystkie wytworne panny na wydaniu mają takie buty?

— Zawsze. Szczególnie kiedy tańczą kotyliona. — Wyszczrzyła do niego zęby. Szalenie lubiła plener i cieszyła się, że on też lubi. Kiedyś, gdy była w Yale, wyruszyła na trzytygodniową wólcę po stanie Wyoming i wspominała to jako największą atrakcję swoich czterech lat studiów. Opowiedziała Billowi, jak ich przewodnik ubił wtedy niedźwiedzia. Bill śmiał się.

— Po mnie tego się nie spodziewaj, mała. Ja bym uciekł gdzie pieprz rośnie, z tobą pod jedną pachą i własnym tyłkiem pod drugą.

Parsknęła śmiechem.

— Miałam taką uciechę! — Była także nad wodospadem rzeki Colorado przed dwoma laty i strasznie chciała pojechać kiedyś do Brazylii nad Amazonkę.

— Ale powinnaś nie chcieć niczego bardziej podniecającego niż obiad w Polo Lounge i otwarte konto u Giorgia — przekomarzał się z nią uradowany, że ona tego jednak nie chce. Stąpa po ziemi i nawet nie lubi wszelkich schlebających próżności atrybutów swojej kariery. Bardziej podnieca ją wyjazd z nim nad jezioro Tahoe niż najelegantsze przyjęcie w Hollywood.

Wieczorem Gabby pomogła Billowi zapakować jego sprzęt i nazajutrz o piątej rano wyruszyli w dwunastogodzinną podróż samochodem na północ. Zatrzymali się po drodze, żeby szybko zjeść obiad,

i wjechali w czyste górskie powietrze nad jeziorem o wpół do piątej po południu. Gabby wyglądała jak podniecona mała dziewczynka podnosząc ręce wysoko, uśmiechając się od ucha do ucha. Domek był piękny, mieli wannę z gorącą wodą i ogródek przy domku tylko dla siebie.

Popływali w jeziorze i pojechali na befsztyki do restauracji w Truckee, którą Bill znał, a później zrobili długi spacer w górskim powietrzu, zanim położyli się spać. Cóż za sielanka dla nich obojga i ulga po denerwującym zejściu z planu serialu.

— Nigdy nie byłam szczęśliwsza — szepnęła Gabby, wracając z Billem ze spaceru w spokoju i ciszy.

Ale Bill milczał, do głębi trapiła go myśl o procesie. Nic teraz nie wydawało mu się rzeczywiste, wszystko, czego dotykał, było skażone groźbą — co po procesie stanie się z jego życiem? Już za kilka dni... za dwa tygodnie może będzie w więzieniu zamknięty na długie lata... Otrzeźwiająca myśl.

Wziął Gabby za rękę i wrócili do swego letniskowego domku. Gabby chciała, żeby o tym wszystkim zapomniał, ale nie mogła tego sprawić. Siedzieli razem w gorącej kąpieli, zanim poszli do łóżka, i kochali się przy kominku, ale Gabby wciąż widziała w jego oczach strach i troskę. Już nie było od tego ucieczki, ona także czuła fale lęku patrząc na Billa śpiącego tej nocy.

Wstała przed świtem, żeby podgrzać bułki cynamonowe, które kupili w sklepie, i zaparzyć kawę.

— Wstań, sioneczko, i świeć. — Pocałowała Billa w ucho. Odpędził ją jak muchę machnięciem ręki, a potem otworzył jedno oko.

— Dlaczego wstałaś tak wcześnie? — Na zewnątrz było ciemno, mówił głosem zachrypniętym, zmysłowym.

— Myślałam, że popłyniemy z wędkami na jezioro. — Wynajęli w poprzedni wieczór łódkę i porządnie przygotowała cały wędkarski ekwipunek przy drzwiach.

— Która godzina?

— Kwadrans po piątej — uśmiechała się. — Myślałam, że chcesz wcześnie wyruszyć.

Roześmiał się siadając na łóżku.

— Och, pewnie... oczywiście... czemu nie obudziłaś mnie o trzeciej? Wtedy może byśmy złowili jakąś biedną, niczego nie podejrzewającą rybę, prosto z jej pościeli. Gab, ty rzeczywiście traktujesz te głupstwa poważnie?

— No chyba. W Wyoming wstawaliśmy co dzień o czwartej, żeby złowić ryby na śniadanie. Zrobiła minę, podając mu gorącą, aż parzyło, cynamonową bułkę i kubek z parującą kawą. Pod nocną koszulą miała na sobie niebieskie dżinsy. Włożyła je, gdy wstała, bo nogi jej marzły.

— Podoba mi się ta twoja kreacja... szalenie. Model Francois Braca?

— Nie — uśmiechnęła się. — Model Gabby Smith. Smakuje kawa?

— Fantastyczna. Może będę musiał cię nająć, żebyś mi parzyła kawę codziennie w domu.

Tak się składa, że to miejsce u mnie jest wolne.

Bill chciał poprosić, żeby zamieszkała z nim, kiedy się przeprowadzi, ale się powstrzymał. To niehonorowo zaczynać coś, co będzie tylko bolesne dla nich obojga, jeśli go skażą. Czekał na proces miał wpływ już od tygodni na wszystkie jego poczynania, jakkolwiek oboje usiłowali udawać, że żaden proces go nie czeka. Nawet teraz wtłaczali trzy tygodnie wakacji w krótkie dwa dni. Ale Gabby była takim dobrym kumpłem. Wieczorem zdumiony stwierdził, że bardzo się odprężył. Ona złowiła trzy ryby, on jedną i zrobili sobie piknik nad jeziorem, a

potem znów pływali. Ugotowała w domku kolację dla niego i unikali ludzi. Nie interesowali się wcale hazardem i nocnym życiem w stanie Neyada. Nazajutrz rano znów łowili ryby, później wrócili do domku, żeby zjeść obiad i kochać się przed wyruszeniem w drogę powrotną do Los Angeles.

— Z przykrością stąd wyjeżdżam. — Gabby rozejrzała się tęsknie, jak gdyby chciała to wszystko dokładnie zapamiętać na całe życie.

— Ja też. Może za parę tygodni będziemy mogli tu wrócić.

Myślała o czymś innym, gdy kończyli pakować rzeczy.

— Chcesz zamiast tego pojechać ze mną na wschód?

Dotychczas nie mówiła mu o tym, bo miał tyle na głowie, ale teraz uznała, że jest odpowiednia chwila. To mu da coś zaplanowanego, co

będzie miał przed sobą, i zarazem przekonanie, że ona ufnie patrzy w przyszłość z nim.

— Do twoich starych? — Był wzruszony, gdy przytaknęła. — Myślę, że powinniśmy poczekać z takimi projektami.

— Rodzice chcą, żebym przyjechała do Newport, obiecałam, że się postaram. Ale także do Majne. Mam tam przyjaciół, którzy mi pożyczają dom na parę tygodni każdego lata, jeżeli chcę. Dom bardzo prymitywny na małej wysepce. Naprawdę kocham to miejsce.

— Moja ty miłośniczko przyrody. — Nie zdawał sobie przedtem sprawy, że Gabby tak lubi życie na świeżym powietrzu. Jakież to dalekie od Sandy i jej nałogu. — Jak się to stało, że jesteś taka?

— Zboczenie chyba. Rodzice myślą, że mam bzika.

— Ja nie.

Sięgnął po nią, pociągnął ją na łóżko i rozpiął jej dzinsy. Znów się kochali przed długą jazdą. W samochodzie włosy jej rozwiewał wiatr, a on był wyraźnie zrelaksowany, jak nigdy w ciągu ostatnich miesięcy. Miała rację. Wypad nad Tahoe okazał się tym właśnie, czego oboje potrzebowali.

Podjechali pod jego domek parę minut po północy i czuli się tak, jakby wrócili po wielu tygodniach. Wniósł do domku wszystkie jej rzeczy, bo zdecydowała się przenocować u niego.

— Podrzucę cię jutro do domu, kiedy będę jechał do adwokatów.

— Nagle Bill posmutniał. Popatrzyła na niego pytająco.

— Mogę też?

— Do adwokatów?

— Bardzo bym chciała... chcę być przy tobie.

— Żadna przyjemność.

Podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Tak się składa, że ja pana kocham, panie Warwick... na dobre i na złe... nad jeziorem Tahoe i w tej kancelarii.

Nie powiedział nic, tylko ze łzami w oczach pocałował ją. Miał straszne wyrzuty sumienia wciągając ją w to wszystko, ale była mu potrzebna... bardziej niż kiedykolwiek Sandy.

## ROZDZIAŁ XXXI

Kancelaria Harrisona i Goode'a sprawiała wrażenie miejsca pełnego powagi, dobrze umeblowana angielskimi antykami w połączeniu z nowoczesnością i dodatkiem kilku świetnych obrazów. Żony tych wspólników zaangażowały najlepszych dekoratorów wnętrz wmieścić, tak że wyglądało to raczej na biuro w Nowym

Jorku niż w Los Angeles. Gabby z ulgą się dowiedziała, czekając z Billem w recepcji, że to najwybitniejsi adwokaci w mieście. Wstąpiła po drodze do swego mieszkania, żeby się przebrać, i była teraz w szafirowej płóciennej sukience, którą matka kupiła jej rok przedtem u Bergdorfa.

— Na pewno chcesz tam ze mną pojechać? — zapytał Bill, gdy się przebierała, na co kazala mu zamknąć drzwi i zaparzyć kawę.

Znalazł wszystko w maleńkiej kuchni i w pół godziny później Gabby była ubrana, gotowa, wyglądając bardzo nobliwie ze swymi długimi włosami upiętymi w kształtny kok. Gdyby jeszcze włożyła białe rękawiczki, wyglądałaby tak, jakby szła na obiad do nowojorskiego Colony Club, dokąd, o ile wiedział, matka często ją zabierała.

W kancelarii był rad, że Gabby jest przy nim. Sama jej bliskość dawała mu poczucie siły. Przedstawił ją adwokatom, którzy zaakceptowali jej obecność. Bezwiednie powiedział, że to panna Gabrielle Thornton-Smith, a ona nie zaprotestowała. Jej nazwisko im zaimponowało. Harrison nawet napomknął, że zna jej ojca. Potem przedstawił obrońców zaangażowanych przez jego kancelarię dla Billa. Byli poważni i dobrze przygotowani, poświęcili trzy godziny na wyjaśnianie, jakie są pułapki sprawy, jakie niebezpieczeństwa i jaka będzie linia pytań. Dopiero w porze obiadowej Bill wyczerpany mógł wreszcie wyjść. Umówili się z nim na następny dzień.

— Boże, w głowie mi się kręci od tych prawniczych śmieci

— powiedział zmęczony i blady pomimo opalenizny. Dla obojga to było ciężkie przeżycie, ale Gabby panowała nad sobą. Zaproponowała, żeby w drodze do domu kupili wiktuały.

— Ugotuję ci obiad i będziesz mógł leżeć nad jeziorem i wypoczywać.

Spojrzał na nią czule.

— Czym ja sobie na to zasłużyłem, Gab? — Zwłaszcza po tak długotrwałym dokuczaniu, ale to wszystko zostało już zapomniane.

— Myślę, że swoim pechem. Wiesz, jak bardzo kłopotliwe są panny na wydaniu.

— Znowu zniżasz się do slumsów, co? — Lekko uszczypnęła ją, gdy wysiadali z samochodu przed supersamem. Tylko się roześmiała.

— Kiedyś bym cię udusiła za takie słowa.

— W tym przypadku są trafne.

Ale jeszcze trafniejsze były te słowa w następnym tygodniu, gdy wysiedli z samochodu przed gmachem sądu. Na korytarzach tłoczyli się nędznie ubrani ludzie, przeprowadzano dwóch oskarżonych w kajdankach, krzatali się adwokaci. Bill spotkał swoich o wyznaczonej godzinie przed drzwiami sali sądowej.

Tym razem Gabby stała bardzo blisko niego — nie żeby się bała, tylko chciała sobie udowodnić, że on nadal jest na wolności. Mianowany sędzia był bardzo surowy, jak twierdzili adwokaci Billa, ale to mogło być dla Billa zarówno korzystne, jak niekorzystne. Bo ten sędzia mógłby wziąć pod uwagę szpetny nałóg Sandy, ale też mógłby wcale nie współczuć Billowi. Nie sposób było przewidzieć. I wszystko miało zależeć od orzeczenia ławy przysięgłych.

Gabrielle usiadła w drugim rzędzie krzesel, Bill z trzema adwokatami wszedł za małą furtkę, żeby zająć miejsce przy stole oskarżonego.

Czekali dziesięć minut, gdy do sali wchodzili inni oskarżeni, publiczność, adwkwaci z papierami do podpisu i kilku reporterów, którzy wsunęli się po cichu, żeby obserwować, co się dzieje. Potem woźny zawołał:— Proszę wstać! Wchodzi sędzia MacNamara. Posiedzenie sądu się zaczyna.

Wszyscy znów usiedli. Gabby, wpatrzona w tył głowy Billa, modliła się za niego, modliła się, żeby wszystko skończyło się dobrze.

Adwokaci podeszli do trybunału, z rąk do rąk przechodziły akta, wprowadzono kandydatów na przysięgłych. Bill był zdumiony, że jest ich tylu. Około setki. Jego adwokaci ustalili, że dwa dni trzeba na wybranie przysięgłych. Na podwyższenie będą wchodzić grupy

dwunastoosobowe, każdy adwokat ma prawo zwolnić dwadzieścia osób bez wyjaśnienia, bez podania powodu.

Najpierw wybrali dwóch mężczyzn. Jednym z nich był niemłody Meksykanin, który po angielsku mówił dobrze i powiedział, że bez trudu będzie rozumiał proces. Nikt z jego rodziny nie miał do czynienia z narkotykami, nikt nigdy nie został aresztowany. Drugim był listonosz, błąd i wyraźnie przejęty. Obrona wystąpiła o niego. Jego córka umarła wskutek przedawkowania narkotyku trzy lata temu. Nie ulegało wątpliwości, dlaczego jest dobrym kandydatem.

Następnie dwie kobiety. Jedna, grubo umalowana, była aktorka, jak powiedziała. Druga, babcia z wyglądu, ale jak oznajmiła, zawsze stanu wolnego. Po nich jakaś młoda dziewczyna, homoseksualista, kobieta będąca, jak się przedstawiła, żoną policjanta. Trwało to przez cały dzień z przerwą na obiad. Ludzie przychodzili i odchodzili, i byli dobierani czasami z powodów oczywistych, czasami nie. O żonę policjanta wystąpiła obrona, a prokurator wystąpił o tę aktorkę i o homoseksualistę. Wydawało się to nie mieć końca, jednych zatrzymywano, drugich zwalniano na pozór bez żadnego sensu.

Gabby i Bill wyszli z sądu wieczorem do cna wyczerpani. Zupełnie jak gdyby przez cały ten dzień oglądali przypadkowe próbki ludzkości w oszałamiająco wielu odmianach.

— Wciąż patrzyłem na nich i zastanawiałem się, czy mi uwierzą. Nie potrafię rozgryźć nikogo z nich z wyjątkiem tych oczywistych. Żona gliniarza piekielnie mnie przestraszyła. A o nią wystąpili.

— Wiem. Chwilami nie rozumiem, czym się kierują.

— Ja też. Mam tylko nadzieję, że wiedzą, co robią.

Byli zbyt zmęczeni, żeby się kochać tej nocy. Byli tak zmęczeni, że prawie nie mogli jeść ani rozmawiać. Zanim poszli spać, popływali

w basenie. Koszmar już się zaczął i nic go nie przerwie. Aż do samego końca.

Nazajutrz w sądzie dalej ciągnęła się ta procedura. Ławę przysięgłych skompletowano dopiero trzeciego dnia po południu. Siedem kobiet i pięciu mężczyzn oraz jeden dodatkowy, nieszkodliwie wyglądający jako zastępca — wszyscy poważni, pospolici, zwyczajni jak sprzedawca w drogerii czy facet na stacji benzynowej, czy ekspedientka w dziale pończoch domu towarowego. Nikt z nich niczym się nie wyróżniał. A życie Billa było w ich rękach. Gdy tego trzeciego dnia sędzia ogłosił przerwę wcześniej po południu, Gabby i Bill z ulgą wrócili do domu. Gabby milcząc patrzyła na Billa nad sałatką, którą przygotowała. Nie chciało im się jeść, Bill ze zdenerwowania stał się drażliwy.

— Chcesz pójść do kina? — spróbowała. Bo rozpaczliwie potrzebne było coś, co by oderwało jego myśli do procesu.

— Sądzą mnie za zamordowanie żony. Wystarczający dramat.

— Moglibyśmy pójść na jakąś zabawną komedię.

— Nie mam ochoty.

Rzecz zrozumiała, ale ona chciała mu pomóc.

— Może chcesz pojechać do Mike'a, pograć w bilard?

— Może jutro, Gab... jestem zanadto zmęczony, żeby się ruszyć.

Oboje dziwiąc się, że są aż tak wykończeni, siedzieli przy stole, odczuwali napięcie tego całego dnia i nic nie mogli na to poradzić.

— Może chcesz, żebym pojechała do siebie, dała ci tu swobodę?

Potrząsnął głową markotnie i sięgnął po jej rękę.

— Nie... chyba że wolisz się stąd urwać, ja bym to zrozumiał. Wiem, jestem naprawdę mięczak, ale cholernie się denerwuję.

— Nie szkodzi. — Pochyliła się i pocałowała go. — Nie jesteś mięczak. Nie chcę tylko, żebyś przeze mnie był jeszcze bardziej spięty.

Nocowała u niego parę razy, ale przeważnie na noc wracała za radą adwokatów Billa do swego mieszkania.

Nazajutrz w sądzie sprawę rozpoczął prokurator opowiadając o bezsensownym zamordowaniu pięknej młodej dziewczyny, o jej mężu, aktorze przykutym do niej kajdanami gniewu i nienawiści, oburzonym, bo wydawała jego pieniądze na narkotyki, rozpaczliwie pragnącym uciec od niej, gotowym zrobić wszystko, żeby pozbyć się tej kuli u nogi. Trudno było rozpoznać Billa w portrecie namalowanym przez stronę oskarżającą. Bill słuchał przerażony, pewny, że sąd przysięgłych w to wszystko uwierzy. Prokurator zrobił z niego potwora-mordercę. Uwięził to opisem zbrodni w afekcie, desperackiej, gdy mąż za wszelką cenę chciał się uwolnić od żony pojmując, że ona uniemożliwi mu zrobienie kariery, że przez nią utraci rolę w serialu „Manhattan”.

Pod koniec drugiego dnia przedstawiania sprawy przez prokuratora Bill był chory ze strachu i wcale nie uspokajały go zapewnienia obrońców, którzy raz po raz powtarzali, że będą mieli możliwość przedstawienia swojej wersji. Świadców oskarżenia było niewiele poza paroma aktorami z serialu Sandy, pamiętającymi ją jako cudowną dziewczynę. Potem Bill wstrząśnięty zobaczył w loży świadków jej agenta, który powiedział, że nie zgadzał się, by Sandy wyszła za Billa Warwicka. I powiedział, że obawiał się presji, jaką będzie dla niej to małżeństwo i że właśnie wskutek presji ona, bezradna, sięgnęła po narkotyki.

— Skurwysyn... — mruknął Bill pod nosem, a najbliżej siedzący adwokat, delikatnie dotykając jego ręki, przypomniał mu, że przysięgli patrzą.

W piątek po południu prokurator już wykorzystał wszystko, co miał, i przed salą wyczekiwała gromada fotoreporterów. Pstrykali zdjęcia Billa wychodzącego z Gabrielle, wypytywali go, zbliżając aparaty do jego twarzy, i nie otrzymywali żadnych odpowiedzi.

W sobotę rano Bill miał długie spotkanie z adwokatami. Gabby załatwiła sprawunki dla nich obojga i wróciła na czas, żeby ugotować obiad, nakarmić psa i odebrać telefon Mela Wechslera. Mel chciał wiedzieć, jak idzie w sądzie, i nie zdziwiło go, że Gabby jest u Billa. Wiedział o wszystkim, co się działo na planie serialu, zresztą oni przed letnią przerwą nie trzymali swego romansu w wielkiej tajemnicy.

— Nie wiem, Mel — odpowiedziała szczerze. — Wszystko jest takie koturnowe i jednostronne. Strach na to patrzeć. Jego obrońcy mówią, że w przyszłym tygodniu będzie miał szansę i sam będzie zeznawał, ale to piekielnie przerażające.

— No pewnie. — Mei martwił się i poprosił Gabby, by przypomniała Billowi, że jest gotów być świadkiem obrony. Bill już o tym powiedział adwokatom i oni zamierzali powołać Mela. — Zostaję tu na cały tydzień. Tylko im powiedz, żeby do mnie zadzwonili.

— Powiem Billowi, że dzwoniłeś. To będzie wiele dla niego znaczyło, Mel. — Zawsze był taki wobec nich wszystkich w chwilach potrzeby, już nie jak Czarodziej z Oz, ale jak ojciec. Bill wzruszył się, gdy wyczerpany wrócił do domu. Ubyło mu siedem funtów w tym tygodniu, a Gabby ubyło pięć. Jeden ze skutecznych sposobów, żeby zeszczupłeć, ale z pewnością nie ten, który by sobie wybrali.

— Co mówili?

— To samo w kółko. Chcą Mela na świadka w poniedziałek.

Zadzwonił do Mela po obiedzie i powiedział, która to sala. Mei obiecał się stawić.

Reszta weekendu już to się wlokła, już to mijała za szybko. Bill pragnął chwilami, żeby niedziela trwała wiecznie i nie nadszedł poniedziałek, a w sądzie, chwilami, żeby to już tylko się skończyło. W sądzie za wcześnie znaleźli się pod drzwiami sali. Mei tam był, rozmawiał cicho z obrońcami. Zeznawał pierwszy. Gabby patrzyła na niego z taką ulgą, jak gdyby mógł im pomóc.

— Powiedziałby pan, że pan Warwick był z jakiegoś powodu gniewny?

— Nie. Powiedziałbym, że to spokojny, pracowity młody czło

wiek.

— Czy skarżył się na swoją żonę?

— Nie.

— Czy w ogóle mówił o niej?

— Nie.

— Czy pan wiedział, że jest żonaty?

— Nie, nie wiedziałem.

Powieki Melowi nawet nie drgnęły, gdy Bill pamiętając, jak mu skłamał, patrzył i czekał, czy on o tym powie. Ale Mel nie zawiódł. Był tam, żeby pomagać.

— Powiedziałby pan, że to było trochę niezwykle?

— Nie. W tej branży nie. Niejeden z aktorów, z którymi mamy do czynienia, uważa swoje małżeństwo za sprawę ściśle prywatną, zwłaszcza jeżeli może ono wpłynąć na jego obraz w oczach

publiczności..., jeżeli ważne jest to, by sprawiał wrażenie mężczyzny wolnego.

— Powiedziałby pan, że tak właśnie było w przypadku pana Warwicka, czy może zdaniem pana, pan Warwick się swojej żony wstydził, bał się, że mu zniszczy karierę, bo wciąż ją aresztują...

— Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Oskarżenie naprowadza świadka!

— przerwał obrońca Billa. Sędzia uznał sprzeciw.

— Więc sformułuję to inaczej. Czy ważne dla kariery pana Warwicka było zachowywanie pozorów, że jest kawalerem?

— Ostatecznie mogłoby być.

— Dlaczego?

— Dlatego, że będzie wielkim gwiazdorem w przyszłym roku, kiedy zacznie się emisja naszego serialu.

— Powiedziałby pan, że żona, i to w takim stanie, mogłaby być dla niego przeszkodą?

— Sprzeciw.

— Nie uznany. Proszę odpowiedzieć na to pytanie, panie Wechsler.

— Możliwe, le nie sądzę, żeby...

— Dziękuję

Prokurator kończył z Melem, Bill przymknął oczy. Nie ma nadziei. Wyślą o do więzienia. Malują portret człowieka, który chce się pozbyć swojej żony, który jej nienawidzi, nienawidzi jej nałogu i chce ją za wszelką cenę usunąć z drogi, żeby zrobić karierę. To znów wydawało się raczej morderstwem niż zabójstwem, chociaż całą tę sprawę oparli na teorii, że to było zabójstwo w afekcie, że ją zabił, bo już nie mógł dłużej tego znieść.

Następnym świadkiem był agent Billa. Mei usiadł przy Gabby i uściśnął jej rękę. Spojrzała udręczona i przysunęła się do niego, słuchając.

— Powiedziałby pan, że pan Warwick kochał swoją żonę? — zapytał obrońca, a prokurator natychmiast wniósł sprzeciw.

— To jest domniemanie, wysoki sędzie.

— Podtrzymuję. Proszę inaczej ująć pytanie.

MacNamara wydawał się rozdrażniony. Jak gdyby tracił już cierpliwość do tej całej bandy zepsutych, zachowujących się nieprzyzwoicie filmowych gwiazd i gwiazdorów. Ale ważne było, co myślą przysięgli, a z ich twarzy nic nie dawało się wyczytać.

— Czy pan Warwick mówił panu kiedykolwiek, że jest w swojej żonie zakochany?

— Często. Kochał ją do szaleństwa i mówił to.

Prokurator teraz wydawał się zirytowany. Mei zerknął na Gabby, ale ona patrzyła prosto przed siebie, przesyłając Billowi całą siłę swojej woli bez żadnych złych myśli czy zazdrości o Sandy.

— Czy trapiła go jej narkomania?

— Oczywiście, martwił się o nią ciągle. Chciał, żeby poddała się leczeniu, programom rehabilitacyjnym, ale ona nie chciała.

— Powiedziałby pan, że gniewał się na nią?

— Nie. Nigdy.

— Powiedziałby pan, że widział w niej zagrożenie dla swojej kariery?

— Nigdy. Ja mu wciąż mówiłem, żeby pozbył się jej, że ona go zniszczy, ale nie chciał tego słyszeć. Zawsze był dla niej dobry. Miał nadzieję, że się wyleczy. Nawet z Nowego Jorku, kiedy tam wyjechał, wciąż do mnie dzwonił, chciał, żebym ją odszukał, żebym się dowiedział, jak żyje.

— A jak żyła?

— Nie wiem. Nie natrafiłem na nikogo, kto by wiedział, gdzie ona jest. Dostyc często znikła w świecie narkomanów, zanim odeszła. Wtedy byli już w separacji.

— Czy Bill widział się z nią po powrocie z Nowego Jorku?

— Nie wiem. Nie mówił mi.

— Powiedziałby pan, że chciał się jej pozbyć?

— Nie. Nie w tym znaczeniu. Myślę, że może chciał się z nią rozwieść, tylko że do tego nie doszło. Myślę, że doznawał zbyt mieszanych uczuć, żeby doprowadzić do rozwodu.

— Czy widział pan kiedy, jak pan Warwick wpada w gniew?

— Nie widziałem.

— Słyszał pan, jak komukolwiek groził?

— Nie słyszałem.

— Bardzo panu dziękuję.

świadka przejął prokurator, ale nie zdołał wydusić z Harry'ego świadectwa, jakiego chciał. Harry był fantastyczny, toteż gdy wyszedł z loży świadków, Bill uśmiechnął się do niego, żalując, że nie może wstać i go ucałować.

Jeszcze trzy dni trwały zeznania świadków łącznie z rodzicami Sandy, którzy byli świadkami obrony, ale wskutek szoku mówili prawie niezrozumiale. Potępiali córkę i zrezygnowali z niej wcześniej niż Bill. Mówili o trudnym dzieciństwie, o niesfornej nastolatce; kilkakrotnie uciekała z domu, od czasu do czasu zażywała narkotyki na długo, zanim została aktorką i poznała Billa. Uważali, że tempo pracy w filmie przepełniło miarę. Uważali, że od początku była zgubiona.

Rodzice Billa zatelefonowali do syna w połowie procesu, ale był to telefon typowy dla nich. Ojciec wydawał się rozczarowany, oskarżycielski, matka płakała. Nie zamierzali przyjechać na zachód i po tej rozmowie Bill nawet nie miał pewności, czy wierzą, że to nie on zamordował Sandy.

Nadszedł najgorszy dzień procesu — czas zeznań samego Billa. Zadano mu wszystkie te pytania, których się bał, i usiłowano przedstawić jego więź z Sandy jako coś szpetnego i brudnego. Próbowano doprowadzić go do wściekłości opowieścią, że Sandy była dziewczyną lekkich obyczajów i że ożenił się z nią po to, by mu załatwiła pracę, po czym odsunął ją, gdy sam postarał się o dużą rolę w serialu. Sprawiono, że to wszystko wydawało się paskudne, i naciskano go, naciskano i naciskano, aż nie mógł tego znieść i załamany stłumił szloch ukrywając twarz w dłoniach, daremnie powstrzymując łzy na myśl o tej dziewczynie, którą kiedyś pokochał, i o tym, co się od tamtego czasu stało. Wcale przecież nie było tak, jak twierdzi prokurator. Gdy wreszcie mógł znowu mówić, spojrzął na prokuratora i ze łzami powoli spływającymi po policzkach powiedział głosem ochrypłym z bólu:

— Czy pan nie rozumie?... — Reporterzy pisali z pasją i teraz widać było obnażony rdzeń tego człowieka, nagą duszę mężczyzny, który kiedyś kochał kobietę imieniem Sandy. — Ja ją kochałem.

— Ludzie, panie Warwick, zabijają tych, których przedtem kochali.



Prokurator był bezlitosny, obrona wysunęła sprzeciw i poprosiła o zarządzenie przerwy, w czasie której Bill zdołał odzyskać panowanie nad sobą. Ale znów się załamał w to popołudnie i Gabby wtedy zerknęła na przysięgłych, modląc się, żeby zrobiło im się Billa żal. Prawie niemożliwością było nie ulitować się nad nim. Ale ich twarze nic nie wyrażały.

W piątek rano sędzia pouczył przysięgłych. Muszą uznać ponad wszelką wątpliwość, że Bill zabił Sandy. Muszą być tego pewni na podstawie zeznań, które usłyszeli, a nie na podstawie jakichkolwiek emocjonalnych interpretacji. Jeżeli uznają go winnym, sędzia za trzydzieści dni wyda wyrok i jakkolwiek ten wyrok będzie, ich to już nie dotyczy. Mają tylko stwierdzić, czy on jest winny czy niewinny, w oparciu o przedstawienie sprawy przez prokuratora i przez obronę. Samo zeznanie oskarżonego było do głębi wzruszające i załamał się kilka razy, ale nawet to nie może zachwiać ich przekonaniem. Mają tylko rozpatrzeć materiał dowodowy, rany od kul, brak pistoletu, historię małżeństwa oskarżonego z ofiarą, tak jak zostało to dla nich odtworzone, i zastanowić się, czy ich zdaniem Bill zabił czy nie zabił Sandy.

Po tym pouczeniu sędzia zarządził przerwę i poprowadzono ich do pokoju przysięgłych, gdy Bill stał w hallu ze swymi adwokatami, a Gabby krążyła w pobliżu. Nikogo nie było przy niej i nagle zatęskniła do Jane... i Zacka... i Mela... Och, gdyby tu mogli być teraz! Mel czekał na wiadomość w swoim biurze. Bo też pozostawało tylko czekać. Wiedzieli, że to może potrwać kilka dni. Adwokaci o tym uprzedzili. Przysięgli obradują tak długo, jak długo muszą.

Zespół obrony ociągał się w hallu, prowadził rozmowy, w których Bill nie uczestniczył. Nie mógł myśleć o niczym z wyjątkiem werdyktu.

Ostatecznie zaczął rozmawiać cicho z Gabby, gdy przyszedł woźny i poprosił wszystkich z powrotem do sali. Sąd przysięgłych już uzgodnił swoje orzeczenie. Adwokaci się zaniepokoiли. Po niecałej godzinie, to zwykle zły znak. To prawie zawsze oznacza uznanie winy i zdarza się na ogół w sprawach, w których wina oskarżonego jest oczywista i niewątpliwa. A oni mieli dotychczas nadzieję, że wzbudzili sporo wątpliwości w przysięgłych.

— Sąd idzie. Proszę wstać.

Sędzia wynurzył się ze swojego pokoju, zapinając tokę, i usiadł. Bill bezwiednie zacisnął ręce na poręczach fotela, gdy gęsiego wchodzili przysięgli. Nadal wszyscy mieli twarze bez wyrazu. Jak maski. Nikt nie wydawał się zadowolony czy smutny, nikt nie uśmiechnął się do Billa, niczym nie dodał mu otuchy. Gabby poczuła piekące łzy w oczach, nagle w pełni zdając sobie sprawę z powagi tego, co się dzieje. Jeżeli sąd przysięgłych uzna, że Bill jest winny, to go zabiorą natychmiast! Dla Billa Warwick skończy się wszystko... na długi czas, w każdym razie... i dla niej też... ale ważniejsze, że dla niego. Czeka go może jedenaście lat więzienia.

— Panie i panowie przysięgli, czy uzgodniliście werdykt?

Gabby nie cierpiała tych formalności, tych słów, które nic nie znaczą, ale od których zależy życie Billa.

— Tak, wysoki sędzie.

— Jaki werdykt?

Gabby zacisnęła powieki. Bill, wpatrzony w przysięgłych, był biały jak płótno.

— Wysoki sędzie, uznajemy, że oskarżony nie jest winny.

Obroncy już się rozpromienili, Bill się zagapił, gdy sędzia spojrzał na niego.

— Panie Warwick, został pan niewinny.

Rozległ się głośny szloch. Bill wyskoczył ze swego fotela i wybiegł za furtkę do Gabby.

Rzuciła mu się w objęcia i oboje płakali, gdy adwokaci się uśmiechali, a przysięgli gęsiego wychodzili z sali sądowej. Sędzia wstał. I już było po wszystkim.

## ROZDZIAŁ XXXII

Zadzwonili do Mela z hallu na parterze i Gabby przez łyzy powiedziała mu dobrą nowinę. Bill jeszcze nie ochłoniął po wstrząsie, więc wytłumaczyła Melowi, że na razie nie może z nikim rozmawiać. Mei obojgu pogratulował i sam miał łyzy w oczach, kładąc słuchawkę. Powiedział Gabby, żeby Bill przyszedł do niego, gdy tylko będzie gotów.

Wiadomość w dziennikach o uniewinnieniu podano znacznie ciszej niż przedtem wiadomość o aresztowaniu, ale to Billa wcale nie rozgoryczyło. Odczuwał tylko ulgę. Wieczorem zadzwonili do Zacka i Jane, która z radości się rozplakała. Mei zawiadomił Sabinę, dzwoniąc do niej do Paryża.

Po trochu wszyscy się dowiedzieli i Bill czuł się tak, jakby powoli wracał do krainy żywych. Przez cały ten ciężki okres ani przez chwilę nie był pewien jutra. To było najstraszniejsze doświadczenie w jego życiu. I oto teraz nagle mógł się cieszyć wszelkimi normalnymi przyjemnościami tego świata: biegać z psem w Malibu, kupować co chciał w Safeway, podlewać swój ogródek, zabierać Gabby na hamburgery do Baru Mike'a, mógł nawet myśleć o umeblowaniu nowego domu, bo już nie czekało go więzienie. I były też ważniejsze sprawy do przemyślenia. Takie, jak jego praca i przyszłość ich dwojga.

— Może byś teraz pojechał ze mną na wschód? Chyba i tobie, i mnie jest to potrzebne — zaproponowała Gabby, ale zgodnie uznali, że muszą jeszcze przez tydzień czy dwa tygodnie odsapnąć. Żyli przecież w takim strasznym napięciu.

Przywieźli dwa ogromne wory rzeczy z jej mieszkania. Nie przeprowadzili tego formalnie, ale chciał, żeby zamieszkała u niego. Tyle już przeszli razem, czuł się prawie jej mężem, wolał jednak do niczego jej nie ponaglać. Gabby przecież ma o czym myśleć. Gra w wielkim serialu, jest w przededniu zrobienia wielkiej kariery, a tak się przez niego nadenerwowała. Zawsze istnieje możliwość, że nie będzie chciała go widzieć, gdy podniecenie tego happy endu minie. Nic jednak o tym nie świadczyło. Przywiozła ze swojego mieszkania wszystkie rośliny, co dzień czesała Berniego. Pomagała Billowi urządzać dom, przy czym wydawało się, że wciąż coś zmienia, żeby było jeszcze przytulniej. Kończąc przesuwanie mebli po raz drugi, odwróciła się do niego i łagodnie zapytała:

— Kiedy wsadysz głowę w paszczę iwa? — Nie chciała wywierać nacisku, ale powinien już wiedzieć, jak stoi u Mela. Tydzień upłynął od wydania werdyktu, a on robił wszystko, żeby tam nie zateléfonować.

— Jakiego iwa, kiciuniu? — Zmarszczył brwi udając, że to zbywa.

— Ta kanapa podobała mi się bardziej tam, gdzie stała przedtem. Aha!... widziałem wczoraj w mieście wspaniałe lampy. Moglibyśmy je jutro kupić.

— Nieważne lampy. — Pogroziła mu palcem. — Wiesz doskonale, o jakim lwie mówię. Miałaś zadzwonić do Mela. Nie pytaj znów, do jakiego. Do Mela Wechslera.

Uśmiechnął się głupawo.

— Myślę, że byłem szczęściarzem raz. Dwa razy to może za duże wymaganie od mojej karmy.

— Czy nie lepiej byłoby wiedzieć?

— Nie. Wolę kupować z tobą lampy.

— Nie bądź takim tchórzem.

Zmusiła go, żeby zadzwonił do Mela tego dnia po południu. Ale sekretarka powiedziała, że pan Wechsler wyjechał na konferencję innych stacji telewizyjnych i będzie w biurze dopiero w poniedziałek. Gabby, gdy jej to zameldował, parsknęła śmiechem.

— No, upiekło ci się.

Spędzili przemiły weekend wypoczywając, leżąc nad basenem. W piątek zjedli kolację w Barze Mike'a, a w sobotę wieczorem Bill zabrał Gabby do Ma Maison, żeby ostatecznie oblać zwycięstwo. Mel

zadzwonił do niego w poniedziałek rano. Niewiele powiedział przez telefon, tylko poprosił go o przybycie po południu. Bill podziękował za złożenie zeznań w sądzie i zapewnił, że się stawi.

— Co mówił Mei?

— Że potroi moją gażę, was wszystkich zwolni z miejsca i w przyszłym sezonie zacznie serial jednoosobowy ze mną w roli głównej i jedynej.

Śmiała się. Bill ma taki dobry humor. Jest szczęśliwy. Tysiącfuntowy ciężar spadł mu z grzbietu. Straszne rzeczy przeszedł, ale to już poza nim. Biedna Sandy ostatecznie odeszła na wieczny odpoczynek, a on może spokojnie żyć dalej.

— Poważnie, co Mei powiedział?

— Powiedział, żebym był u niego o trzeciej. To pora, o której najbardziej lubi wylewać ludzi.

— Jesteś niemożliwy. Mogę być tam z tobą?

— Nie. Co innego, kiedy czuwałaś nad wyrwaniem mnie z więzienia... stracić pracę potrafię sam. Zresztą ciebie nie zapraszał.

— Dobrze. I tak muszę zrobić zakupy.

— Nowe buciory na włóczkę?

— Nie. Wierzysz mi czy nie, potrzebuję trochę nowych rzeczy przed wyjazdem do Newport. Kupię chyba u Giorgia.

— Ty? Królowa Ciuchów z Demobilu?

— Tylko nie mów nikomu.

— Twój sekret, księżniczko, wpadł we mnie jak w studnię.

— Porwał ją w objęcia z rozmachem godnym musicalu z lat trzydziestych, po czym śmiejącą się rzucił brutalnie na kanapę.

Był w takim dobrym nastroju, że nawet myśl o utracie pracy już mniej go przygnębiała niż przedtem. Wolności przecież nie utraci, a to o wiele ważniejsze. I już miał dobry rok w tym serialu. Rzeczywiście zwolnienia nie mógłby mieć Meiodzi za złe. Ten skandal stanowił pogwałcenie wszystkich uzgodnień kontraktu, o czym doskonale wiedział.

Ale było mu smutno, gdy po południu wszedł do biura Mela. Czuł się tak, jakby miał odwiedzić ojca, któremu sprawił zawód. Mei jednak przyjął go życzliwie, serdecznie jak zawsze wskazując mu fotel przed biurkiem.

Znowu lepiej wyglądasz.

— Czuję się o niebo lepiej niż Ostatnim razem, kiedy się z panem widziałem. — Bill uśmiechnął się. Z pracą czy bez pracy będzie Melowi wdzięczny do końca życia. To przyzwoity człowiek, dobry przyjaciel i wielki producent. — Chcę panu podziękować za wszystko..., za to, że pan tam był... i... — oczy mu zaszły mgłą i na nic zdał się wysiłek, by do tego nie dopuścić. Ostatnio wciąż ulegał wzruszeniom, jak gdyby był śmiertelnie chory i raptem wyzdrowiał. — Tyle zrobił pan dla mnie..., ten serial jest cudowny... — Nieomal dławił się słowami. — Będzie mi pana brakowało.

— Dokąd się wybierasz? — Mel był zdumiony tą przemową, Bill był zdezorientowany tym pytaniem.

— Na wschód z Gabby na parę tygodni, ale ja mówię o...

Nagle Mei zrozumiał.

— Nie bądź taki szlachetny. Zaprosiłem cię tu dzisiaj, żeby dać ci nowy kontrakt na następny sezon.

— Kontrakt? — Oczy Billowi się rozszerzyły.

— Kontrakt. Chociaż myślę, że zatrzymamy tę ostatnią scenę, którą nakręciliśmy, żeby cię mieć na wszelki wypadek, gdybyś nie mógł grać z powodu tremy.

— Nie będę miał tremy. Poważnie? Poważnie wrócę na następny sezon? — Bill patrzył Melowi w oczy z niedowierzaniem.

— Tak. Nawet nie wiesz, jak to wszystko świetnie wyszło, Bill. Ludzie polubią ten serial i ciebie także. Ameryka będzie jak przygwożdżona oglądać „Manhattan”. Chyba nie chcesz, żeby cię to ominęło, prawda?

— Do licha, nie. — Bill uśmiechnął się uradowany. Szczęściarz dwa razy w ciągu tygodnia. Nawet nie śmiał mieć na to nadziei.

Mel wręczył mu grubą kopertę.

— Pokaż to swojemu agentowi i swoim adwokatom i zwróć mi któregoś dnia w tym tygodniu. Polecę do Europy, kiedy tylko będę mógł, a chciałbym przedtem wiedzieć, że to już podpisane.

— Podpiszę teraz. — Bill był gotów, ale Mei zatrzymał jego rękę.

— Nie śpiesz się. Przepuść to przez swoich adwokatów, nie wiadomo, czy nie zechcą wprowadzić jakichś zmian. Klauzula doty

cząca moralności jest taka sama. — Uśmiechnął się. — Tylko proszę, staraj się, żeby cię nie aresztowali.

Nie było w tym kontrakcie żadnej wzmianki o stanie cywilnym, i to dobrze, bo już od tygodni Bill myślał o oświadczeniach. Chciał z tym zaczekać do końca lata, zobaczyć, co Gabby będzie czuła po spotkaniu ze swoimi rodzicami, a na razie po prostu z nią być bez żadnych większych dramatów.

— Mei..., dziękuję bardzo serdecznie... taki jestem panu wdzięczny... — Jego oczy mówiły wszystko. Mel odprowadził go do drzwi, po ojcowsku obejmując ramieniem.

— Nie ma powodu do wdzięczności. Jesteś cholernie dobrym aktorem. Poczekaj dwa miesiące, a przekonasz się, jak publiczność cię pokocha.

Bill sfrunął do samochodu jak na skrzydłach i pojechał na Rodeo. Nieomal wbiegł do sklepu na rogu pod żółto-białą pasiastą markizę

i rozejrzał się, ale nigdzie nie zobaczył Gabby. Zapytał jedną z ekspedientek, powiedziała, że się dowie, i gdy wróciła, wskazała mu kabinę, w której Gabby przymierzała sukienki.

Podszedł na palcach, ostrożnie otworzył drzwi. Gabby stała w sukni z czerwonego jedwabiu dumając, czy się sobie w tej czerwieni podoba.

— Co ty tu robisz? — Ucieszyła się jak zawsze na jego widok.

— To by dobrze wyglądało z twoimi trampkami. — Patrzył na nią z uznaniem, ale natychmiast się zniecierpliwiała.

— Co powiedział?

— Kto?

— Bill, przestań!

— Powiedział, że nie może mnie zwolnić, bo muszę trzymać cię w ryzach w następnym sezonie. — Uśmiechnął się, a ona rzuciła mu się w objęcia.

— Mówisz serio?

— Serio. Kontrakt jest w samochodzie. Wracam na drugi sezon.

— Fantastycznie!

Zdjęła suknię i stała w halce, gdy ekspedientka weszła i uśmiechnęła się. Ekspedientki w sklepie Giorgia już przywykły do takich scen.

— Podobała się suknia? — zapytała ekspedientka z sympatią.

— Szalenie. — Bill też się uśmiechnął. Kupił Gabby tę sukienkę i pięć innych, po czym pojechali do domu i kochali się nad basenem.  
— Lepiej zacznij się zachowywać przyzwoicie, jeżeli mam cię zabrać do Newport.  
— Och, nie — jęknął leżąc przy niej. — Czy nie mogę po prostu spotkać się z tobą w Majne?  
— Nie. Nie pozbawiłabym moich rodziców tej przyjemności.  
Przewróciła się na brzuch w gorącym blasku słońca, a pies ziewnął, przeciągnął się i wskoczył do basenu, rozchlapując na nich oboje wodę.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Dni na wschodzie przelatywały błyskawicznie, rodzice Gabby uważali, że Bill jest czarujący. Mieszkał w ich domu niedaleko Bailey's Beach i był zdumiony, że tak mu swojsko z jej ojcem. Co dzień jedli obiad w Beach Club, nawet jeżeli padał deszcz, na kolację jeździli do Ciambake Club. To słynny lokal — wyjaśniła mu Gabby — bo właśnie tutaj została wprowadzona w świat Jackie Bouvier.  
— Wiesz, ja naprawdę lubię twoją matkę — powiedział jej pewnej nocy, gdy leżeli przy sobie w pokoju gościnnym. Ten pokój był na wprost jej sypialni i co noc przybiegała przez hall do niego, po czym rano wracała do siebie, żeby zmiętosić pościel na swoim łóżku. — Jest o wiele mądrzejsza, niż myślisz.  
— Jest równa.  
Rzeczywiście stosunki Gabby z rodzicami układały się w tym roku lepiej niż zwykle i rzecz jasna, rodzice nie wiedzieli o tym, co oni ostatnio przeszli w Kalifornii. Dla nich Bill był po prostu miłym młodym aktorem „z serialu Gabby”. Przrzekli, że będą oglądać premierowy odcinek „Manhattanu”, i Eyerett prosił, żeby Bill koniecznie pokazał się u nich w Nowym Jorku, gdy zaczną się tam zdjęcia jesienią. Miały się zacząć we wrześniu, matka Gabby zapowiedziała, że wyda wtedy „małą kolację”.  
— To znaczy, że będzie sto osób w pełnej gali, wszyscy ci, których nie cierpię. Szalenie będzie ci się to podobało.  
— Nie bądź takim paskudnym bachorem. Oni cię kochają.  
— Dobrze, dobrze. — Patrzyła na niego z politowaniem, a on się śmiał.  
Była taka młoda i bezsprzecznie piękna. Nie raz się dziwił, skąd nagle tyle szczęścia spadło na niego. Zaledwie rok temu zbierał strzykawki Sandy z podłogi łazienki i błagał, żeby zechciała się leczyć. Ale teraz prawie nigdy nie myślał o tym, a już z pewnością nie wtedy, gdy w Majne popłynął z Gabby promem na wysepkę jej przyjaciół. Dom był prosty, dziwaczny, teren wokoło pełen powagi, dziki. To Gabby lubiła, coś bardzo odległego od luksusów Bailey's Beach, na które wciąż się uskarżała, dopóki stamtąd nie wyjechali. Ale grała dobrze rolę układnej młodej damy z wysokich sfer, żeby sprawić przyjemność rodzicom.  
Wrócili do Kalifornii na tydzień przed rozpoczęciem zdjęć. Jane i Zack poprzedniej nocy właśnie wrócili z Europy. Gabby i Jane spotkały się na obiedzie w Polo Lounge i rozchichotały się, widząc Warrena Beatty i Paula Newmana. Jak dwie smarkate, a nie jak gwiazdy telewizji. Jane powiedziała, że w St. Tropez widzieli Sabine z Melem.  
— Nie wiem, jak ona to robi. Ta kobieta zawsze wygląda fantastycznie.

— Nie oszukujmy się. To znacznie więcej. Ona po prostu ma taką właśnie prezencję. Gdziekolwiek się pokaże, wszyscy na nią patrzą.

— Zaczekaj, aż zaczną emitować „Manhattan”, wtedy ona rzeczywiście będzie rewelacją.

— Wiesz, chodziła po plaży topless. Jak zresztą wszystkie tam. Ma piersi osiemnastolatki. — Jane powiedziała to z niejaką zazdrością. Patrząc wtedy na Sabinę, uznała, że sama ma obwisłe piersi.

— Bo też powinna wyglądać na osiemnaście lat. — Gabby uśmiechnęła się niegodziwie. — Znam lekarza, który to zdziałął.

Jane parsknęła śmiechem. Przyjemnie być znowu w Hollywood. Już myśleli o powrocie do pracy i ostatniego wolnego dnia we czworo grali w tenisa, apotem jedli kolację w Spago. Czuli się jak na spotkaniu rodzinnym, to jednak było niczym w porównaniu ze spotkaniem nazajutrz na planie. Ludzie wprost oszaleli, całowali się i ściskali, śmiali się i mówili o swoich wakacjach. Stary realizator dźwięku nawet objął ramieniem Sabinę. A Sabina nie miała nic przeciwko temu. Też się cieszyła, że wszystkich znów widzi. Przymierzanie kreacji François Braca poszło doskonale, a później bajecznie spędziła czas z Melem na południu Francji. Wszyscy w doskonałych humorach zaczęli omawiać nowe scenariusze. Były w nich duże niespodzianki. Ktoś miał odnieść fatalne obrażenie. Jane miała się pobić z Sabiną o Zacka. I miało też być czyjeś zajście w ciążę.

Nie moje, mam nadzieję — zazartował Bill nad kieliszkiem wina.

Pierwszy dzień na planie był powrotem na utarty szlak. Rozdano scenariusze i powiedziano, że wyjazd w teren nastąpi za dwa tygodnie. Nastrój panował świąteczny, pełen podniecenia przed ukazaniem się premierowego odcinka serialu „Manhattan” na ekranach telewizorów. Mel chciał zrobić z tego wielką uroczystość, na którą wszyscy niecierpliwie czekali. Już wynajął Grauman’s Chinese Theater, gdzie miał stać na scenie ogromny ekran telewizyjny. Zaprosił prasę i setki innych osób.

— Nie mam się w co ubrać — jęczała Jane, gdy wychodzili z wytwórni. Gabby się roześmiała.

— A te twoje wszystkie nowe modele François Braca?

— Dostyc mam ich. To przecież moja odzież robocza. Chcesz w sobotę pojechać ze mną do Giorgia?

— No pewnie.

Zmieniło się to w dużą wyprawę po zakupy. Gabby też kupiła sobie nową sukienkę — połyskliwą od czarnych cekinów rurę bez pleców.

— Niech tylko Bill to zobaczy — powiedziała kręcąc się w przymierzalni.

Trzymała ten sprawunek w pudle aż do uroczystego wieczoru Mela. Bill rozdziawił usta widząc ją w tych czarnych cekinach.

— Au! Kto to jest?

Trampki zniknęły, Gabby była w czarnych atłasowych czółenkach. Miała wysoko upięte włosy i przerzuconą przez rękę kurtkę ze srebrnych lisów, prezent od ojca.

Matka zadzwoniła akurat w chwili, gdy wychodzili z domu. Płacząc powiedziała, że oglądają ten serial — w Nowym Jorku już zaczęła się emisja — i że oboje, Gabby i Bill, są cudowni. Nigdy dotąd nie była z Gabby tak bardzo dumna jak teraz. Mile tym rozgrzana Gabby wzięła Billa pod rękę i wyszli do limuzyny, którą przysłał po nich Mei. To był czarowny wieczór, czuła się tak, jakby całe jej życie miało się zmienić. Ale jej życie przecież już się zmieniło. Pod każdym ważnym względem.

Fotoreporterów przed Chinese Theater Graumana na Hollywood Boulevard ogarnęła gorączka, gdy z samochodu wysiadła Sabina. Orientalne dekoracje były dobrze znane każdemu, tak jak odciski stóp i rąk na cemencie przed tym teatrem. Gabby zawsze uważała, że zabawnie jest wiedzieć, kogo reprezentują, ale teraz nie myślała o tym. Nikt teraz o tym nie myślał.

Sabina tylko śmignęła w obcisłej, białej atlasowej kreacji François Braca i długim do ziemi futrze z norek, które Mel jej kupił w firmie Reyillon w Paryżu. To futro było zdumiewające i ona wyglądała wspaniale z grzywą blond włosów, z roziskrzonymi zielonymi oczami i iskrami brylantowych kolczyków, długich prawie do ramion. Nie ulegało kwestii, kto tutaj jest gwiazdą, ale Jane też wystąpiła godnie w szafirowej sukni z indyjskiego jedwabiu z dekoltem dość głębokim, by odsłonić bajeczny rowek między piersiami, rudowłosa płomiennie tak, że z daleka widać ją było w tłumie, gdy szła trzymając Zacka pod rękę wśród błyskających wciąż fleszów. I miała piękne kolczyki z szafirów, które Zack kupił jej w Londynie. Chciał jej kupić pierścionek, ale na to było dla obojga jeszcze za wcześnie. Nie spieszyło im się. Wyraźnie szczęśliwi i swobodni, weszli do teatru na ogromne przyjęcie z szampanem zorganizowane przez Mela. Był tam każdy, kto się liczył w Hollywood, i każda gazeta, każdy syndykat przysłały swoich przedstawicieli. Był również George Christy, fertyczny, elegancki, mający opisać tę uroczystość w „Hollywood Reporter”.

— Nie do wiary, jaki tium! — Jane, wciąż jeszcze skłonna do zbożnego lęku, gawędziła od chwili przybycia Z Gabby, która rozglądała się z uśmiechem.

— Tak ma być... no nie?

Zaczęto nadawać ich serial równocześnie z najsilniejszą konkurencją, na jaką mogły się zdobyć inne stacje telewizyjne. Była to nowa powieść Sidneya Sheldona sfilmowana dla telewizji, a potem dobry program sportowy. Mel jednak dowodził uparcie, że nie ma się czym martwić. Przecież „Manhattan” im się udał. Gabby żywiła nadzieję, że Mei ma rację, gdy w jakiś czas później zajęli miejsca na widowni.

Wszyscy się usadowili i zaczęła się emisja. Publiczność reagowała na przemian zupełną ciszą i owacjami, rykiem uznania. A w czasie nadawania reklam wszyscy mówili, że to jest bardzo dobre. Ale nie sposób było ocenić powodzenie aż do następnego dnia, gdy zostanie podana oglądalność.

Jane wyczerpana wróciła do foyer. Niepewna, czy dobrze grała, miała jednak pewność, że inni grali świetnie. Sabina wyzłogowała z sali niczym królowa nie mając żadnych wątpliwości, gdyby ją kto o to pytał. Znów zaczęło się fotografowanie, które trwało bez końca, gdy flotylle limuzyn przewoziły wszystkich do restauracji Chasena, gdzie Mei zamówił kolację o północy i parkiet do tańca dla trzystu osób.

Czarowna to była noc, czarowna zabawa. Po powrocie do domu Gabby powiesiła swoją prowokacyjną czarną sukienkę na krzesło i dała nurka w wodę basenu, a Bill w nowym smokingu, który na tę uroczystość kupił u Dijana, patrzył na nią.

— No i co myślisz? — uśmiechnęła się znad krawędzi basenu. Dochodziła czwarta rano.

— Myślę, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

— Bardziej niż trochę pijany, był tak szczęśliwy, że serce mu fruwało. Rozluźnił muszkę, rozebrał się i po chwili był już w wodzie przy Gabby.

— Myślisz, że to będzie szlagier?

— Myślę, że Mei ma rację.

Jak wszyscy inni, Gabby w skrytości ducha obawiała się konkurencji, ale przed południem wszyscy już byli pewni. Cyfry oglądalności wzrastały, mieli lwią część publiczności telewizyjnej. Ameryka

dostała bzika na punkcie „Manhattanu”. Przepowiednie Mela się sprawdziły. Agenci aktorów z serialu szaleli przyjmując telefony w sprawie wywiadów, fotografii, propozycji ról na czas letniej przerwy, domagano się plakatów z Sabiną, Jane i Gabby. Nawet Harry dostawał szału. Redakcja „Playgirl” chciała fotos Billa na rozkładaną środkową stronę. „Cosmo” dawał za to samo więcej pieniędzy. Pięcioro aktorów nagle stało się największymi gwiazdami w kraju. Met wprawdzie to przepowiadał, ale wciąż jeszcze trudno im było uwierzyć. Trudno im było zrozumieć, co to jest gwiazdorstwo, dopóki nie stało się faktem.

Sabina nigdzie nie mogła się pokazać, żeby nie oblegał jej tłum, zarówno kobiet, jak mężczyzn, i żeby nie błagano jej o autografy. Kiedyś jakiś mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziała, chwycił ją raptownie w objęcia przed Beyerly Wilshire, pocałował i uciekł wrzeszcząc:

— Zrobiłem to!... Zrobiłem to!... Zrobiłem to!

— Miałem rację? — Mel napawał się swym sukcesem przy śniadaniu w przeddzień wyjazdu do Nowego Jorku. Podarował Sabinie pierścione-markizę z ogromnym osiemnastokaratowym brylantem tamtego dnia, w którym dostali pierwsze wyniki oglądalności, nadal jednak pozostawało palące pytanie, które chciał jej zadać. Z tym zwlekał. Za dużo było jeszcze podniecenia z powodu „Manhattanu”.

— Miałeś rację.

Leżała jak kot na kanapie w jego salonie. Lubiała tu jeść i czytała teraz ostatni plik wycinków prasowych przysłanych jej przez agenta. Wszystko to było taką ogromną uciechą. To podniecenie, to uznanie, te pieniądze. Już nawet nie musiała lękać się przyszłości. Gdyby cokolwiek jej się stało, jest zaopatrzona. Już mogłaby się wycofać i żyć dostatnio aż do śmierci i jeszcze zostawić po sobie wystarczająco dużo, by odejść bez obawy.

Podniosła wzrok na Mela z serdecznym uśmiechem. Jest dla niej taki dobry, nigdy nie marzyła o posiadaniu tylu klejnotów, ile ich miała teraz... i futer. Na podróż do Nowego Jorku chciał jej kupić sobole. — Nie będzie zimno, nawet wtedy, gdy tam dolecimy — roześmiała się.

— Będzie zimno, kiedy stąd wylecimy. Zresztą sobole potrzebne są każdej dziewczynie.

To było jak sen, piękny sen, który zawsze wyobrażała sobie w marzeniach i który teraz stał się rzeczywistością. A to dopiero początek.

Mei wynajął samolot dla nich wszystkich, musiała się spakować tego dnia po południu. Mieli jeszcze mnóstwo do załatwienia w ostatniej chwili.

Jane poświęciła ten dzień córkom, które teraz odnosiły się do niej nieledwie ze czcią. Już nazajutrz po nadaniu pierwszego odcinka „Manhattanu” były w szkole wprost rozrywane. Jej syn zadzwonił z college’u i na nowo wytworzyła się jakaś więź między nimi. Bo Jason w końcu zrozumiał, że ojciec był wobec niej bardzo niesprawiedliwy. Wszyscy troje zaczęli szanować jej pracę zawodową, doceniać jej znaczenie. Nawet zaprosiła Jasona do studia, przyjechał i to, co tam zobaczył, bardzo mu zaimponowało. Przedstawiła go Zackowi, chłopiec ze zdumieniem przekonał się, że Zack jest sympatyczny i bezpretensjonalny. Wcale nie jak wielki gwiazdor. Zjadł z matką i Zackiem kolację w niedużej restauracji, po czym odwieźli go samochodem do Santa Barbara. Gdy stamtąd wracali, Jane w samochodzie płakała. Czuła się tak, jakby odzyskała syna, którego nie miała przez cały rok z winy byłego męża.

— Masz szczęście, cudowne są te twoje dzieciaki — powiedział wtedy Zack spokojnie w drodze powrotnej do Los Angeles. Zazdrościł jej dzieci. To, że sam dzieci nie miał, było ceną błędów, jakie popełnił za miodu. Nie raz głęboko nad tym ubolewał.

Ostatnią noc przed wyjazdem Jane spędziła u Zacka, a Gabby miała mnóstwo roboty u Billa. Psa już oddała do pensjonatu weterynarza i weekend upłynął na likwidowaniu jej mieszkania. Przewoziła wszystko do Billa. Nie było sensu płacić przez dwa miesiące za to mieszkanie,



tym bardziej że po powrocie z Nowego Jorku mieli przecież mieszkać razem. Bill ostatecznie oświadczył jej się, gdy wrócili z Maine, i przyjął jego oświadczyni uszczęśliwiona.

— Zapakowałaś moje skarpetki? — Wpadł do pokoju ze stosem dzinsów.

Gabby się uśmiechnęła. Zupełnie tak, jakby zawsze żyła w ten sposób. Ze śmiechem powiedziała mu to. Oczywiście musiała pakować nie tylko swoje rzeczy, ale i jego.

Mei tej nocy jeszcze pracował, gdy nowa pokojówka Sabiny postawiła wszystkie jej walizki od Vuittona w hallu. Sabina słysząc dzwonek telefonu myślała, że to Mel chce jej powiedzieć dobranoc. Ale to nie był Mei. To był telefon, którego strasznie bała się od lat. Siedziała przerażona. Musi natychmiast polecieć do San Francisco, nie może wyjechać do Nowego Jorku z obsadą „Manhattanu”.

Zadzwoiła do Mela, ale w domu go jeszcze nie było, a w biurze telefony na noc wyłączano. Zapakowała konieczne rzeczy do nesesera i zarezerwowała miejsce w nocnym samolocie. Już ubrana do wyjścia spróbowała zadzwonić do Mela ostatni raz i westchnęła pełna ulgi, gdy odebrał telefon w domu.

Głos miała nieswój, więc natychmiast wiedział, że coś się stało.

— Nie mogę polecieć do Nowego Jorku.

— Boże... dlaczego? — Oszupiał. Co ona mówi? — Rozchorowałaś się?

— Nie, nie. Przylecę, kiedy tylko będę mogła. Będziecie musieli kręcić sceny beze mnie w tygodniu.

— Ależ to niemożliwe. Jesteś prawie w każdej scenie. Sabino, o co chodzi? — Nigdy dotąd nie słyszał takiego jej głosu i brzdęknęła jakaś głęboko ukryta struna jego pamięci, nie mógł jednak sobie przypomnieć jaka. — Co się stało?

— MeĘ nie mogę ci powiedzieć. — Wyłączyła go tak po raz pierwszy, odkąd nie zgodziła się z nim pojechać na wyspy Bahama.

— Przykro mi... po prostu nie mogę.

— i co ja, do diabła, mam powiedzieć obsadzie? — Był zmęczony, rozgniewał się na nią. Dlaczego nie chce mu się wytłumaczyć? — Że lecimy do Nowego Jorku na wakacje?

— Nic nie poradzę — spojrzała na zegarek. — Muszę już iść. Zadzwonię do ciebie do Nowego Jorku.

Położyła słuchawkę, wzięła neseser i wybiegła z mieszkania, gdy Mei patrzył na słuchawkę w swojej ręce, wściekły i bezradny.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Mei postąpił wobec Sabiny tak, jak nigdy przedtem nie postąpił wobec nikogo. Zaangażował detektywa, żeby się dowiedzieć, gdzie ona jest. Ale ten człowiek zdołał tylko wykryć, że poleciała dokądś poprzedniej nocy. Portier wiedział, że pojechała na lotnisko, przez dwa dni jednak żadnych szczegółów nie było, dopóki detektyw nie znalazł stewardesy, która pamiętała, że widziała ją w samolocie.

— Dokąd leciała?

— Do San Francisco.

To Sabina sama powiedziała już Melowi. Jeździła tam co jakiś czas w odwiedzinach do jakichś przyjaciół.

— Cholera jasna.

Nie w stylu Mela było takie przeklinanie czy nاپuszczanie na kogokolwiek detektywów, ale chodziło o gwiazdę jego serialu i chciał wiedzieć, gdzie ona jest. I nie tylko. Chciał się z nią ożenić, więc musiał po prostu wiedzieć, do jakiego stopnia robi z niego głupca i z kim. W Nowym Jorku kręcili sceny bez Sabiny, co bardzo utrudniało pracę. Mei nadal nie miał wiadomości od niej. Ale znów po dwóch dniach zadzwonił do niego detektyw.

— Panna Quarles jest w Palo Alto, możliwe, że u przyjaciół. To skromny dom niedaleko uniwersytetu.

Mel chciał zapytać, czy jest tam jakiś mężczyzna, ale się krępował. Detektyw ułatwił mu sprawę.

— W tym domu mieszkają chyba tylko trzy kobiety. Wychodzą i wracają po jednej na zmianę. Wszystkie zawsze w płaszczach, ale to chyba pielęgniarki. Najwidoczniej jest u kogoś chorego. Wysła z tego domu tylko dwa razy na spacer sama i wydaje się bardzo zgaszona. Mamy fotografie, które możemy panu wysłać ekspresem, panie Wechsler. Nosi ciemne okulary i kapelusz, ale to ona.

A więc jakiś chory kochanek... może ktoś, z kim jest związana od lat. Tylko dlaczego nic nie mówiła? Bodaj tyle jest mu przecież winna.

— Będziemy dalej robić swoje — zakończył detektyw.

— Dziękuję.

Już cztery dni minęły bez wiadomości od niej. Mei nadal był wściekły, ale piątego dnia zadzwoniła. Głos miała strasznie znużony. W pierwszej chwili nawet go nie poznał.

— Mel, będę w Nowym Jorku pojutrze. Zacznę pracę w poniedziałek.

— Bardzo ci dziękuję. Właściwie gdzie ty, do diabła, jesteś?

W głosie jego brzmiał gniew, ale była zanadto zmęczona, żeby się tym przejąć. Powie mu coś, kiedy przyleci do Nowego Jorku. Więcej nic nie może zrobić. Ta część jej życia należy wyłącznie do niej.

— Jestem u kogoś chorego. — Dokładnie to samo powiedział mu detektyw.

— Nie mogłaś mi tego powiedzieć w Los Angeles przed wyjazdem?

— Nie miałam czasu na wyjaśnienia. Musiałam łapać nocny samolot.

— Dokąd? — Chciał, żeby sama powiedziała.

— Nieważne dokąd. Powiedziałam ci wszystko, co trzeba, żebyś wiedział. — Głos miała zimny i szorstki. — Będę w Nowym Jorku pojutrze. — I dodała: — Nie męcz mnie, Mei. To nie ma nic wspólnego z tobą.

— Najwidoczniej. — Był do głębi zraniony. — Myślałem, że jesteśmy sobie bliscy, ale chyba się łudziłem.

Zabrakło jej energii, żeby jakoś rozwiać jego zazdrość i obawy, i nie miała zamiaru wyznać mu prawdy, gdy przyjedzie do Nowego Jorku. Nigdy tej prawdy nie wyznała nikomu.

— Proszę cię, nie traktuj tego tak osobiście.

— A jak mam to traktować, Sabino? Znikasz w środku nocy, nikt nie wie, gdzie jesteś... i z kim... i dlaczego... co ja mogę o tym myśleć?

Wyobrażała sobie, co on myśli — że uciekła z innym mężczyzną, a to przecież coś znacznie poważniejszego. Przez chwilę jednak było go jej żal.

— Przykro mi, Mei. Może porozmawiamy o tym kiedyś.

— Masz rację, do diabła, porozmawiamy.

Jednakże tylko zraził ją swoim uporem, wyłączyła się, nie mówiąc mu już nic więcej.

Siedziała w małym ciemnym saloniku brzydkiego, małego domu w Palo Alto. Od lat przyjeżdżała tu co miesiąc. Czasami nawet częściej, jeżeli nie pracowała. Czasami na całe tygodnie, ale to ją strasznie przygnębiało. A teraz on omal nie umarł. Tamtej nocy powiedziano jej przez telefon, że umiera.

— Może coś pani podać, panno Quarles? — Do pokoju weszła z miłym uśmiechem pielęgniarka na nocnej zmianie. Dziwne było widzieć wielką gwiazdę od tej strony. Na

ekranie telewizora taka piękna, wspaniała, a tutaj zmęczona, prawie stara. Sabina nie malowała się wcale, odkąd przyjechała, i wyglądała tak, jakby od wielu dni nie dotknęła włosów grzebieniem.

— Niczego mi nie potrzeba. Jak Anthony?

— Śpi teraz biedaczek. Jest zmęczony, ale to mu przejdzie.

Sabina weszła do jego pokoju, żeby usiąść przy nim, tak jak siedziała od chwili przyjazdu. Trzymając go za rękę. Sypiała w fotelu noc po nocy. Patrzyła na niego udręczona, a przecież nie chciała być nigdzie indziej.

Znów zajęła swoje miejsce u jego boku i patrzyła na tę ślicznie wyrzeźbioną twarz w przyćmionym świetle. Nieraz wyglądał młodo, innym razem staro, ale całe życie było męką, walką o przetrwanie i niewiele dawało się dla niego zrobić. Cud, że dożył takiego wieku. Urodził się z wrodzonymi ułomnościami, sparaliżowany od pasa w dół. Miał słabe płuca i wadę serca. A technika transplantacji wtedy nie rozwinęła się jeszcze na tyle, by pomogło operowanie tak maleńkiego dziecka. Zanim ukończył rok życia, miał sześć operacji, a potem prawie z niego zrezygnowano. Próbowano znowu, gdy miał dwa lata, ale dołączyły się już inne defekty i chirurdzy stanowczo twierdzili, że nie wolno przeprowadzać transplantacji na tak małych dzieciach. Teraz

był już w odpowiednim wieku, nikt jednak nie chciał podjąć ryzyka

— za słaby, żeby przeżyć operację. Żył w domu, który kupiła dla niego przed laty, niedaleko szpitala Stanford, pod opieką pielęgniarek w dzień i w nocy, doglądany niezmordowanie. Jednak i tak musi nadejść dzień, gdy skończy się to życie, które przedłużają, ale nie mogą przedłużać wiecznie.

Poruszył się, patrzyła, jak Anthony oddycha, monitory, podarowane im przez March of Dimes przed laty, cicho tykały. W ciągu tylu lat przywykła do obserwowania tych monitorów.

Dochody z każdego filmu wpływały na jego konto. I teraz nie musiała już się tym martwić.

Jedynie błogosławieństwo. Dlatego rok wcześniej zgodziła się grać w „Manhattanie”.

Wiedziała, co to oznacza dla niego, bo zawsze przecież istnieje obawa, że coś się nią stanie i wtedy nie będzie nikogo, kto by go utrzymywał. Gdy się urodził, jego ojciec był pełen zgrozy, żonaty z inną, zakochany w niej, Sabinie, namiętnie, jak twierdził, ale nie aż tak namiętnie, żeby trwać przy Anthony, dźwigać jego nieszczęście. Nawet nie dał mu swojego nazwiska. Tylko przysłał czek na dziesięć tysięcy dolarów, za mało nawet na pierwszą operację. Teraz miała wszystko, czego potrzebowała dla niego... wszystko poza tym, że nie mogła mu kupić zdrowia i normalnego życia. Ukończyła właśnie trzydzieści jeden lat, gdy się urodził, i nie wiedzieli, dlaczego jest taki. Przecież nie zażywała narkotyków, nie piła, po prostu „wybryk natury”, mówili. Wybryk... dzieciak prawie bez płuc, z uszkodzonym sercem, z kalekim kręgosłupem, ale rozpaczliwie go pokochała, może tym bardziej dlatego. Płakała całymi dniami przy nim na oddziale reanimacyjnym, wśród monitorów. A potem te operacje... przez rok nie pracowała, w końcu jednak musiała wrócić do pracy, żeby zapłacić rachunki, których sterty wciąż rosły. Nieustannie staczała walkę, od piętnastu już lat. Dopóki nie nadarzył się „Manhattan”. Wiele zawdzięczała Melowi, ale o swoim dziecku nie mogła mu powiedzieć. Nigdy nie mówiła nikomu, nigdy nikomu tak dalece nie zaufała. Nie chciała, żeby życie Anthony’ego czy też to, co z tego życia zostało, zmieniło się w parodię z rojącymi się reporterami i fotografami, zwłaszcza teraz, gdy wszyscy tak się nią interesują. Mogła sobie wyobrazić, co by wyprawiali z Anthony. Zawsze się bała, że któraś z pielęgniarek wygada, ale te pracowały u niej już od lat. Jeszcze raz się poruszył. Wyglądał lepiej. Lekarz powiedział, że znów niebezpieczeństwo minęło, na razie. Tym razem nawet nie przewieźli go do szpitala, bo nie było po co, jak stwierdził doktor Waterford. Ale i tak któregoś dnia to się stanie... Błagam, Boże daj, żeby w spokoju... i żebym ja przy nim wtedy była... Modliła się o to tyle już razy, gdy przebywała daleko. Dlatego przyjechała z Nowego Jorku tutaj, zamiast jechać z Melem na wyspy Bahama. To należało się jej synowi. Wydała go na świat

niezdatnego do normalnego życia — to na pewno jej wina. Zawsze o to winiła siebie. On ma piętnaście lat, a wygiąda jak pięcioletnie dziecko, gdy drzemie w ogromnym szpitalnym łóżku w sypialni, która jest jego więzieniem.

— Mamo? — otworzył oczy, tak samo zielone jak jej. Uśmiechnął się do niej i znów musiała powstrzymać łzy.

— Cześć, kochaneczku. Napijesz się? — Dzbanek z wodą z lodem stał przy jego łóżku. Szalenie lubił sok jabłkowy, gumę do żucia i mecze hokeja. Całe swoje życie przeżywał w tym pokoju. Piętnaście lat w ten sposób. Bez słowa skargi. — Jest ci wygodnie?

— Jest mi dobrze. — Uśmiechał się oczami takimi jak jej oczy.

— Opowiedz o tym nowym serialu — szeptał.

Wyczerpywały go zbyt długie rozmowy, ale lubił słuchać. Wciąż pisywała do niego listy i dzwoniła codziennie, zawsze dzwoniła, gdziekolwiek była. I przysyłała mu różne zabawne rzeczy, plakaty i ruchome zabawki, i książki, żeby mu je czytano. Sam trzymając książkę, za bardzo się męczył, ale nauczyła go czytać, gdy miał cztery lata. Taki szczególny mały chłopiec... Anthony... Opowiadała mu o Melu i Gabrielle, Billu i o Jane mającej dwie córki mniej więcej w jego wieku — aż bolała ta myśl. Bolał ją widok dziewczynek Jane, tak jak widok innych normalnych dzieci, które biegają po parku, trzymają matkę za rękę... Bardzo kiedyś kochała jego ojca, przecież oboje byli winni swojemu synowi o wiele więcej niż to, co od nich dostał.

— Kocham cię, najdroższy — szepnęła, gdy znowu zasnął. Z przykrością myślała o wyjeździe za dwa dni, ale już doszedł do swego zwykłego stanu i musiała wrócić do pracy. Taka jest rzeczywistość ich życia. I pielęgniarki wciąż jej przypominają, że chłopiec do tego przywykł. Innego życia nie zna. Poza tą torturą i tym, że matka pracuje daleko.

Wstając i przeciągając się o czwartej rano, przemożnie zapragnęła porozmawiać z Melem... tylko porozmawiać z nim... w Nowym Jorku siódma, wiedziała, że Mel już wstał i nadal wścieka się na nią, Są pytania, na które ona nie chce odpowiadać, nigdy nie odpowie. Miała w tym domu swoją sypialnię, ale nie chciała spać. Tak mało mają czasu... tak mało czasu... i nigdy nie wiadomo, czy to nie ostatni raz. Weszła z powrotem do pokoju, ujęła jego drobną, wątłą rękę. Ucałowała czubki jego palców, uśmiechnęła się do niego ze łzami wolno spływającymi jej po policzkach.

— Kocham cię, najdroższy — szepnęła prawie niedosłyszalnie.

Otworzył jedno oko. A myślała, że on śpi.

— Ja też cię kocham, mamo. — Uśmiechnął się radośnie i przymknął oczy. Zawsze czuł się szczęśliwy, gdy mama była przy nim.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Za każdym razem ta sama udreka rozstania i teraz też nie było lepiej. Czowała, jak jakaś ręka zaciska się na jej sercu, i słowa grzęzły jej w krtani, a jednak zdołała dla niego zrobić dobrą minę do tej strasznej gry. Obiecała przyjechać za kilka tygodni, powiedziała mu, że wyjeżdża do Nowego Jorku. A on jej powiedział, że będzie oglądał serial. Aż nadszedł ten najgorszy moment: mocno przytuliła syna, oddychając jego ciepłem, tym płomyczkiem życia, jaki się w nim tlił, i nie wiedząc, czy znów go zobaczy. Czasami nienawidziła siebie za to, że nie zrezygnowała ze wszystkiego, żeby być z nim stale, wtedy jednak nie mogłaby go utrzymywać. Często myślała o przewiezieniu go do Los Angeles, ale

jemu potrzebny był szpital Stanford. Nie miała wyboru, a teraz zrobiło się już za późno. Musieli się do tego dostosować.

— Kocham cię, najdroższy... taak baaardzo!

Uśmiechała się przez łzy, gdy Anthony prosił, żeby nie płakała. Najdzielniejsze dziecko na świecie. Zmusiła się do wyjścia z tego domu z szarpnięciem, które pozostawiło fizyczny ból, gdy wsiadała do taksówki, nasunęła nisko na twarz czarny słomkowy kapelusz, włożyła ciemne okulary i wytarła nos. Powinna już przywyknąć do tego bólu, ale wiedziała, że nie przywyknie nigdy. I kiedyś, gdy Anthony’ego nie będzie, pamięć o nim..., ta ich miłość, jakiej nikt inny nie zaznał... To było nie do zniesienia. Jakżeby mogła bodaj zacząć wyjaśniać Melowi? Nie chciała od Mela współczucia. Przecież i tak nic by się nie zmieniło. Nic dla Anthony’ego. Ani dla niej. To tragedia, jakiej przedtem nie potrafiłaby sobie wyobrazić w najczarniejszym nawet nastroju, a jednak za nic nie dałaby sobie zabrać radości kochania tego dziecka.

Przelot do Los Angeles był monotony i męczący. Tylko wstąpiła do swojego mieszkania, żeby się przebrać i wziąć walizy, po czym tej samej nocy poleciała do Nowego Jorku. Była wyczerpana, wiedziała, że nawet jej staranny makijaż nie maskuje ciężkich przeżyć ubiegłego tygodnia. Jeżeli nie zacznie czujnie znów dbać o siebie, konieczna będzie następna operacja plastyczna jeszcze przed końcem drugiego sezonu.

Stewardesy obsługiwały jej na każde skinienie teraz, gdy leciała pierwszą klasą, z lotniska taksówką pojechała do hotelu Pierre, nie rozpoznana przez nikogo. Była w kapeluszu z dużym rondem i w ciemnych okularach, ponadto odwracała głowę i unikała wzroku ludzi, co pomagało — w jej przekonaniu — zachować anonimowość. W hotelu podeszła prosto do kontuaru recepcji, wpisała się do książki gości i odprowadzono ją do jej apartamentu, gdzie usiadła, zaczerpnęła tchu i kazała sobie przynieść alkohol. O godzinie trzeciej nad ranem w Nowym Jorku, gdy w Kalifornii była dopiero północ.

Spała przez dwie godziny, wstała, ubrała się i zadzwoniła do Mela, żeby się zameldować. Z wyraźnym chłodem w głosie Mei zapytał:

— O której przyjechałaś?

— Do hotelu o trzeciej.

— Musisz być wykończona.

— Mniej więcej. Ale przeżyję. Parę porządnie przespanych nocy i odzyskam formę.

Wy tłumaczył sobie, że nie chce zobaczyć się z nim po pracy, więc odpowiedział lodowato:

— wietnie. Rozumiem.

Zdecydowała się położyć temu kres, bo mogłoby to ciągnąć się tygodniami.

— Nie, nie rozumiesz. Ale trudno, MeE jestem po prostu zmęczona. To wszystko. Miałam ciężkie przejścia, ciężki tydzień i bardzo chcę się z tobą zobaczyć.

— Jak się czuje twój przyjaciel? — Teraz w jego głosie brzmiało wahanie, jak gdyby nie był pewny jej i więzi pomiędzy nimi.

— Dobrze.

Nadal chciał wiedzieć, kto to jest, jednak uznał, że nie czas o to zapytać. I detektyw szczególnie jakoś nie zdołał służyć żadnymi dalszymi informacjami.

— Czy chcesz zjeść śniadanie tutaj ze mną?

— Bardzo chętnie. Zaraz będę.

Przyjechała windą na górę do niego. W niebieskich dzinsach, butach z cholewami i w białej jedwabnej koszuli odsłaniającej akurat dosyć, żeby sobie przypomniał, jaka jest piękna pod ubraniem, niełatwo mu było dalej się na nią gniewać. Oczy miała zmęczone, zobaczył w niej nagle jakiś głęboki smutek. Nigdy dotąd nie widział jej takiej. Zawsze była silna, opanowana, zawsze była gwiazdą i po prostu nie przychodziło człowiekowi na myśl, że może być smutna. Nie oparł się pokusie, wyciągnął rękę, ujął jej dłoń, gdy tylko kelner wyszedł.

— Sabino..., co ci się stało? Złe się czujesz? Ty, nie ten twój przyjaciel... Ty.

— Nic mi nie jest. — Ze znużonym uśmiechem spojrzała mu w oczy. Zapragnęła powiedzieć, lecz nie było sensu. Po co? Żeby zrobiło mu się jej żal? I co to da? Jej nie żal siebie, nigdy. Bo ona o siebie dba i dba o Anthony”ego, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Mei jest oparciem w dobrych chwilach, nie w tych złych, by przy nim płakać nad swoją tragedią, nad umierającym synem pozostawionym w Kalifornii.

Wygiąda tak, jakby w zeszłym tygodniu widziała o wiele za dużo, pomyślał i chciał ją przytulić.

— Kto był chory? — Wydawało się ważne, żeby mu powiedziała.

— Nie znasz go. — Nasmarowała bułkę masłem i odwróciła wzrok.

— Tyle się domyśliłem. — Uśmiechnął się. — Ktoś, kogo kochasz.

Zobaczyła wtedy jego cierpienie, wątpliwości, lęk i zrobiło się jej żal Mela... i siebie... i Anthony”ego...

— Tak. Ale nie w taki sposób, jak myślisz. — Nigdy nie powiedziała nikomu. Zniknęła, zanim Anthony się urodził, i wróciła później sama. Nikt nie wiedział. Aż do teraz. — Mei, to mój syn.

Mam piętnastoletniego syna. — Patrzyła mu w oczy, niepewna, dlaczego mu ufa.

Dobry Boże. — Był oszołomiony. — Jakoś wcale tak nie myślałem o tobie.

Uśmiechając się rozparła na krześle.

— Nikt tak o mnie nie myśli.

— I on jest chory? — Zaczynał rozumieć, ale jeszcze za mało wiedział.

— Taki się urodził. — Spokojnie przedstawiła mu sytuację Anthony”ego i nawet nie czuła łez na policzkach. — Nigdy nie wiem, kiedy i czy w ogóle znów go zobaczę, Mel. Był telefon tamtej nocy... musiałam pojechać. — Zachrypla.

Delikatnie otarł jej łzy, też mając łzy w oczach, bo pamiętał, co czuł po śmierci swoich dzieci przed piętnastu laty... prawdopodobnie mniej więcej wtedy, gdy jej syn się urodził. Te tragedie dziwnie splotły się w czasie.

— Dlaczego nic nie powiedziałaś?

— Po co? Nie mówiłam nikomu. Niosę swój krzyż sama.

Wydawało się, że jest z tego powodu dumna, i szanował ją i kochał jak nigdy dotąd. Serce mu się do niej wyrывało.

— Już nie musisz, Sabino. Ja jestem przy tobie.

Wiem, że jesteś. Ale Anthony jest mój... Kocham go nade wszystko na świecie... i nie chcę, żeby odbijała się na nim moja kariera, moje życie... Anthony należy tylko do mnie.

— Co z jego ojcem? Nic nie robi, żeby pomóc?

Potrząsnęła głową.

— Chyba w żadnym razie by nie pomagał. A już w takim stanie rzeczy nie mógł się z tym pogodzić. Nie widziałam go, odkąd Anthony się urodził.

— Drań! — Melowi oczy zapalały, a ona się uśmiechnęła i westchnęła, nastawiona filozoficznie po piętnastu latach.

— Tacy są niektórzy, Kochanie. Ale nie ty, ty zawsze byłeś dla mnie bardzo dobry.

Uznał, że nadeszła pora, chwila, na którą czekał.

— Chcę się z tobą ożenić.

Zaparło jej dech. I powoli potrząsnęła głową.

Nie mogę, Mei... nie mogę... Nie mam tego w sobie.

— Ale dlaczego? — Jeżeli nikt inny nie wchodzi w grę, jeżeli ona go kocha, tak jak mówi.

Nie chciał się ożenić z żadną po Liz, ale teraz... zna Sabinę taką, jaka rzeczywiście jest, kocha ją i szanuje.

— Wątpię, czy mogłabym kiedykolwiek wyjść za mąż, Mei, mam własne obowiązki, własne życie... i jest Anthony. Ty byś się poczuwał do odpowiedzialności za niego.

— Czy to takie straszne? Czyż tego nie obejmuje miłość?

Taką miłość ona czuje do swego dziecka, ale poza tym?... Od lat nie chciała wyjść za mąż, a przecież z Melem tak jej dobrze, taka jest zadowolona, taka wdzięczna mu za wszystko. Tylko czy wdzięczność, zadowolenie wystarczą? Czy dostatecznie uzasadnią małżeństwo? — Nie mógłbyś się zadowolić tym, co teraz mamy? — Była zaciekawiona. Czego on od niej chce? Kontraktu? Gwarancji? Za starzy są na to, żeby mieć dzieci, przynajmniej ona jest już już stara.

Przytaknął z namysłem.

— Gdybym musiał, owszem, mógłbym się zadowolić. Ale chodzi o coś więcej. O jakąś pewność jutra, którą daje świadomość wzajemnej przynależności do siebie na zawsze... jeżeli coś w tym rodzaju istnieje.

— Oboje nie byli tacy naiwni.

— Mogłabym ci to przyrzec tutaj i teraz bez ślubu w kościele czy w urzędzie stanu cywilnego. Nie wiem, Mei. — Wstała i przeszła się po pokoju, rozważając jego słowa. — Może kiedyś, dobrze? — On chce od niej przyrzeczenia, potwierdzenia ich miłości i to wcale nie wydaje się śmieszne. Ona też chce mieć pewność co do niego, tylko po prostu nie czuje potrzeby małżeństwa. Już nie.

— Zastanowisz się nad tym, Sabino?

Oczy miał pełne nadziei, więc pochyliła się i lekko pocałowała go w usta, ze zdumieniem uświadamiając sobie głód jego pocałunków po tygodniu zaledwie rozłąki.

— Zastanowię się. — I zapytała ze śmiechem: — Dlaczego chcesz się ożenić z taką starą babą?

— Dlatego, że jesteś wielką gwiazdą telewizji. Mówiłem, że to ci odmieni życie. — Już roześmiana, pociągnął ją i usiadł mu na kolanach. — To, co mi mówisz, sprowadza się do tego, że chcesz żyć w grzechu, prawda?

— Na razie. Zdobyłbyś się na to?

— Chyba tak. Tylko nie rozmyśl się dopiero wtedy, gdy będę za stary, żeby cię przenieść przez próg.

— Czy to część tej transakcji? — Uśmiechnęła się szczęśliwa, że znów jest z nim.

Równoważył ból tęsknoty do Anthony'ego.

— Ma być.

— Hmm. — Zadumała się. — Wiesz, nigdy nie byłam zamężna.

Nadal nie miała pewności, czy jeśli chodzi o nią, nie jest już za późno, ale w tej chwili to jakoś nie miało dużego znaczenia. Na razie zrobiła co mogła dla swojego syna i znów znalazła się w objęciach mężczyzny, którego kocha. Niewiele więcej można chcieć od życia. Kariera zawodowa... serial ma wielkie powodzenie... Spojrzała na Mela z uśmiechem, gdy łagodnie pocałował ją w usta, zdumiony sekretem, którym się z nim podzieliła.

## ROZDZIAŁ XXXVII

— Cisza... cisza..., światła..., kamery, kręcić... akcja, proszę!

Miłe, dobrze znane głosy i odgłosy. Uspokajające jak powrót do domu, gdy Sabina powtarzała swoją pierwszą scenę z Jane. Była zmęczona, nie przećwiczyła tego należycie, ale scena poszła gładko, nakręcili ją w sześciu ujęciach, co wcale nie było złym wynikiem. A potem obie śmiały się przez długą chwilę.

— Więc w tym sezonie zajdziesz w ciążę, Jessica? — ubolewała żartobliwie Sabina. — François Brac na pewno dostanie ataku serca. Czy ktoś już czytał mu ten scenariusz? — I znów parsknęła śmiechem.

Jane się uśmiechała. To była nowina dla wszystkich, jedna z niespodzianek zapowiadanych na zaczynający się sezon.

Jane zwróciła się do Mela:

— Czy zachowam to dziecko?

— Zapytaj Zacka. To zależy od niego. Będzie szarpał się w rozterce pomiędzy wami dwiema, a co wybierze: czy imperium, czy kobietę, którą kocha, i to dziecko... zobaczą państwo w przyszłym tygodniu.

Wszyscy teraz się śmiali. Jane wróciła do swojej garderoby, gdzie czekał na nią Zack czytając swoje kwestie przed następną sceną.

— Jak poszło?

— Nie najgorzej. Czy wiesz, że będę w ciąży w tym sezonie?

— To interesujące. — Zerknął znad scenariusza. — Jak tam Sabina?

— Zmęczona. Wygiąda tak, jakby miała jakieś przejścia.

— Powiedziała, dlaczego jej nie było?

Jane potrząsnęła głową.

— I myślę, że nie powie. Ona trzyma swoje życie prywatne dla siebie.

— Nie tak jak my. — Uśmiechnął się. Wszyscy tej jesieni wiedzieli o nich, a także o Gabby i Billu.

Jane nalała sobie coca-coli i z westchnieniem usiadła. Też wydawała się zmęczona. Trudno było wrócić do pracy po długich wakacjach, w Nowym Jorku panowały jeszcze większe upały niż w Los Angeles.

— Co myślisz o tych nowych wątkach?

— Ciekawe. Powinny utrzymać oglądalność. — Gabby miała strzelić do Billa, jak im powiedziano, ale nie zabić go. Jane zawsze się obawiała, że ktoś z nich w myśl scenariusza zostanie z serialu skreślony, ale na razie nie zanosilo się na to.

— Ja osobiście raczej się cieszę z takiego obrotu mojej sprawy.

— Tak. — Pociągnął łyk coca-coli z jej szklanki. Czuł się zrelaksowany. Całymi godzinami kochali się tej nocy i był zadowolony z życia.

— Bo to mi wszystko bardzo ułatwi.

— Co?

— Ta ciąża.

— Czyja ciąża? — Nie rozumiał, a ona miała jakiś dziwny wyraz oczu.

— Jessiki... i moja...

Powiedziała to tak cicho, że w pierwszej chwili tylko patrzył na nią, zanim gwałtownie chwycił ją za rękę.

— Co to znaczy?

Nagle się zdenerwowała.

— Nie wiem, jak to powiedzieć... myślę, że kiedy byliśmy w Londynie...

Wpatrywał się w nią.

— Mówisz mi, Jane Adams, że... to znaczy, że... Rany boskie!

— zerwał się na równe nogi, popatrzył wokoło oszołomiony, a potem znów spojrzął na nią.

— Jesteś w ciąży? -

Przytaknęła, nagle przerażona. Może on zechce, by pozbyła się tego dziecka... i trzeba przecież myśleć o serialu. Mel mógłby ją zwolnić, kobietę w ciąży, niezamężną.

Odkąd wiesz?

— Od wczoraj. — Usta jej drżały, tak bardzo bała się jego reakcji.



A Zack, nagle rozpromieniony, wziął ją w objęcia.

— Mówisz serio?

— Tak. — Miała łzy w oczach.

— Boże... — Jego marzenie się spełniło. Więc nie na próżno. Patrzył na nią, jak gdyby uczyniła cud. — Boże... kiedy?... To znaczy kiedy ono będzie?

— Chyba w końcu maja czy na samym początku czerwca. — Spóźniona była tylko o tydzień, ale zorientowała się natychmiast. Takie spóźnienie miała tylko trzy razy w życiu i za każdym razem okazywało się to ciążą. — To by się zgadzało znakomicie z planem zdjęć, jeżeli Mei nie wyrzuci mnie z serialu... i jeżeli..., to znaczy... Wszystko zależy od ciebie, Zack — mówiła cicho w maleńkiej garderobie, gdy ktoś zapukał do drzwi i zawołał:

— Teraz ty, Jane!

— Już wychodzę! — Ale musiała przedtem porozmawiać z Zackiem. — Co chcesz zrobić?

— Żartujesz? Oczywiście, ożenić się i mieć jeszcze dziesięcioro.

— A jeżeli mnie skreślą? — Oczywiście miała wilgotne, bo powiedział właśnie to, co pragnęła usłyszeć.

— Nie skreślą, a gdyby nawet, to co? Czy ono nie jest ważniejsze dla ciebie?

Wydawał się oburzony tym, że mogłaby myśleć inaczej, ale dla niej, rzecz jasna, to dziecko było ważniejsze, tak samo jak on. Serial trwa tylko jakiś czas, o tym już się przekonała, a oni we dwoje może będą ze sobą do końca życia, i ich dziecko...

— Chcę je mieć, Zack... — Płakała teraz, Zack tulił ją do siebie.

— Oczywiście, będziesz je miała. Pobierzemy się od razu i porozmawiam z Melem. Do diaska, może uzna, że to dobre dla serialu.

Roześmiała się przez łzy.

— Jesteś pewny? Nie chcę cię w to pakować.

— Nie bądź oślicą. — Wstał czując się nagle wyższy, czując się mężczyzną po dwakroć bardziej niż przedtem, i spojrzał łagodnie na nią. Kocham cię, Jane. Czy ty mnie na pewno chcesz... pomimo wszystko?

Nie ma żadnego „pomimo”. Jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Jane! — Ktoś walił do drzwi.

Już wychodzę.

Ucałowała go, jeszcze raz ją przytulił, a gdy szybko przebierała się do następnej sceny, próbował sobie wyobrazić ten jej brzusek za sześć miesięcy. Poszedł z nią, z miłością oglądał ją w następnej scenie, a potem, już po czterech ujęciach, uśmiechnął się do niej. Zrozumiała ten uśmiech. Wrócili do jej garderoby rozmawiając cicho.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Jeszcze tego wieczora porozmawiali z Melem w hotelu Pierre. Mei był oszołomiony, ale jeszcze bardziej była oszołomiona Jane, gdy im pogratulował.

— Czy to był nasz pomysł czy wasz?

— Trochę wasz, trochę nasz. — Zack się roześmiał, a Jane, z lekka zakłopotana, wyjaśniła, że spodziewa się dziecka pod koniec sezonu.

— Nie musiałabym niczego w serialu popsuć.

— Chwali się taka troska o serial. — Mei jej dokuczał, ale bez złości, co najwyżej zdumiony.

— Czy jesteś pewna, że będziesz się czuła dość dobrze, by do końca pracować?

— Nie widzę żadnych przeszkód. — I musiała zapytać go wprost. Tak się tym denerwowała przez cały tydzień wbrew wszystkiemu, co mówił Zack. — Mei, czy to znaczy, że nie dasz mi wymówienia?

— Powiedziałbym, że nie dam. Zresztą dzięki temu, mówiąc rzeczywiście wulgarnie, reklama będzie miała używanie. Telewizjowicze jeszcze bardziej cię pokochają. Każdy facet w kraju będzie żałował, że to nie z nim zaszłaś, kobiety będą się nad tobą rozkliwiały. To doskonale dla serialu, ale o wiele ważniejsze — patrzył na nich oboje

— że chyba doskonale dla was. — Trzymali się za ręce jak dwoje dzieciaków. — W istocie, trochę wam zazdroścę.

Jane odetchnęła z ulgą, Mei zamówił szampana. Zack poprosił go, by zechciał zostać drużbą. Jane zamierzała zadzwonić do swoich dzieci i powiedzieć im tylko, że biorą ślub prawdopodobnie za dwa tygodnie. Nikt nie będzie zupełnie pewny, czy zaszła w ciążę przed ślubem.

Pomyśleli więc już o wszystkim i w ten wieczór Mei, gdy już ponownie im pogratulował, powiedział o tym Sabinie. Słuchała rozbawiona.

— Jak ona mogła zająć w tym wieku, jeżeli tego nie chciała?

Może chciała. — Mei był wzruszony miłością, którą widział w jej oczach.

— Wiesz..., nadal nie mogę rozgryźć Zacka. — Leżała na kanapie wypoczęta, szczęśliwa, że znów jest z Melem i znów pracuje. Zadzwoiła do Anthony'ego, który czuł się dobrze, i teraz miała komu o tym powiedzieć. — Mogłam była przysiąc, że to pedał.

— Chyba się pomyliłaś. — Mei się uśmiechnął. — Powiedziałbym, że na pewno.

Wzruszyła ramionami.

— Chyba. Już jesteś głodny?

Popatrzył na nią uważnie i znów się uśmiechnął.

— Tak... mam apetyt, ale nie na kolację... tylko przedtem na coś innego.

Roześmiała się, gdy podszedł, i wyciągnęła do niego ręce, potrząsając swą złocistą grzywą.

— Dobry pomysł — wymruczała.

— No nie?

Podniósł ją bez trudu i zaniósł do sypialni. Dużo czasu minęło, zanim zadzwonili, żeby im podano kolację, przy czym Mei zamówił szampana, kawior i jeden omlet dla nich obojga.

## ROZDZIAŁ XXXIX

Nazajutrz na planie Sabina była we wspaniałej formie, a Jane wyglądała jak roześmiany kot z bajki, w przerwach między scenami szepcząc z Zackiem i śmiejąc się z nim tak głośno, że reżyser raz po raz musiał ich uciszać. Mei stał z boku i obserwował wszystkich. Oglądalność była nadzwyczajna, serial miał jeszcze większe powodzenie, niż przewidywał.

Patrzył, jak Sabina próbuje z dwiema ze swoich „podrzędnych postaci”, gdy podszedł do niego Bili, dosyć ponury.

— Coś niedobrze? — Mei nie widział Billa tak ponurego od miesiący.

Bill spojrział mu w oczy niespokojnie.

— Czy możemy porozmawiać?

— No pewnie. — Wyglądało to na jakieś zakłócenie na planie. Gabby patrzyła w ich stronę.

— Co się stało, Bill? Może porozmawiamy tutaj?

Bill przytaknął i wstrzymał oddech, widząc podchodzącą Gabby. Przecież kazał jej trzymać się z daleka. Chciał sam powiedzieć Melowi, tym bardziej że raczej powinni byli zawiadomić go przed faktem. Spojrzał jeszcze raz Melowi w oczy i zdecydował się:

— Nie wiem, co na to powiesz...

— Jakiś kłopot ze scenariuszem? — Mel nie rozumiał. Billa wyraźnie trawiło poczucie winy.

— Nie — potrząsnął głową. — Gabby i ja pobraliśmy się wczoraj wieczorem. Mei patrzył na niego przez chwilę, a potem zaczął się śmiać. Śmiał się do łez. Przecież oni wszyscy są jak dzieci.

— Mei... myśmy się obawiali, że może się zdenerwujesz...

— Ale dlaczego?

— Przecież wiesz. Kiedy mnie angażowałeś, pytałeś, czy jestem żonaty... a ja ci skłamałem...

— Teraz mi nie kłamiesz?

Bill się zmieszał.

— Oczywiście, że nie. Myśmy tylko myśleli... baliśmy się... Gabby nie chciała hucznego wesela, a jej rodzice by się przy tym upierali.

— Jesteś szczęśliwy? — Mei uśmiechnął się dobrotliwie do niego, co Gabby podchodząc zobaczyła ku swojej wielkiej uldze.

— Tak... jestem — odpowiedział Bill i objął żonę ramieniem.

Mei patrzył teraz na nią.

— Jesteś szczęśliwa, Gabrielle?

— Och, Mei, tak. — Promieniała i widać było, że nigdy w życiu nie była szczęśliwsza.

— Więc przyjmijcie moje błogosławieństwo..., wszyscy. — Rozejrzał się, gdy Zack, Jane i Sabina też do nich podeszli. — Nigdy nie widziałem gromadki ludzi mających tyle sekretów co wy... ale... oboje byli szczęśliwi, zawsze. — Pochylił się i pocałował Gabrielle w policzek.

Sabina wzięła się pod boki i udała, że warczy.

— Ręce precz od niej!

Uśmiechnęła się do Mela, on dał jej klapsa w siedzenie i odeszli we dwoje pozostawiając nowożeńców, jak Mel jej powiedział z nadzieją, że jakoś ta wiadomość na nią podziała. Ale w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. I tak był z nią szczęśliwy... z tą Sabiną, którą jest... I mówił jej o Gabby i Billu, roześmiała się, spojrzała na nich przez ramię i mrugnęła do Gabrielle. A Gabby też się roześmiała i pomachała ręką, a asystent reżysera właśnie zawołał:

— Dublerzy... dublerzy... na miejsca proszę!

KONIEC.